

NR 1-2 (96-97)  
styczeń-luty  
2009

*DODATEK: PŁYTA DVD Z FILMAMI*

- SEMPER FIDELIS
- MOJE WILNO
- MOJE SERCE ZOSTAŁO WE LWOWIE

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kresy  
pamiętamy!

ISSN 1641-9561

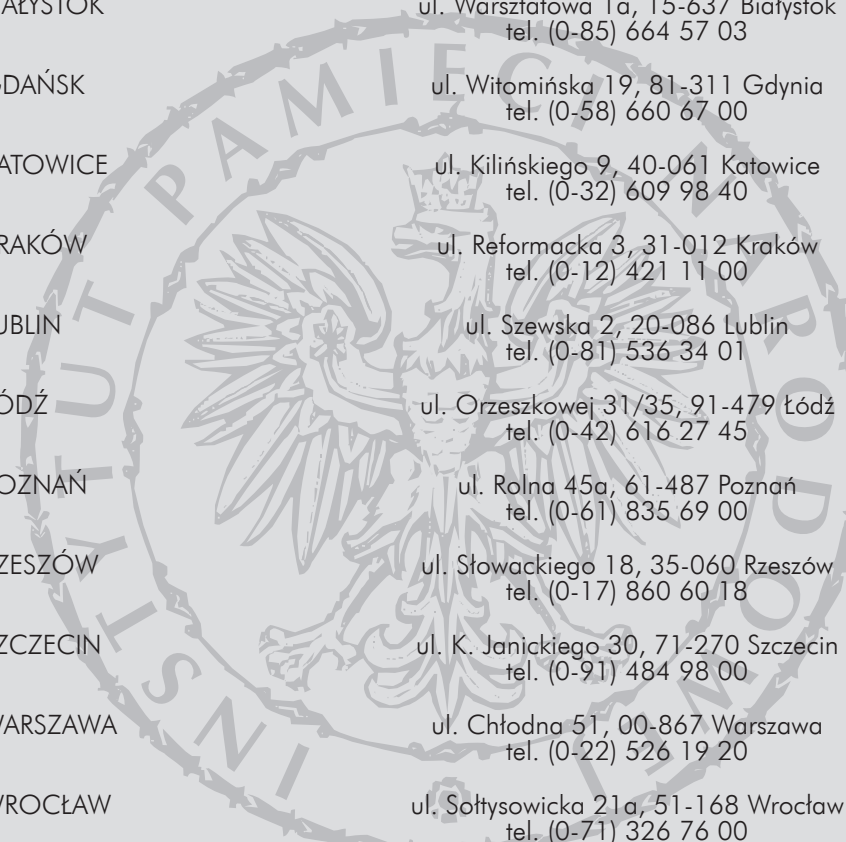


numer indeksu 374431  
nakład 10000 egz.

**cena 8 zł (w tym 0% VAT)**

## ODDZIAŁY IPN

## ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Szewska 2, 20-086 Lublin tel. (0-81) 536 34 01
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	ul. Chłodna 51, 00-867 Warszawa tel. (0-22) 526 19 20
WROCŁAW	ul. Sottysowicka 21a, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

### BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Jan Żaryn – przewodniczący,  
Marek Gałęzowski, Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Filip Musiał,  
Barbara Polak, Leszek Próchniak, Jan M. Ruman, Norbert Wójtowicz

Redaguje zespół: Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22 431-83-74), jan.ruman@ipn.gov.pl  
Barbara Polak – zastępca redaktora naczelnego (tel. 0-22 431-83-75), barbara.polak@ipn.gov.pl  
Andrzej Sujka – sekretarz redakcji (tel. 0-22 431-83-39), andrzej.sujka@ipn.gov.pl  
Piotr Życieński – fotograf (tel. 0-22 431-83-95), piotr.zycienski@ipn.gov.pl  
sekretariat – Maria Wiśniewska (tel. 0-22 431-83-47), maria.wisniewska@ipn.gov.pl

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński; redakcja techniczna: Andrzej Broniak;  
łamanie: Tomasz Ginter; korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa  
Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)

Druk: „2 K” s.c., ul. Płocka 35/43, 93-134 Łódź

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 1-2 (96-97)

STYCZEŃ-LUTY

2009

SPIS TREŚCI

## ■ ROZMOWY BIULETYNU

**Kresy pamiętamy. Z Agnieszką Biedrzycką, ks. Romanem Dzwonkowskim, Januszem Kurtyką i Januszem Smazą rozmawia Barbara Polak**..... 2

## ■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Kazimierz Krajewski – **Nie tylko Dowborczycy**..... 27

Mikołaj Iwanow – **Matka premiera. O Polakach w Dowbyszu**..... 37

Ewa Ziółkowska – **Kuropaty**..... 44

Ewa Siemaszko – **Ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej**...54

Włodzimierz Osadczy – **Kościół wobec konfliktu polsko-ukraińskiego w czasie II wojny światowej**..... 68

Romuald Niedzielko – **Sprawiedliwi Ukraińcy**..... 77

Waldemar Franciszek Wilczewski – **Dziennik Kazimierza Sakowicza**..... 86

Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski – **Ostatni obrońcy Kresów Północno-Wschodnich**..... 95

Norbert Wójtowicz – **W obronie pozostałych na Wschodzie**..... 107

## ■ SYLWETKI

Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski – **Jan Borysewicz „Kryśia”**..... 111

Andrzej W. Kaczorowski – **Arcylwowianin – Witold Szolginia (1923–1996)**..... 117

Adam Hlebowicz – **Kurlandzki sarmata z wyboru**..... 125

Tadeusz Kukiz – **Roman Aftanazy**..... 130

## ■ RELACJE I WSPOMNIENIA

**Pod Białym Orłem na Białorusi. Z Andżeliką Borys i Józefem Porzeckim rozmawia Barbara Polak**..... 135

Irena Piliszewska – **Zamordowani za to, że byli Polakami**..... 143

Dorota Jaworska-Matys – **Kształty polskości**..... 149

## ■ REPORTAŻ

Andrzej W. Kaczorowski – **Czerwonogród – perła Podola**..... 156

## ■ KSIĄŻKI

**Sto podróży. Z Grzegorzem Rąkowskim rozmawia Andrzej W. Kaczorowski** .. 162

## ■ POLEMIKI

Jan Żaryn – **W sprawie uwag do Teki Edukacyjnej**..... 168

Ewa Siemaszko – **Uwagi do Teki Edukacyjnej „Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–1947”**..... 169

## ■ ZMARLI

**Gen. bryg. prof. Elżbieta Zawacka „Zo”, „Zelma” „Sulica” (1909–2009)** .... 176

**Stanisław Karolkiewicz „Szczęsny” (1918–2009)**..... 184

## ■ DOKUMENTY

Marcin Krzysztofik, Jacek Welter – **W służbie partii, przeciw Kościołowi**..... 190

■ **WYDARZENIA**..... 195

# KRESY PAMIĘTAMY

Z AGNIESZKĄ BIEDRZYCKĄ, KS. ROMANEM DZWONKOWSKIM,  
JANUSZEM KURTYKĄ I JANUSZEM SMAZĄ  
ROZMAWIA BARBARA POŁAK



Fot. P. Zycieński

B.P. – Chociaż od kilkudziesięciu lat dodajemy do Kresów słowo „byłe”, to są one nadal bardzo ważne dla naszej historii i tożsamości. Historia „obcięta” nam na wschodzie połowę ziem, należących do I i II Rzeczypospolitej, a losy ich mieszkańców były tragiczne i heroiczne. Polska na tych „byłych” swoich ziemiach odcisnęła bardzo istotne piętno, w najlepszym znaczeniu. Dobrze byłoby, żeby nikt o tym nie zapominał.

R.D. – Termin „Kresy” jest mi bardzo bliski i dla mnie oczywisty, ale po stronie ukraińskiej istnieje wobec niego mocny sprzeciw. Zrodziła się więc potrzeba wyjaśnienia i uzasadnienia tego terminu.

B.P. – Nazwa „Kresy” ma stosunkowo niedługą historię, pojawiła się w wydany w Krakowie w 1854 r. rapsodzie rycerskim „Mohort” Wincentego Pola.

J.K. – Jeśli przejść na grunt semantyczny, to „Ukraina” znaczy (i historycznie znaczyła) to samo, co obecnie (od XIX w.) „Kresy” – czyli „na skraju, na pograniczu”. Ziemie „ukraińskie” w terminologii używanej w I Rzeczypospolitej to ziemie na pograniczu ze światem zewnętrznym, czyli w obecnym znaczeniu „kresowe” – dlatego też Ukrainę w XVI w. nazywano województwa kijowskie i bractawskie, a w XVII w. dodatkowo Wołyń i Podole. W XIX w., w następstwie rodzenia się ukraińskiej świadomości narodowej, Ukrainę zaczęto nazywać także obszar zaboru austriackiego, obejmujący dawne województwo lwowskie – czyli Galicję Wschodnią. Ukraińcy protestują niekiedy przeciw określaniu ich kraju mianem Kresów. Jednak nazwa ich państwa ma swój początek w przestrzeni semantycznej czasów I Rzeczypospolitej, bowiem powstała na wspólnym obszarze politycznym Korony i Wielkiego Księstwa (w dzisiejszym sensie: polsko-litewsko-ukraińskim) dla określenia terenów wspólnego państwa, przylegających do wrogich terytoriów zdominowanych przez Moskwę, Tatarów i Turcję (pomijam tu skomplikowane wewnętrzne relacje pomiędzy tymi trzema podmiotami). Dla procesu historycznego ważne okazało się to, że owe tereny „ukraińskie” pod względem kulturowym obejmowały spuściznę najważniejszych przestrzeni politycznych wczesnośredniowiecznej Rusi: halicko-wołyńskiej i kijowskiej, które w XIV w. zostały trwale przyłączone do Królestwa Polskiego i tworzącego się państwa litewskiego. Te same tereny później stały się coraz ważniejsze i coraz bardziej symboliczne dla państwa polsko-litewskiego (np. Lwów, Kamieniec Podolski czy Kijów były w XV–XVIII w. nie tylko zwykłymi wielkimi ośrodkami, ale i symbolami Rzeczypospolitej).



Fot. P. Zycieński

**B.P. – Litwini też się bardzo oburzają...**

**A.B. – ...ale Litwa nieporównanie później została uznana za Kresy.**

**B.P. – Nazwę tę można wywieść też od niemieckiego Kreis, czyli linia, granica. A także od określenia „kresa”, czyli posterunek pocztowy czy obronny.**

**J.K. – Niemiecki Kreis to okręg – również w sensie administracyjnym, obszarowym.**

W późnym średniowieczu te z państw europejskich, które były odpowiednio silne, wchodziły w etap gwałtownej ekspansji. Hiszpanie i Portugalczycy wędrowali za morze, Anglicy – po wypchnięciu z Francji – zaczęli budować swoje kolonie. W przypadku Polski był to kierunek wschodni. Fundament Kresów położyła unia polsko-litewska (1385–1386), której efektem był w pierwszym etapie chrzest i wcielenie Wielkiego Księstwa Litewskiego do Korony Polskiej oraz objęcie tronu polskiego przez Władysława Jagiełłę po poślubieniu polskiej władczyni Jadwigi Andegaweńskiej. W następstwie unii wileńsko-radomskiej z 1401 r. układ ten został zmodyfikowany na bardziej partnerski. W skład obszaru politycznego Korony weszły również tereny ruskie, podbite przez Wielkie Księstwo Litewskie, a także tereny ruskie zdobyte przez Kazimierza Wielkiego, bądź też przez niego zhołdowane, jak Podole Kamienieckie (Podole Wschodnie – Braclawszczyzna – było przedmiotem rywalizacji polsko-litewskiej).

Po roku 1434 tereny ruskie Korony Polskiej (przemyskie, sanockie, lwowskie, chełmskie, bełskie, kamienieckie) zostały objęte przywilejami szlacheckimi (na mocy przywileju jedlnieńsko-krakowskiego otrzymała je napływowa szlachta polska oraz miejscowe bojarstwo ruskie), a także polskim prawem ziemskim, systemem administracyjnym oraz koronnym modelem hierarchii urzędniczej. Tym samym na bardzo skomplikowaną mozaikę etniczną ziem ruskich został nałożony model kulturowy wykształcony w Koronie Polskiej. W przypadku ziem ruskich Wielkiego Księstwa Litewskiego (z interesujących nas południowo-wschodnich: Wołyń, Braclawszczyzna, Kijowszczyzna), wielcy książęta litewscy – Zygmunt Kiejstutowicz i Kazimierz Jagiellończyk – nadali podobne przywileje (trocki w 1434 i wileński w 1447 r.) tamtejszym bojarom litewskim i ruskim, włączając również ich w model kulturowy Korony. Końcowym etapem tej ewolucji była unia lubelska z 1569 r., w następstwie której kształt ustrojowy całego państwa polsko-litewskiego uległ unifikacji, zaś najważniejsze tereny ruskie Wielkiego Księstwa (Wołyń, Braclawszczyzna i Kijowszczyzna) zostały przyłączone do Korony Polskiej. Przestrzeń ustrojowo-prawna Wielkiego Księstwa (i przynależnych do niego ziem ruskich) aż do początku XIX w. została uformowana przez kodyfikacje zawarte w słynnych trzech statutach litewskich (1529, 1566, 1588 r.) oraz (do końca XVIII w.) w następstwie reformy administracyjnej i sądowej z 1565–1566 r. wzorowanej na koronnej.

Bardzo ważnym momentem w dziejach Kresów była kościelna unia brzeska (1596). Warto przypomnieć, że w jej konsekwencji część hierarchii prawosławnej uznała prymat papieża, w zamian za zgodę na zachowanie obrzędowości, małżeństw duchownych itd., co było przyczyną konfliktu wewnątrz prawosławia i zbiegło się z procesem dorastania kościoła do roli obrońcy prawosławia. Powstały dwie hierarchie – unicka i prawosławna, pozostające ze sobą w stałym konflikcie (mniej lub bardziej natężonym) do końca istnienia Rzeczypospolitej. W XIX w. obrządek unicki, gwałtownie zwalczany przez prawosławie, stał się elementem krystalizowania się ukraińskiej świadomości narodowej.

W ten sposób powstał jednolity obszar o podobnych koronnych desygnatach kulturowo-administracyjnych i bardzo skomplikowanych relacjach etnicznych i religijnych.

**J.S.** – Obszar, w którym – niestety – granice polityczne zmieniały się szybciej niż granice kulturowe.

**B.P.** – Jaki język obowiązywał na tych obszarach?

**J.K.** – Należałoby mówić raczej o językach, bowiem przy dominacji ilościowej ludności ruskiej i narastającej tendencji do używania języka polskiego jako języka elit, szlachty i miast (zwłaszcza od XVII w.), odnotować trzeba przecież języki innych mniejszości (zwłaszcza w miastach) – np. Niemców, Żydów, Ormian, Karaimów, Tatarów. Nie zawsze językiem tego modelu kulturowego był język polski, szczególnie na początku, mimo że szlachta polska napływała na te tereny już w końcu XIV w. Na ziemiach ruskich po 1434 r. zaczęły funkcjonować sądy ziemskie i grodzkie dla szlachty – takie same jak w Koronie Polskiej, choć ich księgi prowadzone były po łacinie (na Rusi Koronnej, od XVII w. coraz częściej po polsku) lub po rusku (na ziemiach ruskich Wielkiego Księstwa przyłączonych do Korony w 1569 r.); w tym drugim przypadku aż do połowy XVII w. (po powstaniu Chmielnickiego tylko nagłówki były po rusku, tekst sprawy zapisywano po polsku). Następową polonizacją szlachty ruskiej (koronne przywileje szlacheckie bojarzy uzyskali już w XV w.), a także polonizacją języka urzędów, z zachowaniem dotychczasowej formuły prawnej. W niezwyklej etnicznej mozaice, istniejącej na przyłączonych terytoriach, coraz bardziej rozprzestrzenił się nasycony językiem polskim polski model kulturowy. Na przykład w Kamieńcu Podolskim funkcjonowały trzy wspólnoty mieszczańskie na podstawie osobnych przywilejów: nacja lacka (polska) na podstawie tzw. prawa niemieckiego (jej księgi sądowe prowadzone były od początku XVI w. po łacinie i po polsku), nacja ruska i nacja ormiańska (ta ostatnia w XVI–XVII w. miała księgi sądowe w języku kipczackim). Bardzo ważnym etapem było powstanie Chmielnickiego (od 1648 r.), które miało charakter antyszlachecki, ale i charakter wojny domowej pomiędzy Rusinami. Podobnie zajęcie Podola (1672–1699) i części ziem ruskich przez Turcję. Grupy społeczne zagrożone przez te wydarzenia (np. średnia szlachta pochodzenia ruskiego zwalczana przez Chmielnickiego lub uchodząca przed Turkami) były podatne na przyspieszoną polonizację. Rozbiory w końcu XVIII w. otworzyły w historii tych ziem zupełnie nowy rozdział. W historii Kresów wiek XIX jest kluczem do ich dramatu w wieku XX.

**A.B.** – Do najważniejszych zmian terytorialnych w XVI w. doszło po przyłączeniu do Korony województw wołyńskiego, braclawskiego i części województwa kijowskiego (w tym Kijowa). Powiat mozyrski, zgodnie z wolą zamieszkującej go szlachty, pozostał przy Litwie, co pokazuje,

że decydujący głos należał jednak do „narodu politycznego” danego obszaru, a nie do króla czy szlachty koronnej. Na początku XVII w., korzystając z osłabienia Moskwy wywołanego dymitriadami i wielką smutą, w 1611 r. wojska polskie odzyskały utracony niemal sto lat wcześniej Smoleńsk. Rzeczpospolita, a dokładniej Wielkie Księstwo Litewskie, powiększyła się o województwo smoleńskie, które zdołano obronić w 1632 i 1633 r. Dzięki zawartemu w 1634 r. pokojowi polanowskiemu sytuacja terytorialna Rzeczypospolitej wydawała się dość stabilna, a jej pozycja na wschodzie na tyle silna, że w 1645 r. Władysław IV zgodził się nawet dobrowolnie



Fot. P. Życieński

odstąpić Moskwie niewielki teren w rejonie Trubecka. Doprowadził zresztą w ten sposób do wybuchu konfliktu we własnym kraju – ponieważ Trubeck należał do Wielkiego Księstwa Litewskiego, jego przekazanie bardzo oburzyło Litwinów (co pokazuje, że państwo polsko-litewskie nie było całkiem jednorodne), którzy zmusili króla do przyłączenia do Wielkiego Księstwa koronnych starostw Lubecza i Łojowa, jako swego rodzaju odszkodowanie za tę stratę.

### **B.P. – Ten najdalszy zasięg Kresów nie trwał zbyt długo.**

**A.B.** – Straty zaczęliśmy ponosić nawet wcześniej, ponieważ jednak dotyczyły terenów, nad którymi Rzeczpospolita panowała od niedawna, nie odczuto ich jako dotkliwego uszczerbku. Chodzi oczywiście o Inflanty – w większości utracone już na początku XVII w.; Rygę zdobył Gustaw Adolf w 1621 r., w czasie, kiedy armia polsko-litewsko-kozacka broniła na południu innych kresów przed najazdem tureckim. Ale znacznie poważniejsze straty nastąpiły w wyniku powstania Chmielnickiego, a zwłaszcza będącego jego efektem włączenia się do rozgrywki Rosji, ugody perejaślowskiej z 1654 r. i wyjątkowo tragicznej dla ziem Wielkiego Księstwa wojny. W wyniku kończącego ją rozejmu w Andruszowie w 1667 r. Rzeczpospolita nie tylko traciła Smoleńszczyznę, Czernihowszczyznę i Siewierszczyznę, ale również oddawała Rosji – formalnie tylko na dwa lata – położony na prawym, polskim brzegu Dniepru Kijów, który jednak już nigdy nie wrócił do Rzeczypospolitej. Później było już tylko coraz gorzej. Nawet na formalnie należącym do Korony Prawobrzeżu, Polska aż do końca XVII w. miała niewiele do powiedzenia, a walczący o władzę nad Ukrainą kozaccy hetmani przyzywali na pomoc zarówno wojska rosyjskie, jak i tureckie czy tatarskie. W 1672 r., w wyniku wyprawy sułtana Mahometa IV i wspomagających go Kozaków Piotra Doroszenki, Rzeczpospolita utraciła na rzecz Turcji Podole i Ukrainę prawobrzeżną, którą sułtan przekazał swemu kozackiemu lennikowi. Wprawdzie dzięki układowi żórawińskiemu z 1676 r. zdołano odzyskać część tych ziem wraz z fortecami w Białej Cerkwi i Pawołoczy, a po bitwie wiedeńskiej w rękach tureckich pozostał głównie Kamieniec, jednak dopiero pokój karłowicki w 1699 r. pozwolił Rzeczypospolitej na odzyskanie strat. W dodatku wojna z Turcją przyczyniła się do zatwierdzenia rozejmu andruszowskiego – starając się uzyskać pomoc Rosji, Jan III Sobieski w 1686 r. potwierdził ów rozejm zawarciem w Moskwie tzw. pokoju Grzymułtowskiego, na mocy którego oddawał carowi również Kijów. Rzeczpospolita potwierdziła go dopiero w 1710 r., po Połtawie, czyli w zupełnie innej sytuacji politycznej – można powiedzieć – z Piotrem I za plecami. Poczynając od 1772 r., czyli od pierwszego rozbioru, Rzeczpospolita traciła kolejne tereny – aż do ustalenia się (na krótko zresztą) granicy po trzecim rozbiore na zachód od Kowna, Grodna, Brześcia i Włodzimierza Wołyńskiego.

Bardzo ważne znaczenie w historii Kresów miało powstanie Księstwa Warszawskiego i pokój w Tylży. Dopiero od tego momentu polskie ziemie na wschodzie, które nie weszły w jego skład (a później pozostały poza granicami Królestwa Polskiego), były nazywane Ziemiami Zabranymi. Na ich odzyskanie Polacy będą dość długo liczyć, nie bez podstaw zresztą – wystarczy wskazać na stacjonujący na Litwie Korpus Litewski, pozostający od 1817 r. pod dowództwem wielkiego księcia Konstantego (dowodzącego również armią Królestwa Polskiego) i noszący mundury i odznaki zbliżone do używanych przez wojsko polskie.

**B.P. – Można też patrzeć na Kresy jako na wschodnią granicę Europy, kres świata zachodniego chrześcijaństwa. Za tą granicą najpierw byli poganie, a następnie**



cywilizacja rosyjska. Takie ich postrzeganie zrodziło etos kresowego rycerstwa. Kresy, czyli Polska, były wówczas przedmurzem chrześcijaństwa.



Fot. P. Życieński

**R.D.** – Kresy są dla Polski wciąż bardzo ważne. Historia i kultura polska, która powstała na Kresach, stanowi integralną i fascynującą część naszej historii, chyba nawet jej część najważniejszą, a ponadto żyje tam wielka rzesza Polaków.

**J.K.** – Nie widzę tego aż tak prosto. Takie myślenie jest typowe dla wieku XIX. Podmiotem politycznym na terenie Rzeczypospolitej w XV–XVIII w. był naród szlachecki, pod względem etnicznym i wyznania dość różnorodny. Szlachta mogła być pochodzenia polskiego, ruskiego i litewskiego, wyznania zaś – katolickiego, prawosławnego, unickiego czy protestanckiego. Sienkiewiczowski pan Muszalski, „łucznicz niechybny”, był prawosławnym...

**A.B.** – ...Billewicze byli protestantami...

**J.K.** – ...pan Wołodajowski był być może w pierwszym pokoleniu katolikiem, ale może nadal prawosławnym. Pochodził ze starego średnioszlacheckiego ruskiego rodu Kościuczków Wołodajowskich, poświęconego na Podolu już na przełomie XV i XVI w. Wielkie miejscowe rody możnowładcze (kniaziowskie) w większości były ruskie i prawosławne, dopiero później przechodziły na katolicyzm (choćby Wiśniowieccy czy Zbarascy). Znane były też oczywiście polskie i katolickie wielkie rody możnowładcze, które napływały i przejmowały na Ukrainie olbrzymie dobra (choćby Zamoyscy czy Potoccy). Konwersja religijna ułatwiała kariery poza Ukrainą, na samych zaś Kresach przed powstaniem Chmielnickiego nie wpływała na powodzenie życiowe szlachcica czy mieszczanina. Pozycja prawosławnych Ostrogskich była na ziemiach ruskich nie do podważenia w XVI w. Konwersja na katolicyzm sprzyjała awansom możnowładców ruskiego pochodzenia na najwyższe urzędy koronne – w latach 1593–1631 kasztelanami krakowskimi byli kolejno kniaziowie Janusz Ostrogski i Jerzy Zbaraski.

**B.P.** – Ta polonizacja ruskiej szlachty odbywała się na zasadzie pełnej dobrowolności i miała charakter awansu cywilizacyjnego?

**R.D.** – Dla bojarów ruskich zachodnia kultura polska była tak atrakcyjna, że z ochotą ją przyjmowali. Ale warstwy ludowe żyły nadal swoją własną kulturą. W czasie pewnej przyjazdnej, polsko-ukraińskiej dyskusji przed laty, jeszcze w czasach sowieckich, jeden z Ukraińców powiedział: „Myśmy dali Polsce nasze wielkie rody, ale Polska dała nam idee zachodnie”. To właśnie te idee przyciągały wykształconych Rusinów i Białorusinów do kultury polskiej.

**A.B.** – Ale z drugiej strony istniał też prąd przeciwny, czyli ruszczenie się na Kresach polskich chłopów, osadzanych wśród przeważającego liczebnie osadnictwa ruskiego. Zjawisko to było zresztą (częściowo przynajmniej) zawinione przez szlachtę, która wolała fundować tańsze cerkwie z ruskim parochem niż znacznie droższe kościoły, do których w dodatku trzeba



by sprowadzać księdza. To sprzyjało stopniowej zmianie wyznania, które w tym czasie było przecież utożsamiane z narodowością.

**J.K.** – Po 1569 r. rozpoczęła się wielka kolonizacja Ukrainy – z Korony ściągali rzesze chłopów, zaś możnowładcy polskiego i ruskiego pochodzenia na wielką skalę prowadzili akcje osadnicze. Trwały migracje chłopstwa i drobnej szlachty ruskiego pochodzenia. A jeśli chodzi o obronę granic i mit przedmurza, to wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych XV w. Zostało wówczas zorganizowane stałe wojsko zaciężne do obrony kresów, zwane obroną potoczną, dowodzone przez hetmana, z czasem zwanego hetmanem polnym. Od drugiej połowy XVI w. wojsko to zwane było wojskiem kwarcianym (było utrzymywane z kwarty – czwartej części podatku z królewszczyzn). Od 1520 r. jego oddziały działały w trzech zgrupowaniach: straży przedniej na Dzikich Polach, dowodzonej przez dowódcę zwanego z czasem strażnikiem polnym, a później wielkim (przywołajmy tu odnotowywaną przez Sienkiewicza postać słynnego warchoła pana Samuela Łaszcza, strażnika w latach 1630–1646); zgrupowaniu podolskim oraz siłach głównych stacjonujących koło Oleska i Załoziec. Od XVII w. potężniała legenda strażnic koronnych na Podolu i legenda przedmurza chrześcijaństwa. W skład oddziałów wojskowych wchodziła i szlachta, i plebs, dla którego była to droga awansu społecznego. Ukraina była wówczas wielkim tygłem, w którym zachodziły skomplikowane i fascynujące procesy, ale wszystko to funkcjonowało w ramach polskiego, czyli koronnego, modelu kultury i organizacji państwa. Tak samo jak w województwach krakowskim czy poznańskim, były więc na Rusi sądy ziemskie, sądy grodzkie, starostowie, kasztelanowie, wojewodowie czy miasta na prawie niemieckim. W ziemi lwowskiej czy na Podolu Koronnym urzędowym językiem była łacina, a o miedzę dalej, w Braclawiu, księgi tego samego typu prowadzono po rusku.

### **B.P.** – Jak przebiegał proces polonizacji Kresów?

Zamek w Olesku, stan dzisiejszy

Fot. T. Ginter



**J.K.** – To był proces skomplikowany. Polonizacja i depolonizacja występowały równolegle. Drobnoszlacheckie rodziny mówiące po rusku i po polsku zaczynały w warunkach zaboru rosyjskiego obawiać się o swoją pozycję społeczną i wybierały język polski jako jedną z form manifestacji sprzeciwu wobec deklasacji. Tuż po pierwszym rozbiórze władze carskie same przyznawały, że w Wielkim Księstwie szlachta wszelkich kategorii jest w znakomitej większości polska lub spolonizowana. Na ziemiach wcielanych do Rosji w latach 1772–1795 funkcjonował mechanizm legitymizacji szlachectwa, prowadzący często do deklasacji polskiej drobnej szlachty do poziomu chłopstwa, co skutkowało także rusyfikacją lub rutenizacją (ukrainizacją). Legitymizacja szlachectwa miała na celu zmniejszenie liczebności i znaczenia szlachty oraz zwiększenie grup ludności objętej obciążeniami podatkowymi. Mówimy tu o rzeszach drobnej szlachty pod zaborem rosyjskim, związanej pochodzeniem lub emocjonalnie z polskim modelem kulturowym. Procesy polonizacyjne były natomiast wyraźne w miastach na ziemiach dawnego województwa lwowskiego pod zaborem austriackim. Jeszcze inne – i dwukierunkowe – mechanizmy miały miejsce wśród ludności wiejskiej. Zagrożenie deklasacją, religia identyfikowana z narodowością, obudzone zainteresowanie dla kultury łączonej z narodowością, identyfikowanie języka polskiego z większym prestiżem społecznym, narodziny nowoczesnych nacjonalizmów – to uwarunkowania transformacji w XIX w. społecznego modelu staropolskiego w model dwudziestowieczny.

**R.D.** – Rzeczpospolita stworzyła taki model kulturowy, który przyciągał także ludność wioską innego niż polskie pochodzenia. Była ona w różny sposób związana z polskimi dworami szlacheckimi. Obecność tych dworów, w których bardzo pielęgnowano kulturę polską, sprawiła, że mimo silnej presji rusyfikacyjnej, braku szkół polskich i banicji języka polskiego z życia publicznego w zaborze rosyjskim, kultura polska wcale nie traciła, a wręcz zyskiwała. Po Powstaniu Styczniowym, w okresie największego antypolskiego ucisku, na Wileńszczyźnie samorzutnie i bardzo skutecznie spolonizowały się wioski litewskie i białoruskie. Zadecydowała o tym atrakcyjność kultury polskiej i odpychający często styl moskiewskiego sprawowania władzy – przez urzędników, żandarmów, nauczycieli.

### **B.P. – Jaką politykę stosowano wobec Kościoła rzymskiego?**

**R.D.** – Po rozbiórach Polski rząd carski zaczął samowolnie zmieniać dawne struktury administracji kościelnej. Na przykład siedzibę ogromnej archidiecezji mohylewskiej przeniósł z Mohylowa na Białorusi do Petersburga, a po Powstaniu Styczniowym zniósł diecezję mińską i kamieniecką. Nawet nie wolno było wymieniać nazw tych diecezji w kościelnych spisach duchowieństwa. Ale to nie to było najważniejsze. Gorsza była presja na rusyfikację języka w kościołach, trwająca kilkadziesiąt lat. Ponieważ są to dzisiaj rzeczy mało znane, warto je najkrócej przypomnieć. W 1868 r. władze carskie narzuciły tzw. *triebnik*, czyli rytuał w języku rosyjskim, który do różnych nabożeństw, poza Mszą św., czyli do tzw. paraliturgii, nauczania w kościele i pieśni kościelnych, wprowadzał język rosyjski i eliminował polski. W spokoju pozostawiono języki litewski i łotewski.

### **B.P. – Jak na nakaz stosowania *triebnika* zareagował Kościół?**

**R.D.** – Wywołał on silny opór ze strony duchowieństwa i wiernych. Władze łapały go hojnymi wynagrodzeniami w złotych rublach za postuszeństwo i represjami za nieposłu-

шеїство. Бискуп łucko-żytomierski Kasper Borowski, który zabronił używać *triebника*, został skazany na wygnanie do Permu i był tam przez kilkanaście lat. Tylko niewielki procent księży dał się przekupić i zastraszyć. W moralnym oporze przeciw *triebnikowi* bardzo pomógł dramatyczny akt ks. Stanisława Piotrowicza z Wilna, który podczas nabożeństwa i kazania w kościele św. Rafała – spalił go na ambonie z odpowiednim komentarzem. Pojechał za to natychmiast na zesłanie do Archangielska i nigdy już do diecezji nie wrócił. Mówiąc ogólnie, Kościół katolicki był w zaborze rosyjskim pod ścisłą kontrolą władz i jego działalność duszpasterska była ograniczana na różne sposoby. Carat widział w nim bowiem ostoję polskości, która miała zniknąć. Natomiast Kościół katolicki obrządku wschodniego został w zaborze rosyjskim całkowicie zlikwidowany.

**J.K.** – Po pokoju w Tylży (1807 r.) nastąpiło wyraźne oddzielenie Ziem Zabrzanych, czyli Kresów, od ziem polskich Księstwa Warszawskiego. W wyniku kolejnych trzech zaborów w latach 1772–1795 Rosja wkroczyła na te tereny i zaczęła tworzyć sieć administracyjną właściwą dla carstwa rosyjskiego, czyli sieć guberni. Powstałe w 1807 r. Księstwo Warszawskie podzielone było z kolei na wzór francuski na departamenty. Ludzie więc po obu stronach granicy funkcjonowali w różnych rzeczywistościach administracyjnych. Dla świadomości narodowej miało to, moim zdaniem, istotne znaczenie. Na tych odciętych obszarach kresowych istniała świadomość pewnego porzucenia, a jednocześnie silnego nacisku rusyfikacyjnego, nie tylko w Kościele, bo przecież w administracji, armii, szkołach obowiązywał język rosyjski. Równolegle – od rozbiorów – prowadzono politykę, której celem była weryfikacja i deklasacja polskiej szlachty. Powstały specjalne urzędy, przed którymi każdy posiadacz praw szlacheckich z czasów Rzeczypospolitej musiał zadeklarować majątek i udowodnić, że jest szlachcicem, co miało ogromne znaczenie dla rodziny, pozycji i kariery. Ostatnie słowo w tej procedurze należało do petersburskiej heroldii i do cara.

**Модлітва**

**до ТРУЙЦИ ПШЕНАЙСЬВЕНТШЕЙ**

Хвала Ойцу і Синові і Духові Сьвентему,  
як било на почонтку, тераз і завше і на векі  
векув. Амен.

**СКЛАД АПОСТОЛЬСКИ**

Веже в Бога, Ойца вшехмогонцего, Ство-  
жицеля неба і земі. І в Єзуса Христуса, Си-  
на Его єдинего, Пана нашого, ктури се по-  
чол з Духа Сьвентого, народзіл се з Марії  
Панни, уменчон под Понцкім Пілатем, ук-  
шижован, умарл і погжебйон; зстомпіл до  
пекел, тшецего дня змартвих встал; встом-  
піл на небйосах, седзі на правіци Бога Ойца  
Вшехмогонцего, стамтонд пшийдзе сондзіць  
живих і умарлих. Веже в Духа Сьвентого,  
сьвенти Косьцюл повшехни, сьвентих обцо-  
ване, гжехув одпушене, цяла, змартвихвста-  
не, — живот вечни. Амен.

**Поранне увельбене П. Бога**

Крульові єдинему, несмертельному, невід-  
зьяльному, єдинему Богу чещь і хвала на ве-  
кі векув. Амен.

Пане, вслухай модлітве мойо. А волане  
мое нех до Цебе пшийдзе.

Мудльми се. Пане, Боже вшехмогонци,  
ктурись дозволіл нам дочекаць почонтку те-  
го дня, охраняй нас дзісяй сво моцо, абись-  
ми се не склонілі до жадного гжеху, леч в  
своіх словах, мисьлях і учинках пелнілі Тво  
воле. Пшез Христуса, Пана нашого. Амен.

**АКТИ ЦНУТ**

**Акт вярї**

Веже в Цебе, Боже живи,  
В Труйци єдини, правдзіви.  
Веже, цось обявіл, Боже,  
Тве слово миліць яє може.

**Акт надзеї**

Уфам Тобе, бось Ти верни,  
Вшехмоцни і мілосерни.

Ta legitymizacja nierzadko była trudna, zwłaszcza w przypadku licznej drobnej szlachty często nieposiadającej już przywilejów sprzed wieków oraz wobec polityki carskiej osłabiania znaczenia szlachty i żywiołu polskiego. Na przykład szacuje się, że tylko na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa do 1800 r. deklasacji uległo od 12 do 30 proc. szlachty ujętej w spisach z czasów Rzeczypospolitej z 1790 r. Szlachcic mógł w wojsku być oficerem, miał większe możliwości kariery w administracji. Utrata tytułu szlacheckiego oznaczała niebezpieczeństwo wieloletniej służby w armii na takich samych zasadach jak ludność pospolita, zamykała też praktycznie drogę większej kariery.

### B.P. – A jeśli nie udało się udowodnić szlachectwa?

**J.K.** – W przypadku, gdy nie zostało się uznanym za szlachcica, było się traktowanym jak chłop. Przedstawiciele drobnej szlachty po nieudanej weryfikacji często ulegali rutenizacji (ukrainizacji). Byli traktowani jak chłopcy, mówili językiem ruskim i upodabniali się do ludności ukraińskiej. W ten sposób rozprzestrzeniło się używanie języka ruskiego, czyli późniejszego ukraińskiego, ale pojawiały się też mechanizmy obronne. Bardzo często przedstawiciele drobnej szlachty, wciąż jeszcze wyznający prawosławie bądź będący unitami, żeby uniknąć deklasacji i dla zaznaczenia swej odrębności, zwracali się w kierunku kultury polskiej. W XIX w. trwał zatem równoległy proces polonizacji. Uczestniczyli w nim ludzie walczący o zachowanie swej drobnoszlacheckiej pozycji społecznej, niekiedy także o utrzymanie się na powierzchni życia i którzy nie chcieli się zrusyfikować. Tu zwróćmy uwagę na jeszcze jedno zjawisko – w XIX w. na Podolu, Wołyniu, Litwie niezwykle intensywnie rozwijało się

Kamieniec Podolski



kolekcjonerstwo, gromadzenie pamiątek, kolekcji archiwalnych i muzealnych. W dworach powstawały biblioteki, które jednocześnie były archiwami, powstawały kapitalne kolekcje. Dwory czy pałace stawały się samodzielnymi ośrodkami, centrami kulturalnymi.

**J.S.** – W tym czasie uaktywniły się też siły społeczne w postaci licznych organizacji i stowarzyszeń. Stymulatorem tego zjawiska było zniknięcie Polski z mapy Europy, a następnie polityka zaborców. Zadaniami, jakie stawiały sobie te organizacje i stowarzyszenia, było kształtowanie świadomości i tożsamości narodowej, inwentaryzacja i ochrona zabytków, również gromadzenie kolekcji i tworzenie muzeów. Różnego typu opracowania naukowe autorstwa członków tych towarzystw miały ten sam poziom fachowości, co ich odpowiedniki powstające np. w Anglii, choć były realizowane w bardzo trudnych warunkach. Oczywiście organizacje te działały w ramach struktur państw zaborczych, a zatem ich funkcjonowanie podlegało różnym ograniczeniom, do-

chodziło także do ich likwidacji. W zaborze rosyjskim sytuacja była wyjątkowo trudna, gdyż nie istniały tam oficjalne instytucje zajmujące się zabytkami. W Prusach, w zaborze niemieckim, tworzyły się podstawy niemieckiej służby konserwatorskiej, a w zaborze austriackim w połowie XIX w. – zaczęły powstawać zalążki polskiej konserwacji.

**B.P. – W naturalny sposób ośrodkami gromadzącymi kolekcje, zbiory biblioteczne czy archiwalia były także klasztory i, w skromniejszym wymiarze, wiele plebanii.**

**J.K.** – Był to jednak czas carskiego nacisku na Kościół katolicki, były liczne kasaty.

**R.D.** – Skasowano ponad trzysta klasztorów, które były ośrodkami duszpasterstwa, pracy charytatywnej i oświaty. Klasztory i klasztorne kościoły – często wspaniałe – przejęła Cerkiew prawosławna. Dzisiejsze wielkie cerkwie i sobory prawosławne w Mińsku, Mozyrzcu, Głębokiem, Łucku, Winnicy i w innych miastach kresowych to dawne klasztory jezuitów, dominikanów, franciszkanów, karmelitów i innych zakonów. Wróć jeszcze do procesu deklasacji szlachty. Jej program przygotował po upadku Powstania Listopadowego i nad jego realizacją czuwał sam car Mikołaj I. Polegał on na weryfikacji tytułów szlacheckich i trwał trzydzieści lat, do 1863 r. Wynik, na samej tylko Ukrainie, to „spisanie w chłopstwo” i zrównanie z pańszczyźnianymi chłopami 375 tys. zubożałej i bezziemnej szlachty polskiej. Oznaczało to odcięcie od oświaty i branie „w rekruty” na 25 lat. To była „śmierć społeczno-kulturalna” tej wielkiej grupy społecznej i wielki jej dramat. W planach caratu miała się ona roztopić bez śladu w morzu ruskim. Ten plan się nie powiódł, bo ostoją jej świadomości narodowej był język polski w codziennym pacierzu i w kościołach. Powstały wówczas dwie charakterystyczne sfery językowe. Sfera życia religijnego, w której panował język polski, i sfera komunikacji codziennej, w której używane były inne języki, ukraiński i białoruski (a raczej tzw. prosty na Białorusi). Na wsi mówiono zwykle na co dzień tymi językami, ale w niedzielę, gdy siadano na bryczkę i wybierano się do kościoła, zaczynało mówić po polsku. To przetrwało na Kresach do dziś. W kościele można słuchać pięknego i mocnego śpiewu i modlitw po polsku, ale zaraz po wyjściu z niego większość ludzi przechodzi na język „prosty” lub ukraiński na Ukrainie. Na Kresach powstał taki typ Polaka, który mówi słabo po polsku, czasem wcale nie mówi, ale czuje się Polakiem. To w Polsce rzadko kto wie i rozumie. Trzeba dodać, że takie zjawisko kulturowe – dwie sfery językowe, religijna i świecka, istniało i istnieje nadal także w innych grupach etnicznych, kiedyś w Rosji, później w ZSRS i teraz znów w Rosji, np. u Niemców, Żydów i innych.

**B.P. – Warto zatrzymać się nad dziedzictwem materialnym, które tam zostało.**

**J.S.** – Nasza kultura pozostawiła tam dzieła najwyższej klasy, obrazujące wszystkie osiągnięcia europejskie, które docierały do Polski. Mamy więc na tych terenach m.in. wierne kopie zachodnich świątyń. Na przykład kilka lat po wybudowaniu bazyliki II Gesù w Rzymie, jej replika postawiona została w Nieświeżu – jest to pierwsza na ziemiach Rzeczypospolitej budowla barokowa. Takich przykładów odwzorowywania powstałych gdzieś w Europie ważniejszych budowli lub ich fragmentów w krajobrazie kresowym jest wiele.

Ale najważniejsze jest to, że te tereny zapisały się na trwałe w historii sztuki własnymi, oryginalnymi i niezwykle twórczymi realizacjami. Z Włoch czy Niemiec na Kresy przybywało w czasach późnego gotyku, renesansu, baroku (także później) wielu wybitnych architektów,

rzeźbiarzy i malarzy. Zapraszani przez najznamienitsze rody realizowali dzieła swojego życia, dzieła o najwyższych walorach artystycznych – świątynie (i to nie tylko dla wyznawców rzymskich), pałace, dwory, kamienice. Ich wnętrza wypełniali perłami sztuki. Tworzyli je na chwałę Boga, fundatorów, a często także dla upamiętnienia najważniejszych wydarzeń i osób związanych z historią Rzeczypospolitej – przypomnę tylko króla Jana III Sobieskiego czy hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Powstały potężne, unikalne w swojej wielkości obrazy batalistyczne, utrwalające dziesiątki bitew, jakie tam się toczyły, które do dziś tworzą mit Wielkich Kresów.

Zachowane jeszcze na Kresach materialne dziedzictwo kulturowe, badane od kilkunastu lat przez polskich specjalistów, w istotny sposób zmienia dotychczasową wiedzę na temat rozwoju historii sztuk pięknych Rzeczypospolitej.

### B.P. – Co zostało i w jakim jest stanie?

**J.S.** – Nie ma już dworów, nieliczne zamki popadły w ruinę (poza kilkoma wyjątkami). Pozostały świątynie. Przytoczę parę liczb: z rzymskokatolickiej diecezji łuckiej na Wołyniu do roku 1939 było czynnych ponad trzysta świątyń. W tej chwili jest ich około trzydziestu. Wszystkie wymagają remontów – najczęściej kompleksowych działań specjalistycznych. Funkcjonuje jeszcze około siedemdziesięciu budowli. Są one użytkowane przez różne wyznania lub w sposób niezgodny z przeznaczeniem bądź są w ruinie. W okresie władzy sowieckiej w całej diecezji łuckiej czynny był tylko jeden kościół rzymskokatolicki w Krzemieńcu.

### B.P. – A pozostałe świątynie?

**J.S.** – Zarówno praktyka zaborców, jak i Sowietów stawiała sobie za cel pełną kontrolę nad religijnością lub likwidację „opium dla ludu”. Część świątyń i klasztorów skasowano.

Minaret zwieńczony figurą NMP  
przed katedrą w Kamieńcu  
Podolskim

Część przekazano Cerkwi prawosławnej, jako jedynej uprawnionej do „rządzenia duszami”. Na Ukrainie po roku 1991 część świątyń przekazano Cerkwi greckokatolickiej.

Często po zniszczeniu wyposażenia świątyń urządzano w nich sale koncertowe, domy kultury, kina, sklepy, sale gimnastyczne, warsztaty naprawcze i fabryki. Ale najczęściej – magazyny różnych środków chemicznych, paliw, nawozów rolniczych. Przy takim użytkowaniu świątynie niszczały w błyskawicznym tempie, więc były opuszczane i popadały w całkowitą ruinę. Były też wypadki wyjątkowe – specyficzne dla reżimu komunistycznego – urządzano w nich muzea ateizmu. Paradoksalnie właśnie te świątynie są w najlepszym stanie.

**J.K.** – Dla Polaków, którzy zostali na Kresach, przestrzeń ich świadomości jest wyznaczona m.in. przez to, że jest klasztor, pałac, czy dwór, który ma swoją historię, swoich budowniczych czy fundatorów. To może być nawet ruina, ale to jest ślad.



Fot. T. Ginter

**A.B.** – Ciekawa jest związana z tymi „śladami” świadomość współczesnych mieszkańców dawnych Kresów. Często (choć oczywiście nie zawsze) do dzisiaj potrafią oni wskazać, gdzie znajdował się dwór, pałac – od kilkudziesięciu lat nie istnieją nawet ich ruiny, a jednak młodzi ludzie, którzy co najwyżej z opowieści dziadków mogli słyszeć o istniejącym niegdyś obiekcie, potrafią z wielką dokładnością wskazać jego lokalizację. Zresztą dotyczy to nie tylko obiektów tak efektownych jak pałace – przykładowo w podlowskiej Basiówce mieszkańcy dokładnie wiedzieli, gdzie znajdował się postawiony w 1936 r. głaz z napisem ku czci Piłsudskiego. Mimo że dla zniszczenia tej wiedzy przed kilkudziesięciu już laty nie tylko usunięto sam głaz, ale nawet wycięto rosnące wokół drzewa.

Z drugiej strony – na terenach w pobliżu Dniepru można spotkać wsie, gdzie ludność nie zna już słowa „kościół”, świątynie rzymskokatolickie określając „polskimi cerkwiemi”.



Kościół pojezuicki w Krzemieńcu

**R.D.** – Pamięć historyczna ludności na Kresach sięga niekiedy daleko wstecz. Spotkałem się na przykład w winnickim obwodzie na Podolu, w Szarogrodzie i Murachwie – pomiędzy którymi (po przegranej przez Polskę wojnie z Turcją w drugiej połowie XVII w. i po znanym upadku Kamieńca Podolskiego) przebiegała granica wzdłuż rzeki Murachwa – z takim zjawiskiem, że ludzie do dziś na co dzień używają określenia – „turecki most”, „turecka strona” i „polska strona”.

**A.B.** – Na najbardziej chyba odległych naszych Kresach, jeszcze na początku XX w. chłopci łotewscy z Inflant szwedzkich nazywali chłopów łotewskich z Inflant Polskich Polakami, bo 150 lat wcześniej ziemie te należały do Rzeczypospolitej.

**R.D.** – Bardzo charakterystycznym zjawiskiem jest dziś na Kresach rodzenie się u ludzi czujących się do niedawna Polakami świadomości narodowej białoruskiej lub ukraińskiej. Polskie z pochodzenia młode pokolenie coraz częściej utożsamia się z Ukrainą i Białorusią.

**J.K.** – W analizie tego procesu też warto cofnąć się do XIX w. Był to okres rodzenia się narodów w nowoczesnym sensie tego słowa, a więc rodzących się nacjonalizmów, rozprzestrzeniania się świadomości narodowej na warstwy, które wcześniej takiej świadomości nie miały. Wcześniej narodem politycznym była szlachta. Na Kresach w XIX w. narodem politycznym, czyli tym, który uczestniczył w życiu publicznym, była też warstwa urzędnicza z Rosji czy z Austrii. I to, że legenda Kresów jest tak intensywna, wynika z tego, że narodziny świadomości narodowej ukraińskiej odbywały się w starciu z kulturą polską, co w efekcie powodowało rozszerzanie się polskiej tożsamości narodowej (w nowoczesnym sensie tego słowa) na grupy, które mówiły po polsku, wyznawały katolicyzm. Ludzie zaczęli

sobie uświadamiać (bądź im uświadamiano), że są Polakami, bo są katolikami. Ten proces obejmował np. kręgi chłopstwa, pochodzące z tej wcześniej zdeklasowanej szlachty. Tylko nieliczni odłączyli się do kultury ukraińskiej, większość pozostała przy polskość i Kościele katolickim, chociaż rzeczywiście na co dzień posługiwała się językiem pospolitym. Musimy też jednak pamiętać o procesie rusyfikacji na wschodnich terenach Wielkiego Księstwa, zagarniętych w 1772 r. Ta rozszerzająca się świadomość narodowa koncentrowała się wokół Kościoła katolickiego, ale także wokół architektonicznego kształtu rzeczywistości, krajobrazu – wszystkiego tego, co stanowiło najbliższą okolicę.

**B.P.** – **Myśl o tym, że historia zapisana jest w krajobrazie, najsilniejsza była w romantyzmie, ale często także pojawiała się w dwudziestoleciu międzywojennym.**

**J.K.** – To było niezwykle ważne i niezwykle intensywne. Inspirowało powstawanie dzieł literackich, dzieł z zakresu historii sztuki, legend rozmaitych, np. o przedmurzu chrześcijaństwa, skądinąd prawdziwej. Trzeba było w codzienności określić się wobec sąsiada. Była to walka prowadzona w szkole, walka o wyznanie, o religię. Chodziło o to, by wykazać, że jest się społeczeństwem starszym, lepszym, że ma się wyższą kulturę. Właśnie dlatego Lwów był tak gorącym ośrodkiem polskość, dlatego stało się nim również Wilno – miasta te musiały udowodnić swoją polskość. Coraz szersze grupy ludności musiały udowodniać swoją polskość, nawiązywać nią do swojej historii, do historii Rzeczypospolitej. W XIX w. polskość ostatecznie utożsamiała się z Rzeczpospolitą, z jej zasięgiem.

**A.B.** – W dwudziestoleciu międzywojennym sytuacja była o tyle różna, że przynależność do polskość oznaczała zarazem przynależność do narodu uprzywilejowanego, panującego, a władze państwowe patrzyły na polonizację czy repolonizację przyjaznym okiem. Niekiedy wręcz do niej zachęcały – jak np. w powołanym w 1936 r. Związku Szlachty Zagrodowej, skupiającym ludność prawosławną i greckokatolicką Galicji Wschodniej, Wołynia i Podkarpacia. Inna sprawa, że pozostawione w 1939 r. jego archiwa wybitnie ułatwiły Sowiecom rozprawienie się z tą grupą ludności.

**R.D.** – Bardzo mocno należy podkreślić fakt, że jakkolwiek kultura polska polonizowała w ubiegłych wiekach szlachtę pochodzenia białoruskiego czy ruskiego, to w XIX w. z tej szlachty wyszli budziciele ducha i świadomości narodowej białoruskiej czy ruskiej i ukraińskiej.

**J.K.** – Kraszewski przecież wspierał „Aušrę”, tygodnik, który budził Litwinów.

**R.D.** – Mówiąc językiem socjologii, w grupie przywódczej wspomnianych narodów odbywał się proces konwersji narodowej. Na przykład wielu budzicieli ducha ruskiego i ukraińskiego było najpierw polskimi patriotami i brało udział w Powstaniu Listopadowym. Potem stawali się oni Rusinami. Na tych terenach, które pozostawały niegdyś w granicach Rzeczypospolitej, nie dokonano się wynarodowienie Białorusinów czy Rusinów i odrodziła się tam, lub odradza, kultura ruska czy białoruska. Natomiast tam, gdzie panowała Rosja, dokonano się tak skuteczna rusyfikacja, że nic takiego nie miało miejsca. To wskazuje na coś ważnego i pięknego w kulturze polskiej – na tradycję wolności, otwartości i tolerancji. Wojny domowe z Kozakami w XVII w. jej nie przekreśliły.



**B.P.** – W znacznej mierze opisujemy w naszej rozmowie Kresy i ich dziedzictwo w sferze duchowej, a przecież mają one swój bardzo materialny wymiar.

**J.S.** – Zwłaszcza że materialny wymiar dziedzictwa najłatwiej dostrzec. Niestety, ono znika również i dziś, na naszych oczach. Ginie poprzez zaniechania obecnych władz, niechęć do obcego, niewłaściwe użytkowanie – np. przerabianie brył świętyń przez zamianę lub dodawanie nowych kopuł charakterystycznych dla świętyń wschodnich czy kolejne „modyfikacje” wnętrza, w celu przystosowania do obecnego kultu. Dlatego też teraz musimy to, co pozostało, zwłaszcza w pierwotnej formie, rejestrować, dokumentować, inwentaryzować i konserwować. Są nareszcie ku temu możliwości.

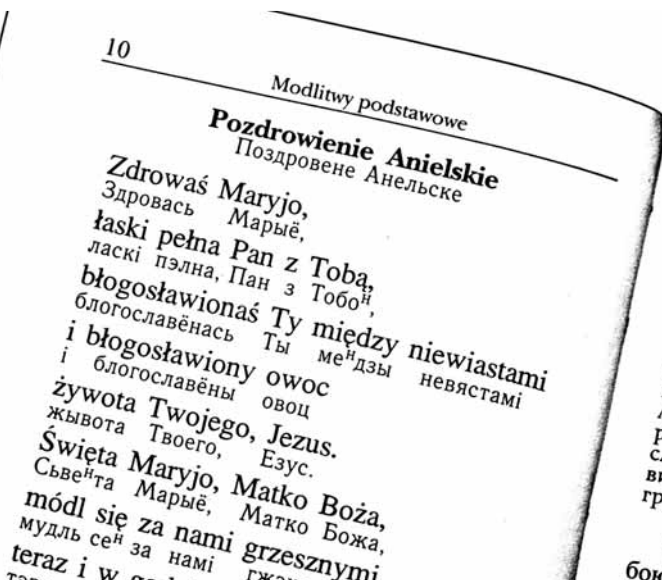
Udział polskich specjalistów w ratowaniu dziedzictwa Kresów – wspólnego dziedzictwa kulturowego Europy Środkowej nie jest jeszcze do końca określony. Pracowaliśmy samodzielnie, a ostatnio pracujemy wspólnie na zasadzie lokalnych, często indywidualnych porozumień i zaufania. I myślę, że jest to duże osiągnięcie. Reprezentujemy „polską szkołę konserwacji” – najwyższy poziom zawodowstwa podbudowanego istotnymi doktrynami konserwatorskimi m.in. w przypadku takich specjalizacji, jak konserwacja architektury, detalu architektonicznego czy rzeźby (kamień, cegła, zaprawa). To o tyle istotne, że tego typu wiedza nie jest przekazywana na uczelniach Ukrainy i Białorusi. A Lwów, Kamieniec, Żółkiew itp. to kamień, kamień i jeszcze raz kamień.

Ja ze studentami i absolwentami od dwudziestu lat pracuję w Żółkwi w kolegiacie rzymskokatolickiej, kościele poddominikańskim – obecnie cerkwi greckokatolickiej – i na zamku królewskim. Również od wielu lat pracujemy we Lwowie i w Kamieńcu Podolskim. Zastugą bardzo wielu osób z obu stron i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Polski jest to, że mamy takie doskonałe osiągnięcia. Aby dalej rozwijać tę współpracę, niezbędne są konkretne porozumienia na najwyższych stopniach władzy.

**B.P.** – Istnieje takie przekonanie, szczególnie wśród Polaków z zachodniej Ukrainy, że w miastach, w których polskie piętno jest szczególnie widoczne – we Lwowie i Kamieńcu Podolskim – realizowana jest świadoma polityka władz, mająca na celu całkowitą zagładę najcenniejszych obiektów. Dlatego też nie przyjmuje się międzynarodowych grantów na ratowanie zabytków tych polskich miast.

**J.S.** – Proszę nie zapominać o Żółkwi, najbardziej renesansowym mieście Ukrainy, gdzie polska historia i zabytki są esencją miasta. W tym przypadku współpraca od wielu lat jest bardzo dobra.

Ukraińskie służby państwowe, zwłaszcza konserwatorskie, tworzone były niemal od podstaw w 1991 r. Niestety, są zależne od wielu innych struktur państwowych – trudno mówić mi o ich profesjonalizmie, ale starają się zapanować nad tymi problemami i rządzić, m.in. domagają się odpowiednich dokumentów od naszych specjalistów.



Mówiąc o Lwowie akcent przesunąłbym na Cmentarz Łyczakowski. W tym przypadku trudno zaprzeczyć słuszności tezy o zacieraniu śladów polskości. Wszyscy znamy polityczną stronę odbudowy cmentarza Orłąt Lwowskich. Wiemy i widzimy, co się działo i dzieje na Cmentarzu Łyczakowskim. Mam nadzieję, że rozpoczęte w roku 2008 profesjonalne prace restauratorskie prowadzone przez wspólne zespoły konserwatorów zmieniają tę sytuację.

Musimy pamiętać, że cmentarze – a na Kresach szczególnie – są jednym z najcenniejszych źródeł odnajdywania własnych korzeni, tożsamości i pamięci. Stąd rozwój, szczególnie w ostatnich latach, akcji dokumentowania, inwentaryzowania i porządkowania cmentarzy nie tylko przez Polaków.

I jeszcze jedno – kwestia braku pieniędzy (podobnie jak ich nadmiar), w przypadku ratowania zabytków często prowadzić może do tych samych efektów, i to w majestacie prawa. Jest to niezwykle ważne zwłaszcza przy braku profesjonalnych wykonawców.

**B.P. – Po 1918 r. i walce toczonej o granice wschodnie Polska w jakimś sensie poniosła klęskę – nie udało się odzyskać całych polskich Kresów.**

**A.B.** – Postanowienia pokoju ryskiego były w pewnym sensie klęską (zwłaszcza dla Polaków, którzy pozostali poza nową granicą), ale endecja – a to przecież jej zwolennicy przeważali wówczas w polskiej dyplomacji – właściwie nie chciała więcej. Przyjęta przez nią koncepcja inkorporacyjna nie pozwalała na wchłonięcie zbyt dużej grupy ludności niepol-

Kościół poddominikański w Żółtkwi



skiej, stąd też jej ustępliwość w sprawie przebiegu granic. Mińsk, zajęty przez wojska polskie 15 października 1920 r., na trzy dni przed wejściem w życie zawieszenia broni z Sowietami, został wręcz oddany jako silny ośrodek prawostawia, ze znaczną liczbą Rosjan, mimo że Rosja skłonna była oddać Polsce nawet całą Mińszczyznę. Podobnie zrezygnowano z Kamieńca Podolskiego, chociaż tam Polacy byli silni (przed deportacjami z roku 1940 Polacy stanowili ok. 20 proc. ludności miasta); zadecydowały względy strategiczne i możliwość przyjęcia Zbrucza jako wygodnej linii granicznej. Zresztą również w układzie z Symonem Petlurą z kwietnia 1920 r. Polska zgadzała się na oddanie państwu ukraińskiemu terenów na wschód od Zbrucza – można ironicznie powiedzieć, że w Rydze jedynie wykonywała tamto zobowiązanie, tyle tylko że beneficjentem była nie niezależna Ukraińska Republika Ludowa Petlury, a podległa sowieckiej Rosji Ukraińska Socjalistyczna Republika Rad. Dużym błędem i klęską polskiej dyplomacji była natomiast zgoda na zastosowanie w traktacie formuły o ochronie mniejszości i ich praw do swobodnego rozwoju życia kulturalnego i religijnego w granicach obowiązującego ustawodawstwa wewnętrznego, co pozwalało np. na „zgodne z prawem” prześladowanie Kościoła katolickiego po sowieckiej stronie. W dodatku traktat nie przewidywał żadnych sankcji w przypadku niewywiązywania się z przyjętych zobowiązań, więc ich wykonanie zależało wyłącznie od dobrej woli stron. Wszelkie interwencje w sprawie prześladowań Polaków uznawano za mieszanie się w sprawy wewnętrzne Rosji, a zatem za łamanie traktatu ryskiego.

**R.D.** – Strona sowiecka gotowa była w Rydze w 1921 r. oddać Polsce nie tylko Mińsk, ale obszary za Dnieprem i Berezyną, lecz delegacja polska, w której przeważali ludzie ze stronnictwa Narodowej Demokracji, z tego dobrowolnie zrezygnowała. To wynikało z przyjmowanego przez nią założenia, że trzeba tworzyć państwo narodowe, i że zbyt duża liczba mniejszości narodowych utrudni ich polonizację. Dlatego liczne skupiska polskie w Mińszczyźnie pozostały w Rosji Sowieckiej. To był dla nich później nieopisany dramat. W czasach wielkiego terroru stalinowskiego w latach 1937–1938, ich ogromna część znalazła się w masowych grobach w Kuropatach k. Mińska i w podobnych grobach gdzie indziej. Mówiono mi kiedyś w Orszy, że przy każdym większym mieście na Białorusi sowieckiej są takie groby. Koło Orszy są one na tzw. Kobylej Górze.

**A.B.** – W istocie traktat ryski był przede wszystkim klęską federacyjnej koncepcji Piłsudskiego. Zresztą ta koncepcja od początku miała chyba niewielkie szanse na realizację – nie podobała się nie tylko Litwinom, Ukraińcom czy Białorusinom, którzy traktowali ją jako kolejny przejaw polskich dążeń do dominacji na Wschodzie, ale również większość Polaków nie wierzyła w możliwość jej wprowadzenia w życie.

**J.K.** – Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną bardzo ważną rzecz – na polską literaturę, która powstała

Cmentarz Łyczakowski



Fot. T. Ginter



Fot. T. Ginter

Na Cmentarzu Łyczakowskim

na Kresach w XIX w. i dwudziestoleciu międzywojennym. Powstawała ona na terenach etnicznie mieszanych, gdzie polski patriotyzm był bardzo gorący, i gdzie była dowodem tego patriotyzmu, przywiązania do wartości. Oddziaływała na Polaków mieszkających na Kresach, a jednocześnie stwarzała legendę Kresów w Warszawie, Krakowie, Poznaniu. Opisywała ich rzeczywistość na sposób romantyczny, mistyfikując i idealizując ją oczywiście. Legenda Kresów zrodziła się w dużej mierze na podstawie dzieł literatury tam pisanych. To jest niezwykle ważny moment, bo wtedy właśnie rozwijała się polska świadomość narodowa, tworzyły się te mity, które trwają do dnia dzisiejszego, które nas konstytuują, wywołują emocjonalne, pozytywne reakcje. Ówczesna polska literatura powstawała w starciu z tworzącą się literaturą tych młodszych narodów – dlatego była tak gorąca i tak silnie oddziaływała. To jedna z najważniejszych kwestii, tłumacząca dlaczego Kresy mają takie mityczne znaczenie dla Polaków. Bo np. w przypadku Niemców nie powstała jakaś wybitna literatura we Wrocławiu czy w Olsztynie. Niemcy mają legendę wygnania. Polacy mają legendę cywilizacyjną, która powstała na przełomie XIX i XX w.

**B.P.** – Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Kresy zostały jakby ponownie odkryte. Pojawiły się plany, częściowo zrealizowane przed 1939 r., wykorzystania ich walorów turystycznych, folklorystycznych. Zarzuca się II Rzeczypospolitej, że zrobiła bardzo niewiele dla likwidacji największego tam analfabetyzmu, nędzy i zacofania, ale np. w projektach Eugeniusza Kwiatkowskiego w ciągu nadchodzących pięćdziesięciu lat miały zostać zniwelowane różnice gospodarcze między tzw. Polską A a Polską B.

**J.K.** – Kwestia cywilizacyjnego i gospodarczego opanowania tych terenów jest oczywiście bardzo ważna, bo to była walka o to, które racje przeważą – moskiewskie, sowieckie czy polskie. To była walka o umocnienie państwa polskiego na Kresach, ale to była także walka o dusze Białorusinów i Ukraińców, za jakim modelem – polskim – europejskim czy sowieckim – oni się opowiedzą. Istniała wreszcie naturalna i oczywista sprzeczność, jeżeli chodzi o marzenia ukraińskie i polskie o własnym państwie. Starcie było nieuchronne, ważne było, przeciwko komu zwróci się ukraiński nacjonalizm.

**A.B.** – Ukraińcy czy Białorusini mogli rozwijać się narodowo na terenie polskim, to jest oczywiście prawda, ale trzeba pamiętać, że jednak w latach dwudziestych w Związku Sowieckim była prowadzona polityka korenizacji (zasada ograniczonego respektowania odrębności narodowych w poszczególnych republikach, połączona ze wzrostem roli miejscowego języka i kultury oraz popieraniem udziału miejscowej ludności we władzach partyjnych). W latach dwudziestych Ukraińcy łączyli z nią spore nadzieje. W Polsce likwidowano ukraińskie szkoły, powstawały szkoły dwujęzyczne, a w tym czasie na Ukrainie sowieckiej tworzone szkoły ukraińskie, ułatwiano Ukraińcom robienie karier urzędniczych czy wojskowych, ukazywały się setki gazet i czasopism w języku ukraińskim, a rosyjskojęzycznych urzędników czy robotników zmuszano do nauki języka ukraińskiego. Wszystko to trwało oczywiście bardzo

krótko i zakończyło się Wielkim Głodem, terrorem, rusyfikacją i sowietyzacją w latach trzydziestych, a chwilowe odrodzenie ukraińskiej kultury okazało się „rozstrzelanym odrodzeniem”. Taki sam los spotkał zresztą powołane w ramach tej samej polityki polskie rejony narodowościowe w Marchlewszczyźnie na Ukrainie i Dzierżyńszczyźnie na Białorusi, których ludność w znacznej części wysiedlono w latach 1935–1936 do Kazachstanu.

**R.D.** – „Korenizacja” i „nacionalizacja” oraz tworzenie przez władzę sowiecką autonomicznych rejonów polskich to był zręczny chwyt psychologiczny i eksperyment na Polakach. Miał on na celu złagodzenie ich wrogości do bolszewików i pozyskanie ich (najpierw tych z powstałych rejonów) dla komunizmu. Wszystko tam było niby polskie, a raczej polskojęzyczne. Ten eksperyment się nie powiódł, bo sowiecka propaganda niestępczanie gwałtownie atakowała i poniżała Polskę w prasie, a ponadto walczyła z religią. Zamykano kościoły, które dla Polaków były duchową ostoją. Aresztowano, skazywano na łagry, a później rozstrzeliwano polskich księży, jako rzekomych szpiegów Polski i Watykanu. Za swoją postawę – obrony wiary i odrzucanie kołchozów – tamtejsi Polacy zapłacili bardzo wysoką cenę. Była mowa o micie Kresów w Polsce. Dodam do tego pewien kontrapunkt w postaci mitu Polski na Kresach. Spotkałem się z nim pod koniec lat osiemdziesiątych u najstarszego pokolenia Polaków na Podolu, za przedwojenną granicą. Gdy w okresie Bożego Narodzenia chodziłem po kolędzie w okolicy Kamieńca Podolskiego (to była pierwsza kolęda tam od sześćdziesięciu lat), mój przewodnik cytował słowa swojej babci: „Polsko, ty z popiołów powstaniesz i ozdobą narodów zostaniesz”. Gdy Polak popełnił jakąś niegodziwość, mówiono ze zgrozą: „Polak, a tak postąpił!”. Polak nie powinien postępować niegodnie. To był mit Polski wielkiej i szlachetnej. Znajomy ksiądz z Ukrainy, rodem spod Brahitowa na Podolu, który jako dziecko chodził w latach sześćdziesiątych na ukrytą katechezę do pewnej kobiety na wsi, usłyszał od jej matki starszuszki słowa: „*Ot, defyno, my tut hriszni i bidni ludi, rozmawljemo na namużyckij mowi, a Boh w nebie z anhełami tylki po polski rozmawljajet*”.

**J.K.** – Rozszerzał się też mit Piłsudskiego.

**R.D.** – Wśród Polaków na Wileńszczyźnie on jest nadal bardzo popularny. Tamtejsi Polacy mówią, że gdyby Piłsudski nie zwyciężył bolszewików w 1920 r., toby Litwy nie było.

**B.P.** – Po 1939 r. na Kresach zostało odciętych od kraju ponad 2 mln Polaków.

**J.K.** – Po roku 1921 też.

**B.P.** – Trzeba wciąż mówić o Polakach na Wschodzie, nawet jeśli nie mówią już po polsku. Przeszli przez straszne doświadczenia i jeśli czują się Polakami, to jest to patriotyzm najwyższej próby. Jak ocenia się liczbę Polaków na Wschodzie?

**A.B.** – Wiek XX dla Kresów to czas cofania się polskości, chociaż jego początki wydawały się obiecujące. Złagodzenie carskiego nacisku po 1905 r. spowodowało nawet chwilowe odrodzenie się polskości na ziemiach, z których Rzeczpospolita odeszła najwcześniej – w Witebsku, Mohylowie czy Kijowie powstawały polskie stowarzyszenia, czasopisma, szkoły. Było to jednak zjawisko bardzo krótkotrwałe, w ciągu kilku lat ten chwilowy

entuzjazm zniknął, a kolejne wydarzenia – I wojna światowa, rewolucja, traktat ryski, na mocy którego do Polski przybyło z Rosji i innych republik sowieckich ok. 1,2 mln ludzi – oznaczały przesuwanie się polskości coraz dalej na zachód. W roku 1939 mieszkający na ówczesnych Kresach Polacy, do niedawna obywatele Rzeczypospolitej, zostali ostatecznie zmuszeni do przyjęcia sowieckich paszportów. Przeprowadzone w czasach tzw. pierwszych Sowietów deportacje, służące sowietyzacji Kresów, objęły ok. 325 tys. osób, w tym ok. 210 tys. Polaków. W rzeziach na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej zginęło co najmniej 80–90 tys. Polaków, a ich efektem były ponadto masowe ucieczki ludności polskiej na zachód. Wreszcie – powrót władz sowieckich w 1944 r., powrót polityki terroru i wymuszona „ekspatriacja”, w wyniku której nastąpił faktyczny koniec obecności Polaków na tym terenie. Efektem ekspatriacji z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej jest to, że do dzisiaj największe grupy Polaków na Ukrainie znajdują się nie na przedwojennych terenach polskich, tylko w rejonie Żytomierza i Winnicy. To są ludzie, którzy (nie posiadając polskiego obywatelstwa) nie zdołali się stamtąd wydostać ani w czasie pierwszej tzw. repatriacji, ani później w 1956 i 1959 r. Proces zmniejszania się liczebności Polaków trwa. Według danych ze spisów (można się zastanawiać, na ile one są obiektywne) w 1959 r. na Ukrainie mieszkało 363 tys. Polaków, w 1989 r. już tylko 219 tys.; pierwszy spis, przeprowadzony w niepodległej Republice Ukrainy w 2001 r., wykazał zaledwie 144 tys. Polaków (w tym ok. 13 proc. stanowią ci, którzy mówią po polsku w domu). To jest skala strat.

**J.K.** – Gdy mówimy o Polakach na Kresach dawnej Rzeczypospolitej, to mówimy o dwóch grupach. Po pierwsze – to grupa szacowana na milion do dwóch milionów tych, którzy zostali na wschód od granicy ryskiej, a więc na dzisiejszej Białorusi i, przede wszystkim, na Ukrainie. Właśnie dlatego tam mogły powstać w Sowietach wokół Dowbysza i Żytomierza polskie regiony autonomiczne dżeryński i marchlewski. Z tej również przyczyny Kamieniec Podolski i Winnica stanowią nadal duże skupiska ludności polskiej. Żytomierszczyzna po dziś dzień jest znaczącym skupiskiem Polaków – choć nierzadko ich polszczyzna już zanika, zaś najbardziej przejmującym świadectwem ich obecności jest przepiękny, wielki i niszczący cmentarz w Żytomierzu. sowieckie represje wobec Polaków, „pierwszego narodu ukaranego”, na tych terenach rozpoczęły się już w początkach lat trzydziestych masowymi wywózkami do Kazachstanu. Trwały wreszcie procesy ukrainizacyjne. Pod Winnicą czy koło Kamieńca można spotkać polskie rodziny, które w kolejnych pokoleniach nie zdecydowały się uciec przez granicę ryską po 1921 r., pod naciskiem sowieckim uległy ukrainizacji (niekiedy uciekając przed rusyfikacją) i dopiero od lat dziewięćdziesiątych XX w. powracają do polskości – bez żadnej gwarancji, że uda się ją w ukraińskim otoczeniu utrzymać. Ci, którzy mówią po ukraińsku w okolicach Winnicy czy Żytomierza, jeszcze dwa pokolenia wstecz mogli mówić po polsku. Te procesy trwają i muszą trwać, bo kultura ukraińska obecnie dominuje, staje się atrakcyjna. Polacy na tych terenach w drabinie społecznej znajdują się w dolnej lub co najwyżej średniej jej partii. Drugą grupę stanowią Polacy żyjący w zwarłym osadnictwie polskim, ale tak jest tylko na Grodzieńszczyźnie i na Wileńszczyźnie.

**A.B.** – Wileńszczyzna stanowi o tyle ciekawy przypadek, że tam sami Sowietci sprzeciwiali się wyjazdowi Polaków; było to szczególnie widoczne na pograniczu białorusko-litewskim. Polacy byli wprawdzie zmuszani do wyjazdu z miast (chodziło o ich depolonizację), ale na wsiach raczej starano się Polaków zatrzymać – byli potrzebni jako siła robocza, gdyby wyje-

chali, nie miałyby kto uprawiać ziemi. Na Litwie z 380 tys. Polaków zapisanych do „repatriacji”, wyjechało tylko ok. 180 tys. Do dziś Litwa jest jedynym obszarem, gdzie liczba ludności polskiej po 1945 r. wzrastała. W pozostałych – i na Białorusi, i na Ukrainie – malała. Na Litwie w 1959 r. było ok. 230 tys. Polaków, w 1989 r. – ok. 258 tys. W pewnej mierze wynikało to z polityki władz sowieckich, które starały się „wygrywać” polską mniejszość przeciw Litwinom, dzięki czemu istniało tu np. stosunkowo niezłe rozwinięte szkolnictwo polskie. W wyniku tej polityki na początku lat dziewięćdziesiątych Polacy woleli popierać słabnący Związek Sowiecki niż rodzącą się narodową Republikę Litewską. Trzeba dodać, że wzrost widoczny jest tylko w liczbach bezwzględnych, procentowo udział Polaków w tym czasie spadł z 8,5 do 7 proc.

**J.K.** – Ta rzeczywistość jest bardziej skomplikowana – znaczna część żołnierzy AK po 1944 r. na Nowogródzczyźnie to prawosławni białoruskiego albo „tutejszego”, jak mówili, pochodzenia (pisze o tym Janusz Prawdzic-Szlaski, dowódca Nowogródzkiego Okręgu AK, w swoich pamiętnikach). W szeregi AK zawiodło tych ludzi doświadczenie pierwszej okupacji sowieckiej. Jeszcze jeden obraz na zakończenie tego wątku: Anatol Radziwonik „Olech”, dowódca ostatniego polskiego oddziału partyzanckiego na Nowogródzczyźnie, był polskim harcerzem, nauczycielem polskiej szkoły powszechnej, miał drobnoszlacheckie pochodzenie, był prawosławny, walczył z Niemcami jako dowódca plutonu w 77. pp AK, poległ w potyczce z NKWD 12 maja 1949 r. To jest paradoks, ale obrazuje siłę polskiej kultury na tych terenach.

**R.D.** – Bardzo słuszne jest to, co powiedziała pani Barbara, że trzeba mówić o Polakach na Kresach Wschodnich. Owszem – Kresy to wielka część naszej historii, która jest w naszej zbiorowej pamięci i tworzy naszą tożsamość. To ocalałe ze strasznej pożogi zabytki materialne, często wspaniałe i nieporównywalne z tymi, które istnieją w centralnej Polsce, i które trzeba odkrywać i pokazywać. Z tego względu Kresy są ważne. Ale trzeba o nich mówić przede wszystkim dlatego, że tam żyje – na Łotwie, Litwie, Białorusi i Ukrainie – dwumilionowa, jak wspomniano, społeczność polska, co prawda w różnym stopniu związana z kulturą polską i o różnym stopniu świadomości polskiej. Niekiedy o wiele głębszym niż u Polaków w Polsce. To ze względu na tych Polaków Rzeczpospolita zawarła z tymi krajami, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, traktaty o dobrym sąsiedztwie i współpracy, które formalnie zapewniają żyjącym tam naszym rodakom możliwości zachowania kultury polskiej.

**B.P.** – W praktyce jest zgoła inaczej.

**R.D.** – W tych traktatach np. została sformułowana zasada wzajemności w wypełnianiu zobowiązań wobec odnośnych mniejszości. Polska wobec mniejszości wschodnich skrupulatnie je wypełnia. Nie przywiązuje jednak należytego znaczenia do stosowania przez naszych sąsiadów na Wschodzie tej zasady wobec polskich mniejszości narodowych. Działa tu pewnie mit Jerzego Giedroycia, który w czasach, gdy istniał Związek Sowiecki, ukazywał wizję porozumienia i współpracy z krajami ościennymi na Wschodzie oraz rolę Polski w umacnianiu ich samodzielności i wciągania ich w orbitę europejską. To bardzo piękna idea. Ale ona nie może oznaczać poświęcenia dla niej polskich mniejszości narodowych żyjących w tych krajach. Szanujące się kraje bardzo dbają o swoje autochtoniczne

mniejszości za granicą. Zaniedbywanie czy poświęcanie przez polską dyplomację, dla dobrych stosunków z tymi krajami, spraw i praw polskich mniejszości narodowych na dawnych Kresach Wschodnich nie tylko niesłychanie boli tamtejszych Polaków, ale niszczy też powagę i prestiż Polski w ich oczach oraz w oczach tych naszych sąsiadów, którzy mają na swoim terenie tak traktowane przez swoich polskie mniejszości narodowe. Wydaje mi się, że taka postawa naszych władz to głównie rezultat braku poważniejszej znajomości skupisk polskich na Wschodzie i ich położenia we wspomnianych krajach. Przez kilkadziesiąt lat fakt istnienia Polaków za wschodnią granicą przez cenzurę PRL nie był dopuszczany do świadomości publicznej. Nie było o nich mowy (i do dziś pewnie nie ma) w programach szkolnych; stali się oni dla nas nieobecni. Ten brak głębszej wiedzy o nich źle się odbija na działaniach naszych służb dyplomatycznych, a także i na postawach księży polskich udających się do pracy na Kresach Wschodnich.

**B.P. – Najgorsze dla żyjących tam Polaków jest to, że w kościołach katolickich na Kresach coraz częściej i intensywniej wprowadza się języki rodzime w sprawowaniu liturgii, tłumacząc to dobrem Kościoła.**

**R.D.** – Małe uściślenie terminologiczne – do „języków rodzimych” należy tam również język polski. Kiedyś wszystkich łączyła łacina. Po wprowadzeniu języków narodowych do liturgii, co było nieuniknione, powstały bardzo trudne problemy sprawiedliwego godzenia różnych grup językowych i narodowych w kościele. Kościół katolicki obrządku łacińskiego na Wschodzie był od dawna kojarzony wyłącznie z polskością, ponieważ w przytłaczającej większości należeli do niego Polacy. Powstało więc tam, u innej ludności niż polska, przekonanie, że Kościół katolicki jest tylko dla Polaków. Powstał stereotyp „katolik – Polak”, który wymagał przełamania i pokazania, że Kościół jest dla każdej narodowości – każda ma w nim swoje miejsce i jest u siebie. Dlatego potrzebne było wprowadzenie innych języków miejscowych, białoruskiego, ukraińskiego czy rosyjskiego, jak np. na terenie wschodniej, zrusyfikowanej Białorusi. Pojawiły się grupy ludności katolickiej innej narodowości, oczekujące w kościele innego, niż polski, języka. To był znak mieszanego już składu narodowościowego czysto polskich niegdyś parafii. Potrzebna więc była swego rodzaju „depolonizacja” językowa w kościołach. Rozpoczęli ją księża z Polski. Tu pewna dygresja – na początku lat dziewięćdziesiątych śp. Jerzy Giedroyc, powiedział mi, że polscy księża polonizują Białorusinów i Ukraińców przez polski język w kościołach. Nie wiedział, że jest wręcz odwrotnie, i że to księża z Polski byli pierwszymi, którzy wprowadzili do kościołów na Kresach inne języki. Nie trudno to wyjaśnić. Gdy przyjechali, stwierdzili, że ludzie nie mówią na co dzień po polsku lub mówią nieznaną im i dziwną dla nich polszczyzną, a młodzież często nie rozumie tego języka, w którym oni do niej mówią (bo to był nowoczesny język z Warszawy).

**B.P. – Bo tam ludzie ręcznie przepisywali dziewiętnastowieczne modlitewniki, potem znów przepisywali zniszczone już przepisane egzemplarze. A w tych modlitewnikach była piękna, archaiczna polszczyzna, dla przybysz z Polski często niezrozumiała...**

**R.D.** – Księża bardzo szybko doszli więc do wniosku, że język polski w kościołach jest niepotrzebny i stanowi przeszkodę w zrozumieniu nauczania i liturgii. Uznali też, że ludzie, którzy nie mówią po polsku i nie znają polskiego, to bardzo wątpliwi Polacy lub nie-Polacy. Nawet o tym niekiedy przekonywali swoich wiernych, zwłaszcza gdy oni słabą polszczyzną



prosil o język polski w kościele. Zaczęli więc ograniczać, a nieco później eliminować język polski. To był rezultat zupełnej niezajomości i niezrozumienia miejscowych ludzi, ich doświadczeń związanych z językiem polskim, którego nie mieli możliwości poznać lub musieli go ukrywać i zapomnieć o nim, by przeżyć. Tylko w kościele mogli go słuchać i w nim wyrażać to, co czuli. Stał się on dla nich ostatnim ogniwem wiążącym ich z polskością i – jak pięknie to ktoś określił – był językiem ich serca. Postawa pracujących tam wówczas księży miejscowych była inna, ponieważ oni znali oczekiwania i odczucia ludzi. Dlatego ci księża zachowywali w kościołach język polski. Obecnie młode pokolenie księży miejscowych jest już zupełnie inne i często przyjmuje „dogmat narodowy”: kto się urodził na obecnej Ukrainie lub Białorusi, ten jest Ukraińcem lub Białorusinem.

**J.K.** – Napoleon Orda – wielki Białorusin...

**R.D.** – Ależ tak! Również Adam Mickiewicz, Stanisław Moniuszko, Ignacy Domeyko, Ignacy Kraszewski. I w pewnym sensie jest to prawda. Ale stosowanie do nich dzisiejszego pojęcia narodowości jest bardzo naiwne i jest nieporozumieniem. Mickiewicz pisał: „Litwo, ojczyzna moja”, ale czuł się Polakiem, choć jednocześnie i Litwinem. Ojciec Innocenty Bocheński pisał kiedyś o ówczesnym poczuciu narodowości, że było niejako piętrowe. Ludzie czuli się na pewnym stopniu Białorusinami, Litwinami czy Rusinami, ale wieńczyło to czucie się Polakiem. Wyrażało to znane powiedzenie: *gente Ruthenus, natione Polonus*. Obecnie na Białorusi wszystkim, co na jej dzisiejszym terenie powstało, całej wspólnej historii Rzeczypospolitej na tych terenach, nadaje się charakter białoruski w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Niezwykle eksponowane są wszelkie elementy białoruskie w tej historii. Na przykład bitwa pod Grunwaldem (po białorusku pod Dubrową), w której brało udział wojsko z Białorusi, to było przede wszystkim zwycięstwo wojsk białoruskich...

**J.K.** – Pani mówi, że musimy pamiętać o Polakach. Musimy też jednak pamiętać, że mamy prawo do pamięci. Nie można dopuścić do tego, żeby odmawiano nam prawa do pamiętania o Wilnie, Grodnie, Lwowie, Żółkwi, Krzemieńcu, Kamieńcu itd. O tym, że Polska ma prawo uznawać tamtejsze symboliczne zabytki za swoje, bo są to dzieła wytworzone przez naszą cywilizację z czasów Rzeczypospolitej i mamy prawo domagać się, żeby ten fakt był uznawany.

**J.S.** – Nasze dziedzictwo kulturowe Kresów to nie wybór, to nasza tożsamość, nasza pamięć.

**B.P.** – **Do amputacji naszej pamięci Kresów namawiają niektórzy oświeceni historycy europejscy. Zatrważające jest to, że milczenie na temat polskich Kresów zdaje się wchodzić w kanon poprawności politycznej. Warto też chyba przypomnieć, że w polskich przedwojennych szkołach, na polskich uniwersytetach kształcili się Ukraińcy, Litwini, Białorusini, którzy następnie tworzyli rodzime elity.**

**A.B.** – Myślę, że przynajmniej Ukraińcy woleliby, żeby to były elity wykształcone na ukraińskim uniwersytecie, który Polska w 1922 r. zobowiązała się utworzyć...

**J.K.** – We Lwowie w latach dwudziestolecia międzywojennego trwała intelektualna rywalizacja Polaków i Ukraińców w obszarze nauki i kultury, która osiągała bardzo wysoki

poziom. Inteligencja ukraińska w tej rywalizacji przyjęła kierunek na własne państwo, starcie więc było nieuchronne. Te patriotyzmy były podobne, choć absolutnie przeciwstawne.

**B.P.** – Niszczono są polskie ślady kresowej kultury materialnej, niszczone przede wszystkim polski Lwów. Ukraińcy nie doceniają tego, co przejęli, dobrom kultury odmawiają niejako uniwersalności.

**J.S.** – Lwów jest miastem wielokulturowym. Dla nas pozostanie polski. Prawie cała zabytkowa substancja materialna miasta to autentyczna tkanka miejska, która powstawała przez ostatnie kilkaset lat. To miasto staje się ukraińskie z przyczyn oczywistych – Ukraińcy zostali depozytariuszami tego europejskiego dziedzictwa – mam nadzieję, że prześlą je kolejnym pokoleniom w lepszym stanie. Powinni uświadomić sobie, że dbanie o jego unikalne wartości to dbanie o siebie, o swój interes. Duża część Ukraińców nie docenia tego, co przejęli w postaci spadku niechcianego – dziedzictwa kulturowego tych ziem. Najgorsze jest to, że decydenci nie mogą (nie chcą?) zrozumieć, że bezcenne dziedzictwo kulturowe Lwowa to magnes, który przyciągnie miliony turystów, nie tylko Polaków.

Wielokrotnie bywałem we Lwowie w trakcie przygotowań do uroczystości związanych z siedemsetpięćdziesięcioleciem miasta i stwierdzam, że jeszcze jest daleka droga do uświadomienia, że dobra kultury są uniwersalnymi wartościami na całym świecie.

Tu dygresja, mówiłem o ocalonych i zniszczonych świątyniach. Historia polskich obiektów sakralnych na Kresach ma jeszcze jeden rozdział. W wyniku bezpośrednich działań wojennych zniszczeniu uległ niewielki procent tzw. substancji zabytkowej. Największych zniszczeń doznała ona w okresie rzezi ludności polskiej przez Ukraińców, zwłaszcza na Wołyniu. Kościoły często były ostatnimi miejscami, w których chronili się Polacy. W wyniku wyjątkowego okrucieństwa ukraińskich morderców, stawały się one ich grobami. Nienawiść, złość i wandalizm były w ostateczności czynnikiem najbardziej niszczącym dziedzictwo kulturowe tych ziem.

**R.D.** – Trzeba mieć nadzieję, że to minie, że Ukraińcy zdobędą się na realne spojrzenie na te sprawy (jeśli do tego czasu zabytki te przetrwają). Kontrastem dla tej sytuacji jest to, co robią Polacy, gdy chodzi o pamiątki niemieckie w Gdańsku czy Wrocławiu. Są one odnawiane, a Niemcy przyjeżdżają je zwiedzać i to nie oznacza dążeń rewindykacyjnych...

**J.K.** – Patrzymy na obecne państwo ukraińskie, przyglądamy się walce, którą Ukraińcy muszą toczyć o odtworzenie swojej świadomości narodowej, państwowej (oczywiście budują je na tradycji powstania Chmielnickiego i Ukraińskiej Powstańczej Armii). Jeśli chcą iść w stronę Zachodu, to nie uda im się tego zrobić bez zaakceptowania wspólnego dorobku Rzeczypospolitej. Nie ma innej drogi. Wówczas mogliby zaakceptować Żółkiew, kościoły gotyckie i barokowe (a przecież powstawały także barokowe cerkwie), wspólne walki z Tatarami i Turkami, sojusz Piłsudski–Petlura z 1920 r... Opieranie się tylko na bojowej tradycji UPA jest w dłuższej perspektywie niezwykle ryzykowne dla tożsamości i charakteru państwa, jeśli bagatelizuje się lub usprawiedliwia ideologię integralnego nacjonalizmu Doncowa i planowe masowe zbrodnie popełniane na Polakach przez te oddziały.

**A.B.** – Wyraźna jest prozachodniość Ukrainy zachodniej. To jest właśnie ta Ukraina, która była najdłużej w Polsce, w odróżnieniu od Ukrainy wschodniej...

**R.D.** – ...czasem mówi się nawet o trzech różniących się znacznie Ukrainach: zachodniej, środkowej i wschodniej...

**J.K.** – ...ale wciąż mówimy o Kresach. Gdy mówimy o Ukrainie zachodniej, gdzie pojawiły się warunki kulturowe dla odtwarzania się ukraińskiego patriotyzmu w okresie dwudziestolecia międzywojennego, to na dobrą sprawę mówimy o województwie lwowskim pod zaborem austriackim. Jeżeli mówimy o dalszych częściach Ukrainy, a więc Ukrainie środkowej i Podolu, to mówimy o ogarniętym zaborem rosyjskim obszarze Rzeczypospolitej „po Kijów”. To są tereny „dotknięte” polskim, koronnym modelem kulturowym, niezależnie od tego, jaki był ich etniczny substrat, wobec tego ludzie tam mieszkający byli inni niż ci na wschód od Dniepru. To jest świadectwo potęgi kultury i cywilizacji idącej z Polski, a przez Polskę idącej z Zachodu. To naprawdę jest granica Europy.

**R.D.** – Chciałbym jeszcze wrócić na chwilę do trudnych spraw Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego – na Białorusi i na Ukrainie. Istnieje tu charakterystyczny paradoks. Polacy w tych krajach stanowią mniejszości narodowe, ale w Kościele katolickim są większością. W dalszym ciągu, mimo daleko idących przemian, większość katolików określa się tam jako Polacy. Według badań sprzed kilku lat na Ukrainie jest to ogółem 71 proc., a na Białorusi 63 proc., choć na samej Grodzieńszczyźnie ponad 83 proc. Najważniejszą sprawą jest jednak to, że zmieniła się zupełnie rola kulturowa Kościoła w tych krajach. Kiedyś, w czasach carskich i sowieckich, był on ostoją polskości. Po II wojnie światowej władze sowieckie zarzucały mu polonizowanie ludności białoruskiej, a obecnie czyni to nieraz narodowa opozycja białoruska. Ale polski charakter nauczania i paraliturgii był tam odpowiedzią na zdecydowane oczekiwania i żądania ludzi. Język polski w kościołach był dla nich nadzieją, że nie zginą bez śladu w ruskim otoczeniu, bo ten język w kościołach zdecydowanie ich w tym morzu wyróżniał. I był nadzieją na lepszą przyszłość. Dlatego bardzo się go trzymali. Obecnie, przez wprowadzenie innych języków, dokonana się zasadnicza zmiana. Na Białorusi język białoruski w kościołach oznacza jego niezwykłą promocję. Żadna instytucja białoruska nie jest w stanie takiej jego promocji dokonać. Jest zalecenie episkopatu, żeby w każdym kościele była Msza św. w języku białoruskim. W niemalej części kościołów język polski został na marginesie, a niekiedy jest już nieobecny, mimo oczekiwań ludzi. Tu trzeba dodać, że na wschodniej Białorusi takie oczekiwanie już chyba zniknęło, w wyniku wynarodowienia tamtejszych Polaków lub całkowitej utraty przez nich języka polskiego. Choć jeszcze kilkanaście lat temu, po nastaniu swobody religijnej, tamtejsza ludność katolicka pięknie śpiewała takie pieśni, jak *Święty Boże, Kiedy ranne wstają zorze, Wesoły nam dzień dziś nastał, a przed Mszą św. starożytną pieśń Padnijmy na twarz* i znata różne, zapomniane już w Polsce litanie. Zasadnicza i decydująca dla przyszłości Polaków zmiana polega na przeważającej językowej opcji białoruskiej i ukraińskiej większości duchowieństwa. Zwróciłbym tu uwagę na terminologię. Gdy się mówi „Kościół białoruski” czy „Kościół ukraiński”, to może to prowadzić do takiej narodowej wizji Kościoła, w której dla Polaków i ich języka zabraknie miejsca, co już się zdarza. A bez niego są oni skazani na szybkie wynarodowienie. Natomiast określenie „Kościół na Białorusi” czy „Kościół na Ukrainie” zawiera w sobie myśl o tym, że każda narodowość ma w nim swoje miejsce i prawo, zgodnie z nauczaniem Kościoła. Język liturgii i modlitwy nie może zależeć od miejsca zamieszkania, ale od człowieka, od jego odczucia i pragnienia. To jest płaszczyzna praw człowieka i do nich trzeba się w tej dziedzinie odwoływać. Wybór języka modlitwy zależy

od samych wiernych, a nie od zewnętrznej władzy państwowej czy kościelnej. Gdy mówimy o Białorusi, to przypomina mi się przykład Szwajcarii. Tam w życiu państwowym i religijnym używane są trzy języki: francuski, włoski i niemiecki, choć istnieje jeden zjednoczony i patriotyczny naród szwajcarski.

**B.P.** – Świat bardzo się zmienia, również ten świat Polaków na Kresach. W najmłodszym pokoleniu, podobnie zresztą jak w Polsce, przeważa pragmatyczne podejście do projekcji własnego życia. Tam łączy się to z przyjęciem języka litewskiego, białoruskiego czy ukraińskiego jako własnego, co ułatwia start życiowy. Zanika tradycyjnie pojęty patriotyzm związany z wiarą i znajomością historii. Trzeba to przyjąć do wiadomości. Tym większy obowiązek spoczywa na strażnikach pamięci.

**A.B.** – Tak samo jest z mniejszościami w Polsce. Ostatni spis powszechny wykazał, że w Polsce 31 tys. osób uznało się za Ukraińców. Ukraińcy podobno spodziewali się, że to będzie dziesięć razy więcej – podobnie mniejszość polską na Ukrainie tamtejsi działacze polscy szacowali pod koniec minionego stulecia na milion, a nawet półtora miliona.

**J.K.** – Ale działa też taki mechanizm, że jeśli ktoś o rozchwianej świadomości narodowej przyjedzie do Polski, to natychmiast sobie przypomina, że jest Polakiem.

**B.P.** – Pod warunkiem że się tu zatrzyma, a nie znajdzie się tylko przejazdem na Zachód. Polska już nie jest tak atrakcyjna jak jeszcze parę lat temu.

**J.K.** – Dowódca I Korpusu Polskiego w rejonie Bobrujska w końcu 1917 r., a rok później dowódca Powstania Wielkopolskiego, gen. Józef Dowbor-Muśnicki, po polsku mówił słabo. Był rosyjskim zawodowym oficerem i w sprawę polską zaangażował się dopiero w obliczu rewolucyjnego kataklizmu w Rosji.

**R.D.** – Stanisław Bułak-Bałachowicz, też generał polski, który pochodził z kresowej rodziny, wspaniały dowódca i partyzant, który w czasie wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–1920 oddał Polsce wielkie usługi, mówił o sobie: „Jeśli niezbyt poprawną polszczyzną wystawię się, proszę mi to darować. Matki bowiem nasze tam na dalekich kresach najpierw uczyły nas Polskę kochać, a potem już prawidłowo po polsku mówić”. Nie wypada na Kresach stawiać pytań, kim się kto czuje, bo to może być bardzo kłopotliwe pytanie. Polacy są tam bowiem często powiązani z kulturą miejscową – bo żyją tam od pokoleń, wchodzą w mieszane związki małżeńskie, uczestniczą w życiu społecznym, kulturalnym i politycznym. Mają więc niekiedy, jak gdyby, dwa serca.

KAZIMIERZ KRAJEWSKI, IPN WARSZAWA



## NIE TYLKO DOWBORCZYCY

W 2001 r. przed Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie wzniesiony został pomnik (a właściwie przywrócony, choć nie w historycznej lokalizacji, czyli na Powiślu), przedstawiający stojącą na kolumnie postać żołnierza polskiego w charakterystycznym hełmie francuskim (wzór 1915) – wskazującego szablą na wschód, zaś w drugiej ręce trzymającego sztandar. Jest to pomnik Dowborczyka, poświęcony żołnierzom I Korpusu Wojska Polskiego, walczącego w Rosji w latach 1917–1918. Większość zwiedzających muzeum nie wie, co sym-

bolizuje ów monument. Na szczęście stoi on bezpośrednio przy drodze wiodącej ku wejściu do muzeum i każdy może zapoznać się ze stosowną informacją umieszczoną na kolumnie. Niewiedza o zbrojnych inicjatywach niepodległościowych Polaków z lat I wojny światowej – innych niż związanych z ośrodkiem legionowym – jest zjawiskiem powszechnym.

### **Kilka uwag o selektywnej pamięci społecznej**

Legenda „czynu legionowego” zdominowała w powszechnej świadomości wysiłek organizacyjny i militarny innych polskich formacji wojskowych, walczących w tej epoce o niepodległość. Powodów tego stanu jest wiele. Legiony Polskie, walczące po stronie Cesarstwa Austro-Węgierskiego i Niemiec, były jedyną ówczesną polską formacją wyposażoną w rozbudowany aparat propagandowy, metodycznie i planowo budujący ich legendę; przy tym skupiły w swych szeregach wyjątkowo liczną grupę inteligencji. Jeszcze w czasie wojny dała ona pisemne świadectwo wydarzeniom, w których uczestniczyła. Monopol piłsudczyków w dwudziestolecie międzywojennym na kreowanie obrazu odzyskiwania niepodległości pogłębił znacząco ów stan (z pewnością wywarł on zasadniczy wpływ na pokolenie wychowane w szkołach Polski niepodległej, czyli na pokolenie naszych ojców i dziadów). W rezultacie nie pamiętamy nie tylko o elitarnych Bajorczykach, ale również o największej polskiej formacji tej epoki, czyli ponad siedemdziesięciotysięcznej Błękitnej Armii we Francji, dowodzonej przez gen. Józefa Hallera. A była to zresztą jedyna polska formacja walcząca po stronie zwyciężczych aliantów, a nie któregoś z państw zaborczych. Jedyne zwycięskie powstania polskie – Powstanie Wielkopolskie i III Powstanie Śląskie – także nie wytrzymały konkurencji z Legionami Polskimi, pozostając w ich cieniu.

Podobnie nie pamiętamy o polskich jednostkach wojskowych na Wschodzie, tworzonych na terenie Rosji. Można powiedzieć, że dziś są one zupełnie zapomnianym epizodem naszej dwudziestowiecznej historii. Polityczno-wojskowe inicjatywy galicyjskie całkowicie zdominowały w społecznym odbiorze ogromny wysiłek Polaków z zaboru rosyjskiego, zwłaszcza zaś polskiej społeczności kresowej.

### **Po stronie aliantów, u boku Rosji, przeciw państwom centralnym**

W latach 1914–1917 w szeregach armii rosyjskiej walczyło wielu Polaków. Byli to mieszkańcy terenów znajdujących się pod zaborem rosyjskim, czyli w Kongresówce i na Ziemiach

Zabranych (w chwili wybuchu I wojny światowej – 600 tys.; w lutym 1917 r. – 700 tys., w tym 119 generałów i 20 tys. oficerów; ogółem w owych latach – skromnie licząc – ponad milion ludzi). Do 1917 r. Polacy nie mieli tu odpowiednich warunków do szerszego rozwinięcia akcji wojskowej pod narodowymi znakami. Gdy jednak Naczelny Polski Komitet Wojskowy (Naczpol) z prezesem Władysławem Raczkiewiczem, wyłoniony 22 czerwca 1917 r. na zjeździe Związku Wojskowych Polaków w Rosji, przystąpił do organizowania polskich jednostek wojskowych, walczących przy boku armii rosyjskiej, a więc po stronie zwycięskich aliantów, nasze narodowe formacje na Wschodzie miały już za sobą długą historię. Zaczęła się ona od Legionu Puławskiego (politycznie wspieranego przez Narodową Demokrację), powołanego wkrótce po wybuchu I wojny światowej. Organizatorem Legionu był Witold Górczyński. Dowodzili nim kolejno: płk Antoni Reutt i płk Jan Rządkowski. Jednostka ta, licząca ponad tysiąc bagnietów i szabel, występując pod polskimi znakami narodowymi, funkcjonowała na zasadzie rosyjskich drużyn (batalionów) pospolitego ruszenia (739. Drużyna Nowoaleksandryjska). Ponieważ władze rosyjskie nie zgodziły się na użycie symbolu polskiego orła na sztandarze – symbolem Legionu Puławskiego stał się wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Mimo niezwykle nieprzychylniej postawy rosyjskich kręgów dowódczych, wręcz sabotujących jego rozwój, Legion przeszedł w 1915 r. chlubny szlak bojowy, wstawiając się w bojach pod Pakosławiem (20 maja), Michałowem (16 czerwca), Władysławowem (17 lipca), Kolonią Chechelską (21 lipca), Górą Puławską (22 lipca), Karczówką (14 sierpnia), Nurcem (20 sierpnia), Opaką (23 sierpnia), Izabelinem (5 września) i Zelwą (9 września). W walkach tych Legion Puławski uległ całkowitemu „zużyciu” – w październiku 1915 r. w szeregach było zaledwie 112 ludzi, pozostali zginęli lub zostali ranni.

Jesienią 1915 r. niedobitki te, wraz z żołnierzami rozwiązanego Legionu Lubelskiego – 740. Drużyny Lubelskiej (ponad ośmiuset ludzi – niemających jednak takich dokonań jak Legion Puławski), stały się związkiem Brygady Strzelców Polskich (BSP). Dowodzili nią kolejno: gen. Piotr Szymanowski, gen. Adam Sławoczyński, gen. Kajetan Bolesław Olszewski. Choć jako część składowa armii rosyjskiej i całkowicie zależna od rosyjskiego dowództwa (jednak z komendą w języku polskim), jednostka ta skupiła w swych szeregach przeszło 8 tys. żołnierzy. Batalionami liniowymi dowodzili: płk Jan Rządkowski, ppłk Lucjan Żeligowski i płk Witold Otockki-Dołęga, zaś baonem rezerwowym – płk Osiecki. Wkrótce potem do BSP dołączono dywizjon ułanów i jednostkę saperską. Po okresie prac organizacyjnych, podczas których stacjonowała w Baranowiczach, Brygada została skierowana na front i w 1916 r. brała udział w walkach z Niemcami na Nowogródczyźnie, w których poniosła znaczne straty. Obsadzała m.in. linię frontu wzdłuż Szczary, walczyła też w rejonie Zaosia i Snowia, gdzie padło wielu jej żołnierzy (do dziś w rejonie Snowia zachowały się ich groby).

W styczniu 1917 r. BSP została wycofana z frontu na tyły, do okręgu kijowskiego. Tu przeformowano ją w Dywizję Strzelców Polskich (DSP) w sile czterech liniowych pułków piechoty, Polskiego Pułku Ułanów (PPU), rezerwowego pułku piechoty i służb specjalistycznych. Formacja ta liczyła łącznie 35 tys. żołnierzy. Z tą wielką polską jednostką wojskową nie łączy się żadna postać wybitnego przywódcy, którego można by porównać z osobą Józefa Piłsudskiego. W jej tworzeniu i działalności uczestniczyły nie „polityczne gwiazdy”, ale „wyrobnicy niepodległości” – gen. Tadeusz Bylewski, płk Lucjan Żeligowski, gen. Antoni



Symon, płk Jan Rządkowski i wielu innych. Jedną z bardziej wyrazistych postaci był płk Bolesław Mościcki (brat późniejszego Prezydenta RP), który objął dowództwo pułku ułanów. Po rewolucji lutowej żołnierze DSP otrzymali prawo noszenia polskiego orzełka wojskowego na maciejówkach, stanowiących element ich umundurowania (takiego samego, jaki był używany przez Błękitną Armię we Francji). Ułani z PPU nosili mundury odwołujące się do wzorów z okresu dziewiętnastowiecznych powstań naro-



Wojska Polskie obchodzą rocznicę Kościuszkowską w Mińsku Litewskim (Białoruskim). Na koniu płk Mościcki, orędzie Naczpolu czyta por. Michalski. Stoją za nim generałowie rosyjscy i (trzeci od lewej) por. Dowbor-Muśnicki

dowych, porównywane do uniformów Beliniaków (żołnierzy 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich), aczkolwiek pod koniec „wielkiej wojny” wydawały się dość egzotyczne.

Latem 1917 r. jednostki Dywizji Strzelców Polskich i Polskiego Pułku Ułanów wzięły udział w ostatniej wielkiej ofensywie armii rosyjskiej na terenie Małopolski. Piechota walczyła m.in. nad Zbruczem pod Czabarówką i Husiatynem. Pułk ułanów, dowodzony przez płk. Bolesława Mościckiego, osłaniając odwrót wojsk rosyjskich w rejonie Stanisławowa, w lipcu 1917 r. stoczył pod Krechowcami bitwę z Niemcami, która została uznana za jeden z najsłynniejszych wyczynów polskiej kawalerii tych lat. Był to jedyny epizod bojowy, w którym polska formacja walczyła w jednej batalii z siłami zbrojnymi wszystkich trzech państw zaborecznych jednocześnie (pierwszego dnia tej bitwy polscy ułani, ratując miejscową ludność, oczyszczali teren ze zanarchizowanych rozbitków armii rosyjskiej, w ciągu dwóch kolejnych – walczyli z Austriakami i Niemcami).

Trzeba wyraźnie wspomnieć, że DSP – podobnie jak wszystkie formacje walczące w 1917 r. z wojskami państw centralnych po rosyjskiej stronie frontu – była dotknięta plagą agitacji pacyfistycznej i rewolucyjnej. Przeciwwstawienie się tym naciskom było wielkim wyzwaniem dla patriotycznej kadry, świadomej znaczenia utrzymania narodowego wojska w tym przełomowym okresie.

### **Nadal po stronie aliantów – w konfrontacji z rewolucją bolszewicką**

Rewolucja lutowa 1917 r. i okres sprawowania władzy przez rząd Aleksandra Kiereńskiego w Rosji stworzyły sprzyjające warunki dla polskich inicjatyw wojskowych na terenie walącego się imperium carów. W sierpniu 1917 r. zapadła decyzja o sformowaniu polskich jednostek narodowych, mających walczyć przeciw Niemcom u boku armii rosyjskiej. Powstały wówczas zawiązki trzech wielkich jednostek – określanych jako korpusy. Pierwszy był tworzony na Białorusi, drugi i trzeci – na Ukrainie. Najbardziej zaawansowane były prace nad formowaniem najwcześniej powstałego (już w sierpniu 1917 r.) I Korpusu, nad którym dowództwo objął – z nominacji gen. Ławra Kornilowa, późniejszego charyzmatycznego przywódcy *biełego podwigu* – gen. Józef Dowbor-Muśnicki, Polak służący w armii rosyjskiej.



Józef Dowbor-Muśnicki (na zdjęciu jako dowódca Powstania Wielkopolskiego)

– w rejonie Mińska Litewskiego (obecnie Białoruskiego). Poszczególne jednostki formowano na rozległych obszarach, rozciągających się od Bychowa po Witebsk.

Bolszewicki zamach stanu w listopadzie 1917 r., określany jako rewolucja październikowa, pogorszył i tak trudną sytuację polskich oddziałów. Mimo dążenia do zachowania neutralności, konflikt z bolszewikami narastał nieuchronnie, ponieważ gen. Józef Dowbor-Muśnicki starał się zapewnić bezpieczeństwo i porządek na terenach zajętych przez jego oddziały, gdzie mnożyły się incydenty ze zrewolucjonizowanym, opanowanym przez czerwone komitety wojskiem rosyjskim i ze zanarchizowanym chłopstwem. I Korpus stał się schronieniem dla polskich wojskowych, zdążających do niego pojedynczo, małymi grupkami lub w zwartych pododdziałach, nawet z bardzo odległych rejonów walącego się imperium. Najbardziej słynnym wyczynem było dotarcie w rejon Bobrujska szwadronu ułanów, sformowanego przez rtm. Kazimierza Plisowskiego w Odessie, który przesuając się przez wrogie, opanowane przez bolszewików tereny, pokonał 1500 km w 25 dni. Inny polski szwadron został rozbitý w walce na stacji Kalenkowicze. Na Ukrainę nie zdołał się przedrzeć także szwadron kpt. Szmita, utworzony z Polaków służących w armii rosyjskiej na froncie rumuńskim (w ramach kornilowskich *udarnych czastí* – elitarnych oddziałów szturmowych przeznaczonych do walki z Niemcami). Dołączył on jako „polski” pododdział do Armii Ochotniczej gen. Antona Denikina (w 2. ochotniczym pułku oficerskim generała Markowa).

Bolszewicy zamierzali rozbroić i zlikwidować I Korpus Polski. Polacy postanowili się bronić. Po brawurowej operacji 29 stycznia 1918 r. stosunkowo słabe oddziały polskie opanowały twierdzę Bobrujsk, w której stacjonował ponad siedmiotysięczny garnizon bolszewicki, a następnie utrzymały ten ważny obiekt. W ich ręce wpadły ogromne składy broni. W tym czasie walki polsko-bolszewickie rozgorzały także w innych rejonach, m.in. pod Żołubinem, Jasieniem, Tatarką, Osipowiczami i Rochaczewem. Polacy zdobyli 19 lutego 1918 r. Mińsk



Litewski (Białoruski). Zajęcie znacznych obszarów Białorusi przez Niemców sprawiło, że gen. Józef Dowbor-Muśnicki musiał w końcu lutego podjąć z nimi pertraktacje, w rezultacie których zawarte zostało polsko-niemieckie zawieszenie broni. Korpus podporządkował się Radzie Regencyjnej w Warszawie. Warto wspomnieć, że już wcześniej, wykonując misję nawiązania łączności z Radą Regencyjną, z rąk zrewoltowanego chłopstwa zginął płk Bolesław Mościcki. Ostatecznie Niemcy zażądali rozbrojenia Korpusu, co zostało wykonane 21 maja 1918 r., pomimo oporu konspiracyjnej organizacji piłsudczykowskiej z Leopoldem Lisem-Kulą i Melchiorem Wańkowiczem na czele, dążących do rzucenia Korpusu do walki z Niemcami. Zamiar ten jednak nie miał najmniejszych szans powodzenia i spiskowcy zostali wydalen z Korpusu. Żołnierzy gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego odesłano w transportach do kraju, gdzie już wkrótce odegrali znaczącą rolę w przełomowym momencie odzyskiwania niepodległości. Gdy gen. Józef Dowbor-Muśnicki stanął na czele Powstania Wielkopolskiego, towarzyszyła mu grupa kadry wywodzącej się spośród wypróbowanych towarzyszy broni z I Korpusu. Ich rola w budowie sił zbrojnych Wielkopolski była wręcz nieoceniona. W ten sposób Dowborczycy stali się nie tylko symbolem polskiej epopei w zrewolucjonizowanej Rosji, lecz także symbolem zwycięskiego wysiłku zbrojnego w Wielkopolsce.

Po Dowborczykach pozostał w Bobrujsku wysoki kopiec z krzyżem na szczycie, górujący nad cmentarzem wojennym, na którym spoczęło ok. 2 tys. żołnierzy I Polskiego Korpusu (obecnie nie ma po nim najmniejszego nawet śladu). Na warszawskich Powązkach do dziś istnieje zminiaturyzowana replika owego kopca, wokół której skupiona jest stale pomniejszająca się kwatera Dowborczyków zmarłych w latach dwudziestolecia międzywojennego.

II Korpus Polski formowano od grudnia 1917 r. – a więc w bardzo trudnej sytuacji politycznej już po przewrocie bolszewickim – na terenach formalnie kontrolowanych przez rząd ukraiński, a w rzeczywistości przez okupacyjne siły niemieckie. Korpus ten tworzone początkowo w Besarabii, potem we wschodniej części Wołynia i Podola. Pierwszym dowódcą został gen. Sylwester Stankiewicz, jednak w marcu 1918 r. zastąpił go gen. Józef Haller, dotychczasowy dowódca II „Żelaznej” Brygady Legionów, mającej za sobą chlubny szlak bojowy w Karpatach. Nastąpiło to wówczas, gdy z siłami zebranymi przez gen. Sylwestra Stankiewicza połączyła się część Polskiego Korpusu Posiłkowego, wywodząca się z II Brygady Legionów, która przebiła się nocą z 15 na 16 lutego 1918 r. przez front rosyjsko-niemiecki pod Rarańczą. Jej zbrojne wystąpienie było wyrazem protestu przeciw ustaleniom traktatu brzeskiego – zawartego przez państwa centralne z rządem bolszewickim – ponieważ Chełmszczyzna została oddana Ukrainie, czego Polacy nie mogli zaakceptować. II Korpus liczył w marcu 1918 r. ponad 7 tys. żołnierzy, w tym ok. 1,5 tys. pochodziło z II Brygady Legionów (reszta – z wojska rosyjskiego). W drugiej połowie lutego i początkach marca 1918 r. oddziały II Korpusu, pokonując kilkaset kilometrów, przesunęły się z Besarabii na tereny położone nad Dniestrem. Po drodze musiały toczyć walki ze zrewoltowanym, zbrojnym chłopstwem ukraińskim. Korpus został okrążony pod Kaniowem przez wojska niemieckie 11 maja 1918 r. i po całodziennym ciężkim boju zmuszony do kapitulacji. Żołnierze trafili za druty obozów jenieckich, zaś gen. Józef Haller, po przedostaniu się na Zachód – stanął na czele sformowanej we Francji Błękitnej Armii, walczącej u boku państw sprzymierzonych z państwami centralnymi.

III Korpus Polski, dowodzony przez gen. Eugeniusza de Henning-Michaelisa, utworzono w początkach 1918 r. na dalekiej Ukrainie – w rejonie Pikowa, Janowa i Chmielnika. Ukraina, podobnie jak całe południe Rosji, ogarnięta była wówczas pożogą wojny domowej między bolszewikami a formacjami „białymi” oraz narodowymi, w tym ukraińskimi. Stacjonowały tam również okupacyjne wojska niemieckie i austriackie oraz tworzone pod ich egidą formacje

narodowe – także ukraińskie. Wszyscy bili się ze wszystkimi: ukraińscy niepodległościowi ochotnicy Symona Petlury atakowali ukraińskich „proniemieckich kolaborantów” hetmana Pawła Skoropadskiego oraz niemieckich okupantów, przy czym jedni i drudzy walczyli z bolszewikami i anarchistami, z którymi toczyli walkę także biali, zwalczający jednocześnie i Symona Petlurę i Pawła Skoropadskiego (pomijam tu najróżniejszych „zielonych” atamanów – pozornie samodzielnych, a w istocie – z ducha bolszewickich). Polskie oddziały, słabe liczebnie – niewiele ponad 3 tys. bagnatów i szabel – nie były w stanie odegrać samodzielnej roli w tych zmaganiach. Starając się zapewnić spokój i porządek na terenach przez siebie kontrolowanych, były ariergardą ginącego, starego świata (wspomnieć tu można wyróżnienie przez ukraińskie zbrojne chłopstwo jednego z oddziałów polskich ułanów pod Niemirowem). III Korpus, uwikłany w walki z czerwonymi i zrewoltowanym chłopstwem, swą półroczną epopeję zakończył w czerwcu 1918 r., gdy został zmuszony przez wojska austriackie do kapitulacji.

Spśród polskich formacji walczących na Ukrainie wymienić należy jeszcze oddziały tworzone od stycznia 1918 r. w Odessie przez kpt. Stanisława Skrzyńskiego, a określane niekiedy jako IV Polski Korpus w Rosji. Słaba, niezdolna do odegrania samodzielnej roli formacja (2 tys. bagnatów) również została rozbrojona przez Austriaków w czerwcu 1918 r. Żołnierze ci znaleźli się później w polskich oddziałach na Kubaniu, walczących po stronie białych, a nawet na dalekiej północy, wśród murmańczyków.

Jednostką niewielką, lecz niezwykle wsławioną m.in. dzięki opisowi Zofii Kossak w *Pożo-dze*, był walczący na Ukrainie szwadron por. Feliksa Jaworskiego. Ten niewielki oddział partyzancki, wywodzący się z opisanej już Dywizji Strzelców Polskich, można porównać do oddziałów samoobrony kresowych ziem północno-wschodnich, o których będzie mowa poniżej. W momencie rozpoczęcia samodzielnej działalności miał on już za sobą piękny szlak bojowy: walki z Niemcami w ofensywie Aleksieja Brusilowa, gdy – podobnie jak ułani płk. Bolesława Mościckiego pod Krechowcami – ratował ludność Czortkowa przed zdemoralizowanymi i zanarchizowanymi żołnierzami rosyjskimi. Jesienią 1917 r. znalazł się w składzie I Korpusu Polskiego (w rejonie Bychowa), skąd skierowano go znów na Ukrainę. W 1918 r., rozbudowany do stanu dywizjonu, nominalnie podległy dowództwu III Korpusu, toczył w rejonie Ploskiro-wa i Starokonstantynowa zwycięskie boje z bolszewikami atakującymi miejscową ludność.

### **Polskie formacje białowo dwiżenia – w rosyjskiej wojnie domowej**

Udział Polaków w rosyjskiej wojnie domowej został całkowicie zdominowany przez uczestnictwo po stronie czerwonych takich postaci jak Feliks Edmundowicz Dzierżyński (jeden z najbliższych współpracowników Lenina i zarazem twórca bolszewickiej policji politycznej). Podobnie można powiedzieć o Julianie Marchlewskim, Feliksie Konie, Janie Wiznerze, Bronisławie Wesołowskim – i wielu innych ludziach polskiej lewicy rewolucyjnej, którzy zdradziwszy ideały wolności jednostki ludzkiej i niepodległości swej ojczyzny, stali się żołnierzami „światowej rewolucji”. Ocenia się, zapewne przesadnie, że po stronie bolszewików walczyło ok. 100 tys. Polaków (o tak liczny udział Polaków po niewłaściwej stronie owych dziejowych zmagani decydowało ich antycarskie nastawienie – połączone zapewne z podatnością na z gruntu fałszywą demagogię społeczną komunistów). Służba dla „imperium zła” nie opłaciła się. W latach trzydziestych, w okresie rozprawy z ponad-półtoramilionową rzeszą Polaków mieszkających na terenie Związku Sowieckiego, zostali w znacznej części wymordowani wraz z elementami „obcymi klasowo” (ocenia się, że co siódmy Polak – obywatel ZSRS – został wówczas rozstrzelany lub zamordowany w obozie koncentracyjnym).

Nikt dotychczas nie badał udziału Polaków w rosyjskiej wojnie domowej po stronie „białych”. Choć nie tak liczni jak po stronie „czerwonych” – stanowili grupę znaczną, którą można szacunkowo ocenić na kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Trudno przy tym wyraźnie rozdzielić rosyjskich patriotów polskiego pochodzenia od uczestników *bielowo dżiżenia*, mających wyraźnie określoną polską świadomość narodową. Z pewnością nie był Polakiem Anton Denikin, chociaż jego matka była Polką. Był natomiast Polakiem walczący po stronie białych kontradm. Kazimierz Kietliński – dowódca portu w Murmańsku – zamordowany przez bolszewików w 1918 r. Do Armii Ochotniczej trafił gen. Sylwester Stankiewicz, pierwszy dowódca II Korpusu Polskiego na Ukrainie, w jej szeregach znalazł się też Jan Szulc vel Janusz Szlaski – wówczas gimnazjalista, a po latach komendant Nowogródzkiego Okręgu AK (tak twierdzi jeden z jego biografów, gdyż oficer ten miał kilka życiorysów). Pierwszym oficerem Armii Ochotniczej, udekorowanym przez Antona Denikina Krzyżem św. Mikołaja Cudotwórcy – odznaczeniem ustanowionym przezeń za zasługi w *biłym podwigu* – był Polak, czołgista por. Lubicz-Jaromołowicz, który w maju 1919 r. podczas walk na Krymie wstawił się odwagą; „jadąc pierwszym czołgiem sforsował nieprzyjacielskie zasieki i osobiście zdobył działą” – wspomina Piotr Wrangel. W 2. ochotniczym pułku oficerskim gen. Markowa walczył polski szwadron kpt. Szmita – z polskimi orzełkami na czapkach (a była to przecież jedna z najlepszych, elitarnych jednostek Armii Ochotniczej).

Na frontach rosyjskiej wojny domowej walczyły jednak także, oprócz Polaków rozproszonych w masie „białych” ochotników, duże polskie jednostki narodowe. Zgodnie z ustaleniami zawartymi między gen. Józefem Hallerem i dowództwem alianckiej koalicji antybolszewickiej, weszły one w skład sił nominalnie mu podległych (przynajmniej część z nich została ewakuowana z Rosji i wzięła udział w dalszych walkach o niepodległość i granice Rzeczypospolitej). Na południu Rosji były to oddziały utworzone na Kubaniu, przekształcone w rejonie Odessy w 4. Dywizję Strzelców Polskich (DSP) gen. Lucjana Żeligowskiego. Sformowane w wyniku porozumienia, do jakiego doszło latem 1918 r. między przedstawicielami gen. Józefa Hallera a gen. Michaiłem Aleksiejewem, reprezentującym dowództwo Armii Ochotniczej. Jesienią 1918 i zimą 1919 r. wzięły udział w walkach z bolszewikami. Po ponownym nawiązaniu łączności z dowództwem armii polskiej we Francji, 4. DSP została ewakuowana przez Rumunię do Galicji, gdzie w szeregach Wojska Polskiego uczestniczyła w walkach polsko-ukraińskich i dalszej wojnie z bolszewikami. W okresie międzywojennym, w odrodzonym Wojsku Polskim, do tradycji tej jednostki nawiązały trzy pułki piechoty – 28., 29. i 31. (pułki „strzelców kaniowskich”).

Na Syberii, w ramach sił admirała Aleksandra Kołczaka, biła się po stronie białych 5. Dywizja Strzelców Polskich (zwana Dywizją Syberyjską). Dowodził nią najpierw płk Kazimierz Rumsza, a następnie gen. Walerian Czuma – oficer II Brygady Legionów Polskich i II Korpusu Polskiego na Ukrainie, który został skierowany przez gen. Józefa Hallera na Syberię w celu zorganizowania polskich jednostek wojskowych. Pod koniec 1919 r. dywizja osiągnęła stan ok. 11 tys. żołnierzy (później stan dywizji powiększył się jeszcze o kilka tysięcy żołnierzy).

Szersze omówienie dziejów tej jednostki wykracza poza ramy niniejszego szkicu, można jednak wspomnieć, że okresowo podlegała ona dowództwu Korpusu Czechosłowackiego, następnie dowództwu interwencyjnych sił francuskich. Żołnierze rekrutowali się z Polaków służących w armii rosyjskiej i spośród jeńców armii państw centralnych. Przez cały 1919 r. Dywizja Syberyjska toczyła zacięte boje z bolszewikami, osłaniając linię Kolei Transsyberyjskiej. Niepokonana na polu walki, musiała po załamaniu się wojsk Aleksandra Kołczaka

jesienią 1919 r., skapitulować przed bolszewikami w styczniu 1920 r., uzyskując gwarancję „odstawienia do Polski”. Od kapitulacji uchylił się płk Kazimierz Rumsza, który wraz z tysiącem żołnierzy – przez Mandżurię, a następnie drogą morską – dotarł w lipcu 1920 r. do Polski. Jego podkomendni stanowili trzon Brygady Syberyjskiej, która latem 1920 r. zdążyła wziąć udział w przełomowych momentach wojny polsko-bolszewickiej. Natomiast ci żołnierze, którzy złożyli broń przed bolszewikami, zostali zapędzeni do niewolniczej pracy w kopalniach (z powodu niehumanitarnych warunków pracy zmarło ok. 1,5 tys. spośród nich). Dopiero po zawarciu pokoju ryskiego do Polski powróciło 14 tys. żołnierzy.

W niepodległej Polsce do tradycji Dywizji Syberyjskiej nawiązywały trzy (82., 83., 84.) pułki piechoty 30. DP, stacjonującej na Polesiu. Warto wspomnieć, że gen. Walerian Czuma, który w sowieckich więzieniach spędził kilka lat, w 1939 r. dowodził ochotniczymi, robotniczymi batalionami obrony Warszawy.

W połowie 1918 r. na wybrzeżu murmańskim w miasteczku Kola rozpoczęto formowanie kolejnej polskiej jednostki. Podstawowe kadry stanowili byli uczestnicy rozbrojonych już wówczas korpusów na Białorusi i Ukrainie. Mimo ogromnych przeszkód w dotarciu na daleką północ przez tereny znajdujące się pod kontrolą bolszewików, dość szybko w polskiej jednostce znalazło się blisko 2 tys. ochotników. Podlegała ona dowództwu angielskich oddziałów interwencyjnych, operujących w północnej Rosji. Byli to żołnierze, którzy już zetknęli się z bolszewikami, i dlatego charakteryzowali się znacznie twardszą postawą wobec nich niż Dywizja Syberyjska. Oddział polski odznaczył się w bojach „białych” i koalicji nad Onegą, pod Archangielskiem i nad północną Dźwiną. Po wycofaniu się Anglików z północnej Rosji został – jako batalion murmański – ewakuowany do Polski (wszedł w skład 64. pułku piechoty).

### **Samoobrony kresowe – pod własnymi znakami i w polskiej służbie**

Pod koniec 1918 r. armia niemiecka poniosła porażkę na froncie zachodnim. Niemcy zawarły rozejm z koalicją aliancką 11 listopada 1918 r. Był to koniec I wojny światowej, wówczas zwanej po prostu „wojną światową” lub „wielką wojną”. Po konferencji pokojowej w Wersalu Polska – mająca swój udział w zwycięstwie aliantów dzięki walkom ponad siedemdziesięcioletniej Błękitnej Armii we Francji – odzyskała niepodległość. Kształtowanie się jej granic, zarówno wschodnich, jak i zachodnich, było procesem długotrwałym i trudnym, realizowanym w zbrojnej walce. Wojska pruskie stopniowo opuszczały ziemie polskie. W Kongresówce doszło przy tym do rozbrajania Niemców przez POW już w listopadzie 1918 r., w Wielkopolsce i na Śląsku trzeba było z nimi stoczyć krwawe walki.

Okupacja przez Niemców polskich terenów północno-wschodnich (Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny) trwała jeszcze kilka miesięcy. Ziemie te, odcięte kordonem niemieckim od centralnej Polski, w miarę wycofywania się Prusaków stawały się dostępne dla zrewolucjonizowanych watah, a wkrótce również wojsk bolszewickich, wkraczających na te tereny w wyniku porozumienia zawartego z ewakuującymi się Niemcami. Trzeba też wspomnieć, że jeszcze we wrześniu 1917 r. Niemcy utworzyli w Berlinie litewską Radę Narodową (tzw. Tarybę), a w grudniu tego roku pozwolili proklamować jej niepodległość Litwy. Młody nacjonalizm litewski, nieumiarkowany w swych nieuzasadnionych roszczeniach terytorialnych sięgających po Wileńszczyznę, a nawet Nowogródzczyznę, zagrażał odtworzeniu Polski w jej historycznym kształcie. Wobec upadku Prus na froncie zachodnim, ale jeszcze w końcowym okresie rządów niemieckich na polskich ziemiach północno-wschodnich, miejscowa społeczność polska powzięła zamiysł wyrugowania zaborców własnymi siłami i zapewnienia

warunków do restytuowania Polski. Utworzono w tym celu (pod płaszczykiem organizacji samopomocowych i porządkowych) polskie struktury konspiracyjne o charakterze wojskowym. W ten sposób prawie niezależnie od siebie powstały Samoobrony Wileńska, Grodzieńska i Mińska. W decydującym momencie, gdy ewakuujący się Niemcy sądzili, że przekażą nadciągającym bolszewikom dawne tereny północno-wschodnie I RP bez liczenia się ze zdaniem ludności polskiej, samoobrony kresowe przeciwstawiły się temu scenariuszowi.

Samoobrona Wileńska, dowodzona przez gen. Władysława Wejtkę (szefem sztabu był zasłużony dla sprawy polskiej mjr Stanisław Bobiatyński), obejmowała również teren powiatu lidzkiego i miejscowe, lokalne samoobrony. Gdy 1 stycznia 1919 r. Niemcy opuścili Wilno, opanowali je Polacy. Oddziały Samoobrony Wileńskiej nie zdołały jednak utrzymać miasta i po krótkich walkach zostały wyparte przez wkraczających bolszewików. Część polskich oddziałów ogarnęli cofający się Niemcy, jednak część dowodzona przez mjr. Jerzego Dąmbrowskiego (zwanego „Łupaszka”) ocalała i zorganizowana jako Wileński Oddział Wojsk Polskich postanowiła z bronią w ręku przedrzeć się do Kongresówki.

Samoobrona polska została również zorganizowana w Lidzie, Szczuczynie i Ejszyskach (łącznie siła: 320 ludzi). Organizatorem Samoobrony Lidzkiej był ppor. Wacław Szukiewicz, Samoobrony Szczuczynskiej – por. kawalerii Bolesław Lisowski, zaś Ejszyskiej – podkapitan Kazimierz Ilcewicz. Działania oddziałów lidzkich w rejonie Niecieczy i Bielicy doprowadziły w listopadzie i grudniu 1918 r. do zlikwidowania tam pierwszych wystąpień bandycko-bolszewickich. Szczuczynski oddział por. Bolesława Lisowskiego podjął podobne działania na swym terenie, organizując nawet dalekie wypadki za Niemen. Oddział ten cieszył się poparciem miejscowej ludności, która traktowała jego członków jako swych wybawców i obrońców. Gdy w ostatnich dniach grudnia 1918 r. Niemcy ewakuowali się z Lidy, samoobrona polska objęła władzę na terenach od Lidy po Szczuczyn. Wkrótce powstała polska władza cywilna – Rada Narodowa Ziemi Lidzkiej. Wymarsz oddziału ppor. Wacława Szukiewicza, który na rozkaz dowództwa Samoobrony Wileńskiej pospieszył z pomocą siłom polskim w Wilnie, sprawił, że gdy 6 stycznia 1919 r. wkroczyły do Lidy oddziały sowieckiej Zachodniej Dywizji, były tam tylko polskie władze cywilne. Bezsilne wobec bolszewickiego bezprawia, musiały przejść do konspiracji. Tymczasem marsz Samoobrony Lidzkiej na pomoc Wilnu został – wobec upadku miasta – odwołany. Wacław Szukiewicz poszedł w Szczuczynskie, gdzie w majątku Górnofel połączył się z oddziałem por. Bolesława Lisowskiego. Połączone oddziały w sile około dwustu ludzi przeprowadziły 9 stycznia 1919 r. nieudany wypad na Lidę. W majątku Lebidka 16 stycznia doszło do walki polskiej



Sztab oddziału partyzanckiego braci Dąmbrowskich, luty 1919 r. Siedzą od lewej: mjr Władysław Dąmbrowski, rtm. Jerzy Dąmbrowski, stoją: W. Chmieliński, B. Kuczyński, B. Kaczkowski, N.N.

placówki z oddziałem bolszewickim (padło wówczas sześciu polskich ochotników, a wielu odniosło rany; poległych – po uroczystym nabożeństwie w Szczuczynie – pochowano na miejscowym cmentarzu; ich mogiła zachowała się do dzisiaj). Wobec miażdżącej przewagi bolszewików i braku możliwości utrzymania się w Szczuczyńskiem, Samoobrony Lidzka, Szczuczyńska i Ejszyska połączyły się z oddziałem mjr. Jerzego Dąmbrowskiego, który wywodził się z Samoobrony Wileńskiej i podjęły marsz za Niemen (łącznie ponad siedemset bagnatów i szabel). Oddział, odnosząc szereg zwycięstw z bolszewikami w brawurowo przeprowadzonych operacjach partyzanckich (np. rozbięcie 19 stycznia 1919 r. garnizonu w Różanie, walki 3 lutego 1919 r. w rejonie Prużany), pod koniec 1919 r. zdołał dołączyć do regularnych jednostek Wojska Polskiego.

Działania samoobron kresowych nie miały tak spektakularnego charakteru jak boje wielkich jednostek polskich uformowanych na Wschodzie i na Zachodzie. Jednak ze względu na to, że tworzone były przez miejscowe społeczeństwo polskie – walczące w obronie własnej ojcowizny i całej Rzeczypospolitej – należą do najbardziej chlubnych kart polskiego oręża tamtej epoki.

### Wybrana literatura

- Bagiński Henryk, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914–1920*, Warszawa 1921 (reprint – Warszawa 1990).
- Bieleje Dwiżenje. Memuary A.I. Denikina, P.N. Krasnowa, P.H. Wrangla*, Moskwa 2006.
- Brochocki Andrzej, *Dzieje samoobrony w Szczuczynie Nowogródzkim (rok 1918–19)*, Wilno 1936 (reprint – Warszawa b.d.wyd.).
- Dowbór-Muśnicki Józef, *Wspomnienia*, Warszawa 2003.
- Dierzabin A., Pałasnos-Fernandez R., *Grażdanska wojna w Rosji 1917–1922. Narodnyje armie*, Moskwa 1998.
- Dziczkaniec Józef, *Samoobrona Ziemi Lidzkiej*, Lida 1938 (reprint – Warszawa b.d. wyd.).
- Dzierżykraj-Stokalski Wiktor, *Dzieje jednej partyzantki z lat 1917–1920*, Lwów 1927 (reprint – Warszawa b.d.wyd.).
- Fierla Damian, *Rosja 1917–1920*, Warszawa 2003.
- Kossak Zofia, *Pożoga*, Rzeszów 1990.
- Odziemkowski Janusz, *Leksykon bitew polskich 1914–1921*, Pruszków 1998.
- Rządkowski Jan, *Pierwszy Legion Puławski (od Pakosławia do Zelwy 19 V 1915–11 IX 1915)*, Warszawa 1925.
- Strzembosz Tomasz, *Saga o „Łupaszcze” pplk. Jerzym Dąmbrowskim*, Warszawa 1996.
- Lipiński Wacław, *Walka zbrojna o niepodległość Polski w latach 1905–1918*, Warszawa 1990.
- Małaczewski Eugeniusz, *Koń na wzgórzu*, Warszawa b.d. wyd.
- Weller M., Burowskij A., *Grażdanskaja istorija bezumnoj wojny*, Moskwa 2007.
- Wrangel Piotr, *Wspomnienia*, Warszawa 1999.
- Wrzosek Mieczysław, *Polskie korpusy wojskowe w Rosji 1917–1918*, Warszawa 1969.

# MATKA PREMIERA

## O POLAKACH W DOWBYSZU

– Być Polakiem w Związku Sowieckim w latach 1937–1938 to prawie to samo, co być Żydem w III Rzeszy – powiedziała do mnie starsza, siedemdziesięcioośmioletnia kobieta, Helena Trybl, w której domu gościliśmy w miasteczku Dowbysz<sup>1</sup> na Ukrainie. – W kraju zapanowała atmosfera powszechnego strachu, GPU–NKWD na polecenie władz urządziło prawdziwe polowanie na Polaków. Uważano nas za swoistą „piątą kolumnę”, zdolną w razie wojny z Polską zdradzić „ojczyznę światowego proletariatu” – dodaje. Helena Trybl jest matką byłego premiera Ukrainy Jurija Jechanurowa<sup>2</sup>. Jej los i trudna droga życiowa dobrze ilustrują tragiczne doświadczenia Polaków w Sowietach w XX w.

Sam też muszę przyznać, że był w moim życiu taki moment, kiedy myślałem, iż polskość na tych ziemiach nigdy się nie odrodzi. Zniszczone były jej korzenie. W roku 1938 władza sowiecka praktycznie zakończyła niszczenie Kościoła katolickiego. Z prawie pięciuset kościołów działających w 1923 r. na terenie Związku Sowieckiego, w przeddzień II wojny światowej pozostały jedynie dwa. Były to świątynie katolickie działające na potrzeby korpusu dyplomatycznego w Moskwie i Leningradzie. Dla niezliczonych ocalałych miejscowych Polaków wstęp do nich nie był zakazany, ale groził poważnymi konsekwencjami. Katolicyzm był na terenie ZSRS jedynym wyznaniem, które postanowiono zniszczyć całkowicie. Nie bez znaczenia był zapewne związek katolicyzmu z polskością. W stosunku do innych wyznań – prawosławia, islamu, judaizmu – przyjęto politykę ograniczania.



Helena Trybl

Helenę Trybl spotkałem po raz pierwszy na schodach kościoła katolickiego w Dowbyszu. Wyszła właśnie po niedzielnej Mszy z wnuczką, nie wzbudzając żadnej sensacji. Ta starsza kobieta, ubierająca się w ciemne stroje (jak większość tutejszych Polek w jej wieku), niczym szczególnym nie wyróżniała się wśród tłumnie wychodzących ze świątyni Polaków. Proboszcz miejscowego kościoła ks. Stanisław Firut mówi o niej jako o jednej z bardzo głęboko wierzących parafianek. Nie ma niedzieli, żeby pani Helena nie uczestniczyła w Mszy.

Urodziła się w 1928 r. w Marchlewsku, ówczesnej stolicy polskiego autonomicznego rejonu na Ukrainie, powszechnie nazywanego Marchlewszczyzną Sowiecką. O swoich rodzicach pani Helena mówi, że byli bardzo pobożnymi katolikami. W jej domu mówiono po polsku, pielęgnowano tradycje religijne i narodowe. W historii jej życia jak w lustrze odbiły się tragiczne dzieje Polaków, mieszkańców tzw. dalszych Kresów. Kiedy mała Helenka miała pójść do pierwszej klasy polskiej szkoły w Marchlewsku, szkoła została zamknięta,

<sup>1</sup> W latach dwudziestych przemianowany na Marchlewsk.

<sup>2</sup> Jurij Jechanurow – premier Ukrainy od września 2005 do sierpnia 2006 r.

a sama Marchlewszczyzna rozwiązana. Prawie połowę jej mieszkańców wysiedlono do Kazachstanu. Był wtedy rok 1935.

Od przedwojennej granicy Polski ze Związkiem Sowieckim do sześciotysięcznego Dowbysza na Żytomierszczyźnie jest prawie 110 km. Unikalność Dowbysza polega na tym, że jest to jedyne miasto na Ukrainie, w którym Polacy stanowią większość. Była stolica polskiego rejonu autonomicznego dziś przeżywa nowe polskie odrodzenie. Nad miastem góruje piękny nowo wybudowany kościół katolicki. Po latach straszliwych antypolskich represji, teraz liczba Polaków stale tu wzrasta. Powracają z kazachstańskiego zesłania dzieci i wnukowie wysiedlonych. Jakby wbrew logice można zaobserwować powolną polonizację miejscowych Ukraińców. Proboszcz twierdzi, że w rodzinach mieszanych polsko-ukraińskich i polsko-rosyjskich prawie zawsze zwycięża opcja katolicka.

Stefan Kuriata, przewodniczący Stowarzyszenia Polaków im. Jana Pawła II w Dowbyszu, mówi, że czasy, kiedy być Polakiem na Ukrainie było niewygodnie i nawet niebezpiecznie, skończyły się bezpowrotnie. Autorytet Polski wyraźnie wzrósł w oczach Ukraińców, zwłaszcza po pomarańczowej rewolucji, chociaż samą rewolucję ludzie oceniają różnie. Polacy na Ukrainie mają dziś – jego zdaniem – absolutną wolność w rozwoju swego życia narodowego. – Wszystko zależy od nas samych i od Polski. Mamy tyle możliwości, ile jesteśmy w stanie wykorzystać. Problem polega na tym, że ograniczenie jest w nas samych, bo bardzo długo byliśmy ludźmi drugiej kategorii.

Stefan Kuriata też pochodzi z rodziny deportowanych. W 1935 r. Stalin uznał postępy sowietyzacji Polaków za niewystarczające. Uznał także, iż do zwalczania ich lojalności wobec II Rzeczypospolitej i Kościoła katolickiego należy stosować środki o wiele ostrzejsze niż perswazja. Chętnych do zastosowania tych ostrzejszych środków w stalinowskim imperium nigdy nie brakowało. Rozpoczęła się pierwsza fala antypolskich represji. Jednym z głównych wykonawców planu Stalina był Polak, pierwszy sekretarz ukraińskiej kompartii – Stanisław Kosior, który niedługo potem sam zginął, zmieciony przez kolejną falę represji.

W tragicznym roku 1935 małej Helenie i jej rodzinie poszczęściło się – ominęła ich wywózka. Ale, jak się później okazało, to właśnie ludzie wywożeni w pierwszej kolejności byli szczęściarzami. Pierwsza fala deportacji była wyjątkowo łagodna w porównaniu z późniejszymi. W 1937 r. ojca Helenki oskarżono o szpiegostwo na rzecz II Rzeczypospolitej. Wyrok za to mógł być tylko jeden. Całą rodzinę deportowano nie do „ciepłego” Kazachstanu, a do mroźnej Jakucji, gdzie w zimie temperatura spada do minus 50°C. Z głodu i chłodu w Jakucji zmarł młodszy brat Helenki. Pani Helena pamięta, jak dzieci w jakuckiej szkole, mimo że same w większości były z rodzin zesłańców, piły z jej polskość. Najtrudniejsze były lata wojny. – Jak my z matką przeżyliśmy, jeden Bóg wie – mówi ze łzami w oczach.

Profesor Henryk Stroński zna w Dowbyszu prawie każdego. Jest kronikarzem dziejów polskiej mniejszości na Ukrainie, a zarazem przewodniczącym stowarzyszenia naukowców uznających się za Polaków. Mieszka w Tarnopolu, wyklada na tamtejszym uniwersytecie. Często gości w Polsce z odczytami. O resztkach polskiej inteligencji na Ukrainie mówi: „Był czas, kiedy my, Polacy, mówiliśmy o sobie, że nie jesteśmy już narodem, tylko grupą społeczną, prawie całkowicie zniszczoną, sprowadzoną na sam dół społeczeństwa sowieckiego. Przeprowadzona w latach 1935–1938 tzw. polska operacja NKWD przeraża nawet doświadczonego badacza swym rozmachem i bezwzględnością. Rozstrzelano w tym okresie 111 tys. Polaków, obywateli sowieckich, czyli co siódmego człowieka mającego w swym paszporcie wpisaną narodowość polską. Polacy stanowili w tym czasie ok. 0,6 proc. ludności Kraju Rad,





Prof. Henryk Stroński

natomiast 15 proc. wśród ofiar terroru stalinowskiego<sup>3</sup>. Polska inteligencja w Rosji przestała istnieć. Jej resztki, w obawie przed represjami, przeniosły się do Polski albo wynarodowiły się. Dziś sytuacja zmienia się, ale bardzo powoli”.

Zniszczenie polskości na tzw. dalszych Kresach w okresie międzywojennym stanowiło – według Strońskiego – kolejny etap konsekwentnej polityki „odpolonizowania” tych terenów, prowadzonej przez Rosję carską nieprzerwanie na przestrzeni całego XIX w. Antypolska polityka caratu i niszczenie narodu polskiego w okresie stalinizmu miały wyraźnie wspólny cel – doprowadzenie do powstania zupełnie nowej sytuacji

narodowościowej i przekształcenia licznej niegdyś zbiorowości Polaków – Kresowiaków w kategorię wyłącznie historyczną. Stojąc na schodach kościoła w Dowbyszu nie mogłem opanować wzruszenia – Boże! Po tym wszystkim, co się stało, polskość przetrwała, polskość się odradza!

Osiemnaście lat temu ukazała się moja książka *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939*. Przedstawiłem w niej tezę, że Polacy byli pierwszą wielką grupą narodowościową ukaraną przez reżim stalinowski właśnie za swoją przynależność narodową, a nie – jak dotychczas praktykowano – za tzw. przynależność klasową. Po raz pierwszy, już w 1935 r., w ZSRS zastosowano masowe represje „według krwi”, jak to określił w *Archipelagu Gulag* Aleksander Solżenicyn. Po wieloletnich badaniach z całą stanowczością potwierdzam tę tezę.

Tragiczne pierwszeństwo Polaków wśród narodów prześladowanych przez stalinizm (później do grupy „ukaranych narodów” dołączyli Koreańczycy, Ingermanlandczycy<sup>4</sup>, Tatarzy krymscy, Niemcy nadwołżańscy, Czeczeni, Ingusze, Kałmucy i inni) wynikało z kilku powodów. Zarówno w sensie ekonomicznym, jak i militarnym Polska była najpotężniejszym państwem demokratyczno-parlamentarnym, mającym wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim. Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli potencjalnego „imperialistycznego agresora”, zdolnego realnie zagrozić stabilności władzy sowieckiej. Propaganda komunistyczna traktowała Polskę jako wroga numer jeden i bardzo często posługiwała się „polską kartą” jako swego rodzaju straszakiem w kolejnych kampaniach walki z wewnętrznymi przeciwnikami ustroju, mającym uzasadniać stalinowski terror. Szczególne zagrożenie wojną ze strony Polski podkreślano przy każdej nadarzającej się okazji w oficjalnych dokumentach Międzynarodówki Komunistycznej. Po przewrocie majowym w 1926 r. sowieckie źródła masowego przekazu zaczęły określać II Rzeczpospolitą nie inaczej jak „Polska faszystowska”. Do tego dochodziły także osobiste uprzedzenia Stalina wobec Polaków oraz zadawnione antypolskie nastroje w społeczeństwie rosyjskim i sowieckim. Likwidacja polskiej „piątej kolumny” stała się jednym z najważniejszych uzasadnień terroru

<sup>3</sup> N. Ochotni, N. Petrow, A. Roginskij, *Pierwsza zagłada Polaków*, „Wprost” z 30 IV 2006, s. 78–79.

<sup>4</sup> Prawosławni Finowie zamieszkujący obszar po obu stronach Newy między jez. Ładoga a Zatoką Fińską.

stalinowskiego na długo przed Katyniem i masowymi represjami wobec Polaków, obywateli II Rzeczypospolitej.

Helena Trybl pamięta, że ludzie czujący się Polakami musieli to ukrywać. Po wojnie, żeby jakoś żyć, zmuszona była zmienić swoje polskie imię Helena, na rosyjskie Galina. Dopiero teraz, w niepodległej Ukrainie, wróciła do swego dawnego imienia. W Jakucji spotkała Buriata, buddystę, także zesłańca, którego wkrótce poślubiła. Tam też urodził się ich syn Jurij. Kiedy po wojnie pojawiła się możliwość powrotu na Ukrainę, mąż pani Heleny postanowił zostać. Z malutkim synkiem wróciła do Dowbysza pod koniec lat pięćdziesiątych. Pracowała jako nauczycielka w miejscowej szkole. Do polskości zaczęła przyznawać się w dobie gorbaczowskiej pieriestrojki. Pierwszy raz po wojnie weszła do kościoła w 1990 r. Dziś jest szczęśliwa, że nareszcie może być sobą.

Opowiadała mi, jak podczas jej pobytu w szpitalu podszedł do niej jeden z chorych i zapytał – czy to prawda, że pani jest matką premiera? Uzyskawszy pozytywną odpowiedź i dowiedziawszy się, że pani Helena jest Polką-katoliczką, trochę naiwnie skomentował to w sposób następujący: „Teraz rozumiem, dlaczego ten premier tak się wyróżnia swoimi prawie arystokratycznymi manierami na tle naszych innych liderów. Wiadomo, jest Polakiem, ma takie polskie wychowanie. A tu mówią, że jest Buriatem”.

Ksiądz Stanisław twierdzi, że deportacji udało się uniknąć tym, którzy podali się za Ukraińców, a także niektórym katolikom z rodzin mieszanych. Po śmierci Stalina wielu Polaków wróciło z Kazachstanu. W odróżnieniu od Niemców nadwołżańskich, Polacy nie mieli zakazu powrotu w rodzinne strony. Ktoś czegoś nie dopilnował. Ale masowy powrót ludzi do Kościoła i szeroko rozumiane odrodzenie polskość na dalszych Kresach rozpoczęło się dopiero po upadku komunizmu. Ksiądz Stanisław przyjechał do Dowbysza jako misjonarz z Polski czternaście lat temu. Dziś nie wyobraża sobie powrotu do Polski na stałe. Żyje się z miejscowym społeczeństwem. Żyje na co dzień jego problemami. Tu ksiądz jest nie tylko duszpasterzem, ale i swoistym ojcem całej parafii. Do księdza ludzie idą po radę w sprawach zdrowotnych, proszą o pomoc materialną, o poradę w sprawach intymnych, zwracają się prawie zawsze, kiedy trzeba podjąć życiową decyzję.

Nauczył się mówić „po miejscowemu”. Jak twierdzi, nie jest to ani język polski, ani ukraiński, raczej dziwna miejscowa mieszanka polsko-ukraińska. Tutejsi Ukraińcy też posługują się tym dialektem. Msza św. w kościele zawsze odprawiana jest po polsku, ale kazania ksiądz Stanisław często wygłasza „po miejscowemu”. Na spowiedzi, kto w jakim języku się spowiada, w takim otrzymuje wskazówki księdza i rozgrzeszenie.

Prawosławni w Dowbyszu są w mniejszości. Nie przykładają też takiej wagi do praktyk religijnych jak Polacy. Kościół w Dowbyszu jest w prawie każdą niedzielę przepełniony, miejscowa cerkiew świątyni pustkami. Z poprzednim prawosławnym proboszczem księdza Stanisława łączyły przyjacielskie stosunki. Często się odwiedzali. Prawie na każde święto prawosławne „batuszka” zapraszał kolegę księdza do cerkwi, gdzie wierni z wielkim zaciekawieniem słuchali jego kazania. Ksiądz Stanisław ze swej strony nie pozostawał dłużny, w katolickie święta wierni mogli wysłuchać w kościele kazania duchownego prawosławnego. Ze względu na nie najlepsze stosunki między dwoma największymi odłami chrześcijaństwa, przyjaźń duchownych w Dowbyszu nie mogła trwać długo. Ktoś doniósł i „batuszkę” przeniesiono gdzie indziej. Nowy, młody ksiądz prawosławny zachowywał się już „jak należy” – nawet nie zawsze witał się z księdzem Stanisławem.

Spotykani na ulicy starsi ludzie (co najmniej po osiemdziesiątce) prawie wszyscy do brze mówią po polsku. Jeden z przechodniów zadziwił mnie długim, prawie dziesięciomi-

nutowym deklamowaniem na pamięć Mickiewiczowskiego *Konrada Wallenroda*.

A teraz paradoks – krzewieniem polskości w Dowbyszu, równoległe z Kościołem katolickim, aktywnie zajmowała się ta sama sowiecka władza, która później tę polskość zniszczyła. Henryk Stroński opowiada o przepro-



Polski cmentarz w Dowbyszu

wadzonym w ZSRS w latach dwudziestych i pierwszej połowie lat trzydziestych eksperymencie z ludnością polską w ramach tzw. leninowskiej polityki narodowościowej. Było to utworzenie w rejonach zwartej osadnictwa Polaków przy granicy z II Rzeczpospolitą na Białorusi i Ukrainie polskiej autonomii narodowościowej, opartej na zasadach organizacyjnych społeczeństwa sowieckiego. We wszystkich państwowych i partyjnych instytucjach Marchlewszczyzny (z milicją i sądem włącznie) wprowadzono jako urzędowy język polski, podobnie prawie we wszystkich szkołach.

Jednym z głównych powodów „polskiego” eksperymentu i założenia Marchlewszczyzny było narastanie w ZSRS wrogich nastrojów wobec II Rzeczypospolitej. Dla komunistów sowieckich, którzy całkiem niedawno przegrali na przedpolach Warszawy wojnę z Polską, II Rzeczpospolita była idealnym wrogiem na użytek wewnętrzny. Profesor Henryk Stroński jest autorem wydanej w Polsce książki *Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach 1929–1939*. Oprowadzając mnie po Dowbyszu, opowiadał, że szczególny charakter stosunków polsko-sowieckich w okresie międzywojennym spowodował niezwykle intensywne nasilenie prac nad budowaniem polskiego „społeczeństwa socjalistycznego” i jego wyraźne uprzywilejowanie w porównaniu z tworzonymi autonomiami innych narodów ZSRS. Marchlewszczyzna miała stać się wzorowym sowieckim rejonem autonomicznym. Nie szczędzono na ten cel ani sił, ani środków. Komuniści polscy w ZSRS zaproponowali stworzenie na Marchlewszczyźnie dużych zakładów przemysłowych, bo chcieli, by w polskim społeczeństwie kresowym powstała warstwa proletariacka. W ówczesnych warunkach jedyną taką możliwość stwarzał przyspieszony rozwój gałęzi przemysłu już istniejącego, mającego na miejscu odpowiednie zaplecze i surowce. Dlatego zdecydowano postawić na rozwój przemysłowego wyrobu szkła i porcelany. W latach 1928–1931 wybudowano na Marchlewszczyźnie dwie nowe huty szkła w miasteczkach Bykówka i Marianówka. Gruntownie zmodernizowano również dwie istniejące huty w Marchlewsku i Kamiennym Brodzie. Ta ostatnia w wyniku modernizacji zwiększyła swoją produkcję prawie dziesięciokrotnie, a liczba zatrudnionych wzrosła blisko trzykrotnie – z 580 do 1505 osób. Ogółem liczba robotników Marchlewszczyzny osiągnęła 5884, co stanowiło prawie 11,2 proc. całej ludności polskiego rejonu.

Tak zwana industrializacja Marchlewszczyzny formalnie dawała polskim komunistom w ZSRS możliwość występowania w imieniu polskiego proletariatu sowieckiego. W ich rozumieniu Marchlewszczyzna powoli przekształcała się w idealny rejon socjalistyczny, zarodek przyszłej Polskiej Republiki Rad. W miejscowej gazecie „Marchlewszczyzna Radziecka” pisano: „W szeregach polskiej klasy robotniczej rejonu powinni kształcić się przyszli sternicy budownictwa socjalistycznego Polskiej Republiki Rad”.

Międzywojenna rzeczywistość była jednak dość daleka od tych wyidealizowanych komunistycznych planów – uważa Henryk Stroński. Nowi robotnicy w większości wywodzili się z miejscowej ludności polskiej, bardzo religijnej, wychowanej w duchu polskiej tradycji kresowej. Represje antypolskie w drugiej połowie lat trzydziestych wyraźnie dowodzą, że uznanie ich za świadomych przyszlých bojowników o Polską Republikę Rad – było przynajmniej przedwczesne.

W ZSRS nigdy nie ukrywano, że eksperyment z autonomią zrodził się z wrogości do państwa polskiego. Raczej na odwrót, „antypolskie” oblicze Marchlewszczyzny ukazywano przy każdej nadarżającej się okazji. Na łamach „Trybuny Radzieckiej” jeden z czołowych komunistów polskich w Związku Sowieckim – Tomasz Dąbal – pisał: „Rycerzyki Piłsudskiego, o ile się gotują jako najmieci imperialistów angielskich do nowej wojny z ZSRR, liczą w razie jej wszczęcia na sympatię ludności polskiej w pasie przygranicznym oraz na to, że w oczach mas pracujących Polski i zagranicy będą mogli nową wojnę imperialistyczną przedstawić jako rzekomą walkę o wyzwolenie ludności polskiej, jęczącej pod jarzmem bolszewickim. Zdłudne są te nadzieje. Ponadto wzrost sympatii i przywiązania ludności polskiej ZSRR do Władzy Radzieckiej sam przez się wywiera rewolucjonizujący wpływ na masy robotniczo-chłopskie Polski, a zwłaszcza na robotników i chłopów Białorusi i Ukrainy Zachodniej”.

Tomasz Dąbal nieprzypadkowo wymienił tereny zamieszkiwane przez dwie najliczniejsze w II Rzeczypospolitej mniejszości słowiańskie, były one bowiem traktowane w ZSRS jako przeciwwaga polskiej mniejszości narodowej w Związku Sowieckim. Polska prasa sowiecka nie marnowała okazji do podkreślania tej współzależności. Charakter polsko-sowieckich wzajemnych stosunków w tym okresie niewątpliwie sprzyjał pogłębieniu świadomości politycznej i aktywności społecznej tych grup mniejszościowych po obu stronach granicy. Nie ulega również wątpliwości, że stopień komunizowania się ludności ukraińskiej i białoruskiej w Polsce był mniej więcej proporcjonalny do stopnia sowietyzowania się Polaków na dalszych Kresach.

W tworzeniu sowieckiej autonomii polskiej wyraźnie przeważał zewnętrzny aspekt polityczny. Miał on tak doniosłe znaczenie, że nawet gdyby w ZSRS nie było odpowiednio licznej polskiej mniejszości narodowej, nadającej się do przeprowadzenia „polskiego” eksperymentu, kierownictwo komunistyczne nie zawahałoby się przed stworzeniem pozorów jej istnienia. Dowodów potwierdzających dominację celów zewnętrznych w tej sprawie jest sporo. Oto fragment rezolucji II Zjazdu Rad Polskiego Rejonu Narodowego im. J. Marchlewskiego (19 i 20 marca 1927 r.): „Zjazd obecny ma znaczenie sięgające poza granice Związku Radzieckiego. Będzie on naocznym porównaniem polityki narodowościowej władzy sowieckiej z polityką faszystowskiej Polski, gnębiącej mniejszości narodowe”. Podobną treść miał powitalny telegram wysłany do uczestników zjazdu przez Feliksa Dzierżyńskiego: „Głos wasz dojdzie do mas pracujących Polski, które nie dopuszczą do nowego wystąpienia zbrojnego przeciwko Ukrainie i Białorusi, obliczonego na to, ażeby odebrać ziemie włościanom oraz przerwać ich pracę w zakresie budownictwa socjalizmu”<sup>5</sup>. Telegram autorstwa najbar-

<sup>5</sup> Archiwum Akt Nowych, MSZ, sygn. 6705, s. 167.

dziej utytułowanego z sowieckich komunistów – Polaków, wymownie świadczy o wadze politycznej sowieckiego eksperymentu. Dzierżyńskiemu i innym polskim działaczom komunistycznym dawał on szansę działania na płaszczyźnie narodowościowej – w środowisku Polaków zamieszkałych w Związku Sowieckim. Ta okoliczność podnosiła ich autorytet polityczny wśród komunistów sowieckich, jak również przynosiła satysfakcję osobistą.

Polityczne cele i zadania tworzenia polskiej autonomii określono od razu jasno i wyraźnie. Miała udowodnić, że jedynie w państwie sowieckim jest możliwe „pełnowartościowe, szczęśliwe życie polskich mas pracujących”. Bronisław Skarbek, jeden z czołowych twórców koncepcji polskiej autonomii sowieckiej, zamieścił na ten temat na łamach „Trybuny Radzieckiej” artykuł pod bardzo wymownym tytułem: *Nasza sowietyzacja Polski*, w którym otwarcie pisał, że ta działalność ma znaczenie przede wszystkim dla polityki zewnętrznej i jest skierowana przeciw Polsce. „Faszystów polskich najbardziej doprowadza do wściekłości fakt oddziaływania postępów budownictwa socjalistycznego wśród polskich mas pracujących ZSRR na robotników i włościan w samej Polsce, usuwa bowiem im spod nóg grunt dla agitacji faszystowskiej”.

Wszystko to – zdaniem Strońskiego – świadczy o panującej wówczas w ZSRS atmosferze psychozy wojny z II Rzeczpospolitą. Jednocześnie łudzono się, że w Polsce istnieje już sytuacja rewolucyjna i że stanie się ona pierwszym ogniwem przyszłej socjalistycznej Europy.

Wzmoczona fala propagandy militarystycznej była zapowiedzią zbliżającego się terroru stalinowskiego. Władze świadomie podtrzymywały w społeczeństwie stałe napięcie i oczekiwanie na kolejne zaciekle starcia z prawdziwymi i rzekomymi wrogami władzy sowieckiej. Perspektywa rewolucji światowej, obalenia ustroju burżuazyjnego w Polsce i wykorzystanie dla tych celów Marchlewszczyzny były dobrymi hasłami do podtrzymania wojowniczych nastrojów i stałego szukania wrogów nie tylko w środowisku polskim, ale i w całym społeczeństwie sowieckim.

Dziś w Dowbyszu prawie co piąty dorosły mieszkaniec pracuje w fabryce porcelany, znanej na Podolu już w XIX stuleciu. W latach trzydziestych fabryka została gruntownie zmodernizowana i rozbudowana. W niepodległej Ukrainie kupili ją Rosjanie z Kaługi. Początkowo nosili się z planami zwiększenia produkcji, ale wkrótce ich zapał osłabł. Obecnie, jak mówią miejscowi, fabryka wegetuje.

Przed II wojną światową o Polakach mieszkających w ZSRS mówiono jako „o tych za Zbruczem”, podobnie jak dziś o rodakach mieszkających na byłych Kresach II Rzeczypospolitej mówi się jako „o tych za Bugiem”. W okresie międzywojnia „tych za Zbruczem” było według oficjalnych sowieckich statystyk 750 tys. Szacunki niezależnych badaczy mówią o ponad 1,2 mln osób. Dziś „ci zza Zbruczka” mieszkają na tzw. dalszych Kresach, ponad 500 km od obecnej granicy polskiej. Po latach antypolskiej polityki sowieckiej mogliby się wynarodowić, zasymilować i zniknąć z mapy narodowościowej dzisiejszych niepodległych Ukrainy i Białorusi. Tak jednak się nie stało. Niektórzy uważają to za cud, inni traktują to jako niezwykle fenomen polskości kresowej, która, czym większe represje, tym jest bardziej trwała.

Polska na tych ziemiach ostatni raz była obecna ponad trzysta lat temu. I przez te wszystkie lata rosyjska, a potem sowiecka władza zawsze (poza nielicznymi wyjątkami) zmuszała ludzi do rezygnacji z polskości, wmawiała im, że są spolonizowanymi Ukraińcami czy Białorusinami. Dziś polskość wychodzi z ukrycia. Sporo zasymilowanych Polaków z pasją odkrywa swoje korzenie. Na Ukrainie nie ma już obaw, że powróci polityka okrutnej depolonizacji Kresów.

# KUROPATY

## CMENTARZYSKO POLSKICH OFIAR SOWIECKIEGO TERRORU

**Sowieckie imperium budowano na ludzkich kościach. Niemal pod każdym większym miastem byłego ZSRS znajduje się miejsce, położone zazwyczaj w lesie, gdzie już od końca lat dwudziestych ubiegłego wieku w masowych dołach śmierci grzebano tysiące ofiar terroru. System represji i zbrodni dotknął wiele nacji, wśród nich Polaków. Bułowo na peryferiach Moskwy, Lewaszowo pod Petersburgiem, Bykownia na przedmieściach Kijowa, Kuropaty na północnych obrzeżach Mińska – to wielkie cmentarzyska kryjące prochy także polskich ofiar.**

W wyniku traktatu ryskiego za wschodnią granicą Polski pozostało ok. 1,2 mln Polaków, którzy stali się obywatelami sowieckimi. Większość z nich mieszkała na terytorium dwóch republik: Ukraińskiej SRS i Białoruskiej SRS, czyli na obszarze wschodnich województw I Rzeczypospolitej. Byli to rdzenni mieszkańcy Zachodnich Guberni Cesarstwa Rosyjskiego lub potomkowie emigrantów z Królestwa<sup>1</sup>. Polska ludność w Związku Sowieckim stała się przedmiotem szczególnego eksperymentu narodowościowego, któremu nadano ramy prawnoadministracyjne. Początkowo na mocy uchwał rad komisarzy ludowych obu republik zaczęto tworzyć polskie *sielsowiety*, czyli rady wiejskie. Kolejnym etapem było powołanie dwóch rejonów autonomicznych. Na Wołyniu 21 lipca 1925 r. powstała Marchlewszczyzna ze stolicą w miasteczku Dowbysz (Dołbysz), przemianowanym na Marchlewsk. Siedem lat później, 15 marca 1932 r., utworzono na Białorusi Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego.

### Dzierżyńszczyzna

Lata dwudzieste XX w. w Związku Sowieckim to okres poszerzania praw mniejszości narodowych<sup>2</sup>. Wtedy w Białoruskiej SRS język polski zyskał status jednego z czterech języków państwowych<sup>3</sup>. Istniały 132 szkoły z polskim jako językiem wykładowym i 93 jako przedmiotem dodatkowym. Nauczycieli kształcił Instytut Pedagogiczny w Mińsku, mający status uczelni wyższej. W mieście działał też Teatr Polski, ukazywała się polskojęzyczna prasa, radio emitowało audycje po polsku. Tworzyło to grunt dla planowanej socjalistycznej autonomii.

Utworzenie polskiego rejonu narodowościowego na Białorusi nie mogło być prostym powtórzeniem doświadczenia z ukraińskiej Marchlewszczyzny. Bo też i uwarunkowania były odmienne. Po pierwsze, były temu przeciwne władze republiki, tj. KC KP(b)B, którym zależało na białorutenizacji i które nie identyfikowały miejscowych katolików z Po-

<sup>1</sup> Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XX w. na Białorusi w obwodzie witebskim były wsie, w których starsi mieszkańcy zachowali w pamięci, że ich przodkowie pochodzili z guberni piotrowskiej.

<sup>2</sup> „Próbie periodyzacji radzieckiej polityki narodowościowej” zawarł Mikołaj Iwanow w: *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939*, Warszawa–Wrocław 1991, s. 45–48.

<sup>3</sup> Pozostałe to: białoruski, rosyjski i jidysz.

Fot. E. Ziółkowska



Droga śmierci

lakami. Jednak decyzje zapadały nie w Mińsku, lecz w Moskwie i zwykle były wyrazem osobistych preferencji Stalina. Władze białoruskie – posądzone o burżuazyjny nacjonalizm, poddane naciskom i represjom – szybko musiały zmienić zdanie. Po wtóre, ludność polska żyła w większym rozproszeniu niż na Ukrainie. Według spisu przeprowadzonego w 1926 r., w Białoruskiej SRS Polacy stanowili 2 proc. ludności, czyli było ich niewiele ponad 95 tys., najwięcej w czterech okręgach: borysowskim (16 tys.), mińskim (13 tys.), bobrujskim (11 tys.) i witebskim (10 tys.)<sup>4</sup>. Stąd też lokalizacja okręgu autonomicznego była kwestią problematyczną, także dlatego, że po doświadczeniach wojny polsko-bolszewickiej nie chciano go umiejscawiać w pobliżu granicy z Polską. Pod uwagę były brane północno-wschodnie tereny Białorusi – rejon Lepła, Biegomla, Pleszczenic. Jednak, pod naciskiem Moskwy, dopuszczono się pewnej manipulacji statystycznej, zakładając, że wszyscy katolicy są Polakami. W efekcie wybór padł na Kojdanów, w obwodzie mińskim Białoruskiej SRS, leżący 38 km na południowy-zachód od Mińska, przy szosie i linii kolejowej brzesko-moskiewskiej. Wbrew stanowisku dowództwa Zachodniego Okręgu Wojskowego, zdecydowano się więc na rejon przygraniczny.

CKW BSRS podjął 15 marca 1932 r. uchwałę o utworzeniu Kojdanowskiego Narodowościowego Rejonu Polskiego. Zaraz też, w czerwcu tegoż roku, rzekomo na wniosek „ludności pracującej nowego rejonu”, zmieniono nazwę miasta na Dzierżyński, a rejonu na dzierżyński, na cześć zmarłego sześć lat wcześniej współtwórcy i szefa osławionej *czieriezwyczałki*<sup>5</sup>. Nie bez znaczenia był fakt, że chodziło o rodzinne strony Feliksa Edmundowicza. Niedaleko, za polską granicą, znajdowało się miejsce jego urodzenia – majątek ziemski Dzierżynowo, dwór z folwarkiem, stanowiący gniazdo rodowe Dzierżyńskich<sup>6</sup>.

Ludność rejonu liczyła ok. 45 tys. osób, w tym Polacy stanowili połowę, z szesnastu rad wiejskich dziewięć było polskich. We władzach partyjnych i administracyjnych rejonu zasiedli polscy komuniści, miejscowi oraz przybyli z kraju. Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego został jeden z czołowych polskich działaczy *kompartii* na Białorusi, Bronisław

<sup>4</sup> Dane te przytacza Józef Darski [właśc. Jerzy Targalski], w: *Białoruś: historia, współczesność, konflikty narodowe*, [1994], s. 72 dodając, że „Jeśli więc wziąć pod uwagę fałszerstwa spisowe i fakt, że znaczna część katolików uważała się za Polaków, można przyjąć, że na Białorusi mieszkało wówczas około 300 tys. Polaków”.

<sup>5</sup> Tj. kolejno WCzK, GPU i OGPU.

<sup>6</sup> Spalony w 1942 r. dwór został odbudowany i w 2004 r. otwarto w nim muzeum. W uroczystości wziął udział prezydent Łukaszenka.

Wąsowski. Sowiecka prasa donosiła o wysokich subwencjach wydzielonych na rozwój rejonu. W Dzierżyńsku zaczęto wznosić nowe budynki administracyjne. Przeniesienie tam polskich instytucji w oczywisty sposób pozwalało na ich kontrolę. Rozwijano polskie szkolnictwo. W Dzierżyńsku otwarto technikum agronomiczne, mające kształcić kadry dla polskich kolchozów. W Stańkowie, dawnym majątku Czapskich, powstało technikum pedagogiczne dla przyszłych nauczycieli klas młodszych. Działał Polski Objazdowy Teatr Kolchozowo-Sowchozowy, wychodziła prasa: „Orka”, „Gwiazda Młodzieży”, „Szturmowiec Dzierżyńszczyzny”. Powołano nawet polski oddział Białoruskiego Związku Pisarzy Proletariackich. Wszystkie te instytucje miały charakter bolszewicki i były wykorzystywane w celach propagandowych. W „Orce” pisano: „Organizacja Polskiego Rejonu Kojdanowskiego wskazuje jeszcze raz polskim masom pracującym ZSRR, a także masom pracującym Polski faszystowskiej, Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej, że tylko ZSRR jest ojczyzną wszystkich narodów, a Polska faszystowska jest więzieniem narodów”<sup>7</sup>. W istocie społeczność polską, przekształconą w „rewolucyjną awangardę narodu”, zamierzano wykorzystać przeciwko II Rzeczypospolitej. Miała zasilić kadrowo „polską” Armię Czerwoną, której chciano użyć w przypadku ewentualnej konfrontacji zbrojnej z Polską. Rejon narodowościowy traktowano jako przyczółek rewolucji proletariackiej.

Eksperyment nie mógł się udać. Gdy w 1929 r. nadeszła faza przymusowej kolektywizacji i rozkułaczania, Polacy okazali się niepodatni na komunistyczną indoktrynację. Gospodarowali lepiej niż ich białoruscy sąsiedzi; ich przywiązanie do ziemi, a także do narodowej tradycji i religii katolickiej było znacznie silniejsze.

### Likwidacja autonomii i represje

Z „niepewnym elementem” należało się rozprawić. Na pierwszy ogień poszło kierownictwo rejonu, nauczyciele, zespoły redakcyjne polskich gazet. W lutym 1933 r. na plenum Komitetu Centralnego i Centralnej Komisji Kontroli KP(b)B przewodniczący Państwowego Zarządu Politycznego BSRS Leanid M. Zakouski oznajmił, że „od maja 1932 do lutego 1933 organy karne aresztowały w białoruskich wsiach około 30 tysięcy kontrrewolucyjnych, kulackich, bandyckich, politycznych elementów przygotowujących się rzekomo do powstania, wyznaczonego po uzgodnieniu ze służbami zwiadowczymi Polski na wiosnę 1933 roku”<sup>8</sup>. Przeprowadzono wówczas prowokację na dużą skalę. Na Białorusi „wykryto” podziemną strukturę – Polską Organizację Wojskową, której celem miało być rzekomo obalenie władzy radzieckiej i odrodzenie Polski w granicach sprzed 1772 r., czyli przyłączenie BSRS do Polski. Był to pretekst do kolejnych represji. Polak stał się synonimem wroga, szkodnika i faszystowskiego szpiega.

Od 1935 r. zaczęto ograniczać autonomię, likwidując stopniowo polskie rady wiejskie i szkoły (w 1938 r. nie było już żadnej). Oficjalnie Polski Rejon Narodowy przestał istnieć 31 lipca 1937 r.<sup>9</sup> Jego terytorium podzielono i włączono do trzech sąsiednich rejonów białoruskich: zasławskiego, uździeńskiego oraz mińskiego. Należy przyznać, że Polacy w BSRS byli w mniejszym stopniu niż na Ukrainie objęci akcją pierwszej fazy rozkułaczania w latach 1930–1933.

<sup>7</sup> Cyt. za M. Iwanow, *op.cit.*, s. 132.

<sup>8</sup> W. Michniuk, *Z historii represji politycznych przeciwko Polakom na Białorusi w latach trzydziestych*, [w:] *Polska – Białoruś 1918–1945*, pod red. W. Balceraka, Warszawa 1994, s. 112.

<sup>9</sup> W polskiej literaturze przedmiotu podawany jest rok 1938, zob. M. Iwanow, *op.cit.*, s. 367.



Los Polaków w Związku Sowieckim przypieczętował, wydany 11 sierpnia 1937 r. przez ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRS Nikołaja I. Jeżowa, rozkaz operacyjny nr 00485, który stał się podstawą dla masowych represji politycznych. Przy czym, o ile w poprzednich okresach groziły głównie aresztowania i deportacje, o tyle lata 1937–1938 to czas wielkiego terroru, czas wymierzania większości polskich „szpiegów” i „dywersantów” najwyższego wymiaru kary.

Polaków ze zlikwidowanej Dzierżyńszczyzny deportowano głównie do Kazachstanu i na Syberię. Wywózki trwały od wiosny 1938 r. i objęły ok. 20 tys. osób. Według szacunków rosyjskiego Memoriału, w ramach tzw. operacji polskiej represjom poddano 143 810 osób, z których – na podstawie rozkazu NKWD ZSRR nr 00447 – karę śmierci wymierzono 111 091 osobom<sup>10</sup>. Przypuszcza się, że przynajmniej część z nich spoczywa na peryferiach Mińska.

Ziemia stolicy Republiki Białorusi kryje szczątki tysięcy osób. Na ludzkich kościach urządzono wielki ogród z wesołym miasteczkiem – park Czeluskińców, na dawnym cmentarzu zrobiono największy w mieście bazar – Komarowkę, w Łoszycy – masowe groby zasfaltowano i postawiono na nich garaże.

### Miejsce zbrodni i grzebania ofiar

Ogromnym cmentarzyskiem ofiar stalinowskiego terroru są Kuropaty. Jest to, położone na zachód od Łohojskiego Traktu, na wzniesieniu, uroczysko leśne, które wzięło nazwę od porastających je białych polnych kwiatków (po białorusku *kurasliepy*, gwarowo *kurapaty*)<sup>11</sup>. Przez długie lata było to miejsce spacerów i wypoczynku mieszkańców Mińska. Przychodziły całe rodziny, z dziećmi, psami. Ludzie piekli szaszłyki, pili wódkę, grali i śpiewali. O tym, co kryje ten las, wiedzieli i pamiętali nieliczni. W czasach sowieckich ujawnienie prawdy byłoby uznane za przestępstwo i zagrożone ostrymi represjami. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych teren przecięła obwodnica. Jej przebieg nie był dziełem przypadku, odkopywane w trakcie budowy kości i czaszki przykryto asfaltem, a odciętą część terenu przeznaczono pod budowę osiedla mieszkaniowego.

Co najmniej od początku lat siedemdziesiątych, dzięki doniesieniom miejscowej ludności, w kręgach białoruskiej inteligencji wiadomo było, że w pobliżu wsi Cna-Jotkawa, Drazdowa, a także Zialony Łuh<sup>12</sup> za Stalina masowo rozstrzeliwano „wrogów ludu”. Wiosną 1988 r. w trakcie robót ziemnych przy budowie magistrali gazowej w uroczysku znaleziono ludzkie szczątki. Podobne odkrycie stało się udziałem kilku chłopców – pionierów bawiących



Fot. E. Ziolkowska

Pomnik ofiar represji z namalowaną ikoną Matki Bożej Kuropackiej wszystkich niewinnie rozstrzelanych, z napisem „Ofiarom stalinizmu” i werselem z Biblii: „Jeśli wasze grzechy będą jak szkarłat, jak śnieg wybieleją” (Iz 1,18)

<sup>10</sup> Raport Indeksu Represjonowanych, [www.indeks.karta.org.pl](http://www.indeks.karta.org.pl).

<sup>11</sup> Dawniej ten kompleks leśny nosił nazwę Bród.

<sup>12</sup> Obecnie wielkie betonowe osiedle zbudowane częściowo na kuropackich mogiłach.

się tam w grę wojskowo-strategiczną. Sprawa stała się głośna. A że był to już czas *pieniestrojki*, grupa intelektualistów z Mińska mogła zdobyte przez siebie informacje podać do publicznej wiadomości. Historyk sztuki i archeolog Zianon Paźniak oraz inż. Jauhien Szmyhalou napisali artykuł *Kuropaty – droga śmierci*, który opublikowali 3 czerwca 1988 r. w tygodniku „Litaratura i Mastactwa” („Literatura i Sztuka”)<sup>13</sup>.

Autorzy przytoczyli relacje okolicznej ludności. Starsi mieszkańcy wsi Zialony Łuh opowiadali, że od 1937 do 1941 r. w odległości około dwóch kilometrów na północ od wsi dzień i noc rozstrzeliwano ludzi przywożonych tam potajemnie specjalnymi ciężarówkami z kratami w oknach, zwanymi *czornymi woronami*. Fragment starego lasu o powierzchni 10–15 ha został ogrodzony wysokim na 3 m płotem z drutem kolczastym u góry. Za płotem byli strażnicy z psami. Żwirowaną drogę, wiodącą od Łohojskiego Traktu w stronę Zasławia, którą dowożono ofiary, nazwano „drogą śmierci”. Początkowo rozstrzeliwania odbywały się trzy razy dziennie – rano, o godz. 14.00 i wieczorem, gdy ciemniało. Zwłoki wrzucano do wcześniej wykopanych dołów, które po wypełnieniu zasypywano 20–25 cm warstwą piasku. Potem zmienił się grafik, wozili codziennie, bez przerwy, nawet w niedziele. Oprawcy w mundurach NKWD ustawiali ludzi rzędami. Często zabijali dwie osoby jednym strzałem; nie wiadomo, czy oszczędzali naboje, czy robili tak „dla sportu”, z czystego sadyzmu. Egzekucje trwały do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. Potem płot rozebrano, a stary las został wycięty. Świadkowie, wówczas dzieci, widzieli krew na trawie i doły zasypane świeżym, żółtym piaskiem. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Niemcy tam nie rozstrzeliwali. Po wojnie, jeszcze w latach czterdziestych, władze sowieckie próbowały zatrzeć ślady. Część dołów śmierci opróżniono i posadzono nowe drzewa. Zdarzały się też dzikie rozkopy, z ciekawości i chęci zysku.

### Białoruskie śledztwo

Tekst Paźniaka i Szmyhalou spowodował przełom, dzięki niemu informacja o Kuropatach poszła w świat. Mimo stosunkowo niskiego nakładu pisma (8 tys. egz.), artykuł stał się znany nie tylko w BSRS; cytowały go zagraniczne agencje prasowe, w tym PAP. Władze nie mogły dłużej pozostawać bierne. Dla zbadania okoliczności zbrodni została powołana specjalna komisja rządowa, złożona z przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Obrony, Sądu Najwyższego, KGB, instytucji naukowych i organizacji społecznych. W jej pracach uczestniczyli też pisarze Wasil Bykau i Iwan Czyrinow oraz artysta malarz Michaił Sawickij. Już 14 czerwca 1988 r. prokuratura Białorusi wszczęła dochodzenie. Podjęto decyzję o przeprowadzeniu częściowej ekshumacji z zastosowaniem metod archeologicznych. Prace wykopaliskowe prowadziła grupa specjalistów z Instytutu Historii Akademii Nauk BSRS. Rozkopano osiem zbiorowych mogił. Dwie z nich były puste. W pozostałych sześciu znaleziono ludzkie kości, resztki odzieży i obuwia oraz przedmioty osobistego użytku: grzebień, okulary, kubki, szczoteczki do zębów. Ich badaniem zajął się Instytut Naukowo-Badawczy Ekspertyzy Sądowej Ministerstwa Sprawiedliwości Białorusi. W końcowym orzeczeniu napisano: „Łącznie zbadano 311 czaszek i ich fragmentów, wydobytych ze wszystkich miejsc pochówku. Na 222 wykryto uszkodzenia od broni palnej, charakteryzujące się obecnością defektów tkanki, o okrągłym albo owalnym kształcie, średnicy około 7–9 mm, kształtów ściętego stożka w pokładzie tkanki kostnej, obecnością miedzi i ołowiu na brzegach uszkodzeń, wyjawioną przy badaniu spektrograficznym. Na 188

<sup>13</sup> Przedruk w: *Kuropaty*, Mińsk 1994.

czaszkach i ich fragmentach ujawniono po jednym wlotowym otworze od wystrzału z broni palnej, na 29 czaszkach – po dwa otwory wlotowe i na 5 czaszkach – po trzy otwory wlotowe po wystrzałach z broni palnej. W 192 przypadkach wystrzałów dokonano w tył głowy, w 26 – w skroń (lewą albo prawą)<sup>14</sup>. Na podstawie oględzin stwierdzono, że w uroczysku znajduje się 510 zbiorowych mogił o rozmiarach 2x3, 3x3, 4x4, 6x6 metrów, a wydobyte szczątki należą do nie mniej niż 356 osób, w tym 21 kobiet. Stąd czysto arytmetyczna konkluzja, że w Kuropatach spoczywa nie mniej niż 30 tys. osób. W dołach znaleziono także dziesiątki łusek i nabojów do rewolwerów typu Nagant i pistoletów TT, które stanowiły wyposażenie pracowników komendantury NKWD. Powołano ponad stu świadków, głównie spośród mieszkańców okolicznych wsi. Ustalono też nazwiska niektórych funkcjonariuszy NKWD odpowiedzialnych za zbrodnie, ale tę część śledztwa szybko umorzono. Co istotne, komisja przyznała, że w Kuropatach rozstrzeliwali funkcjonariusze NKWD BSRS. Określono także czas egzekucji: „Mogły powstały w drugiej połowie lat 30. Konkretnie: nie wcześniej niż w 1937 roku (groby nr 1–3), nie wcześniej niż w 1939 roku (mogiła nr 8). Sądząc po znalezionych przedmiotach, nie wcześniej niż w 1939 roku dokonano pochówków w grobach nr 5–6”<sup>15</sup>.

Na zapytanie komisji o dokumenty nt. miejsc wykonywania wyroków, liczby rozstrzelanych, osób dokonujących egzekucji i wydających wyroki naczelnik zarządu KGB Białorusi Siergiej Simonow w oficjalnym piśmie odpowiedział: „Podaję do wiadomości, że rozporządzenia WCzK-OGPU-NKWD ZSRR, wydane w latach 20–40, zostały zniszczone w KGB, zgodnie z aktami 4/4770 i 4/4771, w październiku 1962 r. Według danych Archiwum Centralnego Federalnej Służby Kontrwywiadu Rosji, rozporządzeń NKWD, określających specjalne miejsca u nich także nie ma”<sup>16</sup>.

Siedem lat później Prokuratura Republiki Białoruś na wniosek Mińskiego Klubu Historycznego zapoznała się z materiałami śledztwa w sprawie masowych grobów w Kuropatach. Konkluzja była następująca: „Analiza posiadanych akt w tej sprawie karnej pozwala na wyciągnięcie wniosku, że w leśnym masywie Kuropaty w latach 1937–1941 organy NKWD BSRS masowo rozstrzelowały obywateli. Określenie ich tożsamości i konkretnych podstaw ich stracenia w toku śledztwa nie było możliwe z powodu braku koniecznych danych archiwalnych w KGB RB. 1 grudnia 1995 roku sprawa karna została umorzona. Podstaw do wszczęcia śledztwa nie ma. Pierwszy zastępca Prokuratora Generalnego Republiki Białoruś W.K. Kondratiew”<sup>17</sup>. Potwierdzono więc raz jeszcze zasadność wcześniejszych ustaleń,



Fot. E. Ziolkowska

„Tu w masywie leśnym Kuropaty znajdują się szczątki ofiar masowych represji z lat 1937–1941. Pamięć o nich będzie żyła w naszych sercach”

<sup>14</sup> Cyt. za J. Gorelik, *Kuropaty. Polski ślad*, Warszawa 1996, s. 55–56.

<sup>15</sup> *Kuropaty*, Mińsk–New York 1993, s. 66.

<sup>16</sup> Cyt. za J. Gorelik, *op.cit.*, s. 66.

<sup>17</sup> Cyt. za *Kuropaty: prokuratura jeszcze raz potwierdza*, „Swaboda”, 45/1996, s. 3.

ograniczając się tym razem do przejrzenia dokumentów z 1988 r. Nie podjęto żadnych nowych czynności, aby uzyskać dodatkowe informacje, nie pokuszono się o kontynuowanie prac ekshumacyjnych.

Wbrew opinii śledczych później jeszcze niejednokrotnie na Białorusi powracał wątek niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnie w Kuropatach. W końcu lat dziewięćdziesiątych ta sama Prokuratura Generalna RB potrafiła mińskim organizacjom pozarządowym udzielić informacji, że „Istnieją dowody, także w postaci zeznań świadków, że rozstrzeliwani w Kuropatach mogli dokonywać także przedstawiciele niemieckich władz okupacyjnych w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Jednak zeznań tych nie mogą potwierdzić obiektywne dane”<sup>18</sup>. Białoruska prasa niejednokrotnie twierdziła, że w Kuropatach ginęli Żydzi przywożeni do Mińska z krajów okupowanej Europy. Sugestii tych nie potwierdziły ani instytucje izraelskie, ani niemieckie.

### **Polskie ofiary zbrodni**

W kuropackim lesie, według szacunków Zianona Paźniaka, w kilkuset zbiorowych mogiłach mogło spoczywać nawet od 220 do 250 tys. osób<sup>19</sup>. Ofiarami była głównie białoruska inteligencja, prawosławne duchowieństwo, nie dość prawomyślne partyjne kadry i prości chłopci. W orzeczeniu prokuratury znalazła się informacja, że w Kuropatach rozstrzeliwani byli „represjonowani mieszkańcy republiki, tzw. przychodźcy, a także obywatele zachodnich obwodów Białorusi”<sup>20</sup>. A zatem wśród mordowanych musieli być również Polacy – obywatele II Rzeczypospolitej, którzy przedostali się na teren BSRS z powodów politycznych, i tacy, którzy przeszli dobrowolnie, bo uwierzyli w sowiecki raj na ziemi.

Na początku lat dziewięćdziesiątych białoruskiemu dziennikarzowi Jewgienijowi Gorelikowi udało się dotrzeć do niektórych tajnych dokumentów KGB Białorusi i Federalnej Służby Kontrwywiadu Rosji. Znalazł w nich dane personalne kilkuset osób skazanych na karę śmierci na mocy decyzji „trójek” za „przynależność do agentury polskich organów wywiadowczych i agitację antyradziecką”, „przynależność do Polskiej Organizacji Wojskowej”, „szpiegostwo na rzecz Polski”, „kontakty z pracownikiem polskiego konsulatu w Mińsku” itp. Osoby te, jak wynika z adnotacji przy nazwiskach, zostały rozstrzelane w Mińsku w latach 1937–1938. Listę skazanych Gorelik opublikował w książce *Kuropaty. Polski ślad*, wydanej staraniem Oficyny Wydawniczej „Rytm” oraz Rady OPWiM i uhonorowanej nagrodą „Przeglądu Wschodniego”<sup>21</sup>. Choć przy niektórych nazwiskach pojawia się uwaga: „miejsce rozstrzelania – nieznane”, istnieje duże prawdopodobieństwo, że większość z tych osób pozbawiono życia strzałem w tył głowy w Kuropatach. Autor zwraca uwagę, że podczas ekshumacji w 1988 r. nie znaleziono pasków, sznurowadeł, szczyrzyków, co oznacza, że skazani musieli być wcześniej więzieni<sup>22</sup>.

Kuropaty często wymieniane są obok Bykowni oraz trzech znanych miejsc spoczynku ofiar zbrodni katyńskiej: Katynia, Miednoje i Charkowa. Polaków w lesie pod Mińskiem

<sup>18</sup> Cyt. za K. Paźniak, *Ziemia męczenników*, „Nowa Europa Wschodnia” 2008, nr 1, s. 83. O tym, że w Kuropatach mogą leżeć ofiary faszystowskiego ludobójstwa, informuje też *Bielaruskaja Encykłapedyja*, t. 9, Mińsk 1999, s. 42.

<sup>19</sup> *Kuropaty*, Mińsk 1994, s. 77.

<sup>20</sup> Cyt. za *Kuropaty: prokuratura jeszcze raz potwierdza*, *ibidem*.

<sup>21</sup> J. Gorelik, *op.cit.*

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. 60.

mordowano bowiem także później, w latach 1939–1941. Świadczą o tym wydobyte z dołów śmierci przedmioty zachodniej, niesowieckiej produkcji, w większości polskiej. W trzech grobach znaleziono buty i kalosze z polskimi znakami firmowymi, emaliowany kubek z napisem na denku „Warszawa”, a także medaliki z wizerunkami Matki Boskiej Częstochowskiej i Matki Boskiej Ostrobramskiej<sup>23</sup>. Wśród przedmiotów wykopanych w Kuropatach był grzebień z wydrapanym napisem po polsku: „Ciężkie chwile więzienia, Mińsk 25.04.1940. Myśl o was doprowadza mnie do rozpacz”, po drugiej stronie: „26 IV Rozpłakałem się. Ciężki dzień”. Kwietniowa data 1940 r. jest znamieną. W tym czasie dokonywana była przecież zbrodnia katyńska.

Po agresji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 r. zaczęły zapełniać się więzienia NKWD na terenie tzw. Zachodniej Białorusi. Przetrzymano w nich tysiące obywateli II Rzeczypospolitej. Wiadomo, że blisko 3 tys. Polaków przetrzymywanych w Brześciu, Wilejce, Pińsku i Baranowiczach<sup>24</sup> trafiło do dwóch więzień w Mińsku: centralnego, mieszczącego się w dawnym zamku Sapiechów przy ul. Wołodarskiego i wewnętrznego więzienia NKWD, zwanego „amerykanką”<sup>25</sup>, przy dawnej ul. Zachariewskiej (później kolejno prospekt Stalina, Lenina, Skaryny, a obecnie Niezależności). Przypuszcza się, że zostali zgładzeni wiosną 1940 r. na mocy tej samej decyzji Biura Politycznego Komitetu Centralnego WKP(b) ZSRS, co polscy oficerowie rozstrzelani w Katyniu, Twerze i Charkowie.

Chociaż źródła NKWD, podając informacje o rozstrzelanych, zwykle dodają: „miejsce pochówku nieznanne”, z wielu relacji wiadomo, że więźniów mordowanych w mińskich więzieniach grzebano w Kuropatach<sup>26</sup>. Stąd hipoteza, że groby 3872 osób z tzw. białoruskiej listy katyńskiej znajdują się właśnie tam. Dotychczas podejmowane próby odtworzenia listy nie są ani pełne, ani wiarygodne<sup>27</sup>. O ile ukraińska lista katyńska jest znana od 1994 r. i stronie polskiej udało się przeprowadzić przynajmniej częściowe prace ekshumacyjne w Bykowni na obrzeżach Kijowa, o tyle lista białoruska do dziś pozostaje białą plamą. Nie jest znane żadne nazwisko. Oficjalne wystąpienia polskich instytucji rządowych o udostępnienie danych archiwalnych nie przyniosły rezultatu. Niepowodzeniem zakończyła się wizyta w Mińsku w 1994 r. prokuratorów Stanisława Śnieżki i Aleksandra Herzoga. Postulaty strony polskiej, by przeprowadzić pełną, metodyczną ekshumację, godnie pochować ofiary i wznieść im pomnik, też nigdy nie zostały spełnione.

## Pamięć

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych sprawa Kuropat miała ogromne znaczenie dla białoruskiego odrodzenia narodowego. Przyczyniła się do skonsolidowania środowisk opozycyjnych i stała się impulsem dla powołania stowarzyszenia Martyrolog

<sup>23</sup> Kwestię tę szczegółowo omawia S. Kalbarczyk, *Przedmioty odnalezione w Bykowni i Kuropatach świadczą o polskości ofiar*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2007, nr 10–11 (81–82), s. 47–54.

<sup>24</sup> *Katyń. Dokumenty Zbrodni*, t. 2: *Zagłada: marzec–czerwiec 1940*, red. W. Materski, Warszawa 1998, s. 84.

<sup>25</sup> Autorem projektu okrągłego, trzypiętrowego budynku był znany wówczas amerykański architekt Jeremi Belton.

<sup>26</sup> Wspomnienia własne i mińskich współwięźniów spisała J. Stankiewicz-Januszczak w: *Marsz śmierci*, Warszawa 1999.

<sup>27</sup> S. Kalbarczyk, *Białoruska lista katyńska – brakujący element prawdy o zbrodni katyńskiej*, [w:] *Zbrodnia katyńska – między prawdą i kłamstwem*, Warszawa 2008, s. 135–145.



Stawianie Krzyża Pokuty, 29 X 1989 r.

Dopiero 29 października 1989 r. udało się w Kuropatach białoruskim zwyczajem postawić Krzyż Pokuty. Dziesiątki tysięcy ludzi z białoruską Pogonią na sztandarach i biało-czerwono-białymi flagami przeszły przez miasto. Przyniesiono na ramionach wysoki drewniany krzyż i wkopano u podnóża wzniesienia, tuż przy wejściu na teren cmentarzyiska. Po raz pierwszy zostało tam odprawione nabożeństwo. Wkrótce stanęła też zbity z desek tablica z napisem po białorusku: „Tu w masywie leśnym Kuropaty znajdują się szczątki ofiar masowych represji z lat 1937–1941. Pamięć o nich będzie żyła w naszych sercach”. Na szczycie wzgórza władze ustawiły duży głaz z napisem: „W tym masywie leśnym zgodnie z postanowieniem Rady Ministrów Białoruskiej SSR z 18 stycznia 1989 r. zostanie wzniesiony pomnik ofiar masowych represji z lat 1937–1941”. Nie tak dawno na kamieniu namalowano ikonę „Matki Bożej Kuropackiej wszystkich niewinnie rozstrzelanych”, wykuto napis „Ofiarom stalinizmu” i dopisano werset z *Biblii*: „Jeśli wasze grzechy będą jak szkarłat, jak śnieg wybieleją” (*Iz 1,18*). W ten sposób dokonała się swego rodzaju sakralizacja tego miejsca.

Pojawiły się też inne znaki pamięci. Ludzie przynosili indywidualnie niewielkie krzyżyki. W sierpniu 1991 r., jeszcze przed rozpadem ZSRS, stanęło też skromne polskie upamiętnienie – metalowy krzyż Straży Mogił Polskich na Wschodzie z Wrocławia. W uroczystości poświęcenia wzięło udział dwóch polskich księży. Modlił się i złożył przy nim wieniec prezydent RP Lech Wałęsa w trakcie oficjalnej wizyty w Mińsku w czerwcu 1993 r. Krzyż był parokrotnie niszczone, ginęła przykręcona do niego śrubami tablica. W styczniu 1994 r. spoczywającym w Kuropatach oddał hołd prezydent USA Bill Clinton. Z tej okazji ustawiono niewielką granitową płytę, tzw. ławeczkę Clintona z napisem „Od narodu Stanów Zjednoczonych Ameryki dla narodu Białorusi w imię pamięci” (kilka lat później została rozbita przez tzw. nieznanych sprawców i po roku zrekonstruowana).

W latach dziewięćdziesiątych, co roku, 2 listopada co bardziej światli mińszczanie obchodzili w Kuropatach dziady – białoruskie święto zmarłych. Natomiast władze białoruskie, z upływem czasu, coraz bardziej traciły zainteresowanie tym miejscem. Za to masowo pojawiali się tam, nie niepokojeni przez nikogo, poszukiwacze „skarbów” – złotych koronek, obrączek, łańcuszków. Wystarczyło wejść parę kroków w las, żeby zobaczyć świeżo rozgrzebane doły i rozrzucone bezładnie kawałki ludzkich kości. Cmentarzysko ulegało stopniowej degradacji, istniejące upamiętnienia były dewastowane, brakowało bieżącej opieki i ochrony, nadal było traktowane bardziej jak dziki park, miejsce spacerów i pijatyk niż miejsce pamięci.

Wczesną jesienią 2001 r. władze Mińska postanowiły poszerzyć przebiegającą skrajem uroczyska miejską obwodnicę, co było próbą likwidacji części grobów. Zaczęły się prace

ziemne i wycinka kuropackiego lasu. W obronie cmentarzyska wystąpiły środowiska opozycyjne. W Kuropatach powstało miasteczko namiotowe postawione przez młodych ludzi z różnych organizacji, protestujących przeciwko profanowaniu grobów. Młodzież pełniła całodobowe dyżury. Dochodziło do starć z milicją i dramatycznych scen rzucania się pod buldożery. Postawiono wtedy dziesiątki drewnianych krzyży. Władze w końcu odstąpiły od realizacji projektu, a obawiając się kolejnych protestów czy też „prowokacji”, objęły Kuropaty państwową ochroną, na stałe jest tam dwóch strażników-żołnierzy. Ma to swoją dobrą stronę, akty wandalizmu nie są już tak częste.

\*\*\*

Kuropaty to przede wszystkim białoruskie miejsce pamięci, symbol narodowej martyrologii i obecnego zniewolenia Białorusinów. Skutki eksterminacji dokonanej na mińskiej inteligencji odczuwalne są do dziś. W czasach sowieckich o zbrodnię oficjalnie oskarżano Niemców, teraz się ją przemilcza. W Kuropatach nie stanęło żadne państwowe białoruskie upamiętnienie. Złożone narodowi przez władze dwadzieścia lat temu zobowiązanie nigdy nie zostało wypełnione. W uroczysku był prezydent Polski, był Stanów Zjednoczonych, natomiast ani razu nie pojawił się prezydent Republiki Białorusi, sprawujący swój urząd już od piętnastu lat.

Kuropaty to także, ponad wszelką wątpliwość, polskie miejsce pamięci, tam ginęła polska inteligencja, ziemianie, osadnicy wojskowi, duchowni katolicy. Być może także żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego. Są pewne przesłanki, które mogą na to wskazywać, jak choćby wyniki ekshumacji przeprowadzonej w analogicznym miejscu na Ukrainie – Bykowni. W tej chwili w sprawie Kuropat nie dzieje się nic, bo ze względów politycznych działać się nie może. Choć minęły dziesięciolecia i rozpadł się Związek Sowiecki, nadal nie są znane wszystkie miejsca pochówku tysięcy ofiar zbrodni sowieckich. Gdy mowa o Kuropatach, poruszamy się bardziej w sferze domniemań i hipotez niż potwierdzonych dokumentalnie faktów. Jest więcej pytań niż odpowiedzi. W ogólnych zarysach wiemy, kto i kiedy strzelał. Nie znamy liczby ofiar i ich personaliów. Nie wiemy, ilu Polaków zostało tam rozstrzelanych, ilu ich tam spoczywa. Niewiele też wiadomo o katach, nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności. Do prawdy mogłyby nas przybliżyć tylko pełna ekshumacja i analiza zachowanych dokumentów. Dostęp do białoruskich zasobów archiwalnych obecnie jest niemożliwy. Nie lepiej jest z rosyjskimi. Czy możliwe jest zyskanie pełniejszej wiedzy o Kuropatach? Sądząc po tym, co aktualnie dzieje się na Białorusi i w Rosji, szanse raczej są niewielkie.

### Ważniejsza literatura

- Adamuszką Uładimir, *Palitycznyja represji 20–50 gadou na Bielarusi*, Mińsk 1994.  
*Encykłapedyja Historyi Bielarusi*, tom 3, 4, Mińsk 1996–1997.  
 Gorelik Jewgienij, *Kuropaty. Polski ślad*, Warszawa 1996.  
 Iwanow Mikołaj, *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939*, Warszawa–Wrocław 1991.  
*Kuropaty*, Mińsk–New York 1993.  
*Kuropaty*, Mińsk 1994.  
 Paźniak Zianon, *Nowaje stagoddzie*, Wilno–Warszawa 2002.  
*Polska – Białoruś 1918–1945*, pod red. Wiesława Balceraka, Warszawa 1994.  
 Tarnawskij Gieorgij, Sobolew Walerij, Gorelik Jewgienij, *Kuropaty: sledstwie prodolżajetsia*, Moskwa 1990.

EWA SIEMASZKO

# LUDOBÓJSTWO POLAKÓW NA WOŁYNIU I W MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ

## ZBRODZIA OUN-UPA

**Podczas II wojny światowej Polacy byli masowo mordowani przez Niemców (ludobójstwo niemieckie), Sowieców (ludobójstwo sowieckie) oraz współobywateli II Rzeczypospolitej – Ukraińców, związanych z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińską Powstańczą Armią (UPA). Wiedza społeczna o trzecim ludobójstwie Polaków (ukraińskim) jest nikła bądź błędna.**

Przeprowadzony przez Centrum Badania Opinii Społecznej w czerwcu 2008 r. sondaż, badający stan wiedzy nt. „Wołynia 1943”, wykazał, że na pytanie: „Kto padł ofiarą zbrodni” 54 proc. respondentów odpowiedziało, że nie wie; na pytanie o sprawców zbrodni w ten sam sposób odpowiedziało 57 proc., zaś pozostałe odpowiedzi były w większości nieprawidłowe<sup>1</sup>. Przypadająca w ubiegłym roku 65. rocznica zbrodni wołyńsko-małopolskiej (a nie tylko na Wołyniu, jak sugerował sondaż opinii publicznej) oraz wyniki badania opinii społecznej skłaniają do naszkicowania genezy i przebiegu planowej depolonizacji terenów wspólnie zamieszkałych przez Polaków i Ukraińców.

Odpowiedzialna za zbrodnie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów powstała w II Rzeczypospolitej w 1929 r. Jej dalekosiężnym celem było wywalczenie niepodległego państwa ukraińskiego. By ten cel zrealizować, absorbowwała ona faszystowską ideologię tzw. integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, sformułowaną przez Dmytra Doncowa, oraz opowiadała się za koncepcją państwa tylko dla Ukraińców – bez innych narodowości. Źródłem jej zbrodniczych poczynań było podporządkowanie narodu elicie „lepszycy ludzi” (czyli OUN), których „zadaniem było stosowanie twórczej przemocy” (a samej organizacji – wodzowi), ekspansja, bezwzględność, fanatyzm i nienawiść<sup>2</sup>. Jako zasady postępowania przyjęto tzw. dekalog nacjonalisty, zawierający m.in. „przykazanie” siódme: „Nie zawahasz się wykonać największej zbrodni, jeżeli tego wymagać będzie dobro sprawy”; „przykazanie” ósme: „Nienawiścią i podstępem będziesz przyjmować wrogów Twojej Nacji”; „przykazanie” dziesiąte: „Będziesz dążyć do poszerzenia siły, chwały, bogactwa i przestrzeni Państwa ukraińskiego

<sup>1</sup> „Wołyn 1943”. Komunikat z badań nr 3964, CBOS, BS/110/2008, Warszawa, lipiec 2008 ([www.cbos.pl](http://www.cbos.pl)).

<sup>2</sup> Ideologiczne podstawy nacjonalizmu ukraińskiego, program i metody działania ukraińskich nacjonalistycznych organizacji udokumentował Wiktor Poliszczuk w cyklu *Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszyzmu*, składającym się z pięciu tomów, każdy z dodatkowymi odrębnymi tytułami, z których trzy tomy zawierają dokumenty. Kolejne tomy tego cyklu były wydawane w Toronto w latach 1998–2003.



nawet drogą zniewolenia obcoplemieńców”<sup>3</sup>. Za wrogów nacjonaliszc ukraińscy uważali wszystkich nie-Ukraińców. W odezwie II Wielkiego Zboru Ukraińskich Nacjonalistów, który odbył się w Rzymie w sierpniu 1939 r., znalazło się wezwanie: „**Ukraina dla Ukraińców! Nie pozostawić piędzi ziemi ukraińskiej w rękach wrogów i obcoplemieńców!**” Hasło to było szeroko i przez dłuższy czas propagowane wśród ukraińskich mas przez nacjonalistycznych działaczy.

W latach trzydziestych XX w. OUN działała przede wszystkim na terenie Małopolski Wschodniej, obejmującej trzy województwa: tarnopolskie, lwowskie, stanisławowskie. Były to różnego typu akcje terrorystyczne (rabunek i niszczenie mienia, terror psychiczny, pobicia i zabójstwa), wymierzone w urzędy państwowe, infrastrukturę, przedstawicieli władzy i zwykłych obywateli. Atakowani byli także Ukraińcy, którzy akceptowali państwo polskie. Jednocześnie OUN prowadziła podziemną, intensywną antypolską akcję propagandową. Te antypaństwowe działania musiały być przez ówczesne władze zwalczane, co było wykorzystywane przez OUN do podsycania wrogich nastrojów wśród Ukraińców<sup>4</sup>.

Na Wołyniu rozwój OUN dokonywał się pod koniec lat trzydziestych pod wpływem małopolskich działaczy, ale nie dochodziło do aktów dywersyjno-terrorystycznych na taką skalę, jak w Małopolsce Wschodniej, chociaż tam również była sączona antypolska agitacja. W ten sposób OUN przygotowywała ludność ukraińską do generalnej rozprawy z polskością – w przyszłości, w sprzyjającym momencie.

**Dogodną sytuację do realizacji tych planów stworzyła II wojna światowa.** Pierwsze, podejmowane na większą skalę wystąpienia antypolskie nacjonalistów i komunistów ukraińskich miały miejsce we wrześniu i październiku 1939 r. na terenach zamieszkałych przez większość ukraińską (Wołyń i Małopolska Wschodnia). Były to napaści (rabunki i zabójstwa) na wycofujących się żołnierzy WP, policjantów, urzędników i uchodźców z Polski centralnej<sup>5</sup>. Ta pierwsza fala zbrodni została przerwana po zaprowadzeniu „porządków sowieckich”



Ekshumacja szczątków zamordowanych 30 VIII 1943 mieszkańców wsi Wola Ostrowiecka w pow. lubomelskim na Wołyniu

<sup>3</sup> W. Poliszczuk, *op.cit.*, t. 2, *Działalność ukraińskich struktur nacjonalistycznych w latach 1920–1999*, Toronto 2000, s. 40–41; t. 3, *Nacjonalizm ukraiński w dokumentach* (część 2), Toronto 2002, s. 150–152, 291–292 oraz C. Partacz, K. Łada, *Polska wobec ukraińskich dążeń niepodległościowych w czasie II wojny światowej*, Warszawa 2003, s. 84–85, 87, 89.

<sup>4</sup> W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945*, t. 2, cz. 1, Warszawa 1990.

<sup>5</sup> We wrześniu 1939 r. w Polsce centralnej żołnierze narodowości ukraińskiej walczyli z Niemcami, natomiast na Kresach Wschodnich, mając oparcie w miejscowej ludności, dezercerowali.



Pogrzeb zamordowanych Polaków we wsi Użyniec w pow.dubieńskim na Wołyniu latem 1943 r.

wództwa lwowskiego. Niemcy nie zgodzili się na powstanie państwa ukraińskiego, proklamowanego przez OUN we Lwowie w czerwcu 1941 r., i aresztowali czołowych działaczy tej organizacji. Dopuszcili jednak Ukraińców do niższych szczebli administracji, zorganizowali policję ukraińską, którą nacjonałiści wykorzystywali do swoich celów, a następnie – dopóki nie były naruszane przez Ukraińców interesy niemieckie – tolerowali działalność OUN<sup>6</sup>.

W tych warunkach, poczynawszy od 1941 r., OUN zintensyfikowała przygotowania do eksterminacji Polaków, rozwijając sieć organizacyjną i „uświadamiając” Ukraińców o konieczności pozbycia się Polaków, a także podlegając do nienawiści wobec sąsiadów, z którymi wcześniej utrzymywali poprawne stosunki. *Smert, smert, lacham smert, smert moskowsko-żydywskij komunii* („Śmierć, śmierć, Polakom śmierć, śmierć moskiewsko-żydowskiej komunii”) to refren jawnie i powszechnie śpiewanej piosenki przez policję ukraińską i bojówki OUN<sup>7</sup>. Pod wpływem tej agitacji latem 1941 r. nastąpiły kolejne napady na Polaków.

**W 1942 r. OUN przystąpiła do tworzenia formacji bojowych.** W drugiej połowie roku powstały na Wołyniu leśne oddziały partyzanckie, nazwane później Ukraińską Powstańczą Armią oraz *Samooboronne Kuszczowe Widdity* (SKW), tj. wiejskie bojówki, których członkowie na co dzień zajmowali się gospodarstwem, a w razie potrzeby przystępowali do jakiejś akcji (głównie napadów na Polaków), pełnili warty i kontrolowali drogi. Wszystkie te formacje (OUN, UPA, bojówki ukraińskiej „samoobrony”) potocznie były nazywane banderowcami.

Wraz z utworzeniem UPA i wiejskich bojówek ukraińskich rozpoczęły się mordercze i rabunkowe napady Ukraińców na Polaków – na pojedyncze osoby i całe rodziny. **Na Wołyniu, do lutego 1943 r. zginęło ponad 1,5 tys. osób. I była to – jak się okazało – wstępna**

<sup>6</sup> Por. *Ziemie Wschodnie. Meldunki tygodniowe Sekcji Wschodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu RP na Kraj*, oprac. M. Adamczyk, J. Gmitruk, M. Koseski, Warszawa–Pułtusk–Kielce 2006, s. 121.

<sup>7</sup> Ten nacjonalistyczny hymn, wzywający do zbrodni, i inne piosenki o podobnej wymowie śpiewane przez członków OUN i UPA, zostały wydane na Ukrainie w 1992 r. w Łucku w zbiorku pt. *A My Tuju Czerwonu Kałynu Pidijmemo*.

**faza późniejszego ludobójstwa.** W lutym 1943 r. na III Konferencji OUN postanowiono „usunąć” z Ukrainy wszystkich nie-Ukraińców, którzy – w ocenie OUN – zajęli ukraińskie ziemie<sup>8</sup>. W tym czasie Niemcy ponosili już porażki w wojnie z Sowietami. W marcu i kwietniu 1943 r. część policji ukraińskiej zdezerterowała ze służby niemieckiej do leśnych oddziałów. Postanowienia III Konferencji OUN zaczęto realizować na olbrzymią skalę, dokonując ludobójczych mordów Polaków, którzy w tym czasie stanowili najliczniejszą nieukraińską grupę narodowościową na obszarze działania OUN.

**„Mordy dokonywane początkowo na pojedynczych jednostkach i rodzinach polskich przybrały od początku 1943 r. masowy charakter.** Zaczęły się one w końcu lutego w powiatach: Sarny, Kostopol, Równe, Zdołbunów i Krzemieniec. W czerwcu przeniosły się na powiat Dubno i Łuck. W lipcu na Horochów, Włodzimierz i Kowel, a w końcu sierpnia na ostatni pow[iat ] woł[ykański] Lubomi” – tak w wielkim uproszczeniu opisał przebieg rzezi Kazimierz Banach „Jan Linowski”, Wołyński Okręgowy Delegat Rządu<sup>9</sup>.

**W „dobrze zorganizowanych” akcjach OUN i UPA atakowały rejon po rejonie, konsekwentnie dążąc do wymordowania wszystkich Polaków.** Osiedla polskie otaczano kordonem strzelców z UPA, których zadaniem było wyłapywanie uciekających, a Ukraińcy z wiejskich bojówek SKW, uzbrojeni w różne narzędzia gospodarskie, które nadawały się do zadawania śmierci, opanowywali osiedle, wyłapywali Polaków i mordowali. Zbrodniczej eliminacji poddawani byli także ci, którzy żyli w małych skupiskach we wsiach ukraińskich. Polacy ginęli w czasie prac polowych, w lasach, w których się ukrywali, i na drogach, gdy przemieszczali się do innych miejscowości. Na niektóre miejscowości urządzano kilka napadów, gdy stwierdzano, że ci, którzy ocaleli, nadal tam żyją. Nie oszczędzano nikogo, nawet starców czy dzieci w kołyskach. Ofiary traktowano okrutnie: często stosowano wymyślne sposoby bestialskiego dręczenia<sup>10</sup>. Nienawiść oprawców i ich pomocników spadała także na ciała tych, których wcześniej zamordowali, zwłoki były bezczeszczone.

**Latem 1943 r. przez zachodnie powiaty Wołynia przetoczyły się dwie fale mordów** – w lipcu mordowano Polaków w około stu miejscowościach; w sierpniu w osiemdziesięciu pięciu miejscowościach. Ludobójcze napady OUN-UPA trwały na Wołyniu przez cały 1943 r. i pierwszy kwartał 1944 r. Później Wołyń był stopniowo opanowywany przez wojska sowieckie i NKWD, co ograniczyło aktywność upowców, ale mordy pojedynczych osób i rodzin zdarzały się nadal. **Łącznie na Wołyniu OUN-UPA zamordowała ok. 60 tys. Polaków w co najmniej 1819 miejscowościach<sup>11</sup>.** Ludobójstwu

<sup>8</sup> Zob. W. Poliszczuk, *Dowody zbrodni OUN i UPA. Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszyzmu*, t. 2, *Działalność ukraińskich struktur nacjonalistycznych w latach 1920–1999*, Toronto 2000, s. 286–287 oraz materiał Delegatury Rządu RP poświęcony publikacjom OUN (AAN, sygn. 202/III/131, k. 57–60).

<sup>9</sup> *Archiwum Adama Bienia. Akta narodowościowe (1942–1944)*, oprac. J. Brzeski, A. Roliński, Kraków 2001, s. 338.

<sup>10</sup> We wszystkich dostępnych źródłach o różnym charakterze, tj. relacjach i wspomnieniach świadków zbrodni, dokumentach polskiego podziemia i kościelnych, zwracają uwagę informacje o bestialstwach dokonywanych przez napastników ze wszystkich formacji nacjonalistów ukraińskich. Zob. np. *Archiwum A. Bienia...*, s. 338, *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie dekanatów i parafii 1941–1944*, oprac. M. Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005, s. 121–122.

<sup>11</sup> Liczbowe określenie rozmiarów zbrodni OUN-UPA na Wołyniu wynika z obliczeń w pracy: W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, Warszawa 2000, s. 1033–1062, z uwzględnieniem późniejszych ustaleń.



Mieszkańcy wsi Twerdynie w pow. horochowskim, w której Polacy zostali wymordowani przez UPA 12 VII 1943 r.

temu, które wówczas – w związku z powszechnie stosowaną metodą zabijania przez zarzynanie – nazywane było rzeziami wołyńskimi, towarzyszyła też grabież, palenie polskich zabudowań, łącznie z budynkami użyteczności publicznej, i niszczenie innych śladów polskiej obecności.

Nieustanne zagrożenie życia wymuszało opuszczanie sadyb i ucieczki Polaków ze wsi do miast i miasteczek, skąd Niemcy wywozili ich na roboty do Rzeszy. Części uchodźców

udało się na własną rękę przedostać do Małopolski Wschodniej i na Lubelszczyznę, gdzie spodziewano się bezpieczniejszych warunków, jednakże i tam od jesieni 1943 r. rozwijał się wołyński scenariusz depolonizacji.

W drugiej połowie 1943 r. w Małopolsce Wschodniej mordowano pojedyncze osoby i niewielkie grupy Polaków. Ten pierwszy okres genocydu w trzech południowo-wschodnich województwach (tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie) pochłonął ok. 3 tys. ofiar (jak na Wołyniu poprzedzały go dwie fale zbrodni na Polakach – całkowicie jeszcze nierozpoznane, w których zginęło – w 1939 r. – co najmniej 2,2 tys. osób i w 1941 – co najmniej 350, a w rzeczywistości prawdopodobnie znacznie więcej)<sup>12</sup>.

Rok 1944 w Małopolsce Wschodniej był odpowiednikiem 1943 r. na Wołyniu. **W 1944 r. banderowcy zamordowali w trzech małopolskich województwach co najmniej 35 290 Polaków**<sup>13</sup>. Najtragiczniejsze było pierwsze półrocze 1944 r., gdy OUN-UPA usiłowała „oczyścić” te ziemie z Polaków, zanim Armia Czerwona wyprze Niemców na zachód. Oto opis położenia ludności małopolskiej w tym czasie w dokumencie polskiego podziemia<sup>14</sup>: „[...] akcja tępienia polskości [...] prowadzona jest przez Ukraińców w sposób świadomy, planowany i zgodny z wytkniętymi dyrektywami. [...] bandy dokonujące napadów, niemal powszechnie występują pod firmą UPA. [...] udało się Polakom zapoznać z treścią rozkazu UPA z dnia

<sup>12</sup> Rozmiary ludobójstwa ukraińskiego na terenie Małopolski Wschodniej zostały określone na podstawie trzech monografii opracowanych przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Narodowości Ukraińskich we Wrocławiu: H. Komański, Sz. Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Wrocław 2004; Sz. Siekierka, H. Komański, K. Bulzacki, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie lwowskim 1939–1947*, Wrocław 2006; H. Komański, Sz. Siekierka, H. Różański, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Wrocław 2007.

<sup>13</sup> Zob. przyp. 12.

<sup>14</sup> Zob. Sprawozdanie sytuacyjne z Ziem Wschodnich z lutego 1944, AAN, sygn. 202/III-121, k. 204–205.

12 lutego, w którym były zawarte dokładne wskazówki dotyczące likwidacji Polaków. Mowa jest więc tam, że wsie polskie mają być palone, a ich ludność wycinana [...]. Poza tym UPA w swoich oficjalnych wydawnictwach propagandowych szerzy i podsyca ustawicznie nienawiść do Polaków, nazywając ich »agentami Stalina i Hitlera« [...]. Rozumowanie idzie w tym kierunku, że



Ofiary napadu UPA w 1943 r. w Lataczu w pow. zaleszczyckim, woj. tarnopolskie (14 XII 1943 r.)

bez względu na to, jaki jeszcze los czeka te ziemie, to w każdym razie w interesie Ukraińców leży w tej chwili wytepienie żywiołu polskiego na całym terenie Wołynia i Małopolski Wschodniej, gdyż to ułatwi im w przyszłości opanowanie tych ziem [...]”.

**Do ludobójczych działań UPA w Małopolsce Wschodniej dokładały się jeszcze zbrodnicze wystąpienia oddziałów SS-Schuetzendivision-Galizien,** które dokonywały krwawych pacyfikacji polskich wsi pod pretekstem likwidacji „sowieckich band”. „Podręcznikowym” przykładem zbrodni tej dywizji jest likwidacja polskiej wsi Huta Pieniacka w województwie tarnopolskim, gdzie wymordowano około ośmiuset mieszkańców, w czym dopomagała UPA i okoliczna ludność ukraińska<sup>15</sup>.

Podobnie jak na Wołyniu, Polacy uciekali najpierw do miast, potem na zachód (obecne ziemie polskie), a także byli wysyłani na roboty w III Rzeszy. Mimo zagrożenia i braku możliwości prowadzenia normalnego życia, niektórzy Polacy trwali na ojcowiznie lub w pobliskich miastach, podejmując różne działania, by uchronić się przed zagładą. Najczęściej ukrywali się – głównie w nocy – w lesie, podziemnych schronach, ogrodach i zagłębieniach terenu lub zbierali się w jednym domu.

**Powstawały też grupy samoobrony polskiej.** Były to kilku- lub kilkunastoosobowe grupy mężczyzn, którzy pełnili warty i patrolowali teren wsi czy kolonii. W razie zagrożenia wszczynali alarm, a jeśli posiadali broń – z czym były wielkie trudności – odpierali ataki. Na ogół małe oddziały samoobrony nie wytrzymały naporu przeważających sił ukraińskich. Dlatego grupy te łączyły się, tworząc ośrodki, do których ściągała ludność polska. Ale z czasem również one były likwidowane, zwłaszcza na Wołyniu, gdzie tylko kilkanaście takich ugrupowań przetrwało do zajęcia terenu przez Armię Czerwoną.

Doświadczenia wołyńskie zmobilizowały Polaków w Małopolsce Wschodniej do wcześniejszego przygotowania obrony (powstało sporo o wiele liczniejszych niż na Wołyniu grup samoobrony) i prowadzenia akcji prewencyjnych wobec Ukraińców<sup>16</sup>. Dlatego w tym rejonie

<sup>15</sup> Zob. Sprawozdanie sytuacyjne z Ziemi Wschodnich z kwietnia 1944, AAN, sygn. 202/III-121, k. 299-314 i opis zagłady Huty Pieniackiej, [w:] H. Komański, S. Siekierka, *op.cit.*, s. 66-71.

<sup>16</sup> Zob. Władysław Filar, *Wołyń 1939-1944. Eksterminacja czy walki polsko-ukraińskie*, Toruń 2003 oraz *Ziemi Wschodnie. Meldunki tygodniowe...*, s. 128-130, 150, 163, 267.

odparto wiele napadów UPA. Ponadto na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej działały polskie oddziały partyzanckie AK, które jednak nie obejmowały swym zasięgiem wszystkich zagrożonych terenów.

Liczne akty agresji ze strony OUN-UPA były skierowane przeciw duchownym rzymskokatolickim. Dopuszczano się napadów na księży i kościoły z wiernymi podczas nabożeństw (11 lipca 1943 r. zaatakowanych zostało pięć świątyń), palono i niszczone budowle sakralne, dokumentację kościelną, uniemożliwiano pochówki religijne. Ukraińcy zamordowali co najmniej 95 duchownych, z czego aż 67 w Małopolsce Wschodniej. Większość z zamordowanych księży była okrutnie torturowana. W wyrafinowany sposób znęcano się m.in. nad o. Ludwikiem Wrodarczykiem z parafii Okopy na Wołyniu i ks. Władysławem Bilińskim z parafii Kotów w woj. tarnopolskim<sup>17</sup>.

**Łączne straty ludności polskiej na całym obszarze działalności OUN-UPA wyniosły co najmniej 120 tys. Polaków zamordowanych w około 4300 miejscowościach.** Nie można jednak wykluczyć, że pogłębione studia pozwolą na określenie o wiele wyższej liczby. **Ze względu na motyw narodowościowy tej zaplanowanej i zorganizowanej przez OUN-UPA zbrodni (Polacy byli mordowani tylko dlatego, że byli Polakami) w świetle Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 r. należy uznać ją za zbrodnię ludobójstwa.** Trzeba ponadto zwrócić uwagę, że ludobójstwo to miało – po pierwsze – charakter powszechnego okrucieństwa, stosowanego przez sprawców z OUN-UPA wobec polskich ofiar niezależnie od wieku i płci, a więc nawet wobec dzieci (z tego względu zasługuje na wyróżniającą je nazwę *genocidium atrox*, czyli ludobójstwo straszliwe, dzikie, okrutne); i – po drugie – polegało na usuwaniu cywilizacji budowanej tam przez wiele pokoleń.

Od 1944 r., na zajętych przez Związek Sowiecki terenach, równoległe do ludobójczych akcji nacjonalistów ukraińskich, odbywał się urzędowy proces depolonizacji Wołynia i Małopolski Wschodniej. Stopniowo – aż do końca 1946 r. – Polacy z tych terenów byli wysiedlani do Polski w obecnych jej granicach na mocy porozumienia dwóch komunistycznych rządów – polskiego i sowieckiego.

## ANEKS

### Jesteśmy partyzantką ruską...

„[...] W dniu 9 lutego 1943 r. (wtorek) wcześniej rano, zbudzono nas głośnym i natarciwym łomotaniem w drzwi. Wyrwany ze snu ojciec podszedł do okna i po powrocie do sypialni powiedział do mamy, że stoi tam duża grupa uzbrojonych mężczyzn. Wtedy zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Ojciec poszedł otworzyć drzwi, do których strasznie łomotano. Ja z siostrą Teresą-Lilą [...] weszliśmy na piec chlebowy w kuchni, z którego widok był wprost na drzwi wejściowe. W tym też czasie dziadek z babcią przyszli z dużego pokoju do kuchni.

Do kuchni jako pierwszy wszedł wysoki, dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna w wieku około 30 lat. [...] Przez ramię miał przewieszony na rzemiennym pasie nagan bębnowy w pochwie. Przedstawił się jako główny dowódca partyzantki ruskiej. Za nim

<sup>17</sup> Por. *Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939–1945*, oprac. J. Krętosz, M. Pawłowiczowa, Opole 2007.

wchodzili kolejno uzbrojeni mężczyźni, których obserwowaliśmy z pieca. Ubrani byli bardzo różnie. [...] Część z nich była obuta w postoły. Broń ich była różna: karabiny, automaty (wiemy to od rodziców), strzelby, granaty, za pasem siekiery i noże. Co poniektórzy mieli zamiast broni piki.



Osada Janowa Dolina w pow. kostopolskim na Wołyniu po napadzie UPA w Wielki Czwartek (kwiecień) 1943 r., w której zginęło ok. 600 Polaków

Liczyłem wchodzących przez kuchnię do dużego pokoju, było ich około szesnastu.

Po jakimś czasie dowódca [sotni UPA Hryhorija Pehrijniaka »Dowbeszki-Korobki«] [...] wszystkich nas policzył i powiedział do rodziców: »Jesteśmy partyzantką ruską i musicie nas żywić cały dzień. Nikomu nie wolno wychodzić z mieszkania«. Wychodzącemu do obrządku towarzyszył »sotnik«. Mama miała ugotować rosół, napiec chleba i przygotować dobry obiad. [...]

Wszystko było już przygotowane – stoły nakryte, rosół, obiad ugotowany, chleb napieczony, słonina nasmażona. Dochodziły nas śmiechy, rozmowy, jedzenie, chodzenie, wychodzenie z domu, wynoszenie różnych rzeczy, co trwało dosyć długo.

W sypialni byliśmy bez wartownika. [...] Mama powiedziała, że chyba nas pomordują, na co ojciec nic nie odpowiedział. Siedział ze spuszczoną głową, bez słowa. Mama, modląc się półgłosem, prosiła Boga, by jej dzieci nie zostały sierotami.

Po dłuższym czasie, do sypialni wszedł dowódca z miną bardzo zadowoloną, za nim kilku bandytów rozebranych do koszul, roześmianych. Dowódca powiedział nam: »Musicie się położyć, my was powiążemy, żeby Niemcy was nie skrzywdzili za przetrzymywanie i karmienie partyzantów«. Rozkazał położyć się twarzą do podłogi i nastąpiło bestialskie mordowanie, rąbaniem naszych głów siekierami. Oprawców było wielu, gdyż mordowano nas prawie jednocześnie. Mordercy przebywali w naszym domu w dalszym ciągu, uczując. W czasie mordowania słyszeliśmy krzyk mamy, która kątem oka musiała widzieć mordowanie dziadka, babci i ojca (swego męża), gdyż leżała obok niego. Po chwili ucichła. My – [ja] z siostrą – leżeliśmy nieco dalej obok kołyski, z nogami do głów rodziców. Po upływie jakiegoś czasu odzyskałem przytomność i usłyszałem głosy banderowców z kuchni, dochodzących tam i z powrotem. W tym czasie słyszałem rżenie mamy. Do dziś nie wiem, dlaczego nie wstałem? Usłyszałem wnet kroki zbliżającego się do sypialni mordercy i natychmiast ułożyłem się w tej samej pozycji (chyba tylko z woli Boga). Wtedy to morderca otworzył drzwi, rąbnął siekierą, chwilę postać, zamknął drzwi i poszedł. Wtedy to ponownie poruszyłem się, gdyż bardzo bolały mnie ramiona. Słyszac pojedyncze już tylko głosy oprawców, nie próbowałem wstać. Po chwili znów otworzyły się drzwi, morderca popatrzył, ponieważ nikt nie dawał znaku życia, zamknął drzwi i wtedy wszystko ucichło. [...] Odczekałem jeszcze jakiś

czas i dopiero wtedy zacząłem poruszać się. Wstać jednakże nie mogłem. Cały byłem bardzo obolały, odrętwiały. Wtedy to młodsza moja siostra Teresa musiała odzyskać przytomność, gdyż poruszyła się, macając ręką podłogę. Spytałem: »Lila ty żyjesz?«, na co siostra ze zdziwieniem odpowiedziała: »Dlaczego miałabym nie żyć? Dlaczego my leżymy na podłodze?« Wtedy ja powiedziałem, że tak nam oni kazali położyć się i wszystkich nas wybili. Ja jestem ranny, bardzo mnie wszystko boli. »To ja chyba też jestem ranna, bo mam takie poklejone włosy i bardzo boli mnie głowa«. Byliśmy bardzo zziębnięci, zdrętwiali, zalani krwią. Lila wstała i pomogła wstać mnie. Widok, który naszym oczom ukazał się, był straszny. [...]. Rodzice mieli głowy rozrąbane na pół. Mamy długi warkocz był odcięty. W głowie ojca pozostawiona siekiera, co oznaczałoby, że słyszane przeze mnie jęki, wydawał ojciec, którego dobito. W kołysce najmłodsza Bogusia, w wieku 1,5 roku, uderzona była siekierą w czoło. Przez dłuższy czas była w konwulsjach, które miotają kołyską. Lila wzięła ją na ręce i po chwili Bogusia zakończyła życie. [...] Wraz z siostrą odczułem straszne pragnienie picia. Przechodząc przez trupy pomordowanych do kuchni, upadliśmy w kałużę krwi. Z trudem, bardzo wtedy właśnie przerażeni, zrozumieliśmy, co się stało. Doszliśmy do kuchni, w której było przerażające zimno – zostawili otwarte drzwi, a mróz sięgał ponad 20°C. Napiliśmy się wody, zabierając ze sobą kubek wody, żeby już nie wychodzić ponownie. Zebraliśmy to, co pozostało niezrabowane, tj. derki, koce. Kubek z wodą Lila ustawiła na oknie, a my położyliśmy się do łóżka. [...] Tak w męczarniach doczekaliśmy rana następnego dnia. [...]

Byliśmy przekonani, że to tylko u nas tak się stało, gdyż ojciec był odpowiedzialny za broń, przechowywał ją przecież. U stryjka wszyscy tak samo pomordowani. Naprzeciw u sąsiadów ten sam widok. [...] Słychać za to straszne wycie psów. Nie dymiły nigdzie kominy. Wróciliśmy z podwórka do domu. Piec chlebowy był ciepły, usiedliśmy przy nim, zasłaniając się pasiakiem. W pewnym momencie usłyszeliśmy skrzypienie sań i zbliżające się kroki ludzkie. Lila stwierdziła, że to na pewno banda wróciła i teraz nas dobijają, więc trzeba się pomodlić. Ponieważ mnie trudno było siedzieć, leżałem z głową na poduszeczce trzymanej w rękach Lili. Wtedy odrzekłem, że ja nie mogę się nawet modlić, tak mnie wszystko boli. Lila postanowiła, pocieszając mnie, modlić za nas oboje.

Jako pierwsi weszli Niemcy z psem, który od razu doskoczył do nas. [...] Ujrzelśmy jakieżś znajome nam twarze J[ana] i A[ntoniego] Przybyszów. [...]”

### **Witold Kołodyński (kolonia Parośla w pow. sarnieńskim, woj. wołyńskie)**

*Fragmety relacji znajdujące się w zbiorach Władysława i Ewy Siemaszków oraz Ośrodku KARTA, sygn. AW II/2104. Był to pierwszy masowy mord dokonany przez UPA, w którym zginęli prawie wszyscy mieszkańcy polskiego osiedla (co najmniej 150 osób). Ocalało 13 osób.*

### **Do wsi przyszli ludzie, którzy mordują Polaków**

„W 1943 miałem kilka lat [..] i z tego roku utkwilo w moim umyśle niewiele obrazów. O niektórych wydarzeniach na Wołyniu dowiedziałem się od mojej mamy Stefanii dopiero w okresie gimnazjalnym [...].

Ojciec mój Bolesław Różycki, z wykształcenia historyk, po ukończeniu studiów na U[niwersytecie] W[arszawskim], powrócił na Wołyń i podjął pracę jako nauczyciel [...]. Po 17 września 1939 roku, po trzykrotnych nieudanych próbach przekroczenia granicy na Bugu (chciał połączyć się z rodzonym bratem Kazimierzem, zamieszkałym w Warszawie), zamierzał przeczekać wojnę we wsi Ploska (gm. Diatkowicze), gdzie w tamtejszej gorzelni, zarządzanej przez kolonistów czeskich, dostał pracę buchaltera.



We wsi, niemal w całości zamieszkałej przez Ukraińców, prócz wspomnianych kolonistów, przebywały dwie rodziny polskie: my (tzn. ojciec, mama, ciocia i ja) oraz Warpechowsy. [...]. Zapamiętałem z rozmów z matką, że Warpechowski był kowalem i we wsi miał kuźnię, a Krysia – najmłodsze dziecko z tego małżeństwa, tragicznego dnia 13 marca 1943 roku, była niemowlęciem.

Przed tą datą atmosfera we wsi nie wskazywała na jakikolwiek dramat. Współżycie z Ukraińcami było poprawne. Ponadto ojciec mój, który wychowywał się nad Horyniem razem z Ukraińcami (mama pochodziła z centrum Polski), umiał zjednywać sobie ludzi i żył w przyjaźni z miejscowymi ukraińskimi rodzinami.

Dnia 13 marca (było już ciemno) przybiegła do nas Ukrainka, u której mama brała dla mnie mleko, i powiedziała, żebyśmy jak najszybciej uciekali, bo do wsi przyszli ludzie, którzy mordują Polaków. Ojciec w tym czasie był w pracy. Mama dowiedziała się, że jego zabrali, ale im uciekł (gorzelnia znajdowała się na drugim końcu wsi).

[W tym czasie nastąpił] dramat [rodziny] Warpechowskich. Po nagłym wkroczeniu do ich domu hordy pijanych zwolenników samostijnej Ukrainy [...], rodzice Krysi, nie mając czasu na zastanawianie się, instynktownie uciekli do ogrodu bez dzieci [...]. Tymczasem oprawcy wyweleli z domu do kuźni dwójkę dzieci, prawdopodobnie już nieżywych (mama mówiła mi, że Warpechowsy nie słyszeli płaczu), by tam poodrąbywać siekierami kończyny i głowy, które przybite zostały do ścian kuźni. Krysia (jako niemowlę) ocalała, ponieważ [...] w ostatniej chwili, została przykryta pierzyną przez jedno z dzieci. [...]

Tej nocy uciekaliśmy razem z Warpechowskimi do Równego. Czy na przełaj, piechotą? Prawdopodobnie furmanką Warpechowskich bocznymi drogami, by nie natknąć się na podobne hordy zdziczałych z nienawiści ludzi.

W Równem, mieszkając u kuzynów ojca (rodzina Trębeckich), mama moja cały czas wierzyła w to, że ojciec żyje. Pisała do babci Ani, do Ostroga, i do znajomych. Pozytywne odpowiedzi nie nadchodziły.

Nasz dramat rozegrał się miesiąc po tamtym dramacie. Matka moja otrzymała wiadomość, że 13 kwietnia ciało ojca znaleziono w lesie, a ściślej w rowie, przykryte gałęziami. Znalazła je pewna Ukrainka, która zbierała w lesie chrust na opał.

Mama nie organizowała pogrzebu, który odbył się dopiero w dniu 14 maja 1943 r. Zajęli się tym, bez naszej zgody, pracodawcy ojca. Kiedy przybyliśmy do Płoski, trumnę z ciałem przetransportowano (czy z udziałem księdza, tego nie pamiętam) na cmentarz rzymsko-katolicki w pobliskim Szpakowie, w asyście żołnierzy Wehrmachtu, a na 12 topolach przy drodze do Szpakowa widzieliśmy 12 wisielców, Ukraińców, rzekomo tych, którzy zamordowali ojca. Obraz ten pamiętam do dziś, mimo że miałem wtedy 5,5 roku. Może dlatego, że mama moja strasznie płakała – płakała nie tylko z powodu utraty męża; również ze wstydu i bezszy, że oto Niemcy w mundurach odprowadzają na cmentarz członka AK.

Tyle, ile utkwiło w mojej pamięci z tragicznego roku wojny 1943. [...] Po wojnie nie odwiedzałem mogiły ojca, nie ciągnęło mnie na Ukrainę i nie brałem udziału w żadnej wycieczce [...]”.

**Andrzej Różycki (wieś Płoska w pow. rówieńskim, woj. wołyńskie)**

*Fragmety relacji ze zbiorów Ewy Siemaszko.*

## Nie palcie, ja już otwieram!

„Pochodzę z Wołynia ze wsi Kąty. [...] Zbliżał się 30 sierpnia 1943 r. Sąsiednia wieś Leśniaki obchodziła uroczyste Wniebowstąpienie NMP, po ukraińsku Znesinnia. Uroczystość ta trwała dwa dni. Na Leśniaki zjechało dużo sąsiadów, mieszkańców okolicznych wsi. Uroczystość zakończyła się zabawą. Nad ranem cała horda ruszyła na wieś Kąty. Czołówka, która szła przez wieś, mordowała, kto był żywy, a pozostali, którzy nerwowo nie wytrzymali, rabowali, wynosili wszystko na wozy i wywozili ze sobą.

Czołówka dochodziła do naszego domu. Rodzice moi pobudzili nas i kazali uciekać poza dom, w ogród. Mama moja, kiedy usłyszała, że krzyczą: »Otwieraj, bo spalimy!«, sama ze strachu krzyczała: »Nie palcie, ja już otwieram!«, ale nie mogła otworzyć [...].

Napastnicy nanieśli słomy na ganek i podpalili. Dom zaczął się palić. Mama moja krzyknęła do ojca: »Wynosimy się!« Wzięła do ręki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ucałowała, dała do ucałowania ojcu i powiedziała do ojca: »Wynosimy się«. Rozplakała się i prosiła Matkę Boską: »Ratuj nas«.

Kiedy dom się palił, było słychać jęki na podwórku, przed ojca kuźnią, to jęczały dzieci – córki bratowej mojej mamy, które leżały po ciosach siekier i żar płomieni je parzył. Ojciec mój wyskoczył na podwórko, wyniósł te dziewczyny z ognia i przyniósł je do ogrodu. To były Janka Sawosz i Stefka Sawosz, córki mojego wujka Karola: Stefka umarła między godz. 10.00-11.00, nie wytrzymała bólu, a Janka umarła we wtorek w szpitalu w Lubomlu. Ojciec jeszcze wyniósł z płonącego domu mamę mojej mamy, Rozalię Sawosz, która leżała w szpitalu do piątku. Zmarła w szpitalu w piątek między godziną 9.00 a 10.00 [...]. Otrzymała łaskę od Boga, że zmarła w pierwszy piątek miesiąca. Natomiast jej synowa z synkiem, czyli mojej babci wnukiem Tomkiem, spalili się porąbani w domu, w komorze [...]. Wujek uciekł poprzedniego dnia do miejscowości Sawosze do znajomych. Przyszedł do domu po tragedii”.

### Andrzej Bastrzyk (wieś Kąty w pow. lubomelskim, woj. wołyńskie)

*Fragmenty relacji znajdującej się w zbiorach Ewy Siemaszko i pracy: Leon Karłowicz, Leon Popek, Śladami ludobójstwa na Wołyniu. Okrutna przestroga, cz. 2, Lublin 1998, s. 221–222. Wieś zlikwidowana podczas zmasowanych napadów na polskie osiedla w ostatnich dniach sierpnia 1943 r., UPA mordowała wówczas Polaków w 85 miejscowościach. W Kątach zginęło ponad 200 osób.*

## Co wieczór o zmroku opuszczaliśmy własny dom...

„W marcu [1944] wojska niemieckie wycofały się. Był to okres bez żadnych rządów. 19 marca 1944 r. rozpoczęło się morderstwo dokonywane na Polakach przez banderowców ukraińskich. W okrutny sposób najpierw zamordowali nożami leśniczego o nazwisku Michałowski. Zaczął się okres grozy. [...]

Co wieczór o zmroku opuszczaliśmy własny dom [w Kobakach] i wędrowaliśmy daleko w pole [...]. Braliśmy ze sobą koce, owijaliśmy się w nie i kładliśmy się na kupy obornika, który wywieźli chłopci jesienią. Rano, gdy budziliśmy się, byliśmy przysypani śniegiem. Tak chodziliśmy codziennie. [...]. Zaczęły się dnie deszczowe. Nie można było w dalszym ciągu spać na polu. Poszliśmy do sąsiedniej wioski Rożnowa. Była tam stara stodoła. [...] Następnym wieczorem szukaliśmy znów innej kryjówki i tak za każdym razem gdzie indziej. [...]

Nadszedł kwiecień. Dostaliśmy wiadomość, że została zamordowana w Kutach mojego ojca krewna. Wyprowadzili ją banderowcy z mieszkania i ukrzyżowali żywcem na ścianie.

Przybili gwoździami ręce i nogi, odcięli piersi, wydlubali oczy, rozcięli usta od ucha do ucha i napisali obok Joanny: »Masz Polskę od morza do morza«. [...]

Pogoda bardzo się popsuła. Nie można było dalej spać na polu. Poprosiła więc mama sąsiadkę, bardzo dobrą Ukrainkę Ilonę Romaniuk, aby przyjęła dzieci na noc do siebie. Nie odmówiła [...]. Rodzice natomiast poszli do innego Ukraińca, starego dziadka Michała Sorochaniuka. [...]

Nastąpił tydzień Wielkiej Nocy. Słyszeliśmy, jak Ukraińcy mówili do siebie: »W tym roku Polakom poświęcimy jajka polską krwią«. Wieczorem w Wielką Środę mama znów zaprowadziła mnie i siostrę do sąsiadki Ilony, żeby nas przyjęła na noc. I tym razem nie odmówiła pomocy [...]. Tylko położyliśmy się spać usłyszeliśmy, że w cerkwi zaczęły bić dzwony, dając sygnał na alarm. Zatrąbiła trąbka. Zaczęło się piekło. Ukraińskie kobiety, nawet stare babcie, były kijami po blaszanych dachach studni i bram, wyrostki biegały i były w blaszane kotły, inne dzieci biegały po ulicach z nożami i dzwoneczkami. Starsi mężczyźni unosili na widłach płonące snopy słomy i krzyczeli »Hura, hura, hura... Polacy mordują Ukraińców«. Chcieli w ten sposób wywołać złość u tych Ukraińców, którzy byli jeszcze przychylni Polakom. Trwało to kilka godzin. Nad ranem nastąpiła cisza. [...]

Nadszedł Wielki Piątek. Znów powtórzyło się piekło to samo, co było w Wielką Środę. Na szczęście jednak zostaliśmy przy życiu. [...] Pod koniec kwietnia pojawiła się u nas partyzantka rosyjska. Zaraz za nimi przyjechało wojsko. Założyli urząd. Było już trochę lepiej. Zaczęli wyłapywać banderowców i aresztować. Trochę się uspokoiło, ale gdy tylko nadarzyła się okazja, nadal mordowali. Uciekaliśmy nadal i ukrywaliśmy się coraz to w innym miejscu. [...]

W maju dostaliśmy z gminy rozkaz opuszczenia wsi i wyjechania [...], ponieważ zbliżał się front. [...] Pojechaliśmy w oznaczonym kierunku. Zatrzymaliśmy się w mieście Śniatyń [...], gdzie przebywaliśmy do lipca. Znów nas zawiadomiono, że możemy wracać do domu. [...] Pod koniec października znów pojawili się banderowcy. [...] Znów uciekaliśmy z domu i ukrywaliśmy się w różnych miejscach. [...]

Około 20 listopada [...] usłyszeliśmy strzał [...], ojciec [...] ujrzał łunę. To w sąsiedniej wiosce paliły się polskie domy. [...] Na drugi dzień rano [...] uciekliśmy do miasta Kutry. Tam już było dużo wojska rosyjskiego. [...] Tam mieszkaliśmy aż do wyjazdu do Polski.

Nadszedł rok 1945. [...] Ogłoszono Polakom, że kto chce, może wyjeżdżać do Polski. Z tego faktu skorzystali znów banderowcy. Przebrani w mundury rosyjskie wkroczyli do gminy w miejscowości Nowosielica. Tam mieszkała cała rodzina mojej matki. Banderowcy zrobili tam zebranie, na które przybyli Polacy chętni do wyjazdu do Polski. Kiedy zapełniła się sala i nikt już nie przychodził, rozpoczęli załatwianie spraw związanych z wyjazdem. Z karabinu maszynowego postrzelili nogi zebranych tak, żeby nikt nie mógł uciekać. Wówczas Ukraińcom kazali przynosić słomę. Narzucali na rannych i spalili żywcem wraz z budynkiem. Potem rozbiegli się po wsi, aby wymordować jeszcze tych, którzy na zebranie nie przybyli. Moja kuzynka Helena, gdy zobaczyła, że gmina się pali, a w kierunku ich domu idą banderowcy, chwyciła ośmiomiesięczne dziecko i uciekła do lasu. [...] Banderowcy natomiast szaleli w Nowosielicy. Złapali m.in. starą babcię Dajhmer. Wywlekli ją na podwórko i powiesili na płocie. Dzieci rozdzielali za nóżki lub zabijali, tłukąc główką w futrynę.

W naszej natomiast miejscowości przyszło prawdziwe zawiadomienie o wyjeździe do Polski”.

**Wanda Jaskółska (wieś Kobaki w pow. kosowskim i wieś Nowosielica w pow. śniatyńskim, woj. stanisławowskie)**

*Fragmenty relacji znajdującej się w Ośrodku KARTA, sygn. AW II/157/I. W Kobakach z rąk UPA zginęło około 30 Polaków, a w Nowosielicy około 70.*

## Udałyśmy się do kaplicy, aby przygotować się do ostatniej chwili swego życia

„Urodziłam się w woj. poznańskim – Krotoszyn. Do Czerwonogrodu przysłali mnie Przełożeni 6 grudnia 1937 r. W zakładzie tym miałam powierzone dzieci-sieroty. Bardzo je kochałam. [...]

Był to Pierwszy Piątek lutego 1945 [roku] [...] – dzień Święta Matki Bożej Gromnicznej. [...] Udałam się z dziećmi [...] do kościoła parafialnego [w Czerwonogrodzie]. [...] Po sumie Ks. K[anonik Szczepan] Jurasz prosił mnie, żeby powiedzieć S[iostrze] Przełożonej, aby Siostry z dziećmi zeszły na noc [z klasztoru w Nyrkowie] do Czerwonogrodu, bo są złe wiadomości.

Myśmy pozostały w klasztorze, zachęcając jednak dzieci, aby poszły na noc do szkoły [...]. Dzieci nie chciały się zgodzić na opuszczenie klasztoru. [...] Nadszedł ciemny wieczór, jak zwykle ogarniał nas lęk, tego wieczoru podwoił się [...].

Około godz. 21 słychać było ruch sań przejeżdżających drogą w pobliżu klasztoru. [...] Po pewnej chwili podeszłam do okna [...]. Wystrzelone rakiety oświeciły Czerwonogród, wtedy zobaczyłam wielu mężczyzn uzbrojonych z karabinami w pobliżu muru [idących] w kierunku wsi. [...] Ujrzałam białe postacie z pochodniami, jak schodziły w dół, [...] pierwsze



Ofiara napadu UPA na majątek Lityn w pow. kowelskim na Wołyniu (wrzesień 1943 r.). Zdjęcie znalezione w spalonym przez banderowców dworze

szcze pożary domów, które są na skraj wsi – miały strzechy słomiane [...]. Wkrótce strzały karabinowe, ludzie w popłochu, widząc pożary, palące się stodoły, chlewy, ryczące bydło, ratowali się ucieczką, nagle napadnięci ginęli od noży lub kul. Krzyki, jęki ludzkie i wycia zwierząt palących się dolatywały do moich uszu [...]. Wioska otoczona przez banderowców miejscowych ze wszystkich stron. Miejscowi ludzie więc wpadali w ich ręce, gdyż zwoływali ich do siebie. W nocy ciemnej nie poznawali, więc padały ofiary okrutnie masakrowane. [...]

Nagle zauważyłam, że gromada banderowców zbliża się pod klasztor [...]. Zebrałam wszystkie dzieci, wraz z siostrą przełożoną udałyśmy się do kaplicy, aby przygotować się do ostatniej chwili swego życia. Wejściowe drzwi były na noc zabarykadowane. Zaczęto walić w drzwi i rąbać siekierami, wołając »Lachy, otwórzcie«. [...] Nagle poczułam, że ja umieram, ciemno mi w oczach, zapadam się gdzieś w ciemnej przestrzeni, nagle jakby powstał wielki huk i wielka światłość rozświetliła, to trwało sekundę, w tym

momencie z tej światłości usłyszałam polecenie »Chowajcie się pod ołtarz«. Ocknęłam się w tym momencie i powtórzyłam te słowa. [...] Siostra przełożona szybko odsunęła mense i natychmiast dzieci tam weszły, ale mi też nakazała, abym była tam z dziećmi. Szybko zasunęła wejście ołtarza i obok weszła do zakrystii, za Nią przyszła jeszcze S[iostra] Bronikowska [...]. Ołtarz niewielki, więc było ciasno. Dzieci nie były znów takie małe. [...] W tym momencie, wierzę do dziś, że gdy ołtarz był tak wypełniony, zostałam natchniona myślą zesłaną od Boga i powiedziałam [do] dzieci: »Odsuńcie się od desek, aby była głucha przestrzeń«. [...]

Gdy wpadli do kaplicy, zapalili świece i zaczęło się poszukiwanie za nami [...]. Jedna z dziewczynek poznała przez głos i małą szparę, że to był syn diaka ze wsi Nyrków. Nagle próbuje ruszyć ołtarz, ale ołtarz był przymocowany do ciężkiego stopnia. Puka więc w ścianę ołtarza tuż przy mnie. Po kilku razach uderzeń z trzech stron, ogłosił: »Pusto, głucho«. [...] Nagle widzę, że marmur w ołtarzu z relikwiami unosi jeden, podniósłszy obrus. Widzę jego palce nad głową jednej dziewczynki, przerażona, że może on teraz [nas] zauważyć. [...] Byłam pewna, że mogą zaraz nas wyciągnąć. Odszedł [...], ale strzelił po ścianach bocznych kaplicy [...].

Po chwili poszukiwania przystąpili do rąbania drzwi do zakrystii. Tam była siostra przełożona i druga siostra. Gdy weszli, zaczęli się odgrażać, że jako Lachy będą zaraz spalone. [...] Słyszałam, jak zmuszano s[iostrę] przełożoną, by powiedziała, gdzie ja jestem i dzieci. Gdy odpowiedziała, że nie wie, bito Ją. [...] Wyszli znów na poszukiwania na strychu, gdzie zaczęto strzelać wokoło z automatu, myśląc zapewne, że tam jesteśmy. Gdy panowała cisza, zeszli z powrotem.

I nanoszone słomy do kaplicy i podpalono, ale na szczęście słoma była wilgotna i tylko się tliła [...]. Po tej czynności wyprowadzono s. przełożoną Klarę Linowską i s. Bronisławę Bronikowską na parter. Będąc schowana w ołtarzu, słyszałam cztery strzały, które zmasakrowały głowę i twarz s. Klary Linowskiej, a s. B. Bronikowskiej wbito w plecy nóż, zadając jej cios śmiertelny.

Po tych czynach zbrodniczych zabrano się do grabieży naszych rzeczy”.

**Siostra Władysława Sobierajska ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincen-  
tego à Paulo (wieś Czerwonogród i wieś Nyrków w pow. zaleszczyckim,  
woj. tarnopolskie)**

*Fragmety relacji ze zbiorów Ewy Siemaszko. 2 lutego 1945 r. w Czerwonogrodzie  
i Nyrkowie upowcy zamordowali około 70 Polaków.*

# KOŚCIOŁY WOBEC KONFLIKTU POLSKO-UKRAIŃSKIEGO W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

*Polityką kapłani nie zbawią dusz. Na tamten świat nie weźmiecie ani Ruszczyzny,  
ani Polszczyzny, tam popłaca tylko miłość, którą wiara zrodziła<sup>1</sup>.*

Św. Józef Bilczewski (1860–1923)  
arcybiskup lwowski obrządku rzymskokatolickiego

Nie ma dziś fenomenu wielokulturowych Kresów, gdzie przez wieki współistniały żywoły polski, ukraiński, żydowski i ormiański; zniknęła kultura, w której naturalne były polsko-ukraińskie małżeństwa, w której Polacy śpiewali ukraińskie dumki, a Ukraińcy polskie kołędy; zniknął świat przyjaznego funkcjonowania (na długo przed ideami ekuumenizmu) wyznań i obrządków chrześcijańskich. Wszystko to zostało brutalnie przerwane i zniszczone.

To, co się stało podczas II wojny światowej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, było bezprecedensowym wydarzeniem w historii sąsiedztwa pobratymczych narodów – Polaków i Ukraińców. Źródeł tych wydarzeń należy szukać w olbrzymich wypaczeniach moralnych, które nastąpiły na skutek zastąpienia odwiecznych wartości chrześcijańskich, będących rekojmią normalności w kontaktach międzyludzkich, ideologią nienawiści. Wiek XX, nazywany też wiekiem totalitaryzmów, zaproponował ludzkości nowe ideologie, które w imię nadrzędnego celu kazały używać wszelkich środków i zanegowały humanistyczne zasady, odwołujące się do etyki chrześcijańskiej. Upowszechnienie totalitaryzmów szło w parze z marginalizacją roli Kościoła w społeczeństwie i próbami podporządkowania go własnym celom.

W dwudziestoleciu międzywojennym w relacjach polsko-ukraińskich zapanowała niespotykana dotąd wrogość, podsycana jeszcze świeżą pamięcią o wojnie o tzw. tereny sporne, na których obudzone do życia państwowe narody pragnęły budować swą irredentę. Jedna ze społeczności znalazła się w sytuacji zwycięzonego, druga – zwycięzcy. Jedna nie chciała pogodzić się ze swym statusem, druga ze wszech sił usiłowała wzmocnić własną dominację. Znane wypaczenia polityki wobec mniejszości narodowych państwa polskiego przyczyniły się do upowszechnienia skrajnie radykalnych nastrojów wśród Ukraińców, czerpiących inspirację z faszystowskich i nazistowskich wzorców ówczesnej Europy<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Z listu abp. J. Bilczewskiego do abp. A. Szeptyckiego z 20 XI 1907 r., Centralne Państwowe Archiwum Historyczne we Lwowie, zesp. 358, inw. 1, vol. 166.

<sup>2</sup> Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która powstała w Wiedniu w 1929 r., opowiedziała się za ideologią integralnego nacjonalizmu i z fascynacją zapatrywała się na poczynania Hitlera w Niemczech oraz Mussoliniego we Włoszech. Badacz ukraiński śp. Jurij Kyryczuk pisał, że nie po-

Metodą zwalczania polskiego panowania, które nazywano okupacyjnym, miała być bezkompromisowa, pozaparlamentarna walka, odwołująca się do haseł antychrześcijańskich. Dla dobra „sprawy” zalecano dokonywanie najgorszych zbrodni w myśl wskazań swoistego kodeksu, który przybrał nazwę „dekalogu”<sup>3</sup>. Nacjonalistyczna młodzież, wychowana na ideach Dmytra Doncowa, nie wahała się przedkładać ideę niezawisłości Ukrainy ponad wszelką etykę, Kościół, chrześcijańską moralność i Boga. Głoszono, że w walce nie ma etyki, przyjmując, że jest ona pozostałością niewolnictwa narzuconego pokonanym przez zwycięzców<sup>4</sup>.

Hierarchia Kościoła greckokatolickiego na terenie byłej Galicji, gdzie szczególną popularnością cieszyła się nacjonalistyczna ideologia, z całą siłą napiętnowała tę dechrystianizację, zataczając coraz szersze koła wśród ludu. O jej niebezpieczeństwie mówił bł. Grzegorz Chomyszyn, greckokatolicki ordynariusz stanisławowski: „Nacjonalizm począł u nas przybierać cechy ducha pogańskiego, albowiem wprowadza pogańską etykę nienawiści, nakazując nienawidzić wszystkich, którzy są innej narodowości, a nawet wzbraniając nieść im pomoc i okazywać miłosierdzie w ich nieszczęściu. To właśnie jest przeciwne etyce chrześcijańskiej, Chrystus bowiem nakazał słowem i swoim przykładem miłować bliźnich swoich i to nie tylko przyjaciół i swoich, ale również wrogów osobistych oraz ludzi, obcych narodowością”<sup>5</sup>.

Władysław stanisławowski z niepokojem pisał, że ideologia ta zdobywa coraz liczniejszych adeptów nie tylko wśród ludu, ale także wśród duchowieństwa greckokatolickiego. Obarczając odpowiedzialnością za niepowodzenia w rozbudowie życia narodowego nacjonalistycznych przywódców, bp Chomyszyn zarzucał im: „Hurrapatrioci narodowi, szowiniści i krótkowzroczni politycy ukraińscy spowodowali również gorzki los narodu ukraińskiego. Ludzie ci, którzy postępowali raczej jak obłąkańcy, aniżeli jak przywódcy, oni właśnie opluwali wszelki poważny i rozważny prąd. Oni to właśnie wprowadzili ten duchowy rozkład w narodzie, oni to podkopali wiarę i moralność, oni to oślepiли i zatruli naród. Oni to i nadal wywołują gniew Boży i gotowi do tego doprowadzić, że z kipiącego kotła Wschodu poleje się lawa ognista, która może nas całkowicie zniszczyć z oblicza ziemi”<sup>6</sup>.

Przyjętą przez OUN taktykę terroru ostro potępił greckokatolicki arcybiskup lwowski sługa Boży Andrzej Szeptycki po zabójstwie (w 1934 r.) dyrektora ukraińskiego gimnazjum

---

zostawia wątpliwości duchowa łączność ideologii OUN z nazizmem i faszyzmem. Zresztą w jednym z dokumentów programowych tej organizacji w 1937 r. pisano: „Nowe ruchy nacjonalistyczne w różnych krajach mają różne nazwy: we Włoszech – faszyzm, w Niemczech – hitleryzm, u nas – ukraiński nacjonalizm”. Zob. J. Kyryczuk, *OUN i UPA u zahalnoswitowomu konteksti: paraleli, porivnannia, analohiji, uroky*, [w:] *Ukrajinska powstanska armija u borotbi proty totalitarnych režymiw*, Lwów 2004, s. 33; I. Wasiuta, *Polityczna istorija Zachidnoji Ukrainy (1918–1939)*, Lwów 2006, s. 289; B. Grott, *Doktryna nacjonalizmu ukraińskiego na tle wybranych europejskich doktryn nacjonalistycznych*, [w:] *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–2004*, red. B. Grott, Warszawa 2004, s. 17–32.

<sup>3</sup> „Nie zawahasz się popełnić największej zbrodni, jeżeli tego będzie wymagać dobro sprawy” – głosiło siódme „przykazanie” z dziesięciorga „przykazań” ukraińskiego nacjonalisty. Zob. P. Mirczuk, *Narys istoriji OUN*, t. 1, München 1968, s. 126.

<sup>4</sup> Por. O. Stasiuk, *Pozycja OUN stosownie ukrajinsko-polskich wzajemyn*, [w:] *Ukraina u druhij switowij wjni: ukrajinsko-polski stosunki*, Lwów 2005, s. 173.

<sup>5</sup> *Problem ukraiński. Napisał dla duchowieństwa świeckiej i inteligencji narodu ukraińskiego Grzegorz Chomyszyn, biskup stanisławowski*, Warszawa 1933, s. 22.

<sup>6</sup> *Ibidem*, s. 43.

we Lwowie Iwana Babija przez członków nacjonalistycznego podziemia. Osiąganie celów narodowych na drodze zbrodni skrytobójstwa metropolita uznał za profanację samej idei. Pisał, że zbrodni niczym nie można usprawiedliwić, „zbrodnia zawsze jest zbrodnią, świętej sprawie nie można służyć zakrwawionymi rękami”, natomiast ten, „kto przez tego rodzaju działalność demoralizuje młodzież, jest zbrodniarzem i wrogiem narodu”<sup>7</sup>.

Nader dramatyczne losy narodu ukraińskiego na początku okupacji niemieckiej wschodnich województw polskich spowodowały solidarne poparcie przez hierarchię Kościoła greckokatolickiego politycznego kursu kierownictwa OUN, które dążyło do powołania niepodległego państwa ukraińskiego pod auspicjami Niemiec. W odezwie do narodu metropolita Szeptycki uznał rząd Jarosława Stečki, utworzony przez banderowską frakcję OUN<sup>8</sup>. W liście do Piusa XII z 29–31 sierpnia 1942 r. zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego tłumaczył się z poparcia dla władz nazistowskich tym, że „po uwolnieniu przez armię niemiecką spod jarzma bolszewickiego odczuwaliśmy z tego powodu pewną ulgę, która jednak nie trwała dłużej niż jeden czy dwa miesiące”<sup>9</sup>.

Duchowieństwo łacińskie ze zgrozą patrzyło na entuzjastyczne poparcie niemieckiej okupacji przez hierarchię greckokatolicką, jak też na jej udział w tworzeniu „państwa ukraińskiego”<sup>10</sup> na terenach byłej Galicji. Chociaż nowy reżym przyniósł Kościołowi ulgę w stosunku do realizowanej przez Sowieców antyreligijnej polityki, to jednak niepokój Polaków budziło faworyzowanie Ukraińców przez niemieckich okupantów. Z ulgą odebrano informację o włączeniu Lwowa i terenów galicyjskich do „Distrikt Galizien”. Wicerektor łacińskiego Seminarium Duchownego we Lwowie ks. Stanisław Bizuń pisał: „Odetchnęliśmy, ponieważ bardzo obawialiśmy się rządów ukraińskich. Pamiętaliśmy lata 1918 i 1919, pamiętaliśmy pożary 1930 i 1931 r., nieszczęsną pacyfikację 1932 r. i w ogóle znałem środowisko. Jeszcze raz wspomnę pierwszy numer »Ukraińskich Wistek« z orędziem ks. metropolity Szeptyckiego, zachęcającym do budowania mohył. Pilnie czytaliśmy tę gazetę i nie mieliśmy złudzeń co do losów Polaków w takiej Ukrainie, jaką malowały lipcowe numery tego pisma”<sup>11</sup>.

Eskalacja przemocy, naznaczona zabójstwami i potyczkami, stała się w tym czasie – jak podkreślał ukraiński filozof prof. Myroslaw Popowycz – „tłem relacji polsko-ukraińskich.

<sup>7</sup> *Widzowa mytr. Andreja Szeptyckoho do narodu z pryvodu whywstwa dyr. himnaziji Iwana Babija, Pidlute 2 serpnia 1934 r.*, [w:] *Mytropolyt Andrej Szeptyckij. Żyttia i dijalnist'. Dokumenty i materialy 1899–1944*, t. 1: *Cerkwa i suspilne pyttannia*, cz. 1: *Pastyrske wczennia ta dijalnist'*, red. A. Krawczuk, Lwiv 1998, s. 481.

<sup>8</sup> *Zob. Pastyrske poslannia mytr. Andreja Szeptyckoho z nahody proholoszennia Ukrajnśkoi Derżawy, Lwiv, 1 lypnia 1941 r.*, [w:] *Mytropolyt Andrej Szeptyckij. Żyttia i dijalnist'...*, t. 2, cz. 2, s. 516–517.

<sup>9</sup> *List Metropolity Andrzeja Szeptyckiego do Papieża Piusa XII, Lwów, 29–31 sierpnia 1942 roku*, [w:] *Metropolita Andrzej Szeptycki, Pisma wybrane*, wyboru dokonali i przygotowali do druku Maria H. Szeptycka, o. Marek Skórka OSBM, Kraków 2000, s. 399.

<sup>10</sup> Bp Chomyszyn podczas przesłuchania w areszcie sowieckim zeznał, że „duchowieństwo greckokatolickie, w tym i ja, radośnie powitało okupantów niemieckich. Tłumaczy się to wrogiem stanowiskiem do radzieckiej władzy, niezadowolaniem z niej i wdzięcznością Niemcom »za wyzwolenie Ukrainy« od bolszewików”. *Zob. Protokół dopytu obwynuwaczenoho jepyskopa Hryhorija Chomyszyna, 25 kwitnia 1945 roku*, [w:] *Likwidacja UHKC (1939–1946). Dokumenty radiańskich orhaniv derżawnoji bezpeky*, red. W. Serhijczuk, Kyjiw 2006, s. 576–577.

<sup>11</sup> S. Bizuń, *Historia krzyżem znaczone. Wspomnienia z życia Kościoła katolickiego na Ziemi Lwowskiej 1939–1945*, wydanie II poprawione i poszerzone. Opracowanie, wstęp, przypisy i indeksy oraz wybór aneksów i fotografii ks. J. Wołczański, Lublin 1994, s. 116.



Przemoc ta nie miała jednak charakteru powszechnego. O tym, co nazywamy tragedią Wołynia, nie zdecydował przypadkowy strzał, lecz świadoma decyzja przeprowadzenia czystki etnicznej<sup>12</sup>. Realizując zbrodnicze plany eksterminacji „wrogich mniejszości narodowych”<sup>13</sup>, część formacji UPA rozpoczęła bezprecedensowe akcje niszczenia ludności polskiej najpierw na Wołyniu, a nieco później na terenach byłej Galicji (Małopolski Wschodniej). O masowym charakterze tych okrutnych wydarzeń zdecydował, niestety, aktywny udział ludności ukraińskiej, zamieszkującej razem z ofiarami te same tereny. Nie ma wątpliwości – pisał historyk ukraiński prof. Jarosław Hrycak – że na rękach wielu spośród miejscowych mieszkańców pozostała krew ich sąsiadów<sup>14</sup>. W licznych przypadkach nacjonalistyczne hasła posłużyły chłopom do tego, by polepszyć swój byt i zaspokoić odwieczny „głód ziemi”<sup>15</sup> kosztem sąsiadów. Późniejsze akcje odwetowe ze strony polskiej, powodowane bólem po utracie bliskich, przyczyniły się do spotęgowania napięć i walk między Polakami i Ukraińcami.

Wołające o pomstę do nieba wydarzenia dobitnie pokazały, jak głębokie spustoszenia dokonały się w ludzkich duszach. Wspomniany ukraiński filozof Popowycz na kanwie swoich rozważań na temat czasów, kiedy „nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą” jednoznacznie, z pozycji humanisty stwierdził: „Nie ma takiej idei i takiej krzywdy historycznej, która potrafiłaby zmusić człowieka, by z zimną krwią zarzynał swego bliźniego. Żeby położyć na podłodze twarzą do dołu całą rodzinę i każdemu strzelić w potylicę, żeby spędzić wszystkich do komory i spalić żywcem, słuchając jęków matek i dzieci, a potem spokojnie sobie żyć – trzeba zatracić ludzkie oblicze”<sup>16</sup>.

Kościół – rzymskokatolicki, skupiający przeważnie Polaków, oraz grekokatolicki w Galicji i prawosławny na Wołyniu, do których należeli głównie Ukraińcy – nie miały prawa milczeć wobec tak olbrzymiej kumulacji nienawiści i zwyrodnienia sumień. Tym bardziej że ginęli także polscy księża diecezjalni, zakonnicy i zakonnice.

Najdotkliwiej ucierpiała diecezja łucka, w której – na skutek działalności UPA – przestało istnieć 70 proc. parafii rzymskokatolickich<sup>17</sup>. Z rąk nacjonalistów ukraińskich poniosło śmierć co najmniej 23 duchownych. Zacierając materialne ślady polskiej obecności, zniszczono 50 kościołów i 25 kaplic<sup>18</sup>.

<sup>12</sup> Por. M. Popowycz, *Wołyń: nasze i nenasze hore*, „Krytyka” 2003, nr 5, s. 2.

<sup>13</sup> Programowe dokumenty OUN Bandery mówiły o Moskalach, Polakach i Żydach. Zob. W. Filar, *Działalność UPA przeciwko Polakom na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943–1944. Podobieństwa i różnice*, [w:] *Antypolska akcja OUN-UPA 1943–1944. Fakty i interpretacje*, red. G. Motyka i D. Libionka, Warszawa 2002, s. 42.

<sup>14</sup> Por. J. Hrycak, *Nasze i duże nasze hore*, „Krytyka” 2003, nr 7–8, s. 14.

<sup>15</sup> Por. R. Drozd, *Nawoko przyczyn antypolskoj akcji OUN-UPA w 1943–44 r.*, „Ji” 2003, nr 28, s. 184.

<sup>16</sup> M. Popowycz, *op.cit.*, s. 2.

<sup>17</sup> Zob. L. Popek, *Losy księży rzymskokatolickich na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943–1944*, [w:] *Antypolska akcja OUN-UPA 1943–1944. Fakty i interpretacje...*, s. 42; L. Popek, *Diecezja Łucka w okresie międzywojennym i podczas II wojny światowej (1918–1944)*, [w:] *Polacy i Kościół rzymskokatolicki na Wołyniu w latach 1918–1997*, opracowanie, przypisy oraz wybór aneksów i fotografii L. Popek, Lublin 1999, s. 42. Literatura wspomnieniowa szacuje liczbę zamordowanych przez UPA duchownych nawet na 40 osób. Wspomina o nich karmelita z Wiśniowca, pow. Krzemieniec, br. Cyprian Lasoń (A. Korman, *Piąte przykazanie Boskie. Nieukarane ludobójstwo dokonane przez ukraińskich szowinistów w latach 1939–1945*, Londyn 1989, s. 15).

<sup>18</sup> L. Popek, *Świątynie Wołynia*, t. 1, Lublin 1997, s. 199.

Dysponujemy licznymi świadectwami niszczenia archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego przez ukraińskie formacje nacjonalistyczne<sup>19</sup>. Zamordowano 35 kapłanów<sup>20</sup>. W dwóch diecezjach, należących do metropolii lwowskiej, zmordowano 120 księży, braci i siostr zakonnych<sup>21</sup>. Ginęli także duchowni prawosławni i grekokatolicy otwarcie sprzeciwiający się działalności nacjonalistów bądź świadczący pomoc Polakom.

Według niezbyt dokładnych opracowań, na Wołyniu z rąk różnych polskich formacji partyzanckich, a także band rabunkowych zginęło co najmniej 20 kapłanów prawosławnych, na Chełmszczyźnie i w Zamojskiem – kilkunastu duchownych, a na terenie dawnej Galicji zamordowano (w 1944 r.) w różnych okolicznościach 11 duchownych grekokatolickich<sup>22</sup>.

Wobec powszechnej demoralizacji, związanej z okrucieństwami wojny, Ordynariat grekokatolicki wystosował w marcu 1942 r. list do wiernych, w którym groził karą ekskomuniki wszystkim, którzy brali udział w zbrodniach. Osobny list pasterski metropolity Andrzeja Szeptyckiego pod wymownym tytułem „Nie zabijaj!” ukazał się w lipcu 1942 r. W dokumencie znalazły się rozważania na temat przykazania miłości bliźniego oraz został napiętnowany grzech zabijania w różnych jego przejawach<sup>23</sup>. W zamierzeniu autora list był kontynuacją objaśnień czterech pierwszych przykazań Bożych, dokonanych na synodach archidiecezjalnych w 1941 i 1942 r.

Jak wyjaśniał metropolita we wstępie do listu, był to planowany kolejny krok w wyjaśnianiu wiernym Prawa Bożego, który w warunkach wojny stał się szczególnie aktualny. W specjalnych pouczeniach do planowanego synodalnego dekretu „O piątym przykazaniu” polecano duchownym „zabierać się do leczenia okrutnych ran zadanych organizmowi naszego Kościoła i narodu poprzez liczne fakty zabijania ludzi, których dopuścili się nasi wierni”. Natomiast w czasie przygotowań do rekolekcji zalecano kapłanom, aby mówili wiernym, jakie kary kościelne za zabójstwo przewiduje prawo kanoniczne. Cel tych wskazań pastoralnych był czytelny: poddawanie morderców ostracyzmowi społecznemu miało przyczynić się do wyplenienia w społeczeństwach lokalnych zatrważającego zjawiska skrytobójczych zabójstw. Szczególną uwagę zwracano na grzech aborcji<sup>24</sup>.

Otwierając sesję zapowiadanego synodu, który się odbył w listopadzie 1942 r., metropolita Szeptycki ponownie wołał do zebranych o ogromie spustoszenia moralnego wśród wiernych, spowodowanego przez „szal zabijania ludzi, pijaństwa...”. Musiał też przyznać, że wszystkie jego dotychczasowe listy oraz synodalny dekret „sprawę nawet o włos nie zmieniły”<sup>25</sup>.

<sup>19</sup> Do nich należy zaliczyć m.in. pamiętniki: S. Bizuń, *op.cit.*, J. Anczarski, *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939–1946*, Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór fotografii K. Załuski, Kraków 1996; zbiór relacji duchownych: ks. J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945. Materiały źródłowe*, cz. 1 i 2, Kraków 2005–2006; oprac. W. Urban, *Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939–1945*, Wrocław 1983.

<sup>20</sup> Ks. J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego...*, cz. 1, s. 9.

<sup>21</sup> L. Poppek, *op.cit.*, s. 78.

<sup>22</sup> *Ibidem, passim*.

<sup>23</sup> Metropolita Andrzej Szeptycki, *Pisma wybrane*, s. 405–417.

<sup>24</sup> A. Szeptycki, *Pyśma-posłannia (1939–1944)*, Lwów 1991, s. 257–258.

<sup>25</sup> S. Stępień, *Stanowisko metropolity Szeptyckiego wobec zjawiska terroru politycznego*, [w:] *Metropolita Andrzej Szeptycki. Studia i materiały*, pod red. A. Zięby, Kraków 1994, s. 118.

Także później metropolita potępiał łamanie przez rodaków piątego przykazania, odwołując się nie tylko do wartości religijnych, ale i narodowych. W liście pasterskim z 10 sierpnia 1943 r., przestrzegającym wiernych przed prowokacjami i aktami terroru, hierarcha podkreślił, że przyszłe niepodległe państwo ukraińskie powinno tworzyć chrześcijański ład społeczny. Zwracając się natomiast do młodzieży, apelował: „Pamiętajcie, że nigdy nie osiągniecie nic korzystnego dla swego narodu poprzez sprzeczne z Prawem Bożym postępowanie”<sup>26</sup>.

W listopadzie 1943 r. ukazał się list pasterski wszystkich biskupów greckokatolickich. Hierarchowie ubolewali w nim nad moralnym upadkiem ludu. Wymieniając różne plagi moralne trapiące wiernych, władcy zwracali szczególną uwagę na sprzeniewierzenie się przykazaniom Bożym, w tym przykazaniu „nie zabijaj”. Przestrzegali przed rozlewem niewinnej krwi, która woła o pomstę do nieba<sup>27</sup>. List biskupów nie wpłynął na zmianę postawy zaślepionych nienawiścią sprawców napadów. Przemoc nie ustawała.

Należy się zastanowić, czy wypowiedzi hierarchów greckokatolickich były adekwatne do sytuacji? Czy wyraźnie potępiono okrutne morderstwa tysięcy niewinnych ludzi? Odpowiadając na te pytania, należy podkreślić, że żadna z tych enuncjacji nie odwoływała się do konkretnych wydarzeń, nie piętnowała ideologii, w imię której zostało rozpętane piekło na ziemi. Co prawda, ideologię tę określono jako bezbożną, ale przecież terminem tym dotychczas określano wpływy bezbożników-komunistów! Można więc było sądzić, że biskupi greckokatolicy sugerowali, iż pod płaszczykiem nacjonalizmu ukryli się „bezbożnicy”, którzy prowadzili naród ukraiński do antynarodowych wystąpień<sup>28</sup>. Ponadto ludobójstwo, które spowodowało spustoszenie całych województw II Rzeczypospolitej, znajdujących się wówczas pod okupacją niemiecką, a wcześniej i później – sowiecką, stawiano w jednym rzędzie z pijaństwem, zaniedbywaniem obowiązków religijnych itd.

Głośny list pasterski „Nie zabijaj!” – mówiący enigmatyczne o zabójstwach wrogów politycznych, aborcjach (zabójstwach nienarodzonych dzieci), samobójstwach, zabójstwach „braci współobywateli – członków tego samego narodu ukraińskiego” – trudno było przełożyć na rzeczywistość czystek etnicznych. Zabrakło stanowczego potępienia masowych mordów na Wołyniu i w byłej Galicji. Czy taki głos zostałby usłyszany? Najprawdopodobniej nie. Nacjonalistyczni ideolodzy, odwołując się do neopogańskiej etyki, nie przejmowali się upomnieniami biskupów. Co więcej, być może takie stanowcze i jednoznaczne stanowisko hierarchów ściągnęłoby na Kościół greckokatolicki dotkliwie szykany, terror, a nawet męczeństwo. Czy jednak ogrom dokonywanego zła nie wymagał jego jednoznacznego potępienia w imię misji, którą Kościół powinien spełniać? Na to, jakie stanowisko zajmował lwowski władca wobec nasilającej się eksterminacji ludności polskiej, rzuca światło jego korespondencja z łańciskim hierarchą abp. Bolesławem Twardowskim. W swym liście do metropolity Szeptyckiego z 30 lipca 1943 r. abp Twardowski podzielił się obawami, że na tereny galicyjskie mogą przenieść się „wstrząsające wypadki, które od dłuższego czasu

<sup>26</sup> *Posłannia mytr. Andreja Szeptyćkoho do duchowenstwa i narodu z zaklykom ne piddawatysia prowokaciji, Lwiw, 10 serpnia 1943 r., [w:] Mytropolyt Andrej Szeptyćkyj. Żyttia i dijalnist'..., t. 2, cz. 1, s. 539.*

<sup>27</sup> *Spilne posłannia mytr. Andreja Szeptyćkoho ta in. jepyskopiw do duchowenstwa i wirnych pro moralne spustoszennia narodu, Lwiw, lystopad 1943 r., [w:] ibidem, s. 547.*

<sup>28</sup> *Ibidem.*

rozgrywają się na Wołyniu i już tyle pochłoneły niewinnych ofiar”<sup>29</sup>. Prosił greckokatolickiego hierarchę, aby wraz z innymi biskupami zajął zdecydowane stanowisko w tej sprawie. W następnym liście (z 15 października 1943 r.) abp Twardowski pisał: „Wypadki, które rozgrywają się na terenie mojej diecezji, mordy dokonywane na moich kapłanach i ludności obrz. łac. bez względu na wiek i płeć, przekroczyły już granice jednostkowej zemsty czy też osobistych prywatnych lub politycznych porachunków. Fakty, jakie doszły do mojej wiadomości w ostatnich miesiącach i tygodniach, są przerażające”<sup>30</sup>. Zdementował też pogłoskę, że napadów dokonują obce bandy: „Niestety, nie jest to zgodne z prawdą. Badania władz niemieckich wszczęte w niektórych przypadkach wykryły sprawców wśród miejscowej ludności ukraińskiej”. I apelował: „Wasza Eksceleńcja razem ze mną widzi równie dobrze zło i grozę obecnej chwili i nie wątpię, że widzi także różnicę w położeniu bratnich narodów zamieszkujących tę samą ziemię. Dlatego pozwalam sobie ponownie przedstawić Waszej Eksceleńcji ciężką i groźną sytuację moich kapłanów i wiernych, zapewniając go równocześnie, że ze swej strony uczynię wszystko, co mi nakazuje obowiązek pasterski, aby kler i wierni mojej diecezji w obecnych czasach grozy stanęli na wysokości zadania, które im wskazuje Chrystusowe prawo miłości do bliźniego”<sup>31</sup>. W liście rzymskokatolickiego hierarchy znalazły się też nazwiska zamordowanych księży i nazwy miejscowości, na które dokonano napadów.

Arcybiskup Szeptycki odpowiedział, że jego listy pasterskie z czasów wojny są dowodem na to, iż jest jak najbardziej przejęty sytuacją, jak również świadczą o zajęтым przez niego stanowisku. Prosił natomiast o wydanie przez polskich biskupów listów, potępiających pacyfikację w latach trzydziestych i dyskryminację ludności ukraińskiej w Polsce międzywojennej. Wspomniał o morderstwach ukraińskich polityków na Chełmszczyźnie (obliczał je na ponad pięćset) i przywołał zbrodnie polskich formacji wojskowych, a szczególnie folksdojczów, przeciwko ludności ukraińskiej. Zarazem metropolita Szeptycki podważał informację o tym, że sprawcami mordów na Polakach byli ukraińscy nacjonaliści. W sytuacji ogólnego zamętu, według Szeptyckiego, winę za zbrodnie na Wołyniu należało złożyć na „różne bandy, między którymi pewnie znajdują się i komuniści i polacy”<sup>32</sup> i ukraińcy i żydzi i niemcy dezzertery”. Negując planowany charakter antypolskiej akcji, metropolita Szeptycki proponował zaliczyć krwawe zbrodnie na ludności cywilnej na karb zwykłego bandytyzmu. Pisał: „W kompletnej anarchii, jaka zapanowała w kraju, trudno zorientować się, komu przypisać jaki mord. Najbliżej prawdy może będzie powiedzieć, że wiele prawdopodobnie robią bandyci, wiele komuniści, bandy żydowskie, często prawdopodobnie prywatne rachunki, ale oskarżać Ukraińców o wszystkie zabójstwa Polaków jest co najmniej rażąca niesprawiedliwość”<sup>33</sup>.

Źródłem takiej postawy metropolity Szeptyckiego należy szukać w jego politycznym zaangażowaniu. Przez cały okres niemieckiej okupacji pełnił on funkcję opiekuna i honorowego przewodniczącego Ukraińskiej Rady Narodowej we Lwowie – reprezentacyjnego organu,

<sup>29</sup> Ks. J. Wołczański, *Korespondencja arcybiskupa Bolesława Twardowskiego z arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim w latach 1943–1944*, „Przegląd Wschodni” 1993/1994, t. 2, z. 2(6), s. 471.

<sup>30</sup> *Ibidem*, s. 475.

<sup>31</sup> *Ibidem*, s. 477–478.

<sup>32</sup> Stosowana w nazwach narodowości mała litera jak w oryginale.

<sup>33</sup> Ks. J. Wołczański, *Korespondencja arcybiskupa Bolesława Twardowskiego z arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim...*, s. 479–480.

na funkcjonowanie którego zezwalali Niemcy<sup>34</sup>. Pragnął – jako przywódca narodu – pogodzić zwalczające się w ruchu nacjonalistycznym frakcje: banderowców i melnykowców<sup>35</sup>. Popierając akt proklamacji państwa ukraińskiego 30 czerwca 1941 r. oraz rząd utworzony przez OUN-B, uznawał tę organizację za czynnik państwowotwórczy. Musiał też liczyć się z tym, że znaczna część duchowieństwa greckokatolickiego sympatyzowała z ideologią nacjonalistyczną<sup>36</sup>.

Nie mogąc, ze względu na wspomniane racje, zdecydowanie i jednoznacznie potępić barbarzyńskich mordów na ludności cywilnej, nie wahał się występować w poszczególnych przypadkach w obronie polskich placówek. Na przykład na prośbę niepokalanek z Jazłowca wystosował pismo do „moich Braci Ukraińców”, w którym nawoływał: „Jest moim gorącym życzeniem, aby moi Synowie-Ukraińcy bronili klasztoru Sióstr Niepokalanego Poczęcia [NMPanny] w Jazłowcu i nie pozwolili ich skrzywdzić. Tylko wtedy mogą liczyć na Boże miłosierdzie i błogosławieństwo, kiedy sami nikomu nie wyrządzą krzywdy i wystrzegają się zemsty”<sup>37</sup>. Pisma tego jednak nie opublikowano, dlatego siostry w swojej kronice zapisały: „[...] polecenie takie metropolity miałyby rację, gdyby zostało rozesłane po parafiach i ogłoszone, ale było bezcelowe, gdyż leżało w szufladzie”<sup>38</sup>.

Zbrodnie ukraińskie zdecydowanie potępił bp Chomyszyn, od lat znajdujący się w opozycji do polityki prowadzonej przez metropolitę. Był on zdeklarowanym przeciwnikiem „ostrych form działalności OUN”. 8 listopada 1943 r. zwrócił się do Szeptyckiego z prośbą o wystosowanie wspólnego listu pasterskiego wszystkich biskupów greckokatolickich w sprawie „upadku moralności w naszym narodzie”. Podkreślił, że potępia „podziemną pracę nieodpowiedzialnych czynników” i twierdził, że prowadzi ona do formalnego bandytyzmu, a w konsekwencji również do anarchii<sup>39</sup>. Było to jednak stanowisko bardzo niepopularne w Kościele greckokatolickim.

Mówiąc o postawie Kościoła prawosławnego na Wołyniu, trzeba podkreślić, że był on podzielony na Cerkiew Autonomiczną, podporządkowaną patriarsze moskiewskiemu, oraz Cerkiew Autokefaliczną, popierającą odrębny, narodowy kurs rozwoju życia religijnego

<sup>34</sup> B. Bociurkiw, *The Ukrainian Greek Catholic Church and the Soviet State (1939–1950)*, Edmon-ton Toronto 1996, s. 64.

<sup>35</sup> Zob. R. Torzecki, *Mytropolyt Andrej Szeptyckij*, „Kowczeh” 1993, nr 1, s. 118.

<sup>36</sup> R. Torzecki, *Mytropolyt Andrej Szeptyckij i nacjonalni problemy*, „Warszawski Ukrajinoznaw-czi Zapysky”, 1989, z. 1, s. 197.

<sup>37</sup> Ks. J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego...*, cz. 2, s. 160. Znane jest zaangażowanie metropolity Szeptyckiego w akcję ratowania Żydów lwowskich. Kurt I. Lewin, który przeżył gehennę okupacji niemieckiej, wspominał, że była to jedyna w swoim rodzaju akcja. O Szeptyckim zaś, zrażony powszechną obojętnością i brakiem współczucia wobec Żydów ludności polskiej i ukraińskiej, tenże świadek pisał: „Na górze świętojurskiej biło ciepłe, pełne współczucia i zrozumienia serce człowieka w pełnym tego słowa znaczeniu. Serce człowieka, który naprawdę zasłużył sobie w pełni na miano „przyjaciela Żydów”, jakim się raz nazwał w rozmowie z moim ojcem. W najtragiczniejszych momentach naszego narodu z narażeniem własnego życia dowiódł, że nie były to puste słowa, nie był to frazes. [...] On i ludzie, których natchnął swą szlachetnością do czynów zaiste wielkich, zostaną na zawsze w pamięci naszego narodu”. Zob. K.I. Lewin, *Przeżyłem. Saga Świętego Jura spisana w roku 1946 przez syna rabina Lwowa*, Warszawa [2006], s. 159.

<sup>38</sup> Ks. J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego...*, cz. 2, s. 160.

<sup>39</sup> O. Jehreszjij, *Jepyskop Hryhorij Chomyszyn: portret religijno-cerkownoho i hromadsko-politycznoho dijacza*, Iwano-Frankiwsk 2006, s. 131–132.

prawosławnych Ukraińców. Pierwsza z hierarchii w 1943 r. potępiła mordy i nawoływała do zaprzestania walk. Dlatego metropolita Aleksy i biskup włodzimierski Manuel<sup>40</sup> zostali zgładzeni przez nacjonalistów. Struktury Cerkwi Autokefalicznej solidaryzowały się z działalnością UPA. Wywodzący się z nich duchowni często byli kapelanami w leśnych oddziałach<sup>41</sup>.

Nie są znane dokumenty świadczące o stanowisku Kościoła rzymskokatolickiego wobec krwawych wydarzeń, których ofiarami padali przede wszystkim jego wierni. Nie było listu potępiającego Ukraińców za masowe mordy Polaków<sup>42</sup>. Nie ukazał się również list upominający wiernych obrządku łacińskiego, biorących udział w antyukraińskich wystąpieniach. Dlaczego tak się stało, wyjaśnił poniekąd abp Twardowski w liście do abp. Szeptyckiego: „Jakże więc w takich warunkach wyglądałby mój apel do prześladowanych, wyłękłych moich diecezjan o zaprzestanie mordów na wiernych obrz[ądku] greckokatolickiego, gdy równocześnie nie kto inny, ale właśnie oni sami niepewni ani dnia ani godziny są tępieni i mordowani<sup>43</sup>”.

Życie codzienne wykazywało różne postawy duchownych wobec rzezi. Wspomnienia świadków donoszą o „święceniach” noży i toporów przez greckokatolickich kapłanów, ale również o szlachetnych czynach, kiedy ratowano Polaków, ryzykując przy tym własne życie.

Z perspektywy dnia dzisiejszego, podejmując moralną ocenę wydarzeń sprzed przeszło sześćdziesięciu laty warto przypomnieć słowa sługi Bożego Jana Pawła II, wypowiedziane 26 czerwca 2001 r. we Lwowie w czasie jego wizyty apostolskiej na Ukrainę: „Czas już oderwać się od bolesnej przeszłości! Chrześcijanie obydwu narodów muszą iść razem w imię jedyne go Chrystusa, ku jednemu Ojcu, prowadzeni przez tego samego Ducha, który jest źródłem i zasadą jedności. Niech przebaczenie – udzielone i uzyskane – rozleje się niczym dobroczynny balsam w każdym sercu. Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy gotowi będą stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, ażeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności<sup>44</sup>”.

<sup>40</sup> A. Mironowicz, *Kościół prawosławny w Polsce*, Białystok 2006, s. 659; I. Hałagida, *Losy ukraińskiego duchowieństwa prawosławnego i greckokatolickiego w czasie konfliktu polsko-ukraińskiego w latach 1943–1944 (szkic zagadnienia)*, [w:] *Antypolska akcja OUN-UPA 1943–1944...*, s. 87–88.

<sup>41</sup> W. Nakonecznyj, *Wołyń – krywawe pole wojny*, Ternopil 2006, s. 75–76.

<sup>42</sup> Ks. J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego...*, cz. 1, s. 19.

<sup>43</sup> Ks. J. Wołczański, *Korespondencja arcybiskupa Bolesława Twardowskiego z arcybiskupem Andrzejem Szeptyckim...*, s. 477.

<sup>44</sup> *Na skrzyżowaniu narodów i kultur. Pielgrzymka Jana Pawła II na Ukrainę 23–27 czerwca 2001 r.*, Częstochowa 2001, s. 78.

# SPRAWIEDLIWI UKRAIŃCY

## NA RATUNEK POLSKIM SĄSIADOM SKAZANYM NA ZAGŁADĘ PRZEZ OUN-UPA

**Nie znamy zadowolającej odpowiedzi na pytanie, jak możliwe było tak masowe i z nieopisanym okrucieństwem dokonane ludobójstwo, jakiego na Kresach Wschodnich dopuścili się ukraińscy obywatele II Rzeczypospolitej na stu kilkudziesięciu tysiącach swoich polskich sąsiadów. Podobnie pozostaje zagadką, dlaczego mimo nacjonalistycznej indoktrynacji i terroru stosowanego przez OUN-UPA, także wobec swoich, nie miała grupa Ukraińców nie zawahała się poświęcić własnego życia, by ratować skazanych Polaków. Zamiast dążenia do niepodległości po trupach wybrali nakaz miłości bliźniego.**

W latach 1941–1942 Niemcy, posługując się policją ukraińską, dokonali totalnej zagłady ludności żydowskiej. Szacuje się, że w okresie okupacji na Wołyniu i w Małopolsce zginęło 700–800 tys. Żydów. Nie wszyscy Ukraińcy akceptowali „ostateczne rozwiązanie”. Greckokatolicki metropolita Andrej Szeptycki publikował listy pasterskie, nawołując do zaprzestania zbrodni, polecił klasztorom, by udzielały Żydom pomocy i kryjówki, sam w czasie pogromów przyjął pod swój dach kilku Żydów<sup>1</sup>. Wtedy też Ukraińscy radykałowie uznali, że wreszcie nadarza się okazja, by rozprawić się również z Polakami, odwiecznymi „okupantami” tych ziem, którzy stanowiąc na Kresach mniejszość, byli teraz przeciwnikiem nieporównanie słabszym niż dwaj pozostali okupanci, Sowieci i Niemcy.

Przejawy narastania napięć dostrzegano już wcześniej, jednak dominowało poczucie, że współżycie Polaków i Ukraińców układa się poprawnie: „Rzeczywiście z Rusinami, bo tak ich nazywaliśmy – zaświadcza pochodzący spod Zbaraża w woj. tarnopolskim zmarły niedawno o. prof. Mieczysław Albert Krąpiec – mieszkaliśmy jak w rodzinie. Uznawaliśmy ich święta i odwiedzaliśmy ich w domach, podobnie jak oni nas. Do dziś znam ruskie kolędy, dumki, oni też śpiewali nasze. Nikt się nie dziwił, gdy czasami oni przychodzili na Mszę świętą do naszego rzymskokatolickiego kościoła, a my do ich cerkwi. Należało też do wymogów miejscowej kultury, że do Rusina, czyli Ukraińca, nie odzywało się po polsku, tylko po rusku, a więc w języku ukraińskim. Zażyłość była tak duża, że gdy już zaczęły się rzezie, w niektórych polskich wsiach ludzie, wbrew faktom, do końca nie wierzyli, że może im grozić coś złego ze strony sąsiadów”<sup>2</sup>.

W roku 1943 tzw. akcja antypolska OUN i UPA przybrała charakter ludobójstwa, tj. zorganizowanej, masowej eksterminacji wszystkich osób narodowości polskiej, w przytłaczającej większości – ludności cywilnej. Polskie podziemie, z Armią Krajową na czele, podjęło walkę przeciw UPA dopiero po największej fali mordów, do jakich doszło w lipcu 1943 r. w stu kilkudziesięciu miejscowościach Wołynia. Zbrodnie na Polakach, starcia zbrojne,

<sup>1</sup> O mniej jednoznacznej postawie metropolity wobec ukraińskich zbrodni na Polakach piszą m.in. ks. prof. Józef Wołczański i ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

<sup>2</sup> M.A. Krąpiec, *Cień nieosądzonych zbrodni*, [w:] J. Kanas, *Podolskie korzenie*, Lublin 2002, s. 8.

akcje odwetowe i prewencyjne rozgorzały w roku 1944 na terenie województw tarnopolskiego, lwowskiego, stanisławowskiego i lubelskiego. Po zakończeniu wojny zwalczanie partyzantki banderowskiej w Rzeszowskim i Lubelskim kontynuowały jednostki Wojska Polskiego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ostatni etap konfliktu zakończyło w 1947 r. przesiedlenie z powiatów południowo-wschodnich na Ziemię Zachodnie ok. 150 tys. Ukraińców w ramach akcji „Wisła”<sup>3</sup>.

Całkowity bilans ofiar śmiertelnych w tym najtragiczniejszym okresie wzajemnych stosunków nie został jeszcze dokonany (a dochodzi tu również kwestia wypędzenia bądź przymusowego wysiedlenia setek tysięcy osób, z których wiele utraciło bliskich, odniosło rany, straciło zdrowie, a niejednokrotnie także dorobek całego życia). Według dotychczasowej dokumentacji, opartej głównie na relacjach świadków<sup>4</sup>, nacjonałiści ukraińscy popełnili zbrodnie na stu kilkudziesięciu tysiącach Polaków w ponad 4 tys. miejscowości.

Po stronie ukraińskiej łączne straty z rąk polskich (głównie na obszarach Polski w granicach powojennych) mogą sięgnąć kilkunastu tysięcy<sup>5</sup>.

### Świadkowie

Postulat, by upamiętnić, często anonimowych, „sprawiedliwych” Ukraińców i chociaż w ten sposób wyrazić im wdzięczność za ocalenie, od dawna zgłaszali sami uratowani, a także inni uczestnicy wydarzeń, którzy przeżyli. Dla uratowanych było jasne, że obok utrwalenia pamięci o pomordowanych, odtworzenia okoliczności ich śmierci i ewentualnego wskazania sprawców, należy uwiecznić heroiczny gest ratujących. Jeden z ocalałych, Wacław Chmielewski, pochodzący z Kowalówki (pow. kowelski, woj. wołyńskie) w 1997 r. w liście do ambasadora Ukrainy w Polsce pisał na temat Ukraińca Omelana Bojczuna, który za uprzedzenie mieszkańców Kowalówki o napadzie został przez upowców zgładzony: „Ta haniebna śmierć ciąży na moim sumieniu. Jestem ostatnim z Polaków, który może zwrócić się do Pana o spłacenie długu wdzięczności. [...] Zwracam się do Pana Ambasadora o pomoc

<sup>3</sup> Wśród opracowań omawiających przebieg konfliktu jedne oddają sprawiedliwość ofiarom, inne próbują szukać różnorakich usprawiedliwień dla sprawców. Do pierwszej grupy należą m.in.: W. Poliszczuk, *Gorzka prawda. Cień Bandery nad zbrodnią ludobójstwa*, Warszawa 2006; artykuły L. Kulińskiej i C. Partacza w pracy zbiorowej *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–2004*, red. B. Grott, Warszawa 2004. Tezę o ukraińskim ludobójstwie na Polakach (trzecim obok niemieckiego i sowieckiego, i najokrutniejszym) przekonująco uzasadnia R. Szawłowski we wstępie do pracy: W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945*, t. 1–2, Warszawa 2000 (zob. też jego hasła dotyczące ludobójstwa w *Encyklopedii „białych plam”*, t. XI, Radom 2003 i *Encyklopedii katolickiej*, t. XI, Lublin 2006 oraz dwa artykuły w tomie *Zbrodnie przeszłości*, t. 2: *Ludobójstwo*, Warszawa 2008). Z drugiej grupy warto wymienić: G. Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2006; G. Hryciuk, *Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931–1948*, Toruń 2005.

<sup>4</sup> W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich...*; H. Komański, S. Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Wrocław 2004; S. Siekierka, H. Komański, K. Bulzacki, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich w województwie lwowskim 1939–1947*, Wrocław 2006; H. Komański, E. Różański, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich w województwie stanisławowskim 1939–1946*, Wrocław 2008; Z. Konieczny, *Stosunki polsko-ukraińskie na ziemiach obecnej Polski w latach 1918–1946*, Wrocław 2006.

<sup>5</sup> Trzeba też wspomnieć o czekającej na zbadanie kwestii ukraińskich ofiar OUN-UPA, które Wiktor Poliszczuk szacuje na kilkadziesiąt tysięcy.



w przywróceniu Omelanowi Bojczunowi jego człowieczeństwa, godności i honoru, zwrócenie Jego dobrego imienia rodzinie i społeczeństwu. Omelan kochał życie i ludzi, za nich oddał swoje młode życie. Zginął jako zdrajca Ukrainy i wróg narodu ukraińskiego. Faktycznie był bohaterem, przeciwstawił się tysiącom żądnych krwi nacjonalistów. On nie chciał mordować niewinnych ludzi i bezbronnych sąsiadów”.

W 1999 r., z inicjatywy Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu, odsłonięto pomnik-mauzoleum polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Kresach, w którego krypcie znalazła się urna z ziemią z grobu Ukraińców pomordowanych przez OUN i UPA. W 2002 r. na pomniku umieszczono tablicę upamiętniającą Ukraińców, którzy ponieśli śmierć, ratując Polaków.

Badania nad gehenną ludności kresowej prowadzono przez długie lata wyłącznie siłami społecznymi, wbrew urzędowemu tabu, narzuconemu przez instytucje państwowe, które unikały podejmowania tak drażliwej problematyki. W 1985 r. środowisko żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej zwróciło się do kombatanów i ich rodzin z apelem o nadsyłanie wspomnień dotyczących tamtego okresu. W rozesłanej ankiecie figurował punkt dotyczący pomocy ze strony Ukraińców. Wśród zgromadzonych wówczas blisko czterystu relacji odnotowano kilkadziesiąt takich przypadków.

Sukcesywnie rozszerzano kolekcję świadectw (liczącą dziś wiele tysięcy pozycji), gromadzoną przez niektóre archiwa (m.in. Archiwum Wschodnie w Warszawie), a zwłaszcza przez powstałe na początku lat dziewięćdziesiątych organizacje społeczne: wrocławskie Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów i zamojskie Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu. Dzięki temu po latach mogły ukazać się fundamentalne opracowania autorstwa Władysława i Ewy Siemaszków i innych autorów. W wielu z nich zamieszczono też wybór tekstów źródłowych.

Relacje dotyczące Wołynia wydano w kilku osobnych zbiorach<sup>6</sup>. Ponadto ukazały się książki specjalnie poświęcone Ukraińcom wspierającym Polaków<sup>7</sup>. Szczególnie należy podkreślić zasługi badawcze i edytorskie Leona Popka, historyka z IPN, oraz Leona Karłowicza, byłego żołnierza 27. WDPK, który uczestniczył w akcjach odwetowych przeciwko UPA jako „jastrzębiak” (członek oddziału partyzanckiego AK, dowodzonego przez por. Władysława Czerwińskiego „Jastrzębia”).

Wartość poznawcza kresowych świadectw osobistych i ich przydatność dla badaczy bywa czasem kwestionowana. W odniesieniu do większości zdarzeń na Kresach są one jednak niezastąpionym, praktycznie jedynym, źródłem informacji, należałoby więc – zachowując konieczny krytycyzm przy ich wykorzystywaniu – w dalszym ciągu gromadzić relacje (pisane i ustne) na jeszcze większą niż dotąd skalę.

Wśród źródeł określanych skrótowo mianem relacji, obok opowieści zagmatwanych, pełnych sprzeczności i nieporadnych językowo bądź też wyraźnie tendencyjnych (odtworzących

<sup>6</sup> *Świadkowie mówią*, oprac. S. Biskupski, Warszawa 1996; *Wołyński testament*, oprac. L. Popek, T. Trusiuk, P. Wira, Z. Wira, Lublin 1997; *Okrutna przestroga*, oprac. J. Dębski i L. Popek, Lublin 1997; *Śladami ludobójstwa na Wołyniu. Okrutna przestroga*, cz. 2, oprac. L. Karłowicz i L. Popek, Lublin 1998; *Świadkowie oskarżają*, oprac. L. Popek (w przygotowaniu).

<sup>7</sup> L. Karłowicz, *Ludobójcy i ludzie*, Lublin 2000; Z. Ziembowski, *W morzu nienawiści. O takich, którzy nie przestali być ludźmi*, Krosno 2001; *Bracia zza Buga. Wspomnienia z czasu wojny*, zebrał J. Turnau, Lublin 1999; E. Różański, *Na wołyńskich kresach. Najeźdźcy i sąsiedzi*, Wrocław 2004; *Kresowa księga sprawiedliwych 1939–1945. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*, oprac. R. Niedzielko, Warszawa 2007.

wydarzenia mniej lub bardziej świadomie przez pryzmat późniejszych lektur), spotykamy ujęcia odznaczające się niecodzienną przenikliwością, sugestywnie, a zarazem wiarygodne. Są wśród nich kompleksowe opracowania, które opisują zdarzenia w sposób wyczerpujący i uporządkowany, z odnotowaniem istotnych okoliczności, tworzone przez ludzi nawykłych do analitycznego i metodycznego ujmowania rzeczywistości: działacze podziemia wojskowego i politycznego, przedwojennych inteligentów, nauczycieli, księży, urzędników. Ich teksty mają walor jednocześnie jednostkowego świadectwa i zobiiektywizowanego raportu<sup>8</sup>.

Szczególną wagę mają relacje zbiorowe, weryfikowane przez dziesiątki świadków w toku licznych konsultacji, czasem prowadzonych przez lata. Efektem wspólnego wysiłku mieszkańców danej miejscowości bywa drobiazgowo rekonstrukcja zdarzenia, odtworzenie pełnej imiennej listy mieszkańców i wykazu ofiar, zidentyfikowanie przynajmniej niektórych sprawców, sporządzenie planów miejscowości z naniesionymi budynkami, mapy wsi i okolic z zaznaczeniem kierunku ataków, miejsc zbiorowych egzekucji, rzeczywistej bądź hipotetycznej lokalizacji miejsc pochówku<sup>9</sup>.

### Sprawiedliwi

O osobach niosących pomoc wiemy znacznie mniej niż o ofiarach, świadkach czy nawet o sprawcach zbrodni; często właściwi bohaterowie pozostają bezimienni. Są to w głównej mierze „cywilni” Ukraińcy – pomoc z ich strony w stosunku do ludności polskiej odnotowałem w ponad pięciuset miejscowościach (spośród kilku tysięcy, w których ginęli Polacy).

Wyjaśnienia wymaga użyte w tytule określenie „sprawiedliwy”. W swoim specyficznym znaczeniu słowo to funkcjonuje w świadomości społecznej od połowy XX w., kiedy jerozolimski Instytut Yad Vashem zaczął przyznawać medal i honorowy tytuł Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata. Otrzymują je nie-Żydzi, którzy w czasach II wojny światowej z narażeniem życia swojego i swoich rodzin ratowali Żydów od zagłady (wśród ponad 21 tys. „sprawiedliwych” znalazło się jak dotąd blisko 6 tys. Polaków i 2 tys. Ukraińców). „Sprawiedliwi” Ukraińcy to osoby ratujące „obcych”, których „swoi” uznali za wrogów, skazali na śmierć bądź poddali prześladowaniu.

Wśród zachowanych w pamięci świadków i utrwalonych w relacjach przykładów różnorakiej pomocy – poczynając od przejawów zwykłej ludzkiej życzliwości wobec pokrzywdzonych, a na aktach najwyższego heroizmu kończąc – można wyróżnić następujące formy:

- 1) ostrzeżenie przed napadem, zaplanowanym na konkretny moment lub nieokreślonym w czasie;
- 2) wskazanie drogi ucieczki w trakcie napadu;
- 3) ukrycie zagrożonych przed spodziewanym atakiem, udzielenie im schronienia w trakcie napadu lub po nim;

<sup>8</sup> Por. np. wspomnienia Jana Ciska z pow. brzeżańskiego (Archiwum Wschodnie, II/536), ks. Józefa Kuczyńskiego (*Między parafią a lagrem*, Paryż 1985), Jana Niewińskiego z pow. krzemienieckiego (*Śladami ludobójstwa...*), Jerzego Dytkowskiego z pow. sarnieńskiego (AW, II/1863), Jana Cichockiego z pow. włodzimierskiego (W. i E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 2), Jana Wojdyły z pow. lwowskiego (AW, II/1686/1k), ks. Franciszka Malaka z pow. jaworowskiego (AW, II/2472), Edwarda Polaka (*Baza „Topór” i sowieckie lagry*, Świdnica 1991) i Stanisława Jastrzębskiego z pow. rohatyńskiego (*Oko w oko z banderowcami*, Warszawa 1996), notatki Józefa Opackiego dotyczące wydarzeń w woj. tarnopolskim (Biblioteka Ossolineum, 16630/I).

<sup>9</sup> Zob. np. materiały zebrane przez byłych mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej na Wołyniu (*Wołyński testament...*), Rumna w woj. lwowskim (T. Pater, *Oczyrna i sercem. Wieś Rumno w latach 1939–1945*, t. 1–2, Przemyśl 2000).

4) wprowadzenie napastników w błąd, np. przez zapewnienie, że poszukiwany jest Ukraińcem – członkiem rodziny lub znajomym, a nie Polakiem; zatajenie miejsca ukrycia poszukiwanych; zajęcie napastników (wszczęcie rozmowy, ugoszczenie), by ścigani zdążyli się ukryć lub uciec; skierowanie pościgu w inną stronę;

5) przewiezienie z kryjóWKi w bezpieczniejsze miejsce (np. do miasta) bądź użyczenie konia czy furmanki;

6) pierwsza pomoc rannym, przetransportowanie ich do lekarza lub szpitala;

7) zaopatrywanie ocalałych w żywność, a dla ułatwienia ucieczki – w ukraińskie ubranie;

8) informowanie bliskich o okolicznościach śmierci członków ich rodzin (zwłaszcza przez jedynych świadków zbrodni), wskazanie, gdzie znajdują się zwłoki;

9) pośredniczenie w kontaktach między ukrywającymi się a poszukującymi ich członkami rodzin;

10) objęcie opieką sierot lub dzieci zagubionych po napadzie;

11) pomoc w pochówku zamordowanych, zwłaszcza gdy udział w pogrzebie groził zastrzeleciem; opieka nad grobami, stawianie krzyży itp.;

12) niewykonanie rozkazu zabicia członka własnej rodziny (żony/męża/rodziców/dzieci); odmowa wykonania, wspólna ucieczka, ukrycie osoby skazanej na śmierć;

13) odmowa udziału w napadzie, pacyfikacji lub innej akcji represyjnej;

14) publiczny protest (na wiejskich zebraniach, z kościelnej ambony) przeciw zbrodni i stosowaniu przymusu;

15) darowanie życia ofiarom napadu, skazanym na śmierć lub wytropionym wskutek pościgu (np. przez upozorowanie egzekucji, umyślne „przeoczenie” osoby bądź kryjóWKi);

16) uwalnianie aresztowanych.

Przy ustalaniu okoliczności zdarzeń natrafiamy nierzadko na sytuacje niejasne, czasem niezmiernie zagmatwane. Dotyczy to w szczególności motywów udzielania pomocy i kontekstu podejmowanych działań. Należy odróżniać przypadki, gdy o zaistniałym niebezpieczeństwie osoby zagrożone uprzedzane były w dobrej wierze, od przypadków świadomego wprowadzania w błąd, np. zachęcania Polaków do wyjazdu, by pozbyć się ich ze wsi<sup>10</sup>. Dość często Polacy ginęli, ponieważ zignorowali ostrzeżenia.

Zdarzały się przypadki stosowania wyrafinowanego podstępu, np. gwarantowania bezpieczeństwa w celu uspienia czujności potencjalnych ofiar i ułatwienia zadania napastnikom. Dla ilustracji przytoczę jeden ze spektakularnych przykładów pozorowanego porozumienia.

Wiosną 1943 r. polska wieś Majdańska Huta w pow. zdołbunowskim uzyskała od banderowców gwarancje bezpieczeństwa, pod warunkiem że mieszkańcy wsi nie wyjadą do miasta i będą wspomagać UPA (zawarto nawet umowę na piśmie). Przez kilka miesięcy upowcy otrzymywali żywność, korzystali z koni, furmanek, desek na budowę schronów, a także siły roboczej, kilkakrotnie potwierdzając, że układ będzie przestrzegany. Ataku dokonali niespodziewanie 12 lipca 1943 r. – wymordowali 184 mieszkańców wsi, większość z nich pałac w stodole<sup>11</sup>.

<sup>10</sup> Por. przykład tego rodzaju wyraźny i jednoznaczny: W lipcu 1943 r. jeden z upowców uprzedził mieszkańców kolonii Szeroka (pow. horochowski, woj. wołyńskie) o mającej rzekomo nastąpić niemieckiej pacyfikacji. Radził, by nie uciekali pojedynczo, lecz w grupie, i kierowali się w stronę polany pod lasem, gdzie on się nimi zaopiekuje. Po przybyciu na miejsce Polacy zostali otoczeni przez upowców i rozstrzelani (W. i E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 1, s. 134).

<sup>11</sup> AW, II/36, relacja Stanisława Błażejewskiego, s. 20.

## Pokonanie strachu

Udzielanie pomocy nie było zjawiskiem oczywistym i masowym. W licznych polskich świadectwach podkreśla się zupełny brak jakiegokolwiek wsparcia ze strony ukraińskich sąsiadów. Zdobywali się na nią nieliczni, większość zachowywała się biernie. Także Ukraińcy próbujący zachować neutralność poddani byli silnej presji – w mordach przecież nierzadko uczestniczyli ich znajomi z sąsiednich miejscowości, a nawet najbliżsi sąsiedzi czy krewni, a nie tylko formacje zbrojne nacjonalistów oraz wyposażona w broń chłopska samoobrona. Skoro strach wśród Polaków poddanych eksterminacji był tak wielki, że nakazywał instynktownie rozpaczliwą ucieczkę, nieraz nawet bez oglądania się na najbliższych, mordowanych w pobliżu, to i dla Ukraińców obserwujących gehennę z bliska musiał być paraliżujący, tym bardziej, że za próbę niesienia pomocy samemu można było stracić życie.

Kim byli ludzie, którzy mimo to umieli zdobyć się na gest ludzkiej solidarności, a nierzadko także na wręcz heroiczne czyny? Wydaje się, że motywacja ideowa, np. odmienne od nacjonalistycznych poglądy polityczne (demokratyczne czy komunistyczne), odgrywało rolę drugorzędną. Wśród ratujących przeważały osoby najbliższe ratowanym, najsilniej związane z nimi emocjonalnie, a więc członkowie rodzin mieszanych i krewni. W dalszej kolejności zaprzyjaźnieni sąsiedzi, raczej Ukraińcy starszego pokolenia, często ci, którzy ratowali swoich bliźnich z pobudek religijnych, przedkładając zasady wiary nad solidarność narodową czy grupową. Zastanawia fakt, że bardziej „widoczni” są tu nie przedstawiciele najliczniejszych, dominujących wyznań (prawosławni na Wołyniu i grekokatolicy w Małopolsce), lecz nieliczni na tych terenach baptyści, świadkowie Jehowy czy sztyndyści – członkowie sekty protestanckiej, która głosiła zasady pacyfizmu, wspólnoty majątkowej i duchowej niezależności od władzy.

Skala pomocy udzielanej Polakom jest trudna do oszacowania. W uwzględnionych przeze mnie pięciuset miejscowościach z całego obszaru Kresów, z rąk OUN-UPA zginęło blisko 20 tys. Polaków. Dzięki aktom solidarności i miłosierdzia ocalały zarówno pojedyncze osoby, jak i całe wsie (łącznie ponad 2,5 tys. osób). W różnym zakresie pomocy Polakom udzieliło ponad 1,3 tys. Ukraińców.

Kilkuset z nich wykonawcy „akcji antypolskiej” ukarali śmiercią, ponieważ niemal wszystkie przejawy życzliwej postawy, na jaką zdobywali się Ukraińcy w stosunku do Polaków, stanowiły z punktu widzenia polityki OUN-UPA akty kolaboracji z wrogiem i zdradę ideałów narodowych, co pociągało za sobą bezlitosną zemstę.

### Tak było

Oto kilka przykładów niesienia pomocy Polakom przez Ukraińców. Oddajmy głos świadkom:

W polsko-ukraińskiej wsi **Liniów** (pow. horochowski na Wołyniu) 11 lipca 1943 r. z rąk banderowców zginęło około siedemdziesięciu Polaków. Genowefa Modrzejewska z domu Sobczyńska, wówczas pięcioletnia, wspomina, jak matka, idąc na śmierć, kazała jej się schronić wraz z siostrą w psiej budzie. „W budzie Kruczka było ciasno i ciemno, strasznie. Nie pamiętam, jak długo byliśmy w budzie. Pewnie ze strachu zasnąłam. Emilka też. Te chowania nauczyły nas być cicho, bo to nakazywała chwila. [...] Z budy zabrały nas Ukrainki. Za przechowanie polskich dzieci w tamtym czasie groziła śmierć. Ale one się nie bały wcale. Przekazały nas do innego domu. Do babci Julii i dziadka Pawła Sobczyńskich we wsi Kołbań”. (Źródło: W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 1, s. 190–191; Archiwum Wschodnie, II/2232/p, Genowefa Modrzejewska, *Niczyja*, k. 4–5).

Mieszkańców **Stasina** (pow. włodzimierski, woj. wołyńskie) upowcy 11 lipca 1943 r. spędzili do dwu stodół, rozstrzelali 105 osób. Wśród dziesięciu osób, które ocalały, był roczny syn Drożdżowskich, Marian. Znalazł go – żywego pośród zwału trupów – podczas grzebania pomordowanych Ukraińców o imieniu Płaton i zabrał do domu. Przez trzy tygodnie opiekowała się nim jego córka Sonia, lecz wskutek gróźb upowców rodzina oddała dziecko do szpitala we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie znajdował się jego ranny ojciec. (Źródło: Archiwum IPN, 27. WDAK, IV/11, Relacja Adolfa Kosnowicza, k. 44–44v; W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 1, s. 834–836).

Podczas zmasowanej akcji upowców na **Hutę Stepańską** (pow. kostopolski, woj. wołyńskie) 16 i 17 lipca 1943 r. zamordowano około sześciuset Polaków, została też spalona pobliska kolonia Borek. Mieczysław Słojewski z siedmioletnim synem Edwardem ukrywał się w lesie, żywiąc się jagodami i ziemniakami podbieranymi z pól. Był skrajnie wyczerpany psychicznie i fizycznie. „Dwukrotnie zamierzałem popełnić samobójstwo ze strachu przed schwyтaniem i męczarniami, jakich spodziewałem się od ukraińskich bandytów. Brałem mego synka Edzia i szliśmy nad rzeczkę [...]. Zamierzałem razem z synkiem się utopić, aby skrócić czas poniewierki i straszliwego lęku. I kiedy brałem syna za rączkę, ten wtedy mówił z płaczem do mnie: »Tatusiu! wracamy do naszej kryjówki«. Nie miałem odwagi skoczyć do wody”. Z pomocą przyszedł im znajomy Ukraińiec Petro Bazyluk. W zamaskowanej kryjówce w jego stodole przetrwali obaj aż do wkroczenia Armii Czerwonej w styczniu 1944 r. (Źródło: A. Kalus, *Borek*, „Na rubieży” 1994, nr 10, s. 16; AW II/1350/2k, W. Kurkowski, *Samoobrona Huty Stepańskiej na Wołyniu*, k. 55–57).

W **Kamionce** (również w pow. kostopolskim) w lipcu i sierpniu 1943 r. upowcy zamordowali około dwudziestu Polaków. Miejscowi Ukraińcy – bracia Aleksander, Makary i Prokop Majstrukowie – przyczynili się do uratowania wielu polskich mieszkańców kolonii, ostrzegając ich o niebezpieczeństwie i udzielając pomocy. Do Prokopa Majstruka 23 lipca 1943 r. przyszło dziesięciu upowców z rozkazem zabicia wszystkich miejscowych Polaków. Grając na zwłokę, ugościł ich, a w tym czasie jego żona ostrzegła niedoszłe ofiary, dzięki czemu Polacy mieszkający jeszcze w Kamionce, m.in. rodzina Bagińskich, zdążyli uciec do lasu i w pola, po czym wyjechali do Kostopola i Bereznego. Ukraińcy z Pogorełówki – Szramko i Hryćko Panasowie – odwozili furmanką uciekających Polaków, za co zostali powieszani przez upowców w stodole. Podobny los spotkał Ukraińca Nieczypora z Kamionki, który ostrzegł polskie rodziny Fajferów, Millerów i Sozańskich oraz odwiózł furmanką do Kostopola rodzinę Gdowskich – został zamordowany wraz z pięcioosobową rodziną. (Źródło: J. Bagiński, *Byłem świadkiem*, „Na rubieży” 1995, nr 11, s. 7; W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 1, s. 264–265; E. Gross, *Zbrodnie Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Głogów 1999, s. 80).

W **Woronczynie** (pow. horochowski, woj. wołyńskie) i przyległych miejscowościach 15 lipca z rąk banderowców zginęło ponad sześćdziesięciu Polaków. Stanisława Zdzymira, która ukrywała się w zbożu ze swoim dziadkiem, a później przez dwa tygodnie także z matką i młodszym rodzeństwem, wspomina o pomocy, jakiej udzielił im sąsiad, Ukraińiec Szopiak: „Kiedy mnie zobaczył, to się przeżegnał i powiedział: »To ty żyjesz! Nie zabili cię?!«. Kazał mi chwilę poczekać. Sam poszedł do domu i wrócił z kawałkiem chleba i łopatą. [...] pokazał mi, gdzie Tatę zakopał. [...] Poradził nam, żebyśmy nadal pozostali w ukryciu. [...] O tym małym kawałku chleba, który dał mi p. Szopiak, żyliśmy już tyle dni. Mama

każdego ranka dawała nam po okruszku. [...] ostrzegł nas, że płacz dziecka słyhać we wsi. Powiedział, że kiedy ktoś obcy będzie we wsi, wtedy on zacznie klepać koś. Wtedy należy stłumić płacz. Kładliśmy wtedy na buzię siostry wełnianą chustkę. Kiedy tak siedzieliśmy w polu, mieliśmy z bratem marzenia. Brat przed śmiercią chciał się przespać w łóżku, a ja chciałam napić się wody”. (Źródło: W. Siemaszko, E. Siemaszko, *Ludobójstwo...*, t. 1, s. 172; *Wspomnienia Stanisławy Jędrzejczak z domu Zdzymira*, „Biuletyn Informacyjny. 27. Wołyńska Dywizja AK” 2000, nr 1, s. 67–71).

W **Augustowie** (również pow. horochowski) 29 sierpnia 1943 r. upowcy zamordowali sześć osób z rodziny Malinowskich. Władysław Malinowski z żoną i trojgiem dzieci ukrył się w lesie. Jego kolega, Ukraińiec Józef Pawluk, przez trzy dni opiekował się nimi, przynosząc żywność i ostrzegając, by nie wracali do domu. „Ukraińcy – cytuje jego słowa ocalony – mordują wszystkich Polaków co do nogi w naszej okolicy, prowidnyk ich powiedział, że taka rzeź jednocześnie jest przeprowadzana na całej Ukrainie, że jest nakaz wybijcia wszystkich »Lachiw« – żeby nikt nie pozostał – komunistów i żydów też”. Pawluk opowiedział Malinowskiemu o wymordowaniu czterdziestu rodzin w sąsiedniej Władysławówce, czego był świadkiem: „Powiedział, że nigdy w życiu nie widział i nie słyszał o takiej rzezi, i nikt, kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy, że jego pobratymcy tego dokonali [...]. Mówił, że musimy uciekać, bo on nie może się narażać – Ukraińcy są czujni i za to mogą jego i rodzinę zabić. Myśmy usłuchali jego i przez całą noc szliśmy do Włodzimierza – przez las, bagna”. (Źródło: AIPN, 27. WDAK, IV/81, Relacja Władysława Malinowskiego, k. 212v–213).

Według relacji księdza greckokatolickiego Pawła Olijnyka, Ukraińiec Petro Wasylczyszyn z **Augustówki** (pow. brzeżański, woj. tarnopolskie), wcielony do Baudienstu (niemieckiej przymusowej służby budowlanej), jesienią 1943 r. wstąpił do partyzantki upowskiej, ale po trzech miesiącach odmówił dalszego udziału w akcjach antypolskich. Schronił się u rodziców, jednak wkrótce został schwytyany i rozstrzelany przez Służbę Bezpieczeństwa OUN („partyzanckie gestapo”, jak pisze Olijnyk). Jego rodziców, głośno rozpaczających po stracie syna, również zgładzono. (Źródło: o. P. Olijnyk, *Zoszyty*, Kyjiw 1995, s. 87).

Ksiądz Roman Daca przeżył napad UPA w nocy z 28 na 29 września 1943 r. na swoją plebanię w **Nowosielcach** (pow. bóbrecki, woj. lwowskie). Zginęła jego matka i gospodyni. „Inni moi domownicy – pisze we wspomnieniach – których w tym czasie było wielu, a wśród nich Ukraińiec Fedio Kostyszyn, zostali pobici do nieprzytomności, za to jedynie, że nie zdradzili mojej kryjówki i nie wydali mnie. Fedio Kostyszyn z swoją nieodłączną siekierą, skoro tylko nastąpił świt 29 września 1943 r., opuchnięty i poraniony przez napastników rozpoczął poszukiwania, aby odnaleźć »jegomości – swojego księdza« – w opustoszałej plebanii, pełnej gruzów, ogromnego zniszczenia i ograbionej doszczętnie, gdzie leżały zwłoki pomordowanych kobiet. Na ich widok wszyscy domownicy przerażeni rozpierzchli się w różne strony. Pozostał tylko on jeden Fedio Kostyszyn, mój służący. Zaczął mnie szukać wśród tych gruzów i rumowisk, pragnął uratować mnie nawet za cenę swego życia, bo chociaż Ukraińiec, to gdyby banderowcy się o tym dowiedzieli, nie ominęłaby go śmierć z ich rąk. Ten dobry i wierny, bohaterski sługa, z którym miałem również w czasie pracy i kłopoty, tym razem po tej tragicznej nocy wczesnym rankiem [...] odnalazł mnie ukrytego w schronie pod podłogą. Przy pomocy swej siekiery podważył pokrywę i zastał mnie tam

na wół żywego, niezdolnego do żadnego ruchu, skostniałego, usmarowanego oślizłą mazią pleśni i cuchnącego błota”.

Ksiądz Daca przywołuje też wcześniejsze momenty ze swego życia, kiedy zaznał zyczliwości ze strony Ukraińców:

„W pierwszych dniach wojny po 17 września 1939 r., kiedy groziło mi niebezpieczeństwo z rąk ukraińskich nacjonalistów, bardzo mi pomógł, a wręcz ocalił życie dr Stefan Seniginowski – Ukrainiec z Chodorowa – narażając przy tym własne życie. W 1940 r. tenże lekarz Ukrainiec, w niezwykle trudnych i prymitywnych warunkach operacyjnych, uratował życie mej matki, przeprowadzając transfuzję krwi, której byłem dawcą. [...]

Bóg w swej niepojętej wszechmocy i miłosierdziu [...] ocalił mi kolejno życie także rękami i czynem szlachetnego człowieka, jakim był Berezowski, ruski cerkiewny, diak obrządku greckokatolickiego w Nowosielcach, Ukrainiec. On to przechował mnie w swojej izbie, między pierzynami i poduszkami, gdy groziła mi śmierć z rąk faszystów ukraińskich. Działo się to latem 1942 r.

Podobnie zostałem ocalony w zimie pod koniec 1942 r., gdy w nocy przejeżdżałem przez ukraińską wieś Wierzbica. Zostałem nagle na drodze w środku wsi zatrzymany przez uzbrojony oddział Ukraińców. Był to prawdopodobnie miejscowy oddział UPA, który przeprowadzał nocne ćwiczenia. [...] na moim wozie znaleziono worek żyta [...]. Wtedy było to działanie na szkodę państwa niemieckiego, przewożenie zboża groziło śmiercią, dowódca tego oddziału wydał na mnie wyrok śmierci w imieniu władzy niemieckiej.

Miałem zostać rozstrzelany. [...] aż tu nagle wokół mnie zebrał się liczny tłum kobiet, dzieci chyba z całej wsi. Zaczęli głośno krzyczeć, płakać i wywoływać z szeregów po imieniu swoich mężów i synów i wszystkich stojących tam »Striłców«. Zaczęli wołać: nie zabijajcie go jak psa, puście go wolno, to polski jegomość z Nowosielec, który leczył i ratował zdrowie i życie naszych dzieci i nam również.

W oddziale nastąpiła konsternacja. Wykonanie wyroku odwołano. Puszczono mnie wolno. I o dziwo, ci, co mieli mnie rozstrzelać, dla mego osobistego bezpieczeństwa eskortowali mnie niemal pod samą plebanię. Żegnając mnie powiedziano, że mam szczęście i na drugi raz, abym był ostrożniejszy i nie pokazywał się w ich stronach”. (Źródło: ks. R. Daca, *Byłem świadkiem (fragmenty wspomnień z 1985 r.)*, „Na rubieży” 2001 nr 52, s. 35–36).

W **Stechnikowcach** (pow. i woj. tarnopolskie), „jeden z Ukraińców miał żonę Polkę i z nią dwie córki – czytamy w relacji Anny Derkacz. – Pod koniec 1943 r. otrzymał list od banderowców z UPA, w którym nakazano mu niezwłocznie zabić swoją żonę i obie córki za to, że są Polkami. Mąż i ojciec – Ukrainiec tego rozkazu nie wykonał. Otrzymał więc kolejny list z rozkazem i pogroźkami, ale również po raz drugi rozkazu nie wykonał. Jakiś czas potem otrzymał trzeci list o podobnej treści, a w nim ostrzeżenie, że jeżeli sam tego nie zrobi, wykonają to inni. Po tym trzecim liście zdawał już sobie sprawę, że zabójcy przyjdą. Naostrzył wtedy siekiere, ale nie do wykonania rozkazu, lecz do obrony. Kilka dni potem w nocy ktoś zaczął ostro dobijać się do drzwi, chwycił więc za topór i stanął w sieni za drzwiami. Kiedy drzwi wyważono, wpadł pierwszy morderca, gospodarz-obrońca z całej mocy uderzył go ostrzem siekiery. Napastnik upadł, za nim wpadł drugi. Spotkało go to samo. Więcej napastników nie było. Wtedy gospodarz zapalił lampę, żeby zobaczyć banderowców. I zobaczył ciała swego ojca i brata”. (Źródło: Relacja Anny Derkacz, „Na rubieży” 1998, nr 29, s. 38).

# DZIENNIK KAZIMIERZA SAKOWICZA

W ciągu ostatnich kilkunastu lat wielokrotnie powracano do zbrodni popełnionych podczas hitlerowskiej okupacji w podwileńskich Ponarach. Od lat wiedzę o ponarskiej tragedii niestrudzenie upowszechnia Rodzina Ponarska i inne środowiska, które zrzeszają osoby pochodzące z Wileńszczyzny. Śledztwo, do dziś prowadzone przez oddział Instytutu Pamięi Narodowej w Gdańsku, pozwala na systematyczne gromadzenie informacji uzupełniających wiedzę o tym ludobójstwie. Wraz z zakończeniem II wojny światowej ożywioną działalność dokumentacyjno-informacyjną o zasięgu międzynarodowym podjęli rozproszeni po świecie Żydzi.

Rozmiar tragedii i bestialstwo oprawców, a nade wszystko udział w niej litewskich kolaborantów, liczne przemilczenia i niedomówienia sprawiają, że „sprawa ponarska” – mimo upływu dziesięcioleci – jest wciąż podejmowana w dyskursie polsko-litewskim<sup>1</sup>. W archiwum białostockiego Oddziału IPN przechowywany jest dokument *Mordercy Wilna i Wileńszczyzny*. Jest to anonimowy list, zawierający fragmenty *Dziennika* Kazimierza Sakowicza<sup>2</sup>, naocznego świadka masowych mordów.

W okresie międzywojennym Kazimierz Sakowicz (1894–1944) był właścicielem i wydawcą wileńskiego „Przeglądu Gospodarczego”. Po wkroczeniu wojsk sowieckich na Wileńszczyznę, został pozbawiony możliwości kontynuowania dawnego zajęcia. Zatrudnił się więc w wileńskim przedsiębiorstwie, zajmującym się skupem skór bydłęcych. Będąc oficerem Wojska Polskiego, zaangażował się w działania podziemia niepodległościowego. W czasie okupacji Sakowiczowie wyprowadzili się z Wilna i zamieszkali w pobliskich Ponarach, dlatego Kazimierz mógł obserwować eksterminację tysięcy mieszkańców Wileńszczyzny w okolicznych lasach. Gdy jechał rowerem w kierunku Wilna 5 lipca 1944 r. został ciężko ranny, ostrzelany z broni maszynowej przez Litwinów. Sąsiedzi znaleźli go wieczorem w przydrożnym rowie i zawieźli do wileńskiego szpitala św. Jakuba. Zmarł po dziesięciu dniach. Został pochowany 16 lipca 1944 r. na Rossie w kwaterze żołnierzy Armii Krajowej, w sąsiedztwie grobu matki Józefa Piłsudskiego<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> Symbolicznym zamknięciem kontrowersji wokół zbrodni ponarskiej miało być odsłonięcie pomnika-krzyża na miejscu kaźni 22 października 2000 r., w którym wzięli udział ministrowie obrony Polski i Litwy – Bronisław Komorowski i Česlovas Stankievičius.

<sup>2</sup> Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej w Białymstoku (dalej cyt.: AIPN Bi), sygn. 1/1168, k. 226–230.

<sup>3</sup> H. Pasierbska, *Ponary. Największe miejsce kaźni koło Wilna (1941–1944)*, Warszawa 1993, s. 11; M. Wardzyńska, *Sytuacja ludności polskiej w Generalnym Komisarjacie Litwy. Czerwiec 1941–lipiec 1944*, Warszawa 1993, s. 15; K. Sakowicz, *Dziennik pisany w Ponarach od 11 lipca 1941 r. do 6 listopada 1943 r.* (rozszyfrowała i opracowała 30 sierpnia 1998 r. b. kierowniczka działu historii Państwowego Muzeum Żydowskiego na Litwie Rachel Margolis), Bydgoszcz 1999, s. 42–43; A.A. Bajor, *Błędów i potknięć nieprzebrane mnóstwo w przewodniku „Wilno” P. Włodka*, „Magazyn Wileński” 2004, nr 5, s. 36–39.



Ponary, zanim zyskały swą ponurą sławę, stanowiły jedno z ulubionych miejsc odpoczynku mieszkańców pobliskiego Wilna. Chętnie spotykała się tutaj młodzież gimnazjalna oraz studenci Uniwersytetu Stefana Batorego. Wybuch II wojny światowej odmienił sielankowy charakter tej miejscowości. Okupujący Wileńszczyznę Sowieci w miejscu spacerów, majówek i tras narciarskich rozpoczęli budowę składnicy paliw płynnych. W 1940 r. wykopali trzy lub cztery doły o średnicy 34 i głębokości ok. 9 metrów oraz cztery doły o średnicy 12 i głębokości ok. 3 metrów, które jeszcze zdążyli połączyć rowami przeznaczonymi na rury biegnące między poszczególnymi zbiornikami. Rozpoczęli też umacnianie ścian tych dołów betonowymi płytami<sup>4</sup>.

Niemcy wkroczyli do Wilna 24 czerwca 1941 r. Ponary – a zwłaszcza „baza”, jak powszechnie nazywano miejsce sowieckiej budowy – szybko ich zainteresowały. Hitlerowcy zaplanowali utworzenie tam miejsca egzekucji mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny. Według słów Longina Tomaszewskiego – wilnianina i żołnierza Armii Krajowej, doskonale znającego tę okolicę – „wybrane miejsce kaźni spełniało wszelkie wymogi: gotowe doły, las tłumiący odgłosy salw egzekucyjnych, dogodny transport dzięki usytuowaniu między szlakiem kolejowym a drogowym. Od toru kolejowego poprowadzono do lasu bocznicę, teren otoczono wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego i umieszczono na nim tablice zakazujące wstępu pod groźbą kary śmierci”<sup>5</sup>.

Część litewskiej młodzieży i wojskowych zaangażowała się w bezpośrednią współpracę z hitlerowcami, mimo że nie spełniły się nadzieje społeczeństwa litewskiego na restytucję własnego państwa (lub choćby uzyskanie statusu podobnego jak Słowacja). Na przykład 150 Litwinów, wśród nich dwóch oficerów i kilku podoficerów armii litewskiej, weszło w skład wileńskiego Sonderkommando. Byli to „strzelcy ponarscy”, kierowani przez Hauptsturmführera SS Martina Weissa, którzy od lipca 1941 do lipca 1944 r. wymordowali ponad 100 tys. osób.

W Ponarach ginęli przede wszystkim Żydzi z Wilna i okolicznych miasteczek<sup>6</sup>, ale mordowano też Polaków, uznawanych za przeciwników politycznych: profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, duchownych, nauczycieli, prawników, lekarzy. Rozstrzelano około stu członków Związku Wolnych Polaków (młodych ludzi w wieku 19–21 lat). W lesie ponarskim zabijano więźniów z Łukiszek i przetrzymywanych w wileńskim areszcie gestapo przy ul. Ofiarnej. Wiadomo też, że wielu żołnierzy Armii Krajowej i funkcjonariuszy Polskiego Państwa Podziemnego było wcześniej torturowanych podczas bestialskich śledztw<sup>7</sup>.

<sup>4</sup> H. Pasierbska, *Ponary...*, s. 8–9.

<sup>5</sup> L. Tomaszewski, *Kronika wileńska 1941–1944. Z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa 1992, s. 177.

<sup>6</sup> O zbrodni w Ponarach mówią m.in. wspomnienia ocalałych z Holocaustu. Zob. np.: Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy, t. 3, *Relacje z Kresów*, oprac. A. Żbikowski, Warszawa 2000, s. 315–345, 396–416, 433–442, 450–452, 460–465, 469–474, 490–493.

<sup>7</sup> Helena Pasierbska, niestrudzona badaczka ponarskiego ludobójstwa i popularyzatorka wiedzy o wileńskiej „golgocie”, ustaliła liczbę zgładzonych Polaków na ok. 20 tys. osób. Należy podkreślić, że poprzez mordy ponarskie polskie społeczeństwo Wileńszczyzny pozbawione zostało elementu najcenniejszego – ludzi świadomych swej przynależności narodowej, nastawionych patriotycznie i czynnie uczestniczących w bezpośredniej walce z kolejnymi okupantami. W Ponarach swój grób znalazły grupy miejscowych Cyganów i Rosjan. W „bazie” rozstrzelano także litewskich komunistów oraz żołnierzy i oficerów z oddziałów gen. Povilasa Plechovicziusa, rozwiązanych przez Niemców po kompromitacji w walce z oddziałami Armii Krajowej. Zob. H. Pasierbska, *Ponary...*, s. 9–10 i 21–28.

Kazimierz Sakowicz mieszkał tak blisko „bazy”, że mógł obserwować egzekucje ze strychu swego domu. Własne spostrzeżenia oraz informacje uzyskane od innych osób (w tym Litwinów) spisywał na kartkach z notesu, które następnie umieszczał w butelkach i zakopywał w ogrodzie koło werandy. Zapiski rozpoczynają się 11 lipca 1941 r. a kończą 4 listopada 1943 r. Po śmierci autora część materiałów trafiła do Muzeum Żydowskiego w Wilnie. W 1949 r., po likwidacji tej placówki, przekazano je do Centralnego Archiwum Państwowego Litwy w Wilnie. Druga część zapisków, na którą natrafiono przypadkowo, została umieszczona w ówczesnym Muzeum Rewolucji w Wilnie. Obecnie notatki sporządzane od 11 lipca 1941 r. do 26 sierpnia 1942 r. przechowywane są w Centralnym Archiwum Państwowym Litwy w Wilnie, natomiast kartki powstałe od 10 września 1942 r. do 4 listopada 1943 r. – w Litewskim Muzeum Narodowym w Wilnie<sup>8</sup>.

Według żony Sakowicza, jej mąż notował swoje obserwacje także w 1944 r. – niemal do dnia tragicznej śmierci. Jan Malinowski, autor biogramu Sakowicza zamieszczonego w *Dzienniku*, wypowiadając się na temat ostatniej części zapisków, które powinny obejmować okres od początków listopada 1943 r. do pierwszych dni lipca 1944 r., pisze: „Czyżby po znalezieniu *Dziennika* strzelcy ponarscy lub ich koledzy z czasów okupacji sowieckiej po lipcu 1944 r. zniszczyli (lub ukryli?) ostatnią jego część, kompromitującą ich i stanowiącą ważny dokument oskarżenia o zbrodnie przeciw ludzkości?” Bo właśnie w tym ostatnim okresie Sakowiczowi znane już były nazwiska ponarskich oprawców<sup>9</sup>.

W latach 1976–1977 przez Sądem Wojewódzkim w Olsztynie toczył się proces przeciwko jednemu z nich – Viktorasowi Galvanauskasowi. W aktach sprawy znajduje się sprawozdanie z badań pisma Kazimierza Sakowicza „przeprowadzonych w Wydziale Badań Dokumentów Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO w Warszawie, wraz z odczytaną i przepisana treścią odręcznie sporządzonego przez niego dziennika”<sup>10</sup>. Obecnie materiały procesowe zawierające *Dziennik* przechowywane są w zasobie archiwalnym Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie<sup>11</sup>.

Fragmety relacji były dwukrotnie publikowane na Litwie. W 1959 r. tłumaczenie litewskie części materiałów zamieściło pismo „Tiesa”. Urywki dokumentu upowszechniono w broszurze informacyjnej *Muzeum w Paneriai* wydanej w Wilnie w roku 1966<sup>12</sup>. W Polsce po raz pierwszy opublikowano kilkudzaniowe fragmenty *Dziennika* Sakowicza w 1977 r. przy okazji wspomnianego procesu Galvanauskasa<sup>13</sup>. Kilka lat później część materiału została upowszechniona w popularnej pracy dotyczącej działalności służb wywiadowczych<sup>14</sup>. Cały *Dziennik* ogłoszono drukiem w 1999 r. Publikacja została przygotowana przez Rachelę Margolis i wydana przez bydgoski Oddział Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej<sup>15</sup>.

List *Mordercy Wilna i Wileńszczyzny* z wplecionymi fragmentami *Dziennika* Kazimierza Sakowicza został przesłany 1 lutego 1993 r. do ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 11; M. Wardzyńska, *Sytuacja ludności polskiej...*, s. 15; K. Sakowicz, *Dziennik...*, s. 5, 65.

<sup>9</sup> K. Sakowicz, *Dziennik...*, s. 43–44.

<sup>10</sup> Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie (dalej cyt.: AIPN), sygn. SW OI 84, k. 2.

<sup>11</sup> *Ibidem*, k. 10–146.

<sup>12</sup> H. Pasierbska, *Ponary...*, s. 11.

<sup>13</sup> M. Osiaдах, *Zbrodnia nareszcie ukarana*, „Prawo i Życie” 1977, nr 25/662, s. 8.

<sup>14</sup> J. Ciski, *W sieci wywiadów*, Warszawa 1982, s. 40–49

<sup>15</sup> K. Sakowicz, *Dziennik...*

przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie przez Zygmunta Marka Wasilewskiego. Kilka dni później Główna Komisja przekazała pismo do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku. Wasilewski, który w początku lat dziewięćdziesiątych XX w. zajmował się zakładaniem bibliotek w polskich szkołach na Łotwie, tak opisuje okoliczności otrzymania listu: „Na spotkaniu z Polakami w Wilnie w zeszłym roku otrzymałem od nieznaney kobiety zaklejoną kopertę z prośbą, bym zawartość przeczytał po powrocie do Kraju. Musiałem jej dać słowo, że wcześniej koperty nie otworzę. Prosiła mnie ona, abym po przeczytaniu treści złożył zawartość koperty w odpowiedniej instytucji (według mnie). [...] Niestety nie znam nazwiska kobiety, nie chciała mi go podać, bała się bardzo, wsunęła mi kopertę do kieszeni, rzuciła mi parę powyższych słów i znikła...”<sup>16</sup>.

Przytoczony fragment dobrze oddaje ówczesną sytuację na Litwie. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, po odzyskaniu niepodległości przez Litwę, dominującą siłą odbudowującą tożsamość Litwinów była organizacja Sajudis. Ruch ten w sposób szczególnie eksponował dwa kierunki działania – antykomunizm i antypolonizm. Z punktu widzenia społeczności litewskiej Sajudis dobrze spełniał swoją rolę, ponieważ Litwini – zdecydowanie odcinając się od komunistycznej przeszłości – mogli integrować się wokół idei narodowych. W tym czasie polityka niepodległej Litwy wywołała wśród miejscowej społeczności polskiej poczucie odrzucenia i zagrożenia. Język polski, który był dotychczas powszechnie używany w Wilnie, znikł z zakładów pracy, sklepów i innych miejsc publicznych. I właśnie w okresie takiej niepewności wśród Polaków zamieszkujących Wileńszczyznę powstał wspomniany list, zawierający fragment *Dziennika* Kazimierza Sakowicza.

W treści listu można wyodrębnić trzy części. Fragment początkowy zawiera krótką informację o pięćdziesięciu Litwinach wchodzących w skład Sonderkommando i współpracujących z Niemcami oraz wykaz dat i miejscowości na Wileńszczyźnie wraz z liczbą osób zgładzonych w czasie egzekucji. Dane liczbowe przytoczone w tej części pisma pochodzą ze wspomnianych akt procesowych, w których znajduje się fotokopia niemieckiego dokumentu, podsumowującego efekty działań eksterminacyjnych prowadzonych na Litwie do 1 grudnia 1941 r.<sup>17</sup> Zestawienie zacytowano także we wspomnianym artykule w „Prawie i Życiu” i w wymienionej pracy Józefa Ciskiego<sup>18</sup>. W 1993 r. liczby obrazujące rozmiar zbrodni popełnionych przez wileńskie Sonderkommando umieściła w swojej pracy Maria Wardzyńska<sup>19</sup>. Drugą, najobszerniejszą część listu, stanowi odpis relacji Kazimierza Sakowicza – naocznego świadka zbrodni ponarskiej. Można sądzić, że autor listu w tym miejscu korzystał z publikacji Ciskiego. W zakończeniu, w kilku zadaniach, streszczona została powojenna tragedia Polaków zamieszkujących Wileńszczyznę – syberyjskie zsyłki i „repatriacja” połączona z utratą dorobku poprzednich pokoleń. Także w tej części zawarty został opis trudności w zdobyciu wykształcenia przez młodzież na Litwie i problemów w kontynuowaniu nauki w języku ojczystym. Dramatycznie brzmi ostatnie zdanie: „My bardzo prosimy przeczytać gdzie na zebraniu, czy puścić do gazetki. Żeby ludzie wszystko znali”.

Wydaje się, że prośba zawarta w ostatnim zdaniu została spełniona: *Dziennik* Sakowicza został wprowadzony do obiegu naukowego<sup>20</sup>. Dzięki ostatnim publikacjom i działalności

<sup>16</sup> AIPN Bi, sygn. 1/1168, k. 224–225.

<sup>17</sup> AIPN, sygn. SW Ol 84, k. 120–121.

<sup>18</sup> M. Osiadach, *Zbrodnia...*, s. 8; J. Ciski, *W sieci...*, s. 34–35.

<sup>19</sup> M. Wardzyńska, *Sytuacja ludności polskiej...*, s. 44.

<sup>20</sup> K. Sakowicz, *Dziennik...*

popularyzatorskiej prowadzonej m.in. przez Helenę Pasierbską<sup>21</sup> i Wacława Dziewulskiego<sup>22</sup> wiedza o zbrodni ponarskiej zatacza coraz szersze kręgi. Wielkie zasługi w upowszechnianiu wiedzy o ponarskim ludobójstwie ma Rodzina Ponarska – organizacja zrzeszająca członków rodzin zamordowanych Polaków.

Fragment *Dziennika* Sakowicza zawarty w omówionym liście i przechowywany obecnie w zasobie archiwalnym białostockiego Oddziału IPN wskazuje na trwałą pamięć mieszkańców Wileńszczyzny o ponarskiej tragedii. Wciąż wraca się również do niej na łamach różnych czasopism<sup>23</sup>.

\*\*\*

Przygotowując edycję listu, opierano się na instrukcji wydawniczej i zasadach przyjętych w wydawnictwach IPN<sup>24</sup>. Ingerencje w tekst oryginalny ograniczono do niezbędnego minimum. Na przykład odstąpiono od poprawiania ewidentnych błędów składniowych i gramatycznych, dzięki czemu utrzymano swoisty, oryginalny klimat listu. Język wypowiedzi, formy typowe dla podwileńskiej gwary, słownictwo, zastosowanie rusycyzmów wskazują na środowisko, z którego wywodził się autor anonimowego pisma (pozostawiono m.in.: inteligencji, policyjantów, księży, mężczyzn, w Wilni itp.). Wprowadzono nieliczne poprawki jedynie tam, gdzie błędy uniemożliwiały zrozumienie tekstu. W takich przypadkach oryginalny tekst podano w przypisie. Bez oznaczania przypisem uwspółcześiono ortografię i interpunkcję oraz uzupełniono znaki diakrytyczne. Brakujące litery podano w nawiasach kwadratowych.

[1993, Wilno.] *Anonimowy list przekazany w dniu 1 lutego 1993 przez Zygmunta Marka Wasilewskiego do Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie, zawierający informacje na temat zbrodni w Ponarach, pochodzące z Dziennika Kazimierza Sakowicza.*

„Mordercy Wilna i Wileńszczyzny

Sonderkomando, które pracowali razem z Niemcami; Litwiny było ich 50 ludzi, policjanci. Pełnili służbę morderczą. Szauliści naczyniali swoją robotę.

W dniu 20 IX 1941 r. w Niemęczynie<sup>25</sup> ro[z]strzelali 403 osoby.

<sup>21</sup> H. Pasierbska, *Wileńskie Ponary*, Gdańsk 1996.

<sup>22</sup> W. Dziewulski, *Do organizatorów i przewodników pielgrzymek do Ostrej Bramy*, „Nasza Gazeta” z 8–14 X 1998, nr 41 (375), s. 1; *idem*, *Casus Ponary. Problem na koniec wieku*, „Panorama Kresowa” 1998, nr 8, s. 4. Zbiór materiałów pt. *Casus Ponary. Problem na koniec wieku* został przekazany przez W. Dziewulskiego do wybranych instytucji na terenie całego kraju.

<sup>23</sup> Zob. np. H. Kittel, *Ponary: potrzeba wspólnej prawdy*, „Życie” z 23 X 2000; G. Górny, *Raport z rozstrzelanego świata*, „Rzeczpospolita” z 19–20 X 2002; A. Nikžentaitis, *Litwa wschodnia w kulturze pamięci i polityce pamięci Litwinów; problem stosunku historyka i twórcy pamięci*, „Nasz Czas” 2004, nr 18, oraz zbiór artykułów o Ponarach i rozmowa z Heleną Pasierbską zamieszczone w „Naszem Dzienniku” z 12 V 2003. Publikacje litewskie dobrze prezentuje cytowana praca Rimantasa Myknisa (zob. R. Myknys, *Stosunki litewsko-żydowskie...*, s. 72–77).

<sup>24</sup> I. Ihnatowicz, *Projekt instrukcji wydawniczej dla źródeł historycznych XIX i początku XX wieku*, „Studia. Źródłoznawcze”, t. 7 (1962), s. 99–124; *Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictw BEP IPN*, oprac. E. Lewczuk, K. Persak, A. Zawadzka, s. 1–10, mps.

<sup>25</sup> Niemęczyn (lit. Nemenčinė), miejscowość położona ok. 20 km na północny wschód od Wilna.

W dniu 22 IX 1941 r. w Nowej Wilejce<sup>26</sup> ro[z]strzelali 1150 osób.

W dniu 24 IX 1941 r. w Remie<sup>27</sup> ro[z]strzelano 1767 osób.

W dniu 25 IX 1941 r. w Jaszunach<sup>28</sup> ro[z]strzelano 579 osoby.

W dniu 27 IX 1941 w Ejszyszkach<sup>29</sup> ro[z]strzelano 3446 osób.

W dniu 30 IX 1941 r. w Trokach<sup>30</sup> ro[z]strzelano 1446 osób.

W dniu 6 X 1941 r. Siemiliszkach<sup>31</sup> ro[z]strzelano 962 osoby.

W dniu 9 X 1941 r. w Święcianach<sup>32</sup> ro[z]strzelano 3726 osób.

W kwietniu 1942 r. w Nowych Święcianach<sup>33</sup> ro[z]strzelano 400 osób.

W latach 1941–[19]44 w miejscowości Ponary koło Wilna ro[z]strzelali co najmniej 100 tysięcy osób. Łącznie, wiem, zamordowali co najmniej 113884 osoby. Nie licząc licznych ich ofiar.

11 lipca 1941 r., pogoda dość ładna, słychać były strzały, prawdopodobnie ćwiczenia bo w lesie stoi obóz amunicyjny. O godzinie czwartej po południu strzały trwają, już nie salwy a pojedyncze strzały.

12 lipca, wiem co to jest, to ludzka śmierć. Około godziny 3 po południu prowadzili do lasu wielką partiją Żydów. Około trzysta ludzi. W godzinie później rozpoczęły się salwy, rozstrzeliwano po 10 osób. Strzelaninę było słychać w następane dni: 13, 15, 16, 17, 19 lipca.

23 lipca przypędzono około 500 osób. Dużo inteligencji i znowu strzały straszne. Lipiec 1942 r. z Wilna samochodem wiozą skazańców, leżą na podłodze obok nóg policjantów, wi[a]domo że zabite.

Przyważając także z więzienia Łukiszek<sup>34</sup> ludzie całkowicie umęczonych, widać w czasie badań i rozstrzeliwują. Pisze człowiek, który to wszystko widział. [W] 1941 roku rozstrzeliwano w dniach 1, 2, 3, 6, 11, 16, 19, 22, 23, 26. W ostatnim tygodniu, to jest 25–27 sierpnia szauliści mówili, że w przyszłym tygodniu w ciągu jednego dnia będzie tyle ile za cały sierpień rozstrzelano. Tak się i stało. 19 sierpnia strzelają w plecy albo granatami lub z karabinu. Potem przywieźli z Wilna prze[d]stawicieli polskiej inteligencji, rozebrani idą na śmierć. Po pewnym czasie wracają się z bazy szauliści. Okazuje się, że strzelali polskich adwokatów, doktorów, księży. Strzelano po dwóch, trzymali się, żegnali się, szli na śmierć. Rozstrzeliwano studentów i studentek i innych ludzi; kobiet, mężczyzn, dzieci i starców.

<sup>26</sup> Nowa Wilejka (lit. Naujoji Vilnia), zachodnie przedmieście Wilna.

<sup>27</sup> Chodzi o miejscowość Orany (lit. Varena) położoną ok. 70 km na południowy wschód od Wilna. W publikacji w „Prawie i Życiu” zapisano „w Warenie”, w pracy J. Ciskiego „w Remie”.

<sup>28</sup> Jaszuny (lit. Jašiūnai), miejscowość położona ok. 25 km na południe od Wilna.

<sup>29</sup> Ejszyski (lit. Eišišķės), miejscowość położona ok. 60 km na południe od Wilna.

<sup>30</sup> Troki (lit. Trakai), miejscowość położona ok. 20 km na zachód od Wilna.

<sup>31</sup> Siemieliszki (lit. Semeliškės), miejscowość położona ok. 40 km na zachód od Wilna.

<sup>32</sup> Święciany (lit. Švenčionys), miejscowość położona ok. 70 km na północny wschód od Wilna.

<sup>33</sup> Nowe Święciany (lit. Švenčionėliai), miejscowość położona ok. 10 km na zachód od Święcian.

<sup>34</sup> Łukiszki (lit. Lukiškės), dzielnica Wilna. Położone w tej dzielnicy więzienie powszechnie nazywano Łukiszkami.

2 września 1941 r., to był wtorek, wiatr, deszcz, chłód, godzina 7 rano, jadą przemk[ne]li<sup>a</sup> po szosie, jedzie samochód osobowy, za nim dwie ciężarówki z Żydami. W dwie godziny później drugi wąż ludzi, dosłownie od przejazdu do kościółka (2 km!), przez przejazd przechodzi biegiem 15 minut, było ich około 4 tysiące. Inni mówią, że 4845, same kobiety. Dużo niemowląt. Strzelano ich 80 szaulisów, strzelające byli pijane. Przed strzelaniem katowali ich, kobiety rozbierali do bielizny. Kobiety gdy wchodziły na drogę do lasu to zrozumiały co ich czeka. Krzyczały ratujcie nas.

18 grudnia, piątek, w rozmaity sposób mordują przywiezionych, każą leżeć twarzą do ziemi, po kilku prowadzą do dołu biją i szydzą. Strzelają po spędzeniu do dołu i rzucają granatami, różne wymyślają sposoby.

28 stycznia 1943 r., czwartek, pokazały się trzy samochody okropnie wymęczonych, twarze więźniów Łukiszek. Było z mężczyznami kilka kobiet. Strzelali gestapowcy i szaulisy.

18 lutego, czwartek. O godzinie 9 okazał się znajomy samochód. Przywieźli mężczyznów ze skutymi rękoma do tyłu, bez płaszczy i czapek. Policjanci trzymali każdego za kołnierz, w lewej mają brawnik<sup>35</sup> czy karabin. Kolumna ruszyła, wkrótce zabrzmiały głuche pojedyncze strzały. Po powrocie policjanci z Niemcami znowu pojechali do Wilna, wkrótce przyjechali. Tym razem mężczyźni byli ubrani w dostatnie palta i kapelusze. Widać, że nie z więzienia. Ręce byli skute, znowu policja trzymała każdego i znowu pojedyncze strzały. Po raz trzeci samochód przyjechał z kobietami. Przeważnie młode, ręce nie skute. Do bazy ich nie prowadzą, policjant pokazał ręką na las, wszyscy kobiety ruszyli gęsiego. A kaci grupą, cicho, cicho, szumią tylko sosny. I naraz strzały salwą, minęło ponad godzinę. Policjanci wrócili z przerzuconymi przez ramię ubraniami tych ofiar i wraz w budce sprzedawali i potem pili.

5 marca, piątek. O godzinie drugiej po południu ukazał się samochód numer 35 979, za nim drugi, w bazie rozległy się strzały. Potem samochód wrócił się do Wilna i wkrótce wrócił się z ludźmi i znowu strzały. Dobre ubranie z nich zdejmowane.

20 marca, sobota. Jak zwykle ukazał się samochód potem sypią się strzały.

25, 26 i 28 marca 1943 r. nazywał się sądnymi dniami. Taki był cały kwiecień. Jednego dnia wkrótce idzie pociąg od Wilna. Otworzone<sup>b</sup> 4 wagony, kazano Żydom wysiadać bez żadnych ruchomości, wszyscy byli otoczeni. Płacz, jęk, błaganie nik[t] na to nie zwraca uwagi i zaczęli rozstrzeliwać. Jedna kobieta przyciska swoje dziecko i ucieka, dopędza ją policjant, uderza ją kolbą karabinu po głowie. Kobi[e]ta usuwa się na ziemię. Policjant schwycił dziecko za nóżki i rzuca go żywego do jamy. W tym czasie na skraju dołu siada kobieta i trzy dziewczynki i znowu strzały i padają do jamy. Około 11 godziny wszystko się

<sup>a</sup> Wyraz w rękopisie Sakowicza zapewne trudno czytelny. W publikacji w „Prawie i Życiu” i u J. Ciskiego oddany jako „jadę do Przemпки”, w wydaniu R. Margolis jako „Pirczupki”. Miejscowości o takich nazwach nie odnaleziono na Wileńszczyźnie.

<sup>b</sup> W oryginale: odwożone.

<sup>35</sup> Brauning – słowo użyte na określenie pistoletu (od nazwiska konstruktora automatycznego pistoletu szybkostrzelnego J.M. Browninga, 1854–1926).

ucisza, policjanci pośpiesznie ładują rzeczy do pociągu. A więc ro[z]strzelali 49 wagonów ludzi, za cztery godziny zginęło 2, 2 i pół tysiące ludzi. Jedna kobieta [w] skrwawionej koszuli wołają nieswoim głosem, stara się wydobyć z dołu. Dopada policjant i przesywa ją bagnetem. Od strony bramy znów ukazują się grupa około 400 ludzi. Ze wszystkich stron otaczają szauliści, policjanci boją się żeby nikt nie uciekł i mówią szybko rozbierać się. Stoi kobieta, na rękę małe dziecko i jeszcze dwoje, uczepliły się swoją mamę za spódnicę, zanosi się płaczem. Policjant dopada do nich i kijem zaczyna bić dzieci i matkę i ktoś z mężczyzn rzuca się na policjanta. Inny policjant strzela do niego. Policjant, który bił kobietę wyrwa z rąk dziecko i żywego rzuca do dołu. Matka i dwoje dzieci rzucają się do dołu, rozlegają się strzały. W tym czasie biegnie grupa kilkudziesięciu ludzi. Nieco dalej od nich leci mężczyzna z dzieckiem na rękę i żona i dwoje dzieci. Dobiegają dwa[j] policjanci i zabijają wszystkich.

Lipiec i sierpień, wrzesień, październik, listopad przywozili starych i młodych i ro[z]strzelali.

5 kwietnia 1943 r. do Ponar dostarczono transportem składający[em] się z 60 wagonów wypełnionych mężczyznami, kobietami i dziećmi. Wszyscy zostali ro[z]strzelani. Prowadzili ludzi po dwa, trzy tysiące. Rozlegały się strzały byli krzyki i jęki. Zaczynają od rana 6 godziny do 10 wieczora bez przerwy. Latem 1943 r. konwojenci doprowadzili pociąg ze skazańcami do stacji kolejowej [w] Ponarach, nagle wyskoczyli kilkuset ludzi, zaczęli uciekać. Szauliści policjanci zaczęli ro[z]strzelawać.

Co było w Ponarach, ile tam krwi wylano różnych ludzi: Polaków, Żydów, różnych uczonych, doktorów, księży, studentów ile uczonych i nieuczonych i starców i dzieci maleńkie i większe. Ile tam było krwi, że krew sączyła się do studni, z której ludzie brali wodę. Który człowiek pisze to jest prawda, bo na własne oczy widziano i słyszano. A teraz zapomniano.

Żydów błagają jakby nie było. Polaków też myśleli, że już wszystkich wykończyli. Jednych w Ponarach wykończyli, drugich na Sybir, trzecich do Polski<sup>c</sup> na niemieckie tereny wywieźli. Wymyśleli wakacyjne karty<sup>36</sup> i ludzi uciekały gdzie kto, wszystko swoje zostało się i mebli i kwatery a sami tam nie mieli gdzie żyć. Żyli i na strychu i w suterenie. A na Sybir kto wywoził. Stalin nie wiedział kto bogaty, kto biedny, pomagali te same szauliści, które jeszcze jest i tu w Wilni. I w Polsce<sup>d</sup> i w Ameryce i w Niemczech i wszędzie pouciekali. A teraz wszędzie kręcą bez wstydu.

I jeszcze piszą, że jednego dnia przywieźli do Ponar w Wilnie oficerów, 5 tysięcy czy nawet więcej. Skutymi rękami do tyłu koluczym drutem, byli bardzo zmęczone. Niemcy i szauliści puścili psów na tych, wojenny psy ich rwali, ludzi męczyli<sup>e</sup> się bo nie mieli czym obronić się, ręce związane. Psy rwali ich ciała. A oni tak śmieli się jak maszynowe karabiny. Jak nadojadło śmiać się odpędzili psów i zaczęli rozstrzelawać, to był straszny widok. I to jeszcze nie koniec.

<sup>c</sup> W oryginale: do Polskiej.

<sup>d</sup> W oryginale: do Polskiej.

<sup>e</sup> W oryginale: jencyli.

<sup>36</sup> Wydaje się, że chodzi o dokumenty repatriacyjne lub wyjazdowe.

My bardzo prosimy przeczytać gdzie na zebraniu, czy puścić do gazetki. Żeby ludzie wszystko znali. Jak brać się za swoich rodaków żeby nie szli jeden w jedną stronę, drugi w drugą. Jest takich Polaków, że Litwinom całują pięty. A oni nas nie pożąają, będzie tak jak w czterdziestym pierwszym roku. Niech oni tylko wejdą w korzeni. Jeżeli oni teraz nie liczą się wiedzą dobrze, że ludzie tu żyją wieki wieków z nikąd nie przyjechali. Męczą się przez tych pięćdziesiąt lat. Mówią Litwiny, że nie ma uczonych Polaków, a gdzie oni mogli uczyć się, gdzie ich dopuskali uczyć się. Za to szli do rosyjskiej szkoły i tam nic nie wychodziło, bo i tam Litwiny to dyrektor, tam też kręcili żeby nasze nie wyszli na jakich uczonych. Jedna znajoma dziewczyna miała złotni medal ze szkoły. Postąpiła w wyższa szkoła i czuti wytrzymała. Drugi raz opowiada i płacze. A teraz poczytajcie w gazecie, przyjmuje się w technikum na język rosyjskim, czy na litewskim. A gdzie polski, przecież Polacy też kończą średnie. A o nich nikt nie wspomina. To jak to można z takimi braćmi żyć. Trzeba jak można z całych sił, wszyscy w jedno, trzeba [w] drużynie, trzeba pokazać co my chcemy. Bo jak popatrzysz, jak nasze Polacy, gdzie koncerty bywają, to na trawce, to pod laskiem biedne śpiewają swoje piosenki. To płakać chce się. Żeby Bóg Najwyższy dał im zdrowie wszystkim i tym wszystkim Polakom co to wszystko robią. Tak i trzeba i do Moskwy<sup>f</sup>, i do Warszawy, i zagranicą, i ni w jaki sposób nie oddawać naszej ziemi, wileńskiego naszego kraju. Daj Boże wam zdrowie i sukcesów [w] każdym miejscu, w każdej sprawie”.

Źródło: AIPN Bi, 1/1168, k. 226–230, oryg., rkps.

---

<sup>f</sup> Wyraz poprzedzony słowem Moskwa zapisanym cyrylicą.



# OSTATNI OBROŃCY KRESÓW PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

**ARMIA KRAJOWA NA WILEŃSZCZYŹNIE, NOWOGRÓDCZYŹNIE,  
GRODZIŃSZCZYŹNIE I POLESIU W LATACH 1944–1945**

**Badania nad dziejami polskiej konspiracji na wschodnich terenach II RP – Ziemiach Utraconych – do końca lat osiemdziesiątych były skutecznie blokowane przez władze komunistyczne. W następnych latach stan ten ulegał szybkim zmianom, w rezultacie dzisiaj wiemy już dość dużo na temat kresowej Armii Krajowej, zwłaszcza w okresie okupacji niemieckiej, znacznie mniej po tzw. wyzwoleniu. Wiedza ta jednak kończy się na roku 1945. Polskie działania niepodległościowe na Ziemiach Utraconych, mające miejsce jeszcze na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, w okresie najczarniejszej stalinowskiej nocy, w zasadzie nie są znane.**

Polska działalność niepodległościowa na Kresach Północno-Wschodnich II RP, anektowanych przez Związek Sowiecki, nie zakończyła się w lipcu 1944 r., po rozbrojeniu oddziałów AK pod Wilnem. Komendy Okręgów Wilno i Nowogródek oraz dowództwo Inspektoratu Grodzieńskiego (należącego do Okręgu AK Białystok) funkcjonowały do lata 1945 r. Początkowym założeniem polskiego dowództwa było utrzymanie polskiej organizacji podziemnej do czasu zakończenia wojny i spodziewanej konferencji pokojowej, która – jak uważano – przesądziłaby o przynależności państwowej tego terytorium. Zalecano rozwiązanie oddziałów leśnych i unikanie starć z Sowiecami – co jednak okazało się zupełnie niemożliwe. Podejmowanie samoobrony było narzucone przez sytuację i okazywało się wręcz niezbędne, oczekiwane zarówno przez żołnierzy AK jak i niezorganizowaną ludność cywilną. Pomimo ustawicznego dążenia dowództwa do „rozładowania lasów”, w miejsce oddziałów rozformowywanych stale powstawały nowe. Po lipcu 1944 r. do lata 1945 r. na Wileńszczyźnie działało dwadzieścia oddziałów i grup partyzanckich (zarówno na terenie Litewskiej, jak i Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej). Na Grodzieńszczyźnie (w Obwodach Grodno Prawy i Lewy Niemen oraz Wołkowysk) walczyło wówczas sześć oddziałów (łącznie około dwustu żołnierzy). Na Nowogródczyźnie (Białoruska SRS) operowały 42 oddziały i grupy partyzanckie wywodzące się z Armii Krajowej (także trzy, których proveniencja jest trudna do określenia, złożone jednak głównie z Polaków)<sup>1</sup>. Prowadzone tu walki miały bardzo zacięty charakter, w ciągu roku – do jesieni 1945 r. – poległo blisko tysiąc polskich partyzantów<sup>2</sup>. Źródła sowieckie mówią nawet o „likwidacji” trzech tysięcy „polskich bandytów”, ale wliczana jest tu zapewne także ludność cywilna, zamordowana podczas działań

<sup>1</sup> *Polskie podziemie niepodległościowe na Ziemiach II RP włączonych do ZSRR 1944–1953*, oprac. K. Krajewski, T. Łabuszewski, [w:] *Atlas polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956*, red. R. Wnuk, S. Poleszak, A. Jaczyńska, M. Śladecka, Warszawa–Lublin 2007, s. 28–32, 38–40.

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 34–37, 42–45.

pacyfikacyjnych. Najczęstszą formą działań polskiego podziemia była samoobrona przed agenturą i najbardziej niebezpiecznymi funkcjonariuszami sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. Akcji zaczepnych lub odwetowych przeciwko Wojskom Wewnętrznym NKWD lub Armii Czerwonej – z uwagi na ogromną dysproporcję sił – było stosunkowo niewiele; większość najbardziej krwawych starć wynikała z aktywności strony sowieckiej<sup>3</sup>. Symbolicznego wymiaru nabiera śmierć twórcy operacji „Ostra Brama” – ppłk. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza” i jego 36 podkomendnych w boju z NKWD pod Surkontami (21 sierpnia 1945 r.). W walkach z sowieckimi siłami bezpieczeństwa polegli legendarni organizatorzy polskiego oporu z lat okupacji niemieckiej – ppor. Czesław Zajączkowski „Ragnar” (3 grudnia 1944 r.) i por. Jan Borysewicz „Krysia” (21 stycznia 1945 r.). Do najkrwawszych bitew należały walki oddziałów „Komara”, „Zemsty” i „Filara” w Puszczy Rudnickiej (ponad 30 zabitych) oraz „Orlicza” i „Tumrego” pod Rowinami k. Korelicz (89 zabitych) w styczniu 1945 r.

Straty kresowej konspiracji niepodległościowej, poniesione w tym czasie, tj. przez jeden rok, były kilkakrotnie większe, niż przez cztery lata okupacji niemieckiej. Aktywa organizacyjne na Wileńszczyźnie, Nowogródzczyźnie, Grodzieńszczyźnie i Polesiu, liczące w końcowym okresie okupacji niemieckiej blisko 40 tys. ludzi (w tym połowa walcząca w polu, z bronią w rękę), w wyniku represji NKWD gwałtownie zmniejszyły się (tylko po rozbrojeniu oddziałów polskich pod Wilnem w ręce NKWD wpadło blisko 7 tys. akowców). W 1945 r. do dyspozycji Komendy Wileńskiej pozostawało ok. 1,5 tys. ludzi oraz 3 tys. ukrywających się – w rezerwie; siły grodzieńskiej AK stopniały z blisko 6 tys. do 3800, w nowogródzkiej organizacji AK pracowało nadal kilka tysięcy uczestników praca na terenie Polesia uległa całkowitej dezorganizacji.

Gdy okazało się, że obecność sowiecka na dawnych polskich ziemiach wschodnich jest trwała i wynika z realizacji ustaleń jałtańskich zawartych z aliantami zachodnimi, zbrojne trwanie na Kresach straciło polityczną rację bytu. Komenda Wileńsko-Nowogródzka oraz dowództwo Inspektoratu Grodzieńskiego podjęły, zgodnie z zaleceniami centralnego powojennego ośrodka dowódczego w Polsce (Delegatury Sił Zbrojnych – DSZ), decyzję o ewakuacji aktywów AK za linię Curzona. W Okręgach Wilno i Nowogródek operacja ta trwała od kwietnia do listopada 1945 r. Ewakuacja aktywów organizacyjnych Inspektoratu Grodzieńskiego AK-AKO za jałtańską granicę rozpoczęła się później niż na Nowogródzczyźnie i zakończyła dopiero w początkach 1946 r. Zdołano doprowadzić wówczas do rozformowania, zwłaszcza na Wileńszczyźnie, większości oddziałów partyzanckich. Oddziały złożone z osób całkowicie „spalonych” przechodziły przez granicę z bronią w rękę, większość osób jednak lokowana była „na fałszywych papierach” w transportach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Ostatni członkowie Komendy Okręgu i większość Komend Obwodów obu okręgów wyjechali „do Polski” w lecie 1945 r.<sup>4</sup> Na Nowogródzczyźnie pozostało jednak stosunkowo wiele grup zbrojnych, które zdecydowane były kontynuować działalność.

<sup>3</sup> Zob. m.in. A. Chmielarz, *Likwidacja podziemia polskiego na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie (lipiec 1944 – lipiec 1945)*, [w:] *Z dziejów Armii Krajowej na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie (1941–1945)*. Studia, Warszawa 1997, s. 171–195.

<sup>4</sup> K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Ewakuacja oddziałów AK z Okręgów Nowogródek i Wilno oraz Inspektoratu Grodzieńskiego Okręgu Białostok przez „linię Curzona” na teren woj. białostockiego w latach 1944–1945*, „Wileński Przekaz” 1995, nr 5.

Ewakuacja pozostałości aktywów organizacyjnych i rozbięcie przez NKWD Komendy Wileńskiego Okręgu AK zakończyły w zasadzie działalność tej struktury niepodległościowej na Ziemiach Utraconych. Na Wileńszczyźnie nie powstały już nowe formy polskiej działalności konspiracyjnej porównywalne z tymi, które istniały na Nowogródzczyźnie i Grodzieńszczyźnie. Nie funkcjonowała tam też żadna większa struktura organizacyjna. W latach 1946–1951 trzymało się na Wileńszczyźnie jeszcze kilka (trzy?) polskich oddziałów partyzanckich. Ich działalność miała jednak zupełnie lokalny charakter, będąc odizolowaną od innych centrów polskiego oporu<sup>5</sup>.

Po lipcu 1945 r. Wileński Okręg AK, dowodzony przez ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego”, został reaktywowany jako jednostka eksterytorialna w obecnych granicach Polski (w latach 1947–1948 jako Ośrodek Mobilizacyjny Wileńskiego Okręgu AK). Jego działalność sprowadzała się głównie do prac wywiadowczych oraz utrzymywania organizacyjnej więzi środowiska żołnierzy wileńskiej AK<sup>6</sup>. Komendzie eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK podlegały także odtworzone przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę” oddziały partyzanckie 5. i 6. Brygady Wileńskiej<sup>7</sup>.

### **Polska działalność niepodległościowa na Nowogródzczyźnie w latach 1945–1953**

Najsilniejszym polskim ośrodkiem kontynuującym opór przeciwko okupantowi sowieckiemu, po wyjeździe w lecie 1945 r. za tzw. linię Curzona ostatnich członków Komendy Okręgu AK Nowogródek i zakończeniu planowej akcji „ewakuacyjnej”, było lokalne centrum dowódcze – Obwód nr 49/67 – powstałe z połączenia dwóch największych struktur terenowych Okręgu AK Nowogródek, tj. Obwodów Lida i Szczuczyn<sup>8</sup>. Komendantem Obwodu nr 49/67 był od czerwca 1945 r. ppor. Anatol Radziwonik „Olech”. Funkcję jego zastępcy pełnili: sierż. Paweł Klikiewicz „Irena” (do maja 1947 r.), następnie ppor. Wiktor Małeńczyk „Cygany” (maj 1947–maj 1949 r.). „Olech” to postać niezwykle interesująca i charakterystyczna dla kresowego ruchu niepodległościowego. Pochodził z polskiej rodziny prawosławnej spod Wołkowyska. Ukończył seminarium nauczycielskie i pracował w szkole w Iszczolnianach (pow. Szczuczyn). Jeszcze przed wojną ukończył podchorążówkę, następnie dostał awans na stopień podporucznika rezerwy piechoty. W Armii Krajowej dowodził jedną z placówek konspiracyjnych Obwodu Szczuczyn (krypt. „Łąka”). Zimą 1944 r. przeszedł do partyzantki, gdzie dowodził plutonem w 2. kompanii w VII batalionie 77. pp AK pod komendą legendarnego por. Jana Piwnika „Ponurego”. Uczestniczył w licznych operacjach bojowych przeciw niemieckim siłom okupacyjnym (rozbięcie posterunków w Możejkwie Wielkim i Możejkwie Małym, garnizonów w Jachnowiczach i Jewłaszach, kilka zasadzek na pododdziały żandarmerii i Wehrmachtu). Sierżant „Irena” był w okresie okupacji niemieckiej podoficerem do zadań specjalnych Obwodu „Łąka”, potem w dyspozycji Komendan-

<sup>5</sup> P. Rokicki, *Wileńskie brygady partyzanckie* (niepublikowany referat wygłoszony w Klubie „Grotta” w czerwcu 2006 r. podczas spotkania poświęconego problematyce polskiej partyzantki na Kresach Północno-Wschodnich); <http://www.ipn.gov.pl/palm.php?serwis=pl&dzial=82&id=3643&poz=3>.

<sup>6</sup> P. Niwiński, *op.cit.*

<sup>7</sup> K. Krajewski, T. Łabuszewski, „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. *Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)*, Warszawa 2002.

<sup>8</sup> K. Krajewski, *Działalność Obwodu AK Szczuczyn-Lida (nr 49/67) w latach 1945–1949*, [w:] *Europa nie prowincjonalna...*, s. 790–805.



Obozowisko oddziału „Olecha” 1947 r.  
Uroczysko Horiaczko Bór

ka krypt. „Wygon”, dowodzona przez ppor. Józefa Poczobutta „Wilka”). Całość sił Obwodu wynosiła kilkaset ludzi (według źródeł sowieckich – osiemset). Niektóre z placówek posiadały patrole samoobrony, okresowo mobilizowane do działań zbrojnych. Oprócz siatki terenowej obwód dysponował oddziałem, a właściwie zgrupowaniem partyzanckim. Tworzyły go, oprócz grupy stale przebywającej u boku komendanta „Olecha”, pododdziały dowodzone przez sierż. „Irenę”, ppor. „Cygana” i „Petera” (ten ostatni był Alzatzkiem, który został wcielony przez Niemców do formacji budowlanych w 1944 r., ale zbiegł „do lasu” i dołączył do oddziałów AK). Każda z wymienionych grup miała przydzielony odrębny rejon działania („Irena” – centralną część powiatu szczuczynskiego, „Cygan” – rejon Wasiliszek i Wawiórki, „Peter” – okolice Nowego Dworu i Zabłocia).

W szeregach konspiracji i partyzantki dowodzonej przez „Olecha” panował prawdziwie obywatelski duch, wywodzący się z tradycji Armii Krajowej. Służyli tu obok siebie przedwojenni obywatele Rzeczypospolitej bez względu na wyznawaną wiarę – najliczniejsi katolicy i mniej liczni prawosławni (prawosławnym był m.in. dowódca jednego z patroli – Leon Łapot „Magik”, stary partyzant z IV/77. pp AK jeszcze z czasów okupacji niemieckiej). W oddziałach „Olecha” walczyli także antykomuniści, którzy nie byli Polakami – pojedynczy ochotnicy narodowości ukraińskiej lub rosyjskiej. Jeden z nich, lejtnant Armii Sowieckiej o pseudonimie „Zielony” (Ukrainiec), wslawił się ogromną odwagą w walkach z NKWD. Także w pracy na rzecz organizacji siatki terenowej komendant „Olech” wykorzystywał Białorusinów i Rosjan. Pracowało dla niego sporo urzędników sowieckiej administracji terenowej, miał „wtyczki” ponoć nawet w grodzieńskiej milicji i prokuraturze. Ich usługi były szczególnie cenne w zakresie wywiadu i legalizacji. Motywacje tych ludzi zapewne były złożone, jest jasne jednak, że stając po stronie polskich niepodległościowców, opowiadali się za wolnością, a przeciw systemowi sowieckiemu, będącemu jej zaprzeczeniem. Choć lata okupacji niemieckiej na Kresach Północno-Wschodnich spotęgowały konflikty narodowościowe wśród zamieszkujących je społeczności, umiejętnie rozgrywane przez Sowieców, to jednak ostatni polscy niepodległościowcy okazali się zdolni do odrzucenia tego „balastu

ta Okręgu (kilkakrotnie wymieniany jest w rozkazach KO Nowogródek w punkcie – „pochwały”). Podporucznik „Cygan”, który pochodził spod Wasiliszek, został wywieziony „za pierwszego Sowietą” na Syberię. Nie zdążył do Andersa i wcielono go do armii Berlinga. Gdy przyjechał na urlop odwiedzić rodzinę, przyszło po niego NKWD. Nie zamierzał drugi raz „jechać” na Sybir, stawiał opór, zabijając kilku funkcjonariuszy. Pozostał mu już tylko „las”.

Obwód dzielił się na placówki nierównomiernie rozrzucone po terenie powiatów Lida i Szczuczyn. W kilku przypadkach w skład Obwodu weszły całe kompanie terenowe, pozostałe jeszcze po AK (np. kompania Wawiór-



Oddział „Olecha” podczas ćwiczeń

przeszłości”. Już sama wspomniana „otwarta formuła” w tworzeniu organizacji pokazuje, że nie byli, jak twierdziła propaganda bolszewicka, „zaślepienymi polskimi nacjonalistami”. Oddziały „Olecha” stykały się z antykomunistyczną partyzantką litewską, zachowując z nią poprawne stosunki. Polskie obozowisko w uroczysku Horiaczy Bór stało się nawet okresowym schronieniem dla jednego z tych oddziałów. Można dodać, że podobną postawę wykazywały oddziały Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej, podejmując okresową współpracę z podziemiem litewskim (ostatnie z oddziałów grodzieńskich stworzyły sobie nawet bazę za Niemnem – na terenach przedwojennego państwa litewskiego).

Tak wspomina codzienne bytowanie oddziału „Olecha” Witold Wróblewski „Dzięcioł”, jeden z nielicznych, ocalałych żołnierzy: „Mieliśmy takie jedno ulubione i względnie bezpieczne miejsce – polanę Horiaczy Bór. Było to trudno dostępne uroczysko, położone w głębi rozległych, nadniemeńskich borów. Tutaj właśnie udawało się utrzymać porządek dnia jak w prawdziwym garnizonie. Dzień rozpoczynała pobudka, wkrótce stawaliśmy w szeregach, z bronią w rękę do modlitwy porannej pod krzyżem na polanie. W dalszej kolejności zajmowaliśmy się czyszczeniem broni. Często po obiedzie odbywały się ćwiczenia taktyczne. [...] Przez cały czas pełniliśmy służbę wartowniczą. Żołnierze na posterunkach zmieniali się co dwie godziny. Komendant sprawdzał, czy partyzanci pełnią tę służbę z wystarczającą czujnością. Był też czas na odpoczynek. [...] Zawsze wymagano od nas odpowiedniej dyscypliny, zachowania spokoju i nadziei w najbardziej krytycznej sytuacji. Każdy dzień kończyła wspólna modlitwa wieczorna na polanie przed krzyżem”.

Organizacja zbudowana przez „Olecha” nie miała żadnego kontaktu z kierownictwem polskiego podziemia niepodległościowego za jałtańską granicą. „Olech” utrzymywał natomiast kontakty z poakowskimi ośrodkami konspiracyjnymi w powiatach grodzieńskim

i wołkowyskim, a także z kilkoma luźnymi polskimi oddziałami partyzanckimi, głównie z powiatu Lida, nawiązującymi do tradycji AK (Jan Bukatko, Michał Durys).

Można powiedzieć, że działalność organizacji „Olecha” miała dwa wymiary. W perspektywie spodziewanego konfliktu „wolnego świata” z blokiem sowieckim – polska zbrojna obecność na Ziemiach Utraconych wydawała się mieć zasadnicze znaczenie. Sam „Olech” podkreślał w rozmowach z podkomendnymi, że są wojskiem polskim w konspiracji i w momencie przełomowym będą przywracać tu Polskę. Z drugiej strony, partyzantka prowadzona przez „Olecha” miała zadania i cele doraźne. Była samoobroną miejscowego społeczeństwa przed terrorem NKWD, nadużyciami i bezprawiem przedstawicieli władz sowieckich. Szczególnie surowo zwalczano pracowników administracji, okrutnie odnoszących się do ludności. Konsekwentnie zwalczano agenturę NKWD, której działalność stwarzała podstawę sowieckim siłom bezpieczeństwa do działań represyjnych wobec ludności cywilnej. Zdobywano też środki materialne potrzebne do finansowania pracy organizacji (m.in. „akcje” na agencje bankowe w Nowym Dworze i Wasiliszkach). „Dziękuję” tak charakteryzuje działania prowadzone przez oddział: „[...] organizowaliśmy zamachy na różnych [sowieckich] naganiaczy, agitatorów, funkcjonariuszy partyjnych, którzy zapędzali ludzi do kółchozów. Niszczyliśmy pierwsze urzędy kółchozowe. Broniliśmy ludzi przed grabieżą ich ojcowizny, przed sowieckim niewolnictwem”. Józef Berdowski „Ziuk” dodaje: „Chciałem powiedzieć, że niestety czasami akcje nasze były bardzo surowe. Trzeba [było] mocno ukarać, czasem dla przykładu, i dla zastraszenia. Ale innej rady nie było. Albo walka, albo nic. Byliśmy w warunkach bardzo trudnych, było nas niewiele. Terror ze strony władz sowieckich był szalony. [...] Dzięki naszej samoobronie to się jakoś łagodziło”.

„Olech” starał się także podtrzymać na duchu mieszkańców powiatów szczuczyńskiego i lidzkiego. W bazie oddziału znajdował się odbiornik radiowy z anteną umocowaną na sośnie. Dzięki niemu partyzanci mieli dostęp do informacji przekazywanych przez polskojęzyczne rozgłośnie funkcjonujące w „wolnym świecie”. Upowszechniano je wśród członków organizacji i ludności za pośrednictwem gazetki o nazwie „Świtez”. Ponadto sporządzano okolicznościowe ulotki i proklamacje, pozostawiane w terenie m.in. po wykonanych akcjach (starano się informować, dlaczego w stosunku do szczególnie szkodliwych, nieludzkich pracowników sowieckiego aparatu okupacyjnego podejmowane są akcje odwetowe, z reguły czyniono tak po zlikwidowaniu jakiegoś bolszewickiego „asa”).

Pomimo skrajnie trudnych warunków („Olech” i jego żołnierze mieli przeciw sobie ogromny aparat NKWD) organizacja polska w Szczuczyńskim i Lidzkim przez pierwsze cztery lata po wojnie, dzięki poparciu ludności, trzymała się całkiem nieźle. Historyk z Białorusi, Andrzej Poczobut, ocenia, że: „[...] jeszcze w 1948 r. na terenie rejonów lidzkiego i szczuczyńskiego (oblasti grodzieńskiej) faktycznie panowała dwuwładza. W dzień rządząli komuniści, w nocy – partyzanci”.

Organizacja „Olecha” mogła latami trwać w terenie i działać, gdyż cieszyła się autentycznym poparciem miejscowej ludności, która w polskich partyzantach widziała obrońców przed sowieckim systemem administracyjno-policyjnym. Witold Wróblewski wspominał m.in.: „[...] w okolicach Grodna, Szczuczyna, Nowego Dworu, Lidy czy Nowogródka nadal mieszkało wielu Polaków. Wciąż napotykało się tam w większości polskie miasteczka, wioski, zaścianki, przysiółki. Prócz katolików Polaków – żyli w nich prawosławni, uważający siebie za Białorusinów, Polaków lub »tutejszych«. Kiedy wstępowaliśmy do jakiejś chaty, nie pytaliśmy, czy gospodarz jest Polakiem, Białorusinem, czy »tutejszym«; czy rodzina jest

katolicka, czy prawosławna. Było to dla nas obojętne. Wszyscy mieszkańcy byli gościnni i przyjmowali na – jak to się mówi – czym chata bogata. System sowiecki był tak absurdalny i zbrodniczy, że nikt z nas nie wierzył w jego trwałość. Byliśmy przekonani, że prędej czy później runie cały porządek komunistyczny w Europie, a ziemie kresowe powrócą do wolnej i niepodległej Polski. Co więcej, wierzyła w to znaczna część ludności – katolickiej i prawosławnej. Ciężkie przeżycia wojenne oraz nowe przejawy sowieckiej przemocy jeszcze bardziej utrwalały tę nadzieję”.

W 1948 r. oddziały podlegające ppor. „Olechowi” podjęły zakrojoną na szeroką skalę operację przeciw kolektywizacji kresowej wsi, realizowanej przez administrację sowiecką. Zaatakowano i zniszczono kilkanaście organizujących się kołchozów. Likwidowano przy tym najbardziej szkodliwych aktywistów sowieckich i rozbijano posterunki wojsk NKWD lub *istriebków* (nieregularnej formacji milicyjnej podlegającej NKWD). Był to jednak już ostatni sukces oddziału.

Zimą 1949 r. operacje wojsk NKWD, poprzedzone rozpracowaniem agenturalnym, rozbiły dwa pododdziały podlegające „Olechowi” (polegli ich dowódcy – „Peter” i „Cygan” oraz wielu żołnierzy). Pod koniec kwietnia 1949 r. oddział dowodzony przez „Olecha” przebił się w okolicach Stankiewicz przez obławę silnej grupy operacyjnej NKWD. Trzy tygodnie później, 12 maja 1949 r., został jednak ponownie zlokalizowany przez agenturę. Tym razem operację przeprowadzono bardzo starannie. Do operacji, którą kierował szef MGB obwodu grodzieńskiego Frołow, rzucono ponoć jednostki w sile pułku. Miejsce postoju partyzantów otoczyły cztery tyraliery *czekistów*. Przez trzy pierwsze partyzanci zdołali się przebić, jednak ich manewr został zlokalizowany i powstrzymany zmasowanym ogniem broni maszynowej. Prawie wszyscy zginęli wraz ze swym komendantem. W ręce Sowietów wpadli ranni – adiutant „Olecha” Zygmunt Olechnowicz „Zygma” (partyzant z batalionu „Ragnara” z lat okupacji niemieckiej), Witold Wróblewski „Dzięcioł” i jego siostra Genowefa, łączniczka oddziału. Po ciężkim śledztwie zostali skazani na 25 lat obozu koncentracyjnego (Witold Wróblewski po wyjściu z obozu zamieszkał we Lwowie – dzięki jego relacji wiele szczegółów działalności „Olecha” uratowanych zostało od zapomnienia; Zygmunta Olechnowicza nie chcieli Sowietci wypuścić na wolność – po upływie wyroku zamiast zwolnić go, wsadzili do tzw. psychuszki, gdzie przebywał do końca życia).

W okresie zimy i wiosny 1949 r. została rozbita również organizacja terenowa „Olecha”. W niektórych wsiach aresztowano po kilkadziesiąt osób jednocześnie, ofiarą represji padły wówczas setki mieszkańców kresowych osad, wspierających polskie zbrojne trwanie na Nowogródczyźnie. Choć śmierć Anatola Radziwonika „Olecha” położyła kres zorganizowanemu polskiemu oporowi przeciw Sowietom na terenie dzisiejszej Białorusi, to jednak ostatnie grupy partyzanckie, wywodzące się ze struktur kierowanych przez niego, przetrwały do początku lat pięćdziesiątych.

Niezależnie od ośrodka konspiracyjnego kierowanego przez „Olecha”, na ziemi nowogródzkiej działały także zdecentralizowane, lokalne pozostałości placówek konspiracyjnych AK i partyzanckie oddziały samoobrony niezwiązane z żadnym centrum dowódczym. Do najaktywniejszych spośród nich należały wspomniane już oddziały Jana Bukatki i Michała Durysa (pow. Lida), Bronisława Jurgieła (Iwie–Wołożyn–Juraciszki), Czesława Rymaszewskiego „Nagana” (pow. Baranowicze). Były one stopniowo likwidowane przez sowieckie siły bezpieczeństwa. Niektóre ich wystąpienia miały wręcz spektakularny charakter (np. w 1948 r. Jurgielewcy opanowali rejonowe miasteczko Juraciszki, dokonując rekwizycji i likwidując funkcjonariuszy bezpieczeństwa i ich współpracowników). Jeszcze w latach 1949–1953 na



Oddział Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej Mieczysława Niedzińskiego „Rena”, „Niemna”, „Mena”

Nowogródzczyźnie występowało co najmniej siedem polskich grupek zbrojnych<sup>9</sup>. Ostatnie zbrojne wystąpienia polskie skierowane przeciwko władzom sowieckim miały tu miejsce w drugiej połowie 1953 r.

### **Samoobrona Ziemi Grodzieńskiej (1945–1948)**

Ewakuacja dowództwa i znacznej części aktywów organizacyjnych grodzieńskiej organizacji AK za linię Curzona nie zakończyła jednak historii polskiego oporu na tym terenie. Pozostałości struktur AK-AKO na Grodzieńszczyźnie funkcjonowały jako Obwód nr 10, nadal występujący pod nazwą Armii Krajowej. Ta nowa struktura poakowska powstała w lecie 1945 r. na bazie aktywów konspiracyjnych Obwodu Grodno Prawy Niemen AK-AKO (w tym głównie Rejonu II, obejmującego placówki: Druskienniki, Marcinkańce; Rejonu III – Berszty, Jezioro, Porzecze; części Rejonu V – placówki Grandzicze i Wiercieliszki oraz Rejonu VI – Wiejsieje – zlokalizowany na Litwie). Pomimo wykazywania w strukturze Okręgu Białystok Zrzeszenia WiN – Obwodu Grodno, Obwód nr 10 nie miał łączności ze swoją byłą macierzystą organizacją. Posiadał on strukturę terenową podzieloną na plutony oraz stałe oddziały partyzanckie (łącznie liczebność organizacji wynosiła ponad pięciuset członków). Jej dowódcą pozostawał cały czas por. Mieczysław Niedziński „Men”, „Ren”, „Niemna”, „Morski” (nominalnie pełniący funkcję pierwszego zastępcy prezesa Obwodu Grodno WiN). Opowiedział się on zdecydowanie przeciwko ewakuacji członków konspiracji za tzw. linię Curzona i „wygaszaniu” polskiej akcji niepodległościowej na Ziemiach Utraconych. W chwili podejmowania decyzji o pozostaniu na „straconym posterunku” miał za sobą długi staż konspiracyjny i bojowy. W okresie okupacji niemieckiej organizował konspirację ZWZ-AK w rejonie Druskiennik, a w 1943 r. sformował pierwszy oddział partyzancki w Obwodzie AK Grodno, z którym jesienią tego roku przeszedł na teren Okręgu AK Nowogródek (z rąk Niemców zginęła wówczas, w wyniku represji, większość jego rodziny).

<sup>9</sup> K. Krajewski, *Partyzantka poakowska na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1946–1953*, [w:] *Ostatni leśni...*, s. 117–118.



Na Nowogródzczyźnie służył ze swoimi podkomendnymi kolejno w III, I i VII batalionie 77. pp AK, uczestnicząc w wielu walkach i operacjach bojowych przeciw niemieckim siłom okupacyjnym. Uniknął rozbrojenia i niewoli sowieckiej pod Wilnem i jesienią 1944 r. powrócił z grupą swych ludzi w rodzinne strony – w okolice Druskiennik<sup>10</sup>. Jego bezpośredni współpracownicy stanowili jednocześnie ścisły sztab przyszłej organizacji. Byli to: Józef Mikłaszewicz „Fala” (przeszedł cały szlak partyzancki z „Menem”) – dowódca jednego z pododdziałów, pełniący faktycznie funkcję zastępcy por. „Mena”, Stanisław Zautra „Jurand” – szef wywiadu, Albin Żukowski „Znany” – adiutant komendanta obwodu, Franciszek Talewicz „Komar” – szef wyszkolenia.

Podstawową siłą obwodu, zdolną do reagowania na działania strony sowieckiej, były oddziały partyzanckie, dowodzone bezpośrednio przez por. „Mena”. Latem 1946 r. główny oddział Obwodu nr 10, bazujący w Puszczy Grodzieńskiej, liczył ponad siedemdziesięciu żołnierzy działających w zwartej grupie. Ponadto nad Niemnem, wzdłuż starej granicy polsko-litewskiej, operował oddział Bronisława Maciukiewicza „Bąka”,

„Bawarskiego” (przeciętnie niespełna kilkunastu żołnierzy). Jesienią 1946 r., wobec strat ponoszonych w walkach z Sowietami, oddział główny podzielony został na trzy mniejsze jednostki, dowodzone przez Józefa Mikłaszewicza „Falę”, Franciszka Talewicza „Komara” i Franciszka Markisza „Niedźwiedzia”<sup>11</sup>. Wszystkie pododdziały podległe „Menowi” zdołały przetrwać zimę 1946/1947 i z wiosną wznowiły działania samoobronne. Kolejna zima spędzana w leśnych ziemiankach ukrytych w Puszczy Grodzieńskiej okazała się jednak dla partyzanckiego zgrupowania tragiczna. Pododdziały „Komara” i „Niedźwiedzia” zostały zlokalizowane w lutym 1948 r. i zniszczone podczas operacji prowadzonych przez WW NKWD. Z rozbitków grupy „Niedźwiedzia” utworzono nowy pododdział, dowodzony przez Józefa Stasiewicza „Samotnego”. Do oddziału „Bąka” dołączył patrol dowodzony przez Stanisława Burbę „Skoczka”.



Sztandar bojowy jednego z oddziałów Samoobrony Grodzieńskiej

<sup>10</sup> K. Krajewski, T. Łabuszewski, „Niemen” *znad Niemna*, „Polska Zbrojna” z 24–26 IX 1993.

<sup>11</sup> T. Łabuszewski, *Poakowskie oddziały partyzanckie w byłym Inspektoracie Grodzieńskim AK-AKO-WiN 1945–1950*, [w:] *Europa nie prowincjonalna...*, s. 806–824.

Obwód prowadził bardzo intensywną działalność bojową z zakresu samoobrony przed sowieckim aparatem terroru. Można ocenić, że patrole „Mena”–„Niemna” zlikwidowały ponad 120 funkcjonariuszy NKWD i sowieckiej administracji szczególnie szkodliwych dla społeczności polskiej, w tym kilku lokalnych dygnitarzy (m.in. dwóch szefów Rejonowych Oddziałów NKWD) oraz agentów i informatorów NKWD. Tylko w kwietniu i maju (do 4 maja) 1948 r. pododdział Józefa Mikłaszewicza „Fali” w ramach akcji odwetowej za wydanie patroli „Komara” i „Niedźwiedzia” zastrzelił szesnastu sowieckich współpracowników.

Koniec działalności Obwodu nr 10 przyniosło rozbitcie oddziału „Fali”, zlokalizowanego przez NKWD pod Grodnem, w kolonii miejscowości Łopienki. Wśród dziewięciu poległych partyzantów znajdował się również por. „Men”–„Niemen” oraz Józef Mikłaszewicz „Fala”. Masowe aresztowania uczestników siatki terenowej oraz ludności wspierającej polską konspirację dopełniły klęski.

Co najmniej trzy grupy partyzanckie wywodzące się z Obwodu nr 10 przetrwały jednak aż do początku lat pięćdziesiątych. Ciężar działań organizacyjnych przeniesiony został wówczas na tereny litewskie – za Niemen. Ostatnia z nich, dowodzona przez Stanisława Burbę „Skoczka”, została zlikwidowana dopiero w 1953 r.

### **Samoobrona Ziemi Wołkowyskiej (1945–1948)**

Wyciszenie polskiego oporu miało charakter czasowy także w powiecie wołkowyskim. Choć jesienią 1945 r. opuściły go setki akowców i sporo ludności cywilnej, nadal pozostały tu dziesiątki tysięcy Polaków. Dość szybko przedstawiciele społeczności polskiej na ziemi wołkowyskiej wypracowali kolejną formę organizacyjną dla swych dążeń niepodległościowych. W czerwcu 1946 r. utworzona została przez byłych żołnierzy AK-AKO z Obwodu Wołkowysk lokalna polska struktura konspiracyjna, określana jako Samoobrona Wołkowyska lub Samoobrona Ziemi Wołkowyskiej. Powstała z inicjatywy byłego kapelana stacjonującego przed wojną w Wołkowysku 3. pułku strzelców konnych, ks. mjr. Antoniego Bańkowskiego „Eliasz”. W polskiej konspiracji niepodległościowej działał on od początku wojny (autorzy niniejszego szkicu spotykali jeszcze ludzi, których zaprzysięgał w ZWZ-AK). Najbliższymi współpracownikami księdza „Eliasz” byli starzy akowcy – Bronisław Chwieduk „Cietrzew” i Antoni Szot „Buzza”. Początkowo Samoobrona Wołkowyska obejmowała swoim zasięgiem obszar gminy Krzemienica, w której „Eliasz” był proboszczem. Stopniowo rozbudowano ją także na gminy sąsiednie: Piaski, Roś, Zelwa, Mosty, Biskupice i częściowo Izabelin<sup>12</sup>. Organizacja, po-



Bronisław Chwieduk „Cietrzew”, dowódca Samoobrony Ziemi Wołkowyskiej

<sup>12</sup> *Ibidem*.

sługująca się nadal nazwą AK, dysponowała zorganizowaną siatką terenową, podzieloną na kilka plutonów konspiracyjnych, zwanych też „ośrodkami” (ponad dwustu członków i osób współpracujących). Stworzyła także wydzielony pion łączności oraz wywiadu, którymi kierowali Marian Zając „Bahniewicz” oraz podoficer Armii Czerwonej, antykomunista Nikolaј Iwanow – będący nominalnie dowódcą *istriebków* w Zelwie.

Samoobrona Wołkowyska była strukturą o charakterze lokalnym – odizolowaną od innych polskich ośrodków niepodległościowych (miała jedynie luźny kontakt ze szczuczyńsko-lidzką organizacją por. „Olecha”). Dzięki sprawnej organizacji i przestrzeganiu zasad konspiracyjnych udało się jej przetrwać blisko dwa lata, czyli do drugiej połowy 1948 r. Dysponowała jednym stałym oddziałem partyzanckim, sformowanym w drugiej połowie 1946 r., oznaczonym kryptonimem „Reduta-2”, „Żądło”. Jego kolejnymi dowódcami byli: Antoni Szot „Burza”, Józef Karnacewicz „Kwiat”, Michał Cisłowski „Gołąb” i Bronisław Chwieduk „Cietrzew”. Liczył on przeciętnie około dwudziestu żołnierzy, przebywających stale w polu, z bronią w ręku. Zimą 1946/1947 r. oddział został podzielony na kilkuosobowe patrole, którym łatwiej było przetrwać ten trudny okres. Wiosną 1947 r. „Reduta-2” została zreorganizowana. Z jej kadr utworzono nową grupę liczącą kilkunastu żołnierzy (oznaczoną kryptonimem „Żądło”), którą dowodził Józef Karnacewicz „Kwiat”. Wkrótce potem powstał kolejny oddział dowodzony przez Michała Cisłowskiego „Gołębia” (w 1948 r. liczył ponad dwudziestu partyzantów). Oddziały partyzantki wołkowyskiej były mniej aktywne niż jednostki bojowe Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej. Unikały starć z NKWD i milicją, prowadząc najbardziej niezbędną samoobronę, polegającą na likwidowaniu agentury przeciwnika. W czerwcu 1948 r. oddział „Gołębia” został częściowo rozbitý w walkach z grupami operacyjnymi NKWD. W polu utrzymała się jedynie grupa dowodzona przez Bronisława Chwieduka „Cietrzewia”. Jednak i ona została rozbita w walce 13 września 1948 r. we wsi Stanielewicze (ranny „Cietrzew” wpadł w ręce NKWD – został skazany na 25 lat obozu koncentracyjnego, z którego zwolniono go dopiero w 1972 r.!). Grupa „Żądło” została rozbita jeszcze wcześniej – w maju 1947 r. – w wyniku „wsyp” i aresztowań.

Pomimo ponoszonych strat konspiracja wołkowyska kontynuowała swoją działalność w coraz jednak bardziej ograniczonym zakresie aż do początku lat pięćdziesiątych. Wtedy to został rozbitý ostatni jej oddział dowodzony przez Alfonsa Kopacza „Wróbla”, „Alfonka”.

### **Polesie – Związek Obrońców Wolności (1944–1949)**

Na Polesiu polska konspiracja wojskowa, nawiązująca do form pracy AK, po wejściu wojsk sowieckich w lipcu 1944 r. – nie odrodziła się. Głównym powodem były straty spowodowane wpiery aresztowaniami niemieckimi, a po „wyzwoleniu” – sowieckimi, a także odejściem większości kadry z oddziałami 30. DP za Bug. Nie oznacza to jednak, że społeczeństwo polskie zrezygnowało z oporu wobec niechcianej, obcej i wrogiej władzy.

Już w 1945 r. powstała na Polesiu (w Brześciu) organizacja konspiracyjna pod nazwą Związek Obrońców Wolności (ZOW). Ze względu na przyjęte formy pracy można ją porównywać z jednej strony do Zrzeszenia WiN, zaś ze względu na środowiska, które objęła swą działalnością – do tak licznych za jałtańską granicą konspiracyjnych organizacji młodzieżowych. Konspiracja ZOW w zasadzie nie stawiała sobie celów wojskowych. Jej głównym zadaniem było podtrzymywanie postaw patriotycznych i dążenie do zachowania świadomości narodowej Polaków na dawnych ziemiach północno-wschodnich II RP (na terenie BSRS). Cele te realizowano poprzez prowadzenie tajnego nauczania języka polskiego, historii Polski i religii katolickiej; ratowanie przed zniszczeniem i dewastacją pomników historycznych;

organizowanie pomocy osobom represjonowanym oraz znajdującym się w ciężkiej sytuacji materialnej. Organizacja odwoływała się do wzorów harcerskich i stosowała harcerskie formy pracy. Członkami ZOW, obok młodzieży z poleskich miast i wiosek zamieszkałych przez ludność polską, byli również nieliczni Białorusini. Założycielem i dowódcą ZOW był akowiec Zygmunt Stachowicz „Żmudzin”, zaś jego zastępcami Ryszard Snarski „Soroka” i Leonard Konikiewicz „Topola”. Opiekunem duchowym środowiska został jezuita ks. Waław Jaziewicz „Żuraw” (w działalność ZOW miało być, według opisu Konikiewicza, zaangażowanych siedmiu księży). ZOW w Brześciu liczył ponad czterdziestu członków. Komórki organizacji działały też w Kobryniu (około czterdziestu osób pod dowództwem Jana Komorowskiego) i w Baranowiczach (dwanaście osób). Mniejsze komórki ZOW zbudował w Peliszczach, Załużu, Horodcu, Nieświeżu i Niedźwiedzicy. Podjęto też próbę budowania ZOW we Lwowie. Organizacja została zlikwidowana przez NKWD w 1948 r., a jej członkowie otrzymali wyroki po 25 lat łagrów<sup>13</sup>. Symbolem losów młodzieżowych poleskich konspiratorów są Jeremi Odyński i Jan Preuzner, zastrzeleni przed bramą obozu 27 sierpnia 1953 r. po nieudanej próbie ucieczki z kopalni Workuty nr 40<sup>14</sup>. Jedyną pamiątką po tych dzielnych ludziach jest dziś tablica pamiątkowa poświęcona Odyńskiemu, umieszczona w krużganku kościoła św. Antoniego przy ul. Senatorskiej w Warszawie. Jeremi Odyński był dobrze zapowiadającym się poetą. Szczególną wymowę ma jego ostatni wiersz *Ostatni list*, napisany w przeddzień ucieczki, o której wiedział, że nie może się udać. Wydaje się, że oddaje coś z ducha „pokojoywej” konspiracji poleskiej. Odyński napisał m.in.: „Odchodzę na Zachód... / Zabieram wspomnienia / A wieści o was / przekażę najbliższym / A jeśli nie dojdę / zakopcie głęboko / Wszak mrozy tu wielkie / i wilki i lisy / A może jednak / Nie kopcie głęboko / A może jednak / Trochę bliżej nieba / Bo wierzę, że kiedyś / Jakaś wielka wiosna / Roztopi lody / Pieczory, Workuty [...] Uwierzcie Rosjanie / Na tej naszej ziemi / Nie może być wszystko / W kolorze czerwonym / Na tej pięknej ziemi / Są też inne barwy / A życie nie może / Przemijać w niewoli”.

<sup>13</sup> L. Konikiewicz, *Szlakiem nieposłusznych. Dzieje Związku Obrońców Wolności i ich rodzin na Kresach Wschodnich, w archipelagu GULag i w Stanach Zjednoczonych 1945–1997*, Warszawa 1998, s. 8–53; W. Wybranowski, *Nie oszczędzali nikogo*, „Nasz Dziennik”, nr 121 z 26 V 2003; A. Gręgdzik *Polacy na Białorusi w polityce władz sowieckich po II wojnie światowej*, „Nasz Czas” z 30 XI 2006.

<sup>14</sup> W. Dusiewicz, *Harcercze z Workuty*, [w:] *Sowieckiemu zniewoleniu Nie. Harcerska druga konspiracja 1944–1956*, praca zbiorowa, Warszawa 2005, s. 227–230.

# W OBRONIE POZOSTAŁYCH NA WSCHODZIE

**W PRL przykładano dwie zupełnie różne miary do tych Polaków, którzy przebywali na Zachodzie, i do tych, którzy pozostali na terenach wcielonych do ZSRR. Ci pierwsi bywali czasem przez władze oceniani bardzo krytycznie, jednak nie ulega wątpliwości, że zawsze ich dostrzegano. W latach siedemdziesiątych, wraz z otwarciem się PRL na Zachód, musiała też nastąpić zmiana w traktowaniu pozostałych tam Polaków. O ile jednak pamiętano o Zachodzie, to systematycznie przemilczano Wschód.**

„Sytuacja Polaków w ZSRR, a nawet ich liczba i rozmieszczenie należały w PRL do tematów tabu. Nie było na ten temat książek, nie publikowano artykułów, nie dopuszczano do kontaktów z Polakami, którzy zostali odcięci granicą, o której propagandyści chętnie mówili »granica przyjaźni«<sup>1</sup>. Nie dziwi więc fakt, że problem ten został w pewnym momencie podjęty przez grupę opozycyjnych intelektualistów. Pod koniec 1974 r., w nawiązaniu do rozmowy Słonimskiego z KO „Tatra”, ppłk SB J. Jakubik notował: „A.[ntoni] Słonimski mówił, że grupa poważnych literatów (Słonimski, Herbert i 13 innych) doszła do wniosku, że na terenie Związku Radzieckiego przebywa 1,5 miliona Polaków. Sytuację tych ludzi uznali za trudną, gdyż pozbawieni są ojczystej mowy, książek i czasopism w języku polskim. Żadne książki i czasopisma do nich nie docierają, a wysyłane po prostu giną. Niedopuszczanie przez władze radzieckie książek i pism w języku polskim oznacza rusyfikację tych rodzin i zaginięcie języka polskiego dla przyszłych pokoleń”<sup>2</sup>.

W listopadzie 1974 r. literaci ci wystosowali adresowaną do członka Biura Politycznego KC PZPR tow. Józefa Tejchmy<sup>3</sup> petycję, w której napisali:

„W okresie odprężenia międzynarodowego we wszystkich państwach grupy etniczne i mniejszości narodowe manifestują swoje niezaprzeczalne, zagwarantowane Kartą Narodów Zjednoczonych – prawo do własnej tradycji, kultury, języka i religii.

Również wielomilionowa Polonia zagraniczna wzmacnia więź z Ojczyzną, co spotyka się z poparciem ze strony władz i społeczeństwa polskiego.

Jest rzeczą godną ubolewania, że w zbyt małym stopniu dotyczy to tak poważnej i zasługującej na pamięć grupy jaką jest Polonia radziecka. Apelujemy przeto do Rządu PRL o uzyskanie dla Polaków w ZSRR praw, z jakich korzystają nasi rodacy zamieszkali w innych

<sup>1</sup> A. Friszke, *Przystosowanie i opór. Studia z dziejów opozycji PRL*, Warszawa 2007, s. 226.

<sup>2</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Informacja operacyjna ppłk. J. Jakubika na temat rozmowy Słonimskiego z KO „Tatra”, s. 63.

<sup>3</sup> Józef Tejchma (ur. 1927), publicysta, krytyk literacki, polityk PZPR. W latach 1968–1980 członek Biura Politycznego KC PZPR, od 29 marca 1972 r. do 8 lutego 1979 r. wicepremier w rządzie Piotra Jaroszewicza; od 16 lutego 1974 r. do 26 stycznia 1978 r. i od 8 października 1980 r. do 9 października 1982 r. – minister kultury i sztuki; od 8 lutego 1979 r. do 2 kwietnia 1980 r. – minister oświaty i wychowania.

krajach. Jest sprawą pilną i naszym zdaniem konieczną rozszerzenie kontaktów między krajem a Polonią radziecką, ułatwienie wyjazdów zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych, bardziej niż dotychczas swobodne uczestniczenie w zjazdach, zlotach, festiwalach i kolumniach dla dzieci. Pragniemy, aby nasi rodacy ze Związku Radzieckiego mieli możliwość nieskrępowanego wypowiedziania się na temat swoich potrzeb, zwłaszcza w dziedzinie kultury, oświaty i religii. Niech zostanie im udzielona we wszystkich tych dziedzinach niezbędna i zorganizowana opieka<sup>4</sup>.

List dotyczący Polaków w Związku Sowieckim stanowił wyraźny głos wzywający do przyznania tej społeczności praw przynależnych Polonii na Zachodzie. W dokumentach Służby Bezpieczeństwa podkreślano, że „Inspiratorami opracowania petycji byli A.[ntoni] Słonimski i jego prywatny sekretarz A.[dam] Michnik – b. »Komandos«. Projekt petycji był omawiany i poprawiany przy udziale Z.[bigniewa] Herberta, K.[azimierza] Brandysa, W.[iktora] Woroszyńskiego, Z.[ygmunta] Mycielskiego, który został upoważniony przez inicjatorów do zbierania podpisów pod petycją wśród zaufanych osób ze środowisk twórczych<sup>5</sup>. Wśród sygnujących ostatecznie tę petycję znaleźli się: ekonomista Edward Lipiński, astronom Włodzimierz Zonn, kompozytor i krytyk muzyczny Zygmunt Mycielski, ksiądz Jan Zieja, aktorka Zofia Małynicz oraz literaci Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert, Andrzej Kijowski, Tadeusz Konwicki, Jan Nepomucen Miller, Marek Nowakowski, Antoni Słonimski, Andrzej Szczypiorski i Wiktor Woroszyński.

Oceniając ten dokument, Stefan Kisielewski – z właściwą sobie ironią – wskazywał, że „List dobry, bo nie Słonimski go napisał, bardzo na czasie, bo odbywa się przecież owa konferencja »porozumienia i współpracy w Genewie«, warto się »światu« przypomnieć<sup>6</sup>. Zupełnie inaczej zdaniem SB miała wyglądać opinia Jastruna, który „list» w sprawie Polaków w Związku Radz.[ieckim] uważa za »idiotyczny«, pozbawiony sensu jak i wartości praktycznych<sup>7</sup>. Sami podpisani swój udział w tej inicjatywie motywowali w rozmaity sposób. Kijowski, wspominając fakt zwrócenia się do niego o podpis, zanotował m.in.: „Znowu te przymilne uśmiechy, co w 1968 r., i nie wiesz, czy puszyć się, czy wstydić. Podpisałem ze strachu przed Antonim, nie podpisałbym ze strachu przed policją. Nie mam w ogóle poczucia wolności w tej sprawie<sup>8</sup>”.

Choć mózgiem całej operacji był Słonimski, to praktycznie podpisy pod petycją zbierał Adam Michnik, który 29 listopada 1974 r. został zatrzymany po opuszczeniu mieszkania Zofii Małynicz<sup>9</sup>. Mówiąc szerzej o okolicznościach tego wydarzenia, Teresa Bogucka wskazywała, że zbieranie podpisów pod listem nie było w zamierzeniu twórców dokumentu akcją masową. „Organizatorzy podpisów – stwierdziła – obawiali się przechwycenia listu przez władze i zamierzali go już oddać, gdy okazało się, że mieszkająca na Żoliborzu p. Małynicz skłonna jest złożyć podpis. W związku z tym A. Michnik zabrał listę od p. Słonimskiego i pojechał po podpis. Kiedy wychodził z podpisem, został zatrzymany, podobno

<sup>4</sup> IPN BU 0204/1203, t. 3, Petycja, k. 23; powołujące się na dokument media zachodnie prawdopodobnie знаły go tylko z ustnych przekazów – por. *Petycja Piętnastu*, „Na Antenie”, 1974 nr 140.

<sup>5</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Informacja dotycząca przygotowywania przez opozycyjną grupę literatów petycji do władz, 27 XI 1974 r., k. 3.

<sup>6</sup> S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 823.

<sup>7</sup> AIPN 0204/1203, t. 4, Informacja operacyjna źródła „Piotr”, 11 III 1976 r., k. 58.

<sup>8</sup> A. Kijowski, *Dziennik 1970–1977*, Kraków 1998.

<sup>9</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Informacja dotycząca zatrzymania Adama Michnika w trakcie zbierania podpisów pod petycją, k. 22.

miała miejsce szarpanina i Michnik krzykiem zawiadomił p. Małynicz o aresztowaniu. Ta zaś wysłała służącą do budki telefonicznej. Służąca zadzwoniła do p. Szechtera i w ten sposób fakt aresztowania stał się wiadomym zainteresowanym (szczególnie Słonimskiemu)<sup>10</sup>. Wspomniana w tej wypowiedzi obawa wynikała z faktu, że – jak widać z dokumentów SB – Jerzy Andrzejewski, który wprawdzie z uwagi na „niedyspozycję” sam nie złożył podpisu pod dokumentem, nie omieszkął zadzwonić natychmiast do Kisielewskiego i „otwartym tekstem” poinformować go o istnieniu listu<sup>11</sup>. Słuszne więc okazało się podejrzenie Antoniego Słonimskiego, że rozmowa ta mogła zostać podsłuchana przez Służbę Bezpieczeństwa.

Andrzej Krajewski pisał, że „powstały list okazał się początkowo kolejnym chybionym przedsięwzięciem, gdyż w kraju nie wywołał większego echa, a kontestatorzy nadal pozostali wyizolowaną, niewielką grupką”<sup>12</sup>. I rzeczywiście, władze robiły wszystko, aby wieści o tym dokumencie nie dopuścić do publicznej wiadomości. Jeszcze po upływie kilkunastu dni, w wyemitowanym 10 grudnia 1974 r. na antenie RWE „Komentarzu w sprawie listu piętnastu pisarzy polskich, wzywającego do zajęcia się losami Polaków w ZSRR”, Tadeusz Olsztyński informował, że źródła oficjalne w kraju „na ten temat milczą, a nawet odmawiają jakichkolwiek komentarzy”. Jednocześnie powoływał się na „cztery poważne agencje zagraniczne”, które podały wiadomość, że „funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czyli bezpieczeństwa, zatrzymali ostatnio w Warszawie pewnego młodego intelektualistę, który zbierał podpisy pod petycją”<sup>13</sup>. Przesłuchująca owego „młodego intelektualistę” prokurator Wiesława Bardonowa nie zdołała uzyskać od niego żadnych informacji. Michnik odmówił udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień dotyczących samej petycji, oświadczając, że „petycja ma charakter moralno-etyczny, a nie polityczny i w związku z tym uważa zatrzymanie za bezpodstawne”<sup>14</sup>. Po upływie 24 godzin i przeprowadzeniu z nim rozmowy ostrzegawczej Michnik został zwolniony, gdyż władzom nie zależało na nagłaśnianiu tak drażliwej sprawy, jak losy polskiej ludności na Wschodzie. Całe zdarzenie starano się wyciszyć w zarodku, aby nie zainteresowały się nim zachodnie media. Tejmha podkreślał, że po nerwowej reakcji ambasady radzieckiej, Edward Gierek wezwał do siebie na rozmowę sekretarza POP ZLP, chcąc, by ten wpłynął na aktywizujących się w takich działaniach literatów<sup>15</sup>.

Omawiając losy „Listu 15”, Andrzej Friszke słusznie pisał: „ponieważ oba egzemplarze listu zostały skonfiskowane, nie został on nigdy wysłany do adresata (chyba że za takowego uznać MSW)”<sup>16</sup>. Tym niemniej pojawienie się drugiego „niechcianego” adresata spowodowało, że „w związku z przemyśleniem do ośrodków dywersji politycznej (RWE, BBC) oraz zachodnich agencji prasowych informacji o podjęciu przez grupę literatów akcji petycyjnej dot. sytuacji Polaków zamieszkałych w ZSRR”<sup>17</sup> Służba Bezpieczeństwa podjęła intensywne działania. Zmierzały one do ustalenia źródła przekazania petycji zachodnim agencjom informacyjnym, kontroli osób zaangażowanych w pracę nad tym dokumentem oraz

<sup>10</sup> AIPN 0204/1203, Informacja operacyjna od TW „Kos” z rozmowy z Teresą Bogucką, k. 64.

<sup>11</sup> Sam Stefan Kisielewski nie wspomina w swoich *Dziennikach* o takim telefonie.

<sup>12</sup> A. Krajewski, *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL*, Warszawa 2004, s. 392.

<sup>13</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Serwis nasłuchu Polskiego Radia z dnia 10 grudnia 1974 – WE 36 PS, godz. 20.10, k. 26.

<sup>14</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Informacja z przebiegu rozmowy ostrzegawczej z A. Michnikiem, k. 71.

<sup>15</sup> J. Tejmha, *Kulisy dymisji. Z dzienników ministra kultury 1974–1977*, Kraków 1991, s. 82.

<sup>16</sup> A. Friszke, *Przystosowanie i opór...*, s. 226.

<sup>17</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Plan przedsięwzięć, 12 XII 1974 r., k. 6.

„stosowania środków przeciwdziałania operacyjno-politycznego, zapobiegających rozwijaniu się na szersze kręgi środowisk intelektualnych, negatywnych skutków podjętej akcji petycyjnej”. Poza tymi działaniami operacyjnymi, aby zneutralizować znaczenie „Listu”, planowano „przeprowadzenie rozmowy z prof. E.[dwardem] Lipińskim, w celu ewentualnego uzyskania od E.[dwarda] Lipińskiego dementi w sprawie petycji przez wykazanie, iż został celowo wykorzystany przez elementy antypolskie”<sup>18</sup>. Co do rzeczywistej „antypolskości” działań tej grupy, to problem ten dość dobitnie naświetlono w RWE, gdzie 12 grudnia 1974 r. podkreślano, że „wystąpienie piętnastu przynosi ulgę społeczeństwu, które od dawna zaniepokojone było brakiem głosu polskiego w toczonej na świecie dyskusji wokół swobodnego przepływu idei, informacji, poruszania się ludzi. Świat dowiaduje się, że nie te jakieś frazesy, nie ten pacierz powtarzany za moskiewską panią-matką przez oficjalnych delegatów PRL na forum międzynarodowym jest głosem społeczeństwa polskiego, ale właśnie ta petycja, podpisana przez piętnastu odważnych ludzi. To jest, proszę państwa, nasz polski wkład do dyskusji wokół podstaw rzetelnego, prawdziwego odprężenia w świecie współczesnym”<sup>19</sup>.

---

<sup>18</sup> *Ibidem*.

<sup>19</sup> AIPN 0204/1203, t. 3, Serwis nasłuchu Polskiego Radia z dnia 12 grudnia 1974 – WE 39 KL, godz. 21.10, k. 51.



# JAN BORYSEWICZ „KRYZIA”

LEGENDA NOWOGRÓDZKIEJ ARMII KRAJOWEJ



**Historia każdego oddziału partyzanckiego AK na Nowogródzczyźnie, Grodzieńszczyźnie czy Polesiu, każdej brygady wileńskiej AK, wiąże się ze wspaniałymi oficerami i żołnierzami, którzy odnotowali na swym koncie dziesiątki niezwykłych wyczynów bojowych. Kilkadziesiąt lat temu ich pseudonimy, a nierzadko i nazwiska rodowe, były powszechnie znane nie tylko mieszkańcom ziem wschodnich. Dziś można się o nich dowiedzieć tylko ze specjalistycznych publikacji naukowych.**

Jednym z najwybitniejszych dowódców partyzanckich Armii Krajowej w Nowogródzkim Okręgu ZWZ-AK był Jan Borysewicz „Kryzia”. O jego wielkości mówią nie tylko wspaniałe dokonania organizacyjne i bojowe, ale też społeczny odbiór tej niezwyklej postaci przez mieszkańców Ziemi

Mickiewicza. Jeszcze za życia stał się symbolem kresowego żołnierza Polski Walczącej. Nie było chyba bardziej popularnego dowódcy jednostki partyzanckiej na Nowogródzczyźnie niż por. Jan Borysewicz „Kryzia”, a przecież w Nowogródzkim Okręgu AK działało, nie licząc mniejszych oddziałów, dziewięć partyzanckich batalionów AK, prowadzonych przez dzielnych oficerów, także słynnych i cieszących się popularnością wśród ludności. „Kryzia”, który pochodził z rodziny z dziada pradziada zamieszkałej na tych ziemiach, stał się symbolem walki o Polskę oraz obrony kresowej ojcowizny. Jednakowo skutecznie bił obu okupantów. Był dowódcą i przywódcą „charyzmatycznym”. Pierwsze strzały oddał w wojnie obronnej 1939 r., ostatnie – po pięciu latach walki – w bojach z sowieckim okupantem, z Wojskami Wewnętrznymi NKWD. Poszedł „do lasu” z siedmioma podkomendnymi, a po roku miał pod swymi rozkazami cały batalion; sam go zorganizował, zdobył wyposażenie i uzbrojenie. W środowisku, w którym ścierały się wpływy niemieckie, sowieckie, litewskie i białoruskie, por. Borysewicz poprowadził miejscową społeczność polską do skutecznej walki, zorganizowanej na wzór wojskowy. Był przy tym autentycznym obrońcą kresowych wiosek i zaścianków. Każdy, kto występował przeciw społeczności polskiej, bez względu na to, pod jakimi znakami działał, spotykał się z jego przeciwdziałaniem. Był świetnym oficerem, wybitnym organizatorem, a nade wszystko – przyzwoitym człowiekiem doskonale rozumiejącym się z żołnierzami i ludnością, bez której poparcia żadna działalność konspiracyjna czy partyzancka nie byłaby możliwa.

Jan Borysewicz urodził się 12 września 1913 r. we wsi Dworzany pod Wasiliszkami (pow. Szczuczyn, woj. nowogródzkie, obecnie Białoruś), w mieszkającej od pokoleń na Kresach rodzinie chłopskiej. Jego rodzice posiadali dwudziestohektarowe gospodarstwo, byli więc ludźmi stosunkowo zamożnymi. Po ukończeniu z dobrą lokatą szkoły powszechnej w Wasiliszkach, Borysewicz podjął naukę w Seminarium Nauczycielskim w Szczuczynie, które ukończył w 1935 r. W tym czasie był harcerzem szczuczyńskiej 1. Drużyny im. Tadeusza Kościuszki. Po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego odbył służbę wojskową, w trakcie której został skierowany na dywizyjny kurs Szkoły Podchorążych w Zambrowie. Zrezygnował z zawodu nauczycielskiego i zdecydował się na podjęcie zawodowej służby wojskowej. W 1938 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie (Ostrów Mazowiecka), uzyskując stopień podporucznika. Otrzymał przydział do I batalionu 41. pp stacjonującego w Suwałkach, gdzie powierzono mu funkcję dowódcy plutonu. W szeregach swego macierzystego pułku, wchodzącego w skład 29. Dywizji Piechoty Armii „Prusy”, uczestniczył w wojnie obronnej 1939 r.

Uniknął niewoli i zdołał dotrzeć do Wilna, znajdującego się wówczas pod okupacją litewską, a następnie sowiecką. Został aresztowany przez NKWD, gdy w 1941 r. próbował przedostać się do formowanej na Zachodzie Armii Polskiej. Był więziony najpierw w Baranowiczach, a później w Brześciu. Podczas ewakuacji więzienia, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r., zdołał – pomimo ostrzału – uciec z konwoju prowadzonego przez funkcjonariuszy NKWD (spośród czterech uciekających wraz z nim osób jedna została zastrzelona przez bolszewików). Przedostał się w swoje rodzinne strony pod Wasiliszkami. Tu nawiązał kontakt z por. Janem Skorbem „Puszczykiem” i kierowaną przez niego grupą kadry Nowogródzkiego Okręgu ZWZ-AK (wiadomo, że został zaprzysiężony w ZWZ-AK jeszcze w 1941 r.).

Brakuje bliższych danych o jego przydziale służbowym w początkowym okresie służby konspiracyjnej. Według niektórych przekazów, miał pełnić funkcję dowódcy jednego z plutonów terenowych (konspiracyjnych) w kompanii Wasiliszki krypt. „Pastwisko” (Obwód ZWZ-AK Szczuczyn krypt. „Łąka”) od października 1941 r. Pracował wówczas jako leśniczy w nadleśnictwie Wasiliszki. Jesienią 1942 r. przebywał na terenie Lidy, prawdopodobnie pozostając w dyspozycji Komendy Nowogródzkiego Okręgu AK. Mieszkał u swego kolegi Zygmunta Lisieckiego (okresowo, w początkach 1943 r., przebywał także na kwaterach konspiracyjnych na terenie Ośrodka Iwje-Juraciszki). W tym czasie ubiegał się o zgodę przełożonych na utworzenie oddziału partyzanckiego i podjęcie czynnych działań bojowych. Zezwolenie takie uzyskał, jednak nie od swej macierzystej Komendy Obwodu Szczuczyn, lecz od komendanta Okręgu, który jednocześnie przydzielił mu jako teren operacyjny północno-zachodnią część powiatu lidzkiego.

W maju i czerwcu 1943 r. sformował na terenie placówki konspiracyjnej AK Bieńkiewicze niedużą grupę partyzancką (oddział nr 314 – taki system oznaczeń używany był wówczas w całym Okręgu Nowogródzkim; zmieniono go dopiero jesienią 1943 r., gdy zgodnie z rozkazem KG AK oddziałom partyzanckim nadano nazwy jednostek WP, kwatrujących na terenach ich działalności przed wojną). Oddział „Krysi” wyruszył w pole w drugiej połowie czerwca. Przez dwa miesiące (lipiec i sierpień 1943 r.) zasilili go żołnierze plutonu konspiracyjnego „Podzitwa” (Obwód AK Lida, krypt. „Bór”), którymi dowodził Józef Wilbik „Bradziaga”. Oddział „Krysi” liczył wtedy trzydziestu–czterdziestu żołnierzy. Od czerwca do lipca 1943 r. grupa operowała na terenach od Zabłocia i Ejszyszek na zachodzie i północy, po Lipniszki i Iwje na wschodzie. Zadania oddziału polegały na oczyszczaniu

terenu z agentury niemieckiej i sowieckiej oraz band komunistyczno-rabunkowych (do większych starć doszło pod Hermaniszkami, Zabłociem, Sołtaniszkami i Suchwalnią; w jednym z nich poległ zastępca „Krysi” – sierż. Waław Krugły „Cichy”).

W sierpniu 1943 r., po utworzeniu z oddziałów partyzanckich obwodów Szczuczyn i Lida Batalionu Zaniemeńskiego AK (dowódcą został rtm. Józef Świda „Lech”), oddział nr 314 wszedł w jego skład jako 3. kompania.



Oddział „Krysi”, 1943 r.

Grupa por. Borysewicz zachowa-

ła jednak znaczny stopień samodzielności, operując zazwyczaj w północnej części powiatu lidzkiego, poza głównymi siłami batalionu działającymi nad Niemnem. Biła się z Niemcami pod Skurczami i na błotach nad Dzitwą 21 i 22 sierpnia 1943 r. W następnym miesiącu kompania por. „Krysi” wraz z głównymi siłami Batalionu Zaniemeńskiego wzięła udział w rajdzie na tereny Generalnego Komisariatu Litwy, wyróżniając się podczas powrotu z tej wyprawy – w walce 18 września 1943 r. w rejonie Berdówki. Warto wspomnieć, że pojawienie się blisko pół tysiąca polskich żołnierzy na przedpolach Wilna wywołało panikę wśród współpracujących z Niemcami „aktywistów” litewskich. Jesienią 1943 r. liczący ponad sześćdziesięciu żołnierzy oddział por. Borysewicz uzyskał status jednostki w pełni samodzielnej, stając się zawiązkiem II batalionu 77. pp AK (początkowo jako 4. kompania II/77. pp. AK pod dowództwem ppor. Aleksandra Dziakiewicza „Olesia”). Spośród ważniejszych akcji przeprowadzonych w tym czasie przez por. Borysewicz należy wymienić rozbicie posterunku żandarmerii w Koleśnikach i atak na koszary policji litewskiej w Koniawie (na terenie Generalnego Komisariatu Litwy) w listopadzie oraz rozbrojenie grupy żandarmów w Bolsiach i posterunku ochronnego w Bolciennikach w grudniu 1943 r. Zimą 1943/1944 r. pod rozkazy „Krysi” został przekazany oddział (sformowany z żołnierzy kompanii konspiracyjnej Wasiliszki), który stał się 5. kompanią II batalionu 77. pp AK po dowództwem por. Janusza Borewicz „Antoniego”. W lutym 1944 r. utworzono 6. kompanię tegoż batalionu (dowódca ppor. Kazimierz Krzywicki „Wiesław”) oraz zwiad konny i pluton szturmowy. Batalion por. Borysewicz rozbudowywał się bardzo szybko. W styczniu 1944 r. liczył 140, a dwa miesiące później – już ok. 300 żołnierzy pełniących służbę w polu, nie licząc rezerw konspiracyjnych.

Od jesieni 1943 r. w batalionie wydawano, techniką powielaczową, pismo „Szlakiem Narbutta”. Cieszyło się ono wielką popularnością także wśród ludności cywilnej.

W styczniu 1944 r. oddziały por. „Krysi” przeprowadziły kilka spektakularnych operacji bojowych. Odbiły pod Wasiliszkami 9 stycznia transport aresztowanych, likwidując konwój żandarmerii 17/18 stycznia drużyna dowodzona przez sierż. Alfreda Fryesa „Bza” rozbiła więzienie w Lidzie, uwalniając około siedemdziesięciu osób, zaś 30 stycznia 4. kompania rozbroiła po krótkiej walce garnizon SS i policji w Horodnie (zdobyto 1 ckm, 2 rkm, ok. 50 kb, 100 granatów, 10 tys. sztuk amunicji i wiele zaopatrzenia). W kwietniu i maju 1945 r. kom-



Wiosna 1944 r., II batalion na zbiórce

panie II batalionu 77. pp rozbroiły załogę żandarmerii w miasteczku Sobotniki, posterunek ochraniający most na Dzitwie w Mycie oraz garnizon niemiecki w miasteczku Raduń (w tej ostatniej operacji zdobyto 5 ckm, 11 rkm, 12 MP, 60 kb, 2 granatniki, wiele amunicji i wyposażenia). Wczerwcu 1944r. zdobyto miasteczko

Ejszyszki, rozbrajając kilkudziesięciu policjantów i urzędników litewskich, oraz zaatakowano strażnice graniczne w Krakszlach i Kaszetach (na granicy z Bezirk Białystok).

Dorobek bojowy oddziałów komendanta Borysewicza podczas okupacji niemieckiej sięga blisko stu różnego rodzaju akcji, spośród których nie sposób w tym krótkim szkicu wymienić nawet tych najważniejszych; możemy ograniczyć się jedynie do przykładów. Należy też podkreślić, że w pierwszej połowie 1944 r. obszar, na którym działał jego batalion, znalazł się pod całkowitą kontrolą Armii Krajowej (chłopi przestali dostarczać kontyngenty okupantowi).

Komenda Okręgu „Nów” powierzyła por. Borysewiczowi, oprócz dowodzenia operującymi w polu oddziałami II batalionu 77. pp AK, także zwierzchnictwo nad konspiracją w północnej części Obwodu Lida, gdzie działał batalion terenowy „Irena”. Jednostka ta składała się z kompanii konspiracyjnych wystawianych przez gminy Bieniakonie, Werenów, Raduń i Ejszyszki. Zimą i wiosną 1944 r. z części sił tej konspiracyjnej struktury sformowano kolejną jednostkę partyzancką Okręgu AK Nowogródek – V batalion 77. pp AK. Jego dowódcą został kpt. dypl. Stanisław Truskowski „Sztremer”. Także tę jednostkę podporządkowano „Krysi” w ramach nowego Zgrupowania „Północ” (w jego skład weszły bataliony II i V 77. pp AK, których maksymalne stany osobowe pod koniec okupacji niemieckiej wynosiły 650 i 400 żołnierzy). Można sądzić, że Komenda Okręgu bardzo wysoko oceniała por. Borysewicza, skoro na jego zastępcę – i to wyłącznie w stosunku do sieci terenowej – wyznaczyła oficera dyplomowanego posiadającego wyższy stopień.

Batalion por. „Krysi”, podobnie jak większość oddziałów Okręgu AK Nowogródek, w początkach lipca 1944 r. został skierowany do operacji „Ostra Brama”. Po drodze przeprowadził szereg akcji przeciw napotykanym mniejszym oddziałom niemieckim, jednak – z powodu braku precyzyjnych rozkazów – w uderzeniu na miasto (w nocy 6/7 lipca 1944 r.) nie uczestniczył. W momencie przystąpienia Armii Sowieckiej do rozbrajania oddziałów AK, II batalion 77. pp AK zdołał wycofać się do Puszczy Rudnickiej. Choć por. Borysewicz rozformował dowodzoną przez siebie jednostkę, nie poszedł jednak do rosyjskiej niewoli. Na czele niedużego kadrowego oddziału, złożonego z najlepszych żołnierzy, powrócił na swój macierzysty teren, w rejon Naczy i Radunia. Świadomie zdecydował się na pozostanie na Ziemiach Utraconych, by dalej organizować polski ruch niepodległościowy, którego obecność wydawała się celowa w przypadku zwołania konferencji pokojowej – sądzono bowiem,

że konferencja ta przesądzi o przyszłości Kresów II RP. Wobec ustaleń jałtańskich nadzieje te okazały się jednak daremne. Cokolwiek by rzec, komendant nie pozostawił ludzi, którzy mu ufali, na łasce „władzy nieludzkiej”.

Dowodzący wówczas Nowogródzkim Okręgiem AK ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” powierzył mu kierowanie całością pracy organizacyjnej i bojowej w północnej części Obwodu Lida. Sieć konspiracyjna tworzyła tu strukturę organizacyjną, określaną jako Zgrupowanie „Północ”. Składało się ono z siedmiu kompanii terenowych oraz kilkunastu drobnych grup samoobrony (o charakterze partyzanckim). Porucznikowi Borysewiczowi, który przybrał w tym czasie pseudonim „Mściciel”, oprócz własnego oddziału, podlegało kilka innych grup samoobrony, operujących na tym terenie. Wykonały one szereg uderzeń w oddziały NKWD, ich agenturę i sowiecką administrację, chroniąc ludność przed terrorem nowego okupanta. Wobec ogromnego nasycenia terenu wojskami sowieckimi i nasilenia terroru NKWD w stosunku do Polaków, wydarzenia te miały często bardzo dynamiczny charakter. Na przykład w sierpniu 1944 r., w ciągu jednego dnia, oddział „Krysi”–„Mściciela” bił się trzykrotnie z penetrującymi wioski Sowietami (koło wsi Hermany rozproszył sowiecką grupę operacyjną przeprowadzającą aresztowania, odparł atak NKWD na postoju w chutorze koło Butrymańców i w odwet za spacyfikowanie tej miejscowości zorganizował zasadzkę, w której zabił siedmiu Sowietów, w tym mjr. Konarczuka, „gieroja Sowietskowo Sajuza”).

Od sierpnia 1944 r. do stycznia 1945 r. oddziały podlegające „Krysi” wykonały kilkadziesiąt akcji, które miały na celu zwalczanie agentury sowieckich służb specjalnych oraz ochronę ludności polskiej przed łapankami, poborem do sowieckiego wojska i aresztowaniami przez NKWD. Borysewicz osobiście dowodził atakiem połączonych grup „Hajduka”, „Groma”, „Zemsty” i „Śmiałego” na miasteczko Ejszyszki w celu rozbicia aresztu Rejonowego Oddziału NKWD. Akcja powiodła się, wolność odzyskało 34 więźniów (w czasie walki poległo dwóch partyzantów).

Organizując polską społeczność do walki z komunistycznym zaborcą, komendant Borysewicz „Krysia” opowiadał się za podjęciem współdziałania z ruchami oporu innych społeczności narodowych, pozbawionych wolności przez Związek Sowiecki. Wiadomo, że w tym okresie prowadził rozmowy z Białorusinami i Litwinami, którzy wreszcie dostrzegli, że największym zagrożeniem dla ich wolności jest wprowadzany przez Rosjan system komunistyczny.

Jan Borysewicz poległ 21 stycznia 1945 r. w zasadzce zorganizowanej przez grupę operacyjną 105. Oddziału Pogranicznego NKWD koło wsi Kowalki pod Naczą. Ciało ko-

Oddział „Krysiaków”, 1945 r.



mentanta, pozostawione w śniegu przez podkomendnych podczas odwrotu, wpadło w ręce bolszewików. Sowieci obwozili je potem po okolicznych miejscowościach. Śmierć legendarnego dowódcy miała złamać ducha oporu ludności polskiej.

Pełniący obowiązki komendanta Okręgu AK Nowogródek rtm. Jan Skorb „Boryna” wydał specjalny rozkaz, w którym przypomniał postać por. Jana Borysewicza „Krysi”, stwierdzając: „Odszedł od nas na zawsze Żołnierz, któremu przez kilka lat w krwawych zmaganiach z wrogiem oręż nie ciążył. Smutna Ziemia Kresowa wyśpiewała Mu jeszcze w kolebce swoją tęskną pieśń przeznaczenia syna ludu na trudy i znoje. Twarde, żołnierskie życie codzienne ukształtowało prawy i silny charakter, dlatego też niestrudzenie szedł wytkniętą drogą, walcząc o wschodnie rubieże Rzeczypospolitej Polskiej i o Wolność swojego narodu. Wiernym był synem Ziemi Kresowej, wyrósł z Niej i Życie swoje Jej oddał. Nauczył swoim przykładem [...] synów Ziemi Kresowej kochać strony ojczyste, swój lud, prawdę życia i sprawiedliwość”.

W konspiracyjnym biuletynie, wydawanym przez podkomendnych por. Borysewicza „Krysi”, jego adiutant Michał Rzuchowski „Szary” opublikował wspomnienie o swym dowódcy. Sam poległ kilka dni później, 6 lutego 1945 r., w Boładziszkach, wraz z ośmioma żołnierzami grupy „Hajduka” i dwoma mieszkańcami wioski.

Walka trwała jednak dalej. Następcą „Krysi”, a wkrótce także ostatni p.o. komendanta Okręgu AK Nowogródek – por. Ludwik Nienartowicz „Mazepa” – starał się uratować jak najwięcej z dorobku organizacyjnego por. Borysewicza. Jak zeznawał później przed śledczym NKWD jeden z żołnierzy AK – Michał Tietianiec „Myśliwy” – nowy dowódca okręgu zachęcał liderów konspiracji wileńskiej do wytrwania „na straconych posterunkach”.

„Co organizował ojciec »Krys[ia]« – pisał w swoim piśmie »Mazepa« – nam rzucić nie wolno, a trzeba prowadzić [dalej] jego idee. Dalej »Mazepa« opisywał o zasługach »Krysia« przed AK, o organizacji ich oddziałów, jego walkę przeciwko władzy radzieckiej itd. W planach swoich »Mazepa« zamierzał nawiązać łączność z białoruskimi nacjonalistycznymi organizacjami, poderwanie narodu białoruskiego do walki z władzą radziecką i inne przedsięwzięcia. Od tego czasu »Mazepa« wzięły w swoje ręce dowództwo Nowogródzkiego Okręgu. Powinienem nadmienić, że w rozmowie ze mną »Mazepa« przedstawił swoje dalsze plany, mówił mi, że koniecznie trzeba AK przemianować, tj. jak się wyraził zmienić szyld i pod drugim szyldem prowadzić dalszą walkę z władzą radziecką”.

Wiosną 1945 r. oddziały podległe do niedawna por. Borysewiczowi kontynuowały walkę z Sowietami. Stopniowo jednak demobilizowano je, a żołnierzy wysyłano w transportach „repatriacyjnych” za linię Curzona. Dwa oddziały „Krysiaków” przeszły granicę jałtańską z bronią w ręku, staczając walki z NKWD także po „polskiej stronie” – znów z NKWD oraz UBP i KBW. Na ziemi nowogródzkiej pozostały jednak liczne, wywodzące się z AK grupy zbrojne, które walczyły w obronie społeczeństwa polskiego do początku lat pięćdziesiątych.

Komendant Jan Borysewicz „Krysia” został pośmiertnie odznaczony (w 1945 r.) przez Delegata Sił Zbrojnych Krzyżem *Virtuti Militari* V kl.

# ARCYLWOWIANIN – WITOLD SZOLGINIA (1923–1996)

**W poczcie najwybitniejszych lwowian XX stulecia Witold Szolginia – „*primus inter pares lwowskich wygnańców*” – zajmuje miejsce szczególne. Właściwie to on wprowadził do współczesnej polszczyzny słowo „arcylwowianin”, którym to określeniem obdarzał ludzi *bene merentes* dla *Leopolis Semper Fidelis*, bacząc jedynie, by przestrzegać mądrej zasady: nie wspominać żyjących. Dziś można to odnieść do jego osoby, bo Witold Szolginia, jak mało kto spośród lwowiaków w peerelu, zapracował na dobrą sławę i wdzięczną pamięć u potomnych.**

W dziedzinie wiedzy o „tamnym Lwowie” był encyklopedystą. Jak to barwnie określił Jerzy Janicki, jeden z jego najbliższych kolegów: „Absolutny rebe. Po papiesku nieomylny w kwestiach lwowskich. *Arbiter leopolensis* wszystkich sporów obszaru zamkniętego rogatkami Łyczakowa i Zamarstynowa. Arcylwowiak i arcylyczakowianin”. „Strażnikiem Miasta i Grobów” nazwał go – jakże trafnie! – w dedykacji na jednym z tomów swej poezji Zbigniew Herbert.

Był przedstawicielem pierwszej generacji, która rozpoczynała życie już w niepodległej Polsce, a potem przeżyła straszliwy kataklizm wojny i utratę kresowej ojczyzny. Na jego lwowską biografię składają się tylko dwadzieścia trzy lata spędzone na Łyczakowskiej 137; najpiękniejsze szesnaście w wolnej Polsce i siedem pod trzema okupacjami (kolejno bolszewicką, hitlerowską i znów sowiecką). W maju 1946 r. opuścił rodzinne Miasto, by – po krótkim zamieszkiwaniu w Opolu i Krakowie – osiąść w Warszawie. Wprawdzie stołeczny adres (Puławska 138) tylko nieznacznie różnił się od przedwojennej numeracją, a drzwi do mieszkania – podobnie tu i tam – wyróżniała lwia kołatka, lecz „Warszawa to nie Lwów; jesień – ale inna; Ojczyzna – ale nie taka”... (Zbigniew Herbert). Tęsknota za „tamnym Lwovem” i gorycz wygnania towarzyszyły mu do końca życia.

Rodzice Tolka, bo tak go nazywano w domu, pochodzili spoza wiernego Miasta; ojciec aż ze Skałata przy polsko-sowieckiej granicy, a mama z podlwowskich Winnik (pobrali się u św. Antoniego na Łyczakowie). Rodzinne groby Szolginiowie pozostawili poza Lwovem. Miejszem najgłębszego zakorzenienia w lwowskości był więc dom z żelaznym lwem na bramie – najdawniejsze wspomnienie i stały punkt odniesienia wobec rodzinnego Miasta, gdziekolwiek żyli jego mieszkańcy.

Witold Szolginia pobierał przedwojenne solidne nauki najpierw w Publicznej Szkole Powszechniej Męskiej im. Świętego Antoniego przy Głowińskiego na Łyczakowie, a potem w VI Państwowym Gimnazjum im. Stanisława Staszica przy Łyczakowskiej, gdzie w przededniu II wojny światowej uzyskał małą maturę. Po wkroczeniu Sowieców kontynuował edukację w tzw. Szkole Średniej nr 12 (z większością polskich nauczycieli), którą ukończył tuż przed atakiem hitlerowskich Niemiec na Związek Sowiecki; na świadectwie miał wynik celujący, co uprawniało go do wstępu na wyższą uczelnię bez egzaminu. Podczas



Witold Szolginia w latach młodości

okupacji niemieckiej zajmował się m.in. sprzedawaniem gazet, zatrudniał się też jako goniec w urzędzie skarbowym. Aresztowany, dzięki portretom rysowanym w więzieniu został zwolniony. Brał udział w redagowaniu i kolportażu prasy podziemnej, projektował winięty jednego z konspiracyjnych czasopism. Po powrotnym wejściu Armii Czerwonej w 1944 r. rozpoczął studia jeszcze u polskich profesorów na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej; po „akcji repatriacyjnej” studia te kontynuował na Politechnice Krakowskiej, gdzie w 1950 r. otrzymał dyplom magistra inżyniera architekta. Na tej samej uczelni obronił w 1975 r. doktorat, a w 1979 r. habilitował się.

W swoim zawodzie przepracował w różnych instytucjach naukowych ponad czterdzieści lat. Jego dorobek liczy kilkanaście cennych pozycji książkowych i wiele specjalistycznych artykułów. Jest m.in. autorem pierwszej polskiej encyklopedii *Architektura i budownictwo* (trzy wydania), a wśród opracowań naukowych nie zabrakło też dzieł poświęconych rodzinnemu Miastu (*Historiografia urbanistyki i architektury dawnego Lwowa*, 1989; *Najstarsze widoki Lwowa*, 1991

– oba tomy wydane przez Instytut Sztuki PAN).

Wiele sukcesów odniósł także w działalności popularnonaukowej, którą uprawiał obok swej pracy zawodowej. Zajmował się przede wszystkim upowszechnianiem w prasie i w radiu wiedzy z zakresu urbanistyki, architektury i budownictwa, wygłaszając około trzystu pogadarek dla dorosłych i dla młodzieży. Wydał kilkanaście ciekawych książek przeznaczonych dla różnych odbiorców (m.in. *Cuda architektury*, *Cuda inżynierii*, *Życie miast*, *Poczet wielkich architektów*), w tym wiele dla dzieci (np. *Przyroda uczy budować*), napisał setki artykułów w czasopismach. Mimo że nie był nigdy nauczycielem, w 1975 r. otrzymał – za popularyzację nauki i techniki – Medal Komisji Edukacji Narodowej.

Te i inne bogate pola zainteresowań Witolda Szolginia – jak choćby turystyka górską, którą uprawiał od wakacyjnych jeszcze wyjazdów do przedwojennych Sianek w Bieszczadach – w miarę upływu lat schodziły na dalszy plan, z czasem niemal zupełnie ustępując temu, co go pasjonowało i pochłaniało bez reszty. Życiową misją stało się dla niego odkrywanie lwowskiej atlantydy i utraconych „korzeni i popiołów”, utrwalanie pamięci sześciu wieków polskiego Lwowa.

Zawsze był niesłychanie wyczulony na piękno języka, znakomicie posługiwał się polszczyzną i bezlitośnie tępił wszelkie błędy w mowie i piśmie. Swemu „mistrzowi”, poloniście z gimnazjum Władysławowi Stabryle poświęcił piękne karty wspomnień. Ta wrażliwość językowa – zarówno na dźwięk, jak i znaczenie słów – spowodowała, że jego lwowska twórczość zaczęła się właśnie od rodzinnego bałaku batiarów górnego Łyczakowa. Gwara lwowskiej ulicy, którą znał od młodych lat, w latach PRL-owskiego przymusowego milczenia wyostrzyła pamięć i przywołała obrazy młodości, nadając im oryginalną formę wierszy pisanych bałakiem.



W domowym zaciszu, siedząc przy biurku w swej warszawskiej „dziupli” (minipracowni przerobionej z dawnej służbówki za kuchnią), w pewien grudniowy wieczór przed Wigilią Bożego Narodzenia, gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, z nagłego porywu serca zaczął pisać – może, żeby nie zwariować z tęsknoty?... „Tak mi si dziś marzy, ży jezdy wy Lwowi...”. Tak powstał pierwszy wiersz „Wigilia”, a potem cały ich cykl – „Krajubrazy syrdeczny”, który po latach dał tytuł całemu zbiorowi 44 utworów; wszystkie – „lwowskie w treści, 4-wersowe i 12-zgłoskowe w formie oraz bałakowe w stylu”. Przyozdobione własnoręcznymi rysunkami, przepisywane przez autora, przekazywane lwowskim przyjaciółom i kolegom, czasem tylko z podpisem „Tolu z Łyczakowa”, zaczęły wędrować po świecie i żyć własnymi losami.

Największą przygodę przeżyły w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy jeden z wdzięcznych czytelników, lwowianin z Bytomia Waldemar Markowski, z zawodu przedsiębiorca budowlany, wydał je własnym sumptem w nakładzie stu egzemplarzy, w opatrzonej herbem Miasta Zawsze Wiernego oprawie Wacława Tomaszewskiego, bytomskiego mistrza sztuki introligatorskiej rodem z górnego Łyczakowa. To bibliofilskie *cymelium* ukazało się oczywiście poza zasięgiem krajowej cenzury (1986) i pod pseudonimem „Tolu z Łyczakowa”, ale „dla zmylenia przeciwnika” podano, że wydrukowało je Koło Lwowian w Londynie w liczbie siedemdziesięciu sztuk w 1984 r. Niektóre wiersze z tego zbioru ukazały się w równocześnie wydanej w drugim obiegu antologii *Semper fidelis. Wiersze o Lwowie 1918–1983* (Pokolenie, Warszawa 1986, wyd. II rozszerzone; zebrał Jerzy Wereszyca, tj. właściwie Danuta B. Łomaczewska). Z bałakowych poezji Tola z Łyczakowa do dziś chętnie korzystają autorzy teatralnych i kabaretowych spektakli przedstawiających życie dawnego Lwowa.

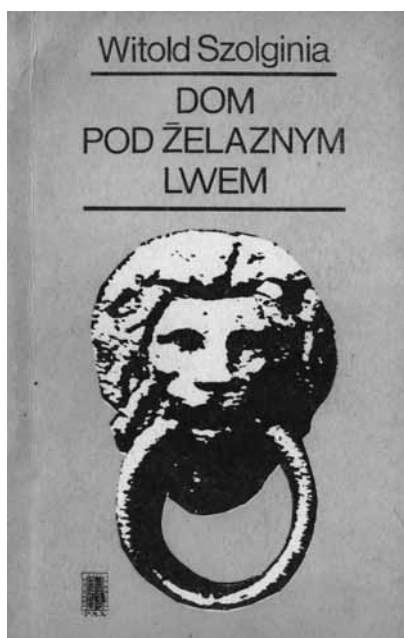
Drugi zbiór wierszy *Kwiaty lwowskie* Witolda Szolgini – świadomie nawiązujący do *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima – został napisany już w literackiej polszczyźnie, dużo

## WIGILIA

Tak mi si dziś marzy, ży jezdy wy Lwowi:  
Stoju w śniegu drzewa w Łyczakoskim Parku,  
A ud Byrnadynów ku Łyczakowowi  
Sam Swienty Mikołaj kosz taska pudarków.  
Lwów drzemi sy w śniegu, a na niebi w górczy  
Gwiazd świcu tysienicy i ksienzyć jak bania.  
A ja popud drzewkim do snu oczy mrużym  
I tak mi je słodku — ni du wytrzymaania...  
Dzieś ud Puhulanki szczeka jakiś skiła,  
Szczykani pu mrozi niesi si szyroku.  
Tera z jakijś wieży gudzina wybiła,  
Idoncych z Pasterki słychać tuput kroków.  
Kulindników slyszy m pośród nocnyj ciszy,  
„Lulajży Jezuniu...” płyni tyż z za ściany...  
Szczykani, kulendy — dziś to wszystku slyszy m,  
Pud innu choinku siedzunc zadumany...  
Te łwoski udgłosy, wspomnienia, marzenia...  
W sercu mi si robi jakuś dziwni mientku,  
W garli coś mni ścisza, jakiś w rencach drzenia,  
Ta i si ruzklejam, tak o, pumalentku...  
Ali za chwyleczki mocny ja ud nowa,  
Bu Krzyś, wspuminajunc com kiedyś bałakał,  
Zapytuji raptym: „Tatu — a du Lwowa  
Zabierzysz mni kiedyś, powidz — na pywniaka?”  
„Ta pewni, ży weznym, ty si nic ni kucaj;  
Pukażym ci mniejsza, dzie si tatu chował.  
Ali mi na razi kutiu tu ni rucaj,  
Bu mogim za kary nie wzionąj ci du Lwowa.  
Tera cukiereczki puściongaj sy z drzewka,  
Tak jak ja to robił kiedyś, tam, wy Lwowi;  
Tylku najży z tegu ma coś tagży Ewka,  
Troszku dać tyż możysz mami i tatowi.  
Nu a tera pójdzisz pud choinki kimać,  
Tylku si ni targuj — taż świentu jutru znów;  
Nie krzyw mi si tagży, bu trza fason trzymać,  
I naj ci si przyśni najdroższy Miastu Lwów...”



Witold Szolginia z żoną podczas pierwszego od wojny pobytu we Lwowie, wrzesień 1968 r.



później niż pierwszy. „Dobrodziej” z Bytomia znów wydał je prywatnie w 1987 r. w opracowaniu graficznym autora, ale tym razem jego personalia zostały odtajnione („100 egz. na prawach rękopisu”).

Na początku było jednak lwowskie słowo – „O, mowu rudzinna, o, bałaku lwoski...”. Tolu z Łyczkowa poświęcił bałakowi nie tylko swój najdłuższy (ponad 60 zwrotek!) wiersz, pysznie zilustrowany nasyconymi batiarskim humorem rysunkami, ale przez długie lata układany i sukcesywnie uzupełniany słownik terminów gwarowych. Kartoteka zawierała zbiór ok. 700 jednostek i wraz z bałakowymi wierszami została ofiarowana prof. Zofii Kurzowej, która w swej pracy o polszczyźnie Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do 1939 r. (wyd. I, Kraków 1983) cytowała Szolginę aż 230 razy!

We wrześniu 1968 r. – na zaproszenie przyjaciela, kompozytora Andrzeja Nikodemowicza (dziś emerytowanego profesora KUL), mieszkającego wówczas w rodzinnej kamienicy przy Potockiego, z którego bratem zaczynał studia – Witold Szolginia po raz pierwszy po wojnie wybrał się z żoną do rodzinnego Miasta.

Krótki, dziesięciodniowy pobyt po 22 latach od exodusu polskiej ludności Lwowa przyniósł powrót do nieistniejącego świata szczęśliwych lat dzieciństwa i młodości. W rezultacie tej podróży Witold Szolginia w ciągu następnego roku stworzył niezwykle ciekawy i cześć wyczarowanej utraconej lwowskiej ojczyzny – zbeletryzowane wspomnienia obejmujące okres 1929–1939, zdaniem krytyków, literacko niczym nieustępujące prozie Kornela Makuszyńskiego i Jana Parandowskiego.

Po latach wrócił do dawnego szkolnego zadania, by znów opisać najważniejsze miejsce swego życia – dom przy Łyczakowskiej 137, tym razem nie na polecenie nauczyciela, ale z wewnętrznej potrzeby. *Dom pod Żelaznym Lwem* stał się symbolem jego mieszkańców i całego Miasta. Imienia tego Miasta jeszcze nie można było wtedy głośno wymawiać – przypominał je tylko tytułowy lew. Cztery wydawnictwa uznały tematykę wspomnień za „trefną” i dopiero Janina Kolendo – korzystając z krótkotrwałej liberalizacji

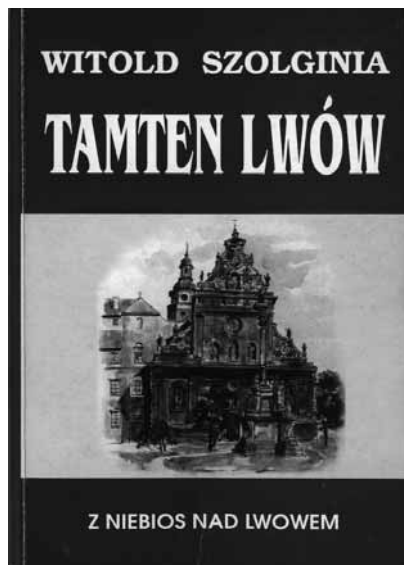
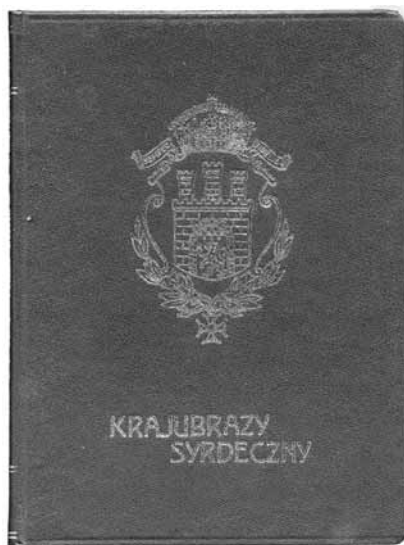
cenzury „za wczesnego Gierka” – doprowadziła w 1971 r. do opublikowania książki w Instytucie Wydawniczym „PAX”. Oczywiście, bez tak niewygodnych dla „władzy ludowej” fragmentów, jak wkroczenie Sowietów do Lwowa w pamiętnym wrześniu 1939 r. Dziesięciotysięczny nakład rozszedł się błyskawicznie, wywołując ogromne poruszenie w całej lwowskiej diasporze.

„To była w latach milczenia lwowska biblia, dekalog lwowskiej wiary, katechizm lwowskiego dziecka, które na wygnaniu osiągnęło wiek zgorzkniałego starca, a ta książka przywróciła mu siły młodzieńca” – napisał w swym *Alfabcie lwowskim* Jerzy Janicki. Książka Witolda Szolginia była „pierwszą kroplą, która wydrążyła szczelinę w niewzruszonej dotąd skale cenzury”, a „gdyby nawet nic innego Ślipunder (tak bałakowo lwowscy przyjaciele nazywali autora) nie napisał, »Dom pod Żelaznym Lwem« daje mu i tak prawo do miana lwowskiego Homera”.

Książka obrosła z czasem w legendę. „Przez lata odcinałem od niej kupony w postaci listów, telefonów i darów czytelników z całego świata” – przyznawał autor *libri de vita sua*. Wkrótce po jej ukazaniu się z bramy przy Łyczakowskiej 137 zniknęły opisywane lwy – żelazne kołatki, być może zdjęte jako wyraz troski o właściwe oblicze Miasta ze strony sowieckiej milicji ukraińskiej. Oprócz setek podziękowań, wdzięczni czytelnicy zaczęli przysyłać autorowi *Domu...* różne lwowskie pamiątki. Wymieniona w książce Irena Nowakowska-Acedańska, lwowska malarka, która po wojnie osiadła na Śląsku, sprezentowała mu swoje liczne obrazy, drzeworyty i rysunki, przede wszystkim ukochanych Bernardynów (od frontu, od Łyczakowa, wiosną i zimą...). Ktoś przysłał figurkę opisywanej przez Szolginię ślepej Miñci, a znalazł się rodak, który dwukrotnie ufundował panu Witoldowi tygodniowy pobyt z żoną w Wiedniu! Doszło do tego, że w przewodniku turystycznym po ZSRR, graniczne dziś Szeginie przemianowano na Szolginię (sic!), podając na przykład odległości na tranzytowej trasie samochodowej Medyka–Szolginia–Lwów.

*Volens nolens* Witold Szolginia został ambasadorem Lwowa na wygnaniu, a jego miniaturowa pracownia w warszawskim mieszkaniu, gdzie tworzył swe bałakowe wiersze i spisywał lwowskie wspomnienia, zaczęła zmieniać charakter, z miejsca pracy stając się powoli ogromnym lwowskim muzeum. Skromne zbiory przywiezione z rodzinnego Miasta, uzupełniane w wyniku poszukiwań w księgarniach i antykwariatach, wzbogacane ludzką ofiarnością i lwowską solidarnością, opanowały z czasem całe mieszkanie Szolginiów, w którym po prostu zabrakło ścian do ekspozycji wszystkich pamiątek.

Można tu było znaleźć i stare zdjęcia rodzinne, i dokumenty („Certyfikat przynależności, mocą którego gmina Skałat potwierdza, że Leon Szolginia [...] w tej gminie posiada prawo swojczyzny”), tajemniczy wachlarz z lwowskiego balu dobroczynnego w 1910 r.





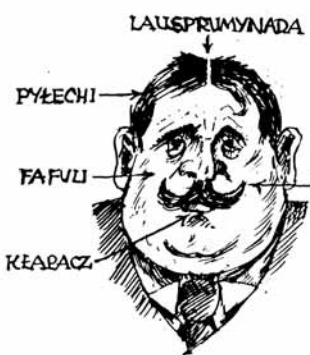
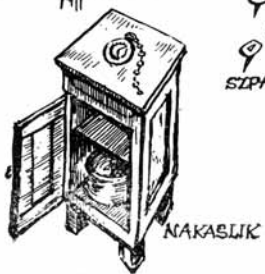
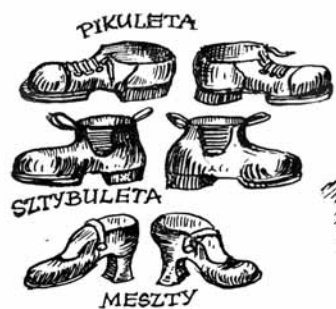
z autografami Makuszyńskiego, Kasprowicza, Sichulskiego i innych luminarzy, żołnierski beret słynnego Tońcia z gwiazdką otrzymaną od gen. Maczka czy papieski różaniec подарowany przez metropolitę lwowskiego Mariana Jaworskiego. Swe *leopolitana* gospodarz zaczął publicznie wystawiać, a następnie znaczną ich część przekazał w darze Muzeum Niepodległości, współtworząc tam wraz z przyjaciółmi z Towarzystwa Miłośników Lwowa zaczątek Kolekcji Leopolis (1992).

W „katakumbach” u Szolginiów na Górnym Mokotowie, najczęściej przy kutii sporządzanej przez panią Wandę, rodowitą warszawiankę, od lat siedemdziesiątych zbierała się lwowska hebra, czyli grono przyjaciół tworzących nieformalne „Koło Literacko-Artystyczne”. Spotkania zawsze łączono z prezentacją twórczości któregoś z gości lub gospodarza domu. Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz imienin Witolda stale bywali tu ze swymi żonami prof. Jan Ernst („Eryan”), prof. Kazimierz Matusiak, literaci i dziennikarze Adam Hollanek i Jerzy Janicki, a także plastyczka Iza Kulczyńska, kolega z ławy szkolnej śpiewak Andrzej Hiolski, a w późniejszym okresie ks. Janusz Popławski, kapelan TML. Kilkakrotnie uczestnikiem tych spotkań był też mecenas i poeta Witold Lis-Olszewski (pseud. Wojciech Leopolita). Organizowano ponadto spotkania specjalne, które uświetniał Tońcio (Henryk Vogelfänger) przy każdorazowym pobycie w Polsce i później, gdy zjechał na stałe do kraju.

W latach osiemdziesiątych bywał tu z żoną Wiesią aktor i piosenkarz Jerzy Michotek, śpiewając przy gitarze swe pieśni i ballady lwowskie, m.in. *Wierne Madonny* i *Dziesięciu batiarów*. Na jedną z uroczystości imieninowych Michotek napisał specjalnie dla gospodarza balladę *Lyczakowski Ślipunder*, odśpiewał przy aplauzie zgromadzonych i wręczył wzruszonemu solenizantowi kasety z nagraniem. Od tego momentu Witolda Szolginie, przez przyjaciół zwanego Tolem, w lwowskim towarzystwie czasem nazywano z batiańska Ślipundrem (z racji używanych przez niego okularów z grubymi szklami).

Mieszkanie przy Puławskiej 138 było zawsze otwarte dla lwowian. Goście wpisywali się gospodarzowi do sztambucha, zostawiając oprócz autografów piękne wiersze; pierwszy wpis należał do Jana i Ireny Parandowskich. Wybitnego pisarza rodem ze Lwowa, autora *Nieba w płomieniach*, pan Witold darzył szczególnym kultem; w 1978 r. pożegnał go w Alei Zasłużonych na Powązkach od Miasta Zawsze Wiernego. Szczycił się również przyjaźnią ze słynnym Tońciem z Wesołej Lwowskiej Fali, zapoczątkowaną serdeczną korespondencją po opublikowaniu *Domu pod Żelaznym Lwem*; trwała ona od pierwszej wizyty przy świątecznej kutii u Szolginiów aż do śmierci Tońcia w 1990 r. po powrocie z emigracji. Znajomość ta zaowocowała potem książką na temat Wesołej Lwowskiej Fali (1991).

Od końca lat siedemdziesiątych Witold Szolginia uczestniczył w mniej lub bardziej zakonspirowanych spotkaniach i zjazdach koleżeńskich: przedwojennych maturzystów VI Gimnazjum im. S. Staszica (w Mogilanach pod Krakowem, począwszy od 1979 r.), uczestników tajnego nauczania we Lwowie w latach 1942–1944 (Niepokalanów, Bardo Śląskie, Trzebnica) i wychowanków Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej (Wrocław, Kazimierz Dolny, Gliwice, Gdańsk).



Ilustracje Witolda Szolgini do wiersza O, Iwoski bataku... z tomiku Krajubrazy syrdeczny

Agonia PRL i odzyskiwanie przez Polskę suwerenności stworzyły nowe możliwości działania na rzecz „tamtego Lwowa”. Witold Szolginia należał do grona założycieli warszawskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa w 1988 r., był wiceprezesem i członkiem pierwszego Zarządu Oddziału (do 1994), organizatorem wielu prelekcji na tematy lwowskie. Od 1989 aż do śmierci w 1996 r., w każdą niedzielę i święto rano w Programie III Polskiego Radia głosił gawędy o Lwowie „Krajobrazy serdeczne”. Po przejściu na emeryturę w 1990 r. mógł już całkowicie poświęcić swój czas ukochanemu Miastu. Uważał za swój obowiązek przekazanie prawdy o „tamtym Lwowie” nie tylko wszystkim „wyoczyźnionym”, ale i tym, którzy Miasta pod Wysokim Zamkiem już nie mieli szczęścia znać. Te wspomnienia były dla niego „dobrami zastępczymi”, dzięki którym mógł przebywać duchowo w swej lwowskiej Ojczyźnie.

W opowiadaniu o Lwowie był niez mordowany. Żywy, „radiowy” głos z lekkim łyczakowskim zaśpiewem ułatwiał kontakt ze słuchaczami. Z cyklu cotygodniowych gawęd zrodził się pomysł *Tamtego Lwowa* („Sudety” – Oficyna Wydawnicza Wrocławskiego Oddziału PTTK, 1992–1997), zrazu obliczany na dwa tomy, a ostatecznie powiększony do ośmioksięgu – *opus magnum* jego życia; ostatnie dwa tomy ukazały się już po jego śmierci. Ich wartość rośnie wraz z upływem czasu, który nieubłaganie oddala nas od polskiego Lwowa.

„Za stałe utrwalanie pamięci o Lwowie w słowie i piśmie” Witold Szolginia jeszcze w 1981 r. otrzymał Krzyż Obrony Lwowa; legitymację podpisał gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. „Żył najszlachetniej, najgodniej jak tylko można [...], żywy pomnik Polaka, takiego, jakim by się bardzo pragnęło zostać, ale zostać trudno. Z nikim nieskłócony, etycznie absolutnie czysty” – powiedział nad jego grobem na Powązkach Adam Hollanek, zanim na trumnę spadły grudki ziemi z Cmentarza Orłąt, lwowskiego Campo Santo, a mogiłę przykryły kwiaty z szafirowo-czerwonymi szarfami.

We wstępie do pośmiertnie wydanego tomu *Arcylwowanie* zacytował swoją ulubioną łacińską sentencję: *Feci, quo potui – faciant meliora potentes* (Zrobiłem, co mogłem – lepiej niech zrobią ci, którzy potrafią). W innej wersji tego porzekadła występuje słowo *sequentes*, czyli następcy.

### Książki Witolda Szolginia o dawnym Lwowie

- *Dom pod Żelaznym Lwem*, IW PAX, Warszawa 1971 (wyd. 1); KAW, Warszawa 1989 (wyd. 2).
- Tolu z Łyczakowa, *Krajubrazy syrdeczny*, Wyd. Waldemar Markowski, Bytom 1986.
- Tolu z Łyczakowa, *Kwiaty lwowskie*, Wyd. Waldemar Markowski, Bytom 1987.
- *Historiografia architektury i urbanistyki dawnego Lwowa*, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1989.
- *Ikonografia dawnego Lwowa*, cz. 1: *Najstarsze widoki Lwowa*, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1991.
- *Na Wesołej Lwowskiej Fali*, Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1991.
- *Tamten Lwów*, t. 1: *Oblicze miasta*, t. 2: *Ulice i place*, t. 3: *Świątynie, gmachy, pomniki*, t. 4: *My, lwowianie*, t. 5: *Życie miasta*, t. 6: *Rozmaitości*, t. 7: *Z niebios nad Lwowem*, t. 8: *Arcylwowanie*, Oficyna Wydawnicza Sudety, Wrocław 1992–1997.
- *Pudelko lwowskich wspomnień pełne*, Oficyna Wydawnicza Sudety, Wrocław 1994.
- *Kwiaty lwowskie. Krajubrazy syrdeczny*, Oficyna Wydawnicza Sudety, Wrocław 1995.

# KURLANDZKI SARMATA Z WYBORU

**KSIĄDZ AUGUSTYN MEDNIS (1932–2007)**

Było to w 1995 r. Wraz z żoną przez dwa tygodnie gościliśmy u ks. Józefa Wołczańskiego we Lwowie. Ksiądz Józef mieszkał wówczas na Łyczakowie, owocnie wertując przebogate archiwa lwowskie. W tamtym czasie na piętrze domu przy ulicy Sahajdacznego, gdzie się zatrzymaliśmy, mieszkał także ówczesny biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej Marcjjan Trofimiak<sup>1</sup>. Zaiste niezwykła była atmosfera tego domu, pełna ciekawych rozmów i spotkań w otoczeniu bogatych zbiorów bibliotecznych i archiwalnych.

Po kilkudniowym pobycie we Lwowie, przyszła kolej na podróż galicyskie. Zwiedziliśmy Sambor, sanktuarium w Rudkach i Przemyślany. Wtedy ks. Józef zaproponował: „Koniecznie musicie odwiedzić ks. Augustyna Mednisa, proboszcza w Chodorowie”<sup>2</sup>. Pomysł spotkania gorąco poparł bp Trofimiak, jak się okazało, przyjaciel ks. Mednisa, dzielący z nim podobne zainteresowania artystyczne. Wybraliśmy się więc do Stryja, gdzie w tym czasie ks. Augustyn zastępował miejscowego proboszcza.

Słyszałem o łotewskim kapłanie, od wielu lat pracującym na Ukrainie, ale dotąd nie miałem okazji go poznać. Należał do grupy kilku księży urodzonych na Łotwie, którzy podjęli pracę duszpasterską na Ukrainie w końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. W tym czasie przewaga Kościoła łotewskiego nad ukraińskim polegała na tym, że posiadał własne seminarium duchowne w Rydze, a więc mógł – co prawda w sposób bardzo ograniczony – uzupełniać skład osobowy duchowieństwa. Bez pomocy kapłanów łotewskich Kościół w wielu miejscowościach na Ukrainie praktycznie by zamarł, ponieważ władze sowieckie nie pozwalały na przyjmowanie do tego seminarium młodych ludzi z Ukrainy. To właśnie dzięki przybyzsom z dalekiej Łotwy mogły nadal działać kościoły w Samborze, Mościskach, Stryju, Żytomierzu, Chmielniku i wielu innych miejscowościach.

Oryginalność postaci ks. Augustyna wzmocniło to, co zasłyszałem z opowieści jednego ze znajomych ze Wschodu, że własnoręcznie haftował ornaty. I to jak haftował! To były prawdziwe perełki wyczelowane ręką mistrza. Dodajmy do tego – by mieć pełny obraz tej nietuzinkowej postaci – osobistą kolekcję duchownego: okazały zbiór archiwaliów, dzieł sztuki związanych w dużej mierze z polską kulturą duchową, dużą bibliotekę wielojęzyczną z ogromnym działem polskim.

Do Stryja pojechaliśmy koleją. Po opuszczeniu Lwowa, niemal tuż za rogatkami miasta, zobaczyliśmy na dalekim horyzoncie szczyty Karpat. Po drodze przystanek kolejowy

<sup>1</sup> Bp Marcjjan Trofimiak (ur. 16 kwietnia 1947) święcenia kapłańskie otrzymał w 1974 r. w Rydze na Łotwie z rąk kard. Juliansa Vaivodsa. 16 stycznia 1991 r. został mianowany biskupem pomocniczym we Lwowie (sacré biskupią przyjął z rąk kard. Mariana Jaworskiego 2 marca 1991 r.), a 25 marca 1998 r. – ordynariuszem diecezji łuckiej. Jest wiceprzewodniczącym Konferencji Rzymskokatolickiego Episkopatu Ukrainy.

<sup>2</sup> Ks. J. Wołczański, *Przybysz z Północy. W 60 rocznicę urodzin ks. Augustyna Mednisa*, „Gość Niedzielny” 1992, nr 14.



Fot. A. Hlebowicz

Ks. Augustyn Mednis na zamku w Łucku

– Szczerzec. To jedna z bardzo niewielu miejscowości archidiecezji lwowskiej, gdzie po 1945 r. działała nieprzerwanie katolicka parafia. Najpierw, przez długie lata, pracował tu jezuita o. Ludwik Seweryn. Od początku lat siedemdziesiątych jego dzieło z dobrym skutkiem kontynuował ks. Mednis.

Nareszcie dojeżdżamy do Stryja. Ładne, uporządkowane miasto, z klasycystycznym, galicyjskim rynkiem. To

tu znajduje się sanktuarium Matki Bożej „Piastunki Ludzkich Nadziei”. Z zakrytych wyszedł do nas, szeroko otwierając ramiona, ks. Augustyn. Już sam jego wygląd był niekonwencjonalny. Pociągała twarz okolona szpakowatymi, dość długimi włosami. Przenikliwy wzrok, pogodny uśmiech na twarzy. Piękna polszczyzna, wypowiedzana powolnie z kresowym akcentem, od razu złamała wszelkie bariery pomiędzy nami. Zaskoczyłem go znajomością wschodnich, zwłaszcza katolickich realiów, on zaś nas – wspaniałym rozeznanie i odczytaniem w polskiej literaturze. Chyba przypadliśmy sobie do gustu. Szybko pojąłem, że mam przed sobą jeden z fenomenów dawnej polskiej kultury duchowej, Sarmatę w najlepszym wydaniu. Jednak, jak się okazało, ks. Augustyn nie wyniósł znajomości polszczyzny z kraju rodzinnego. Pochodził bowiem z Kurlandii, z diecezji lipawskiej, a nie z Inflant Polskich, czyli Łatgalii, gdzie polskość była na tyle interesująca, że nawet osoby o niewątpliwie niemieckim rodowodzie ulegały z czasem wpływom polskiej szlachty, by w końcu zupełnie naturalnie zadomowić się w naszym języku i naszej kulturze.

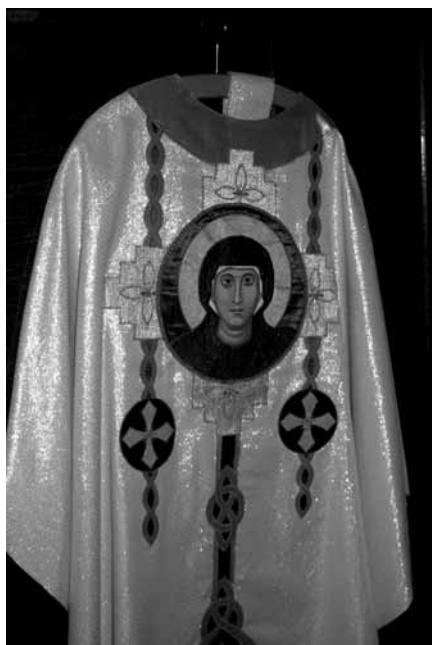
Urodził się w 1932 r. Po święceniach kapłańskich w 1958 r. przez kilka lat pracował w parafiach łotewskich, w tym przez krótki czas jako wikary w Iłłuszkcie i Dyneburgu<sup>3</sup>. Kiedy u schyłku lat sześćdziesiątych bp Julians Vaivods zapytał go, czy nie podjąłby pracy duszpasterskiej w archidiecezji lwowskiej, był skonsternowany.

– A w jakim języku tam się ludzie modlą? – Po polsku. – Ależ ja nie znam dobrze tego języka! Jednak zdecydował się na ten wyjazd. Być może wpływ na jego decyzję miał ks. Kazimierz Mączyński, Polak z Łotwy rodem, który już wcześniej wyjechał na Ukrainę, a teraz potrzebował wsparcia.

Od 1969 r. pracował zatem ks. Augustyn w archidiecezji lwowskiej, duszpasterską opieką obejmując parafie Sambor, Mościska i św. Antoniego we Lwowie. W 1971 r. został proboszczem w Szczercu, a trzy lata później – po aresztowaniu ks. Bernarda Mickiewicza – objął także parafię w Stryju. Ksiądz Mickiewicz, kolejny ziomek z Łotwy, został aresztowany w latach siedemdziesiątych (sic!) za nauczanie młodych ludzi religii i za pomoc udzielaną podziemnemu Kościołowi grekokatolickiemu. Tak się zaczęła przygoda ks. Mednisa z polską kulturą.

<sup>3</sup> Bp J. Cakuls, *Latvijas Romas katolu priesteri 1918–1995*, Riga 1996; bp J. Cakuls, *Latvijas Romas Katolu Draudzes*, Riga 1997.





Fot. A. Hlebowicz

Ornat autorstwa ks. Augustyna

Łotysz czystej krwi przyjeżdża na sowiecką Ukrainę, gdzie w latach rozkwitu breżniewszczyzny poznaje i zakochuje się bez pamięci w polskim języku i polskiej kulturze. A tej kultury uczył się od ludzi wykształconych i wychowanych w II Rzeczypospolitej, od swoich współbraci kapłanów: Ignacego Chwiruta<sup>4</sup>, Zygmunta Hałuniewicza<sup>5</sup>, Bronisława Mireckiego<sup>6</sup>, prof. Henryka Mosinga<sup>7</sup>, Jana Olszańskiego<sup>8</sup>, Jana Szeteli<sup>9</sup> i franciszkanina Rafała Kiernickiego<sup>10</sup>. Była ich zaledwie garstka, rozproszonych na olbrzymim terenie Galicji, ale to była prawdziwa elita – przedwojenni doktorzy po studiach zagranicznych, prałaci, a nade wszystko gorliwi i szczerze oddani Bogu duchowni.

Po latach spoglądam na fotografię ze Stryja. Stoimy we trójkę, razem z ks. Wołczańskim, zdjęcie robiła moja żona. Ksiądz Augustyn pośrodku, uśmiechnięty, patrzy w obiektyw spod półprzykryniętych powiek. Opowiadał nam wtedy m.in. o swej służbie w armii sowieckiej. Jesienią 1954 r., po pierwszym roku studiów teologicznych w seminarium ryskim, wraz z innymi kolegami został

<sup>4</sup> Ks. Ignacy Chwirut (1887–1973), kapłan archidiecezji lwowskiej, kanonik kapituły lwowskiej, sędzia synodalny, protonotariusz apostolski, dyrektor spółki wydawniczej „Biblioteka Religijna”, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Teologicznego we Lwowie i „Przeglądu Teologicznego”, w latach 1945–1950 więziony przez władze sowieckie, długoletni proboszcz kościoła św. Antoniego we Lwowie, zmarł we Lwowie.

<sup>5</sup> Ks. Zygmunt Hałuniewicz (1889–1974), kapłan archidiecezji lwowskiej, kanclerz kurii, kanonik kapituły lwowskiej, w latach 1945–1955 więziony przez władze sowieckie, zmarł we Lwowie.

<sup>6</sup> Ks. Bronisław Mirecki (1903–1986), kapłan archidiecezji lwowskiej, w czasie wojny misjonarz na terenach Ukrainy wschodniej, w okresie powojennym przez 15 lat pozbawiony prawa wykonywania obowiązków duszpasterskich, potajemnie odwiedzał środowiska katolickie w Kazachstanie, na Krymie, w Rosji, zmarł w Hałuszczynach.

<sup>7</sup> Ks. prof. Henryk Mosing (1910–1999), działacz „Odrodzenia”, profesor medycyny, święceń kapłańskich w 1960 r. udzielił mu potajemnie kard. S. Wyszyński; podziemny duszpasterz w Rosji, Kazachstanie, na wschodzie Ukrainy, twórca i wykładowca podziemnego seminarium duchownego we Lwowie, zmarł we Lwowie.

<sup>8</sup> Bp Jan Olszański (1919–2003), kapłan archidiecezji lwowskiej, proboszcz w Gródku i Manikowcach, długoletni duszpasterz środowisk katolickich na Podolu, od 1991 r. ordynariusz diecezji kamieniecko-podolskiej, zmarł w Kamieńcu Podolskim.

<sup>9</sup> Ks. Jan Szetela (1912–1994), kapłan diecezji przemyskiej, proboszcz w Nowym Mieście, w latach 1950–1955 więziony przez władze sowieckie, ukryty duszpasterz środowisk greckokatolickich, w 1990 r. wyjechał do Polski na leczenie, zmarł w Grodzisku k. Strzyżowa.

<sup>10</sup> Bp Rafał Kiernicki OFM Conv (1912–1995), franciszkanin konwentalny, kurator „Juventus Christiana”, w czasie wojny kapelan AK, w okresie 1944–1948 więziony przez władze sowieckie, długoletni proboszcz katedry we Lwowie, duszpasterz środowisk greckokatolickich, w 1991 r. mianowany sufraganiem archidiecezji lwowskiej, zmarł we Lwowie.

powołany do wojska. Był to pierwszy pobór kleryków z ryskiego seminarium, obliczony na odciążenie ich od zamiaru przyjęcia święceń kapłańskich lub na wciągnięcie w orbitę działań sowieckich służb specjalnych. Poborowy znalazł się w jednostce wojsk taboru kolejowego w Baku, odosobniony od innych katolików, od życia sakramentalnego, od Kościoła. Niemal natychmiast stał się przedmiotem zainteresowania KGB. Ale już po roku z powodów zdrowotnych udało mu się wydostać z wojska i mógł kontynuować przerwane studia teologiczne w Rydze.

Po naszym powrocie z Ukrainy pisywaliśmy do siebie, gdzieś w przelocie mieliśmy krótkie spotkania. Około 2000 r. dowiedziałem się, że ks. Augustyn podążył za swym przyjacielem bp. Marcjanem Trofimiakiem do diecezji łuckiej; że pracuje przy katedrze oraz zakłada diecezjalne muzeum. Już wcześniej za swą pracę na rzecz ratowania skarbów kultury archidiecezji lwowskiej został odznaczony przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa RP Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Należy podkreślić, że skarby te odnajdywał nierzadko samodzielnie i to w czasach głębokiego komunizmu. Później wielokrotnie udzielał pomocy wolontariuszom z Koła Naukowego Studentów Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, którzy pod kierunkiem dr. Adama Betleja przeprowadzali inwentaryzację sakralnych obiektów zabytkowych na terenie archidiecezji lwowskiej i diecezji łuckiej. Plonem tych prac jest kilka tomów wydanych pod wspólnym tytułem *Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej*.

W styczniu 2005 r. nadarzyła się okazja, żeby zrobić film dokumentalny o Wołyniu, a ściślej mówiąc o Ostrogu i jego nieprzeciętnym proboszczu, ks. Witoldzie Józefie Kowalowie, o Krzemieńcu, o odbudowywanym się kościele w Szumsku, o Łucku i bp. Trofimiaku, a wreszcie o Torczynie i ks. Augustynie. Do Torczyna ks. Mednis trafił w ostatnich latach. Każdego dnia dojeżdżał jednak do pobliskiego Łucka, gdzie tworzył Muzeum Diecezjalne.

W muzeum mogliśmy obejrzeć ornaty szyte ręką mistrza, pozbierane z różnych kościołów, a potem muzeów i magazynów fragmenty ołtarzy, kielichy mszalne, złote i patynowane monstrancje, obrazy o tematyce sakralnej, nierzadko pod groźbą represji ukrywane przez całe lata przez zwykłych ludzi, rzeźby świętych. Na oknach suszyły się kwiaty, przygotowywane już z myślą o Niedzieli Palmowej. Tymczasem był styczeń, zaś Wielki Tydzień tego roku wypadł dopiero w kwietniu. Niezapomniane chwile, dobrze, że utrwalone na taśmie filmowej.

W Ostrogu, gdzie gospodarzem jest do dziś ks. Witold Józef Kowalów, była okazja do porozmawiania o ks. Augustynie. Jak się okazało, ks. Witold, góral rodem z Poronina, kiedy jeszcze jako kleryk, a potem diakon, przyjeżdżał z kolegami na praktyki duszpasterskie na Ukrainę, trafił pod opiekuńcze skrzydła łotewskiego kapłana, który zapewniał im dach nad głową, stałe posiłki i wprowadzał w świat realiów sowieckich czy postsowieckich<sup>11</sup>. Kleryków z Polski szokowała niezwykła erudycja ks. Augustyna, znacznie przewyższająca ich wiedzę, tym bardziej że oni przybywali z matecznika polskiej kultury – Krakowa, a tutaj była sowiecka Ukraina.

Kiedy wynikła kwestia noclegu w drodze powrotnej z Ostroga i Krzemieńca, ks. Augustyn z uśmiechem rozwiązał problem – musicie przyjechać do mnie, do Torczyna, i zobaczyć moje codzienne królestwo. Było w istocie wspaniałe. Drewniany kościół został spalony przez UPA w 1944 r. Staraniem ofiarodawców z Niemiec, także Polaków wywodzących

<sup>11</sup> Ks. W.J. Kowalów, *Ks. kan. Augustyn Mednis*, [www.ekumenizm.pl](http://www.ekumenizm.pl).

się z Torczyna, a przede wszystkim ówczesnego proboszcza ks. Marka Gmitruka, 54 lata później świątynia została wzniesiona na nowo. Była to pierwsza konsekracja zbudowanego od podstaw kościoła rzymskokatolickiego na Wołyniu po II wojnie światowej. Kościół i plebania stanęły na dawnym cmentarzu<sup>12</sup>. W obszernej i gościnnej plebanii pomieściła się cała ekipa filmowa, a my mieliśmy okazję do długiej wieczorno-nocnej rozmowy – o dzisiejszej Łotwie, zmianach religijnych dokonujących się we współczesnym świecie, o chorobie papieża. Rano na całą ekipę czekało już obfite śniadanie, przygotowane przez gospodarza, który nie pozwolił, żeby mu ktokolwiek w tym pomagał. Ciężko było się rozstać. Przed odjazdem jeszcze rzut oka na miejscowy przykościelny cmentarz, raczej symboliczny, z tablicą zawierającą spis ludzi tu pochowanych, których ciała udało się zidentyfikować. Osobno stał jedynie nagrobek legendarnego pułkownika Leopolda Lisa-Kuli, poległego na przedmieściach Torczyna w 1919 r. Trochę zdjęć i spokojna uwaga ks. Augustyna: tu będę chciał być pochowany. – Jeszcze ma ksiądz czas – powiedziałem wtedy z przekonaniem.

Fot. A. Hlebowicz



Katedra w Łucku

Wtedy dużo pisywaliśmy do siebie, było kilka rozmów telefonicznych. W maju 2005 r. ks. Augustyn pisał: „Ostatnie tygodnie to wręcz nieprzerwane ślęczenie przed telewizorem. Oczywiście – co z Watykanem? Cóż – »król umarł, niech żyje król«. Bolesne to, ale taka jest kolej dziejów. I tak jesteśmy szczęśliwi, że dane nam było być świadkami tego długiego i wspaniałego pontyfikatu śp. Ojca Świętego – naszego Papieża! Trzeba się godzić z tym, że nic nie może na ziemi trwać wiecznie, na naszej ziemi”.

Kiedyś zapytałem ks. Augustyna, czy nie tęskni za rodzinnymi stronami? Odpowiedział, że nic tam nie pozostawił. – Bliscy odeszli do wieczności, świat w ciągu trzydziestu kilku lat od wyjazdu z Łotwy diametralnie się zmienił, więc po co miałbym wracać? W Kurlandii katolików niewiele. Mój teraźniejszy świat jest tutaj, na Wołyniu, wśród Polaków, Ukraińców i Rosjan – dopowiedział.

Cieszyłem się z jego siedemdziesięciopięcioletnia. Niedługo po jubileuszu nadeszła jednak bardzo smutna wiadomość o śmierci ks. Augustyna. Zmarł 10 marca 2007 r. Krótka choroba, pobyt w łuckim szpitalu i śmierć. Miał czas, żeby się pożegnać z bliskimi sobie osobami. Do bp. Marcjana Trofimiaka podczas ostatniego ich spotkania na ziemi powiedział: „Chwała Ojcu i Synowi. Odchodzę”. Umarł tak jak żył, z wielką godnością.

Kiedy odchodzą z tego świata ludzie dobrzy, cisi i skromni, oddani nade wszystko drugiemu człowiekowi, a zatem i Bogu, powstaje wokół nas pustka. Wiemy, że coś z nas ubyło. To coś, co jest nie do zastąpienia. Wierzmy, że pustka ta wypełni się w przyszłym, wiecznym życiu.

<sup>12</sup> M.A. Koprowski, *Między Bugiem a Styrem*, Biały Dunajec–Ostróg 2008, s. 64–75.

# ROMAN AFTANAZY

**Piękno polskich dworów zachwycało go już w dzieciństwie. Przeżywał, że życie i kultura ziemiańska odchodzą w przeszłość. Dokumentowaniu kultury polskiego dworu na Kresach poświęcił się bez reszty – Roman Aftanazy, autor monumentalnego wieloksięgu *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*.**

Włodzimierz Roman Aftanazy (później używał tylko drugiego imienia) urodził się 2 kwietnia 1914 r. w Morszynie koło Stryja w województwie stanisławowskim w rodzinie urzędnika kolejowego. W tych samych miejscowościach uczęszczał do szkoły powszechnej, maturę uzyskał w I Gimnazjum Klasycznym (ośmioklasowym, tzw. dawnego typu, z nauką greki i łaciny) w 1934 r. w Stryju. Studia wyższe w zakresie historii, rozpoczęte we Lwowie w 1934 r. na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza i kontynuowane na tajnym nauczaniu, ukończył w 1942 r. Na podstawie pracy *Szkolnictwo polskie w czasach Księstwa Warszawskiego (1807–1816)* Rada Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu (stanowiły wówczas jedną uczelnię) nadała mu stopień magistra filozofii.

Podczas II wojny światowej, od stycznia 1940 r., pracował w Zarządzie Zdrojowym w Morszynie, początkowo fizycznie, później jako urzędnik. Od kwietnia 1944 r., przez prawie dwa lata, był pracownikiem różnych działów Biblioteki Ossolineum we Lwowie; brał udział w zabezpieczaniu zbiorów po bombardowaniach wiosną tego roku, także w przeniesieniu ich do klasztoru i podziemi kościoła Dominikanów.

Na początku stycznia 1945 r., zapewne w wyniku donosu, że brał udział w rozpowszechnianiu pism konspiracyjnych, został aresztowany przez NKGB i osadzony w więzieniu przy ul. Łackiego. Przetrzymywany przez cztery miesiące, poddany był ciężkiemu śledztwu. Po wypuszczeniu z więzienia został przywrócony do pracy.

Kiedy w latach 1945–1946, w wyniku zarządzeń ukraińskich władz partyjno-rządowych, w Bibliotece Ossolineum dokonywano wydzielenia dzieł z jej zbiorów do tzw. daru narodu ukraińskiego dla Polski, prace te zlecono pracownikom polskim (wśród nich był Roman Aftanazy), ale ostateczną decyzję co do zawartości tego „daru” podejmowała strona ukraińska. Udało się jednak przemycić trochę wydawnictw lwowskich i książek dotyczących ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Wraz z prof. Mieczysławem Gębarowiczem oraz kilkoma najbardziej zaufanymi pracownikami Ossolineum i we współpracy z do-



Fot. T. Kukiz



Ganek dworu w Uchwiszczu, 1918 r.

minikanami (głównie z o. Pawłem Kielarem) Aftanazy uczestniczył w potajemnym przewożeniu do Polski części niezinventaryzowanych zbiorów, sam zaś, wyjeżdżając ze Lwowa w 1946 r., przewiózł i zdeponował w Bibliotece Jagiellońskiej komplety lwowskich konspiracyjnych pism z czasów wojny: „Słowo Polskie” i „Wytrwamy”.

W lipcu 1946 r. był członkiem wrocławskiej delegacji, która w Przemyśle przejmowała pierwszą

partię zbiorów Ossolińskich, zwaną cynicznie „darem”, oraz zbiory muzealne i Panoramę Raławicką. W marcu 1947 r. na przejściu granicznym w Medyce uczestniczył w odbiorze drugiej części „daru”. Po osiedleniu się we Wrocławiu początkowo pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej. W czerwcu 1948 r. powrócił do Ossolineum, gdzie zatrudniony został na stanowisku kustosa (tak też był tu zawsze tytułowany) – kierownika Działu Gromadzenia i Uzupelniania Zbiorów. Jego zabiegi i starania owocowały pozyskiwaniem nierzadko bezcennych książek – w antykwiariatach, na aukcjach, a także z księgozbiorów prywatnych, zwłaszcza podworskich. W ciągu 32 lat pracy doprowadził do czterokrotnego wzrostu zbiorów bibliotecznych; przez jego ręce przeszły niemal wszystkie książki zgromadzone w magazynie.

W roku 1981 został emerytem, ale zatrudniony był jeszcze w niepełnym wymiarze godzin do października 1987 r. Wieloletnią pracę Romana Aftanazego w Bibliotece Ossolineum upamiętniono bibliofilską publikacją z okolicznościowym przemówieniem dyrektora



Front dworu w Ożeninie, przed 1939 r.

ra i przedrukami dwu najwcześniejszych wrocławskich artykułów Kustosza: *Jak zbiory Ossolineum odbyły drogę do swej ostatecznej siedziby...* i *Gmach Świętego Macieja. Siedziba Ossolineum we Wrocławiu*.

Właśnie w tym najwcześniejszym okresie zamieszkania we Wrocławiu, już parę miesięcy po przyjeździe i w kilku następujących latach, Roman

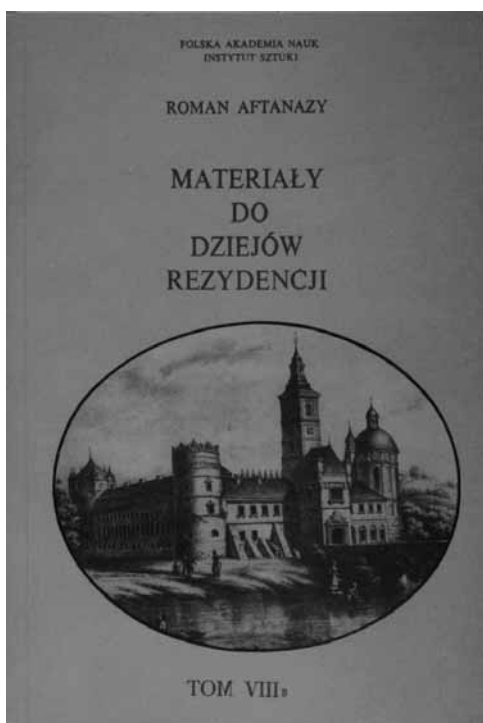
Aftanazy ogłosił w prasie („Słowo Polskie”, „Dziennik Zachodni”, „Odra” i in.) wiele artykułów o tym mieście, o Dolnym Śląsku i Ossolineum, pragnąc zapewne przybliżyć je nowym mieszkańcom. Później w prasie już nie publikował; powrócił do rozpoczętego



Fragment salonu dworu w Oknie, przed 1939 r.

przed wojną gromadzenia materiałów i opracowywania dziejów rezydencji.

Jak to nieraz bywa, jego zainteresowanie tą tematyką, które z czasem przerodziło się w pasję, powstało dość przypadkowo. Oto przyjeżdżając do Morszyna-Zdroju na kurację Jadviga Smolkówna, siostra właścicielki dóbr w Nowoszycach na Polesiu Marii Ordziny (z tej rodziny wywodził się słynny rysownik Napoleon Orda), poznała matkę Romana Aftanazego i kiedyś zapytała ją, czy syn chciałby zobaczyć prawdziwy dwór polski, taki, jaki opisują Maria Rodziewiczówna i Józef Weysenhoff. Kilkunastoletni wówczas chłopak był tą propozycją zachwycony. Dwór nowoszycki był niewielki, ale stylowy, staropolski, miał wszystkie dobre cechy ziemiańskie, a niedaleko znajdował się dwór szczególnie przez Aftanazego ulubiony: przepiękny Mołodów Skirmuntów. Przyszły autor *Dziejów rezydencji* już wówczas miał „jakaś podświadomą pewność, że życie ziemiańskie w takiej postaci, w jakiej istniało dotąd, kończy się”. Zaczął fotografować te dwory „na pamiątkę”. Jeździł do innych dworów i pałaców, także w głąb Polski, i też je fotografował, a czasem opisywał i pod pseudonimem Ksawery Niedobitowski publikował w popularnych pismach, takich jak „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „Światowid”, „As”. Do 1939 r. ogłosił co najmniej kilkanaście artykułów.



Fot. P. Życieński



Fot. P. Życieński

Grób Romana Aftanazy  
na warszawskich Powązkach

Zebrane przed wojną materiały ikonograficzne kilkudziesięciu dworów i pałaców szczęśliwie ocalały. Kiedy więc Aftanazy znalazł się w 1946 r. we Wrocławiu, zaczął się zastanawiać, co z nimi dalej robić. Wobec utraty przez Polskę ziem wschodnich, zdecydował, że zajmie się wyłącznie rezydencjami na Kresach i to w granicach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Postanowił bowiem udokumentować świat kultury ziemiańskiej, który pozostał poza granicami Polski.

W pierwszych dziesięcioleciach PRL dotarcie do położonych tam miejscowości było praktycznie niemożliwe, toteż źródłami informacji – oprócz archiwów, bibliotek i muzeów – mogły być tylko relacje ostatnich właścicieli. Aftanazy szukał ich po całym świecie. Opracował szczegółową ankietę i codziennie wysyłał kilka listów; robił to przez ponad czterdzieści lat, jak szacował – wysłał kilkadziesiąt tysięcy listów. Nierzadko do tej samej osoby trzeba było pisać kilkakrotnie, by w końcu otrzymać kompletne informacje o opisywanym obiekcie. Oprócz ankiet zgromadził ok. 7 tys. rycin i fotografii, które po wykonaniu odbitek odsyłał.

Zebrane materiały stanowiły podstawę do opracowania dziejów blisko 1,5 tys. rezydencji. A wszystko to robił w godzinach popołudniowych i wieczorami, poświęcając cały swój wolny czas, gdyż w okresie PRL o temacie „dworskim” rada naukowa Zakładu nawet słyszeć nie chciała. Nie otrzymał też od nikogo wsparcia moralnego ani finansowego. Po latach mówił: „Samotność pomogła mi w tej pracy” (nie założył rodziny).

Cały czas nie miał najmniejszej nadziei, że ta praca ukaże się w druku. A jednak... Do jej wydania przyczynił się przede wszystkim wybitny historyk sztuki prof. Tadeusz Chrzanowski, który namówił Andrzeja Ciechanowieckiego, znanego londyńskiego kolekcjonera, do sfinansowania druku. Obaj zwrócili się do dyrektora Instytutu Sztuki PAN w Warszawie prof. Stanisława Mossakowskiego, który po krótkim wahaniu wyraził zgodę na publikację. Cenzura jednak ograniczała nakład do 200 egzemplarzy i to pod warunkiem że będą dostępne jedynie pracownikom naukowym. Redaktor dzieła Andrzej Baranowski „wymyślił” tytuł – *Materiały do dziejów rezydencji* – bez sprecyzowania, że chodzi o Kresy Wschodnie. Ostatecznie, pierwsza część, obejmująca 4 tomy, ukazała się w nakładzie 500 egzemplarzy, a część druga (7 tomów) – w 1000. Całość wyszła w latach 1986–1993 i obejmuje 11 tomów, każdy w dwóch woluminach: oddzielnie tekst i oddzielnie ilustracje. Na pierwszej stronie każdego tomu widnieje nazwisko fundatora – Andrzeja Ciechanowieckiego.

Jeszcze przed ukończeniem edycji Instytutu Sztuki zaczęły się ukazywać tomy drugiego wydania (w większym formacie i w wysokim nakładzie), rozpoczętego we Wrocławiu przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; tym razem ilustracje zamieszczono łącznie z tekstem. Nowy tytuł – *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej* – już odpowiadał treści dzieła; wyszło ono w latach 1991–1997.

Jak wysoko cenione jest dzieło życia Romana Aftanazego, świadczą liczne nagrody, którymi został za nie obsypany i to jeszcze przed ukazaniem się w całości pierwszej edycji (ale pisał do mnie: „Nie moja to zasługa, lecz tematu”). Pierwsza nagroda nadeszła z Ministerstwa Kultury, po niej z Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie (w Londynie) i z Polskiej Akademii Nauk. W latach następnych otrzymał kolejne nagrody: Fundacji Władysława i Nelly Turzańskich z Toronto, Rady Miasta Wrocławia, Redakcji „Przeglądu Wschodniego”, Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka, a przede wszystkim najbardziej prestiżową Nagrodę Fundacji Nauki Polskiej, zwaną polskim Noblem. Co najmniej część pieniędzy uzyskanych z nagród (a może wszystkie) przeznaczył na cele społeczne.

Kiedy 2 kwietnia 2004 r. kończył dziewięćdziesiąty rok życia, wzbraniał się przed jubileuszem. Skromna uroczystość odbyła się w jego mieszkaniu w jednym z wrocławskich wieżowców: dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich dr Adolf Juzwenko i przewodniczący Rady Kuratorów Zakładu prof. Janusz Degler złożyli Romanowi Aftanazemu życzenia i wręczyli List Gratulacyjny, w którym napisano m.in.: „Pana wielkie dokonania patriotyczne, biblioteczne i naukowe stanowią piękną kartę w dziejach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”. Uroczystość tę odnotowała wrocławska prasa.

Roman Aftanazy do końca życia zachował jasność i żywość umysłu, poczucie humoru, wielką życzliwość dla ludzi. Zmarł 7 czerwca 2004 r. Uroczystości pogrzebowe odbyły się we Wrocławiu i w Warszawie; urna z jego prochami została złożona w grobie na Cmentarzu Powązkowskim.

*Artykuł wcześniej ukazał się w kwartalniku „Cracovia Leopoldis” 2005, nr 1, s. 10–12, i na portalu [www.cracovia-leopoldis.pl](http://www.cracovia-leopoldis.pl). Reprodukcyjne zdjęcia dworów pochodzą z I wyd. dzieła „Materiały do dziejów rezydencji”.*

Fasada ogrodowa pałacu w Podhorcach, stan obecny





# POD BIAŁYM ORŁEM NA BIAŁORUSI

**Z ANDŻELIKĄ BORYS I JÓZEFEM PORZECKIM  
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

**B.P.** – W Polsce stosunkowo niewiele osób ma jakąkolwiek wiedzę o losach naszych rodaków żyjących na przedwojennych Kresach Wschodnich. Niewielu z nas wie, jaką cenę musieli oni zapłacić, żeby pozostać Polakami. Warto tę wiedzę wzbogacić. Nie chodzi jedynie o historyczne spojrzenie, ale także o ten rodzaj świadectwa polskości, które dawali i dają Polacy na Wschodzie. Owszem, nie brakuje dramatycznych polskich losów i heroicznych postaw naszych rodaków w obronie własnej tożsamości na Zachodzie, jednak Polacy żyjący na dzisiejszej Białorusi nie tylko przetrwali najtrudniejsze czasy sowieckiego imperium, ale również przenieśli swoją polskość aż do czasów współczesnych, które zresztą wciąż dalekie są od komfortu i spokoju.

Fot. P. Życieński



**J.P.** – Polacy na Kresach wnieśli swój olbrzymi wkład do walki o niepodległość Polski (zarówno w okresie tym najdawniejszym, uczestnicząc w powstaniach narodowych, jak również w czasie odbudowy państwa polskiego po odzyskaniu niepodległości i podczas II wojny światowej), gdy uczestniczyli w walce o to, by Polska pozostała na mapie Europy. Trzeba wspomnieć o ówczesnym bohaterstwie i nieprzejednanej postawie Polaków mieszkających na ziemi grodzieńskiej, brzeskiej, na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Pokolenie, które przeżyło wojnę, odznaczało się niezwykłą siłą pozwalającą mu na przeżycie kolejnych bardzo trudnych doświadczeń także po jej zakończeniu. Walczyli oni o Polskę. I nagle – chociaż zawsze tu byli, tu były ich korzenie z dziada pradziada, choć nigdzie nie wyjeżdżali i znikąd nie przybyli – znaleźli się na obczyźnie. Gdy z powodów politycznych granica została przesunięta na zachód, zostali postawieni przed koniecznością bronięcia swojej przynależności do narodu polskiego. Polacy na Kresach, płacąc niejednokrotnie za to ogromną cenę, zachowali postawę wierności swoim ideałom i odwiecznemu hasłu naszych przodków – „Bóg, Honor, Ojczyzna” – i przekazali je kolejnym pokoleniom.

**B.P.** – Polacy stali się mniejszością narodową w państwie, które w swej polityce narodowościowej kierowało się jednoznaczną pragmatyką, zmierzającą do wynarodowienia, sowietyzacji i pełnego podporządkowania komunistycznej władzy i jej ideologii.

**A.B.** – I te doświadczenia były udziałem kolejnych pokoleń. Mogę np. wspomnieć o Polaku, który odbywając służbę wojskową, mówił kolegom o „Solidarności”.

**J.P.** – Polacy, narażając się na różnego rodzaju szykany i prześladowania ze strony władz, bronili własnej tożsamości i przynależności narodowej. Chciałbym tu wspomnieć np. Aldonę Diakowską z Żodziszek, która w ciągu sześćdziesięciu kilku lat strzegła i pielęgnowała grób

żołnierzy z 1920 r. Oczywiście, były próby zniszczenia tego grobu, a zwłaszcza umieszczonego na nim wizerunku Orła Białego. Gdy władze chciały go usunąć, ona szła do nich i mówiła, że w grobie tym jest pochowany jej wujek. Tak więc to miejsce polskiej pamięci narodowej zachowało się dzięki jej odważnej postawie. Takich przykładów było wiele i dlatego dziś możemy mówić, że dzięki zaangażowaniu Polaków udało się zachować polską spuściznę i polskiego ducha narodowego na Kresach Wschodnich. Także żołnierze Armii Krajowej przekazywali następnym pokoleniom to, co przeżyli, czego doświadczyli, narażając się na różnego rodzaju szykany. Szykanowane były również dzieci akowców i Sybiraków – Polaków niegdyś wywiezionych na nieludzką ziemię. Właściwie każdy z nas, każdy kto pochodził z polskiej rodziny, tego doświadczył. Na przykład zaniżano nam oceny w szkołach tylko dlatego, że przyznawaliśmy się do polskości. Przeżyłem to w latach siedemdziesiątych i moi koledzy też byli w ten sposób szykanowani. Przede wszystkim obniżano nam ocenę z zachowania.



Fot. P. Życieński

**A.B.** – Oceniano tzw. postawę uczniów. Była postawa wzorowa i negatywna. Gdy ktoś przyznawał się do polskości i otwarcie mówił o pewnych wartościach, to otrzymywał ocenę negatywną.

**J.P.** – Wynikało to z polityki państwa wobec mniejszości; nauczyciele wykonywali tylko polecenia. Tam, gdzie były większe skupiska ludności polskiej, a więc głównie w wioskach, prowadzono taką politykę, że młodzi ludzie – absolwenci tych szkół – nie mieli szans na podjęcie wyższych studiów. Chodziło o to, by nie mogli liczyć na awans społeczny. Ponieważ nie mieli na świadectwie tego „wzorowego” zachowania, nie byli w Komsomole, w pionierach – mimo że istniał taki przymus – mogli pracować tylko w kołchozach. Kolejną kwestią, która powodowała obniżenie stopnia z zachowania, było wyznawanie wiary, jej praktykowanie, chodzenie do kościoła. Z takich właśnie powodów po dziesiątej klasie dostałem ze szkoły opinię, która w zasadzie kwalifikowała mnie do... więzienia. Na studia dostałem się dopiero po wojsku, bo wtedy już nie była potrzebna opinia szkolna.

### **B.P. – Czy w wojsku gnębiono Polaków?**

**J.P.** – W czasach Związku Sowieckiego Polaków wysyłano na dalekie, północne lub wschodnie krańce państwa albo do Azji Środkowej.

Dbano również o przemieszczanie ludności. Polacy, którzy kończyli studia, byli wysyłani do pracy w jakichś bardzo odległych regionach. Tak zresztą było zawsze – zarówno w czasach carskich, jak i sowieckich – a obecnie możemy mówić o lustrzanym odbiciu tamtej polityki. Stalin postarał się oddzielić pasmem ludności niepolskiej Wileńszczyznę od Grodzieńszczyzny, „przepisując” wszystkich „na Białorusinów”, odbierając ludziom narodowość. W dowodach osobistych Polaków, czyli w paszportach, w rubryce „narodowość” stawiano kreskę. Tak było od razu po wojnie, w latach czterdziestych.

### **B.P. – Czy były przypadki, że ludzie nie przyjmowali sowieckiego paszportu?**

**J.P.** – Takie przypadki były, ale wiązało się to automatycznie z deportacją, wywózką i innymi represjami. Były takie przypadki, że niektórym z nich udało się wyjechać w ramach repatriacji do Polski.

### B.P. – Kiedy pojawiły się pierwsze załączki zinstytucjonalizowanej wspólnoty?

**J.P.** – Tu trzeba nawiązać do dawniejszej tradycji jeszcze z czasów sowieckich; my pamiętamy tamten okres. Starsi ludzie, którzy urodzili się za czasów odbudowy państwa polskiego po okresie rozbiorów, pamiętają, że w latach trzydziestych na wsiach powstawały różnego rodzaju polskie kółka i zrzeszenia społeczne – „Krakus”, „Strzelec”, koła gospodyń wiejskich i inne. Starsze osoby, które w okresie międzywojennym należały do tego typu organizacji czy stowarzyszeń, próbowały skupiać wokół siebie ludzi. Tak więc pokolenie, które pamiętało okres świetności Polski, zbierało się w prywatnych domach, rozmawiało o różnych sprawach. I to też była jakaś forma społecznej, spontanicznej i nieprzymusowej działalności. W wioskach ludzie gromadzili się na tzw. tajemniczkach, czyli spotkaniach różańcowych, które – można powiedzieć – w specyficzny sposób zrzeszały Polaków mieszkających w danej okolicy. Po modlitwie, po tym różańcu, ludzie rozmawiali, dyskutowali. Ta forma funkcjonowania społeczności polskiej także była prześladowana. Gdy władze sowieckie jakoś dowiadywały się, że u kogoś w domu są takie spotkania, to nakładały różne restrykcje. W latach osiemdziesiątych młodzież gromadziła się przy kościołach. W Grodnie takie spotkania odbywały się przy kościele Bernardyńskim. Była to grupa około czterdziestu, bardzo patriotycznie nastawionych młodych ludzi. W trakcie spotkań rozmawiano wyłącznie po polsku. Spotykali się oni m.in. z okazji świąt narodowych – 3 Maja, 11 Listopada. Śpiewano *Rotę* i polski hymn narodowy. W ten sposób podtrzymywano polską tożsamość narodową, w mniejszych czy większych grupach. Filarami takiej formy funkcjonowania polskiej społeczności byli księża katolicy. To byli staruszkowie, którzy przeżyli łagry, byli prześladowani, tacy jak np. ks. Michał Woronecki. Podobnie ks. Michał Ronowicz z kościoła Bernardyńskiego w Grodnie. Był to człowiek, który potrafił przemówić do młodzieży. Był przy tym ostrożny, żeby nie narazić ani siebie, ani innych. Bardzo zależało mu na tym, by w poszczególnych miejscowościach istniały choćby niewielkie grupki, takie oazy czy wysepki polskości, i żeby one przetrwały. W 1988 r. powstał ZPnB, ale to nie wzięło się znikąd, bo w ludziach ta idea już była, istniały przecież jej załączkowe formy. Chciałbym wspomnieć Ryśka Kleczkowskiego, który w latach 1986–1987, kiedy to było jeszcze niedozwolone, nosił się z zamiarem utworzenia organizacji polskiej na Białorusi. To nie były starania oficjalne, bo tego absolutnie nie wolno było robić. Działał przy kościele, przy parafii kościoła Bernardyńskiego. Pochodził z Nowogródka, u bernardynów był organistą, gdy powstał Związek Polaków, został jego wiceprezesem ds. kultury. Teraz mieszka w Krakowie.

### B.P. – Jaka była Państwa droga do Związku Polaków na Białorusi?

**A.B.** – Jestem w nim od 1995 r. Od samego początku Związek tworzył i w nim uczestniczył kolega Józef Porzecki. Po ukończeniu studiów pracowałam w polskiej szkole. Studio wałam w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku na Wydziale Pedagogiki i Psychologii. Pracując w szkole, udzielałam się społecznie w Związku Polaków na Białorusi. Józef Porzecki był wówczas prezesem oddziału miejskiego. Organizowaliśmy wiele imprez kulturalnych dla oddziału miejskiego w Grodnie. „Moje” dzieci brały udział we wszystkich organizowanych tam uroczystościach. Z początku była to tylko praca społeczna. W 1998 r. prezes Gawin zaproponował mi funkcję kierownika Wydziału Oświaty Zarządu Głównego ZPnB i w tym charakterze pracowałam do 2005 r., do zjazdu marcowego. Moja rola polegała

m.in. na tym, że zajmowałam się wyposażaniem pracowni języka polskiego, organizowaniem konferencji metodycznych dla nauczycieli.

### **B.P. – Czy mogliście liczyć na pomoc z Polski?**

**A.B.** – Tak. Również wtedy w miarę dobrze funkcjonowała komisja dwustronna w ramach podpisanego porozumienia o dobrych stosunkach sąsiedzkich i współpracy w dziedzinie kultury i oświaty między Polską a Białorusią, w której uczestniczyłam. Współpracowałam także z Ministerstwem Edukacji na Białorusi. Co prawda współpraca ta polegała na tym, że my robiliśmy wszystko. Było wiele przedsięwzięć i konferencji, które realizowaliśmy razem z miejscowymi, obwodowymi i rejonowymi wydziałami kuratoriów oświaty. Przez wiele lat organizowaliśmy olimpiady literatury języka polskiego. Byłam więc silnie związana z oświatą i ze szkolnictwem. Nastawienie restrykcyjne wobec nas w nasilonej formie rozpoczęło się w 2000 r., kiedy został wybrany mój poprzednik, Tadeusz Kruczkowski. To nie były tylko uderzenia personalne; to miało związek z realizowaniem określonej polityki wewnętrznej. Z roku na rok nasilało się zjawisko kontroli różnych organizacji, które były prężne, aktywnie działały, miały jakieś społeczne rezonanse. Chodziło o to, żeby w gremiach kierowniczych owych organizacji znaleźli się ludzie realizujący politykę zgodną z intencjami władz Białorusi. Odbyło się w tym czasie bardzo dużo imprez. Związek, który w 2008 r. obchodził dwudziestolecie istnienia, zadbał o miejsca pamięci, powstały dwie polskie szkoły – w Grodnie i w Wołkowysku, otworzono „klasy polskie” w wielu szkołach, powstały polskie przedszkola na terenie całej Białorusi. Nasza organizacja okazała się zbyt poważna, więc trzeba ją było podporządkować i „ukierunkować”, żeby prowadziła działalność zgodną z doktryną państwa i panującą ideologią. Związek Polaków na Białorusi obronił się, chociaż aresztowano i zwolniono z pracy wiele osób, które nie zgodziły się na współpracę z władzami.

### **B.P. – Jaka jest liczebność Związku?**

**A.B.** – Nie prowadzimy szczegółowej rejestracji, więc nie chciałabym używać jakichkolwiek liczb, bo mamy bardzo dużo zwolenników i sympatyków. Ale dam jeden przykład. Gdy władze nie uznały naszego zjazdu, ludzie zaczęli zbierać podpisy w obronie Związku. Podpisywali się też ci, którzy pracowali w urzędach państwowych, a nawet funkcjonariusze milicji polskiego pochodzenia. Zebraliśmy około czterech tysięcy podpisów; a dokonaliśmy tego w warunkach bardzo mocnej presji ze strony władz państwowych. Przecież każdy przy składaniu podpisu podawał swoje dane personalne, adres, miejsce pracy. List w obronie Związku został wysłany do prezydenta Łukaszenki, ale nie otrzymaliśmy od niego żadnej odpowiedzi. Józef Porzecki, Mieczysław Jaśkiewicz, Andrzej Poczobut zostali aresztowani. Milicja wtargnęła do naszej głównej siedziby, w czasie gdy było tam około dwudziestu osób, i siłą nas stamtąd wyciągnęła. Pozbawiono nas możliwości działania, zostaliśmy bez niczego. Trzeba było jakoś wyjść z tej sytuacji, trzeba było mieć swoją strukturę. W sierpniu 2005 r. władze zwołały „swój” zjazd, na którym mianowały własnego prezesa. W świetle prawa to on reprezentuje Polaków na Białorusi. Władzom potrzebny był ktoś dyspozycyjny, tak by mogły posługiwać się nim dla celów propagandowych – proszę, jest wszystko w porządku, jest normalnie. Po tych wydarzeniach trzeba było wszystko w zasadzie zacząć od zera. Powołana przez władze struktura wciąż istnieje, ale jest całkowicie sztuczna.

**B.P. – Może się wylegitymować jakąś konkretną działalnością na rzecz Polaków?**

**A.B.** – Nie prowadzi żadnej działalności. Jest prezes-figurant, „reprezentant” Polaków; były też bodaj dwie imprezy pokazowe, zorganizowane z pompą przez oficjalne władze Białorusi.

**B.P. – Czy oprócz Związku Polaków istnieją analogiczne organizacje innych mniejszości na Białorusi?**

**J.P.** – Były takie organizacje – Litwinów, Żydów i Tatarów, myśmy z nimi współpracowali. Przeprowadziliśmy wiele wspólnych przedsięwzięć, które potem władze w jakiś sposób przejęły, jak np. festiwale kultur narodowościowych organizowane przez ZPnB, Stowarzyszenie Litwinów i Zrzeszenie Żydowskie. Było też przedsięwzięcie „Kanał Augustowski w kulturze trzech narodów”, zorganizowane wspólnie z Litwinami nad brzegiem tego kanału. Od początku istnienia naszego związku istniała taka współpraca. Tworzyliśmy jeden front w staraniach o respektowanie praw mniejszości narodowych mieszkających na Białorusi po rozpadzie Związku Sowieckiego.

Większość stowarzyszeń mniejszości narodowych podporządkowała się już panującej w kraju ideologii. Bo tak naprawdę w tym wszystkim chodzi o ideologię, której władze białoruskie chcą podporządkować wszystkie niezależne organizacje społeczne. Ma być jedna ideologia, jeden system wartości. To, co dla Polaków mieszkających na Białorusi stanowi wartość nadrzędną, świętość narodową, jest całkowicie z tą ideologią nie do pogodzenia. Dla nich nasze święta narodowe są wrogie. Dla nich 17 września jest świętem wyzwolenia, a dla nas... Dla nas akowcy są bohaterami, dla władz białoruskich – bandytami. To samo dotyczy naszych powstań. Istnieje zupełnie inne podejście do historii, do różnych postaci. Suworow jest bohaterem narodowym na Białorusi.

**A.B.** – W szkołach znów promowany jest kult Stalina. Niedaleko Mińska powstało swoje muzeum promujące wojenne zwycięstwa Stalina. Każda szkoła ma obowiązek zwiedzenia tego ośrodka. Propagowanie kultu Stalina o czymś świadczy.

Od 1994 r. stopniowo i konsekwentnie zaczęto likwidować organizacje społeczne, niezależne media. Zakończono tę operację w 2005 r. ogromnym uderzeniem w organizacje społeczne, nie mówiąc o partiach politycznych. Tak naprawdę organizacja społeczna, która dbała np. o interesy narodowościowe, kulturę, oświatę, musiała zostać podporządkowana, a jeśli to się nie udawało, była prześladowana. W 2005 r. w taki sam sposób jak ZPnB został zlikwidowany niezależny Związek Pisarzy Białoruskich. Potem powołano związek alternatywny, z przewodniczącym w stopniu bodajże generała. Dawny związek pisarzy działa nieoficjalnie. Nie jest uznawany, ale istnieje. I należą do niego ludzie, którzy są prawdziwymi pisarzami.

**B.P. – Istnieje jakiś rodzaj solidarności między wami?**

**A.B.** – Tak, bo taka sytuacja nie dotyczy tylko naszego Związku. Władze uderzyły w organizacje społeczne. Wydawało się im, że załatwią to szybko i łatwo. W naszym przypadku liczyli na to, że Polska zaakceptuje nowego przewodniczącego. To im nie wyszło, bo ten człowiek nie jest popierany przez Polaków. Taka sytuacja, jeśli dotyczy organizacji społecznej, nie da się utrzymać na dłuższą metę. Bo do organizacji społecznych ludzie przychodzą

z własnej woli, z własnej potrzeby. Nikt nikogo nie jest w stanie zmusić do tego, by poszedł na jakiś festiwal czy imprezę, posprzątał cmentarz czy postawił krzyże. Człowiek sam ma taką potrzebę. Jeśli coś zostało sztucznie stworzone, to ludzie się od tego „odbijają”. Jest pewna granica odporności na takie sytuacje, potem rodzi się już agresja i zwalczanie tego wszystkiego. Tak się właśnie stało.

**B.P. – Jakiego rodzaju utrudnienia napotkają ludzie w swej codziennej działalności na rzecz pielęgnowania polskości?**

**A.B.** – Występują bardzo liczne utrudnienia i mają różny charakter. Na przykład organizowaliśmy wielkanocne spotkanie, pozbawione innej intencji niż ta, żeby przyjąć i złożyć sobie życzenia. Ostentacyjnie pilnowano nas i tworzono atmosferę, że to, co robimy, jest zabronione. Przyjechało KGB i nagrywało nas kamerą. Inny przykład: 3 lipca 2006 r. organizowaliśmy festiwal piosenki polskiej w Szczuczynie. Nie wpuszczono nas do Domu Polskiego, musieliśmy odbyć to spotkanie na podwórku, pod eskortą milicji i KGB. Józef Porzecki i Mieczysław Jaśkiewicz znów zostali uwięzieni. Dostali po dziesięć dni kary za zorganizowanie tego festiwalu.

**B.P. – A przy pielęgnowaniu miejsc pamięci?**

**J.P.** – Bardzo odczuwalne jest to, że nie ma godnego pomnika i godnej tablicy na Cmentarzu Garnizonowym w Grodnie, gdzie spoczywają po ekshumacji żołnierze z obrony Grodna w 1939 r. Władze nie dały zezwolenia na ekshumację szczątków żołnierzy AK w Raduniu. Mnożono przeszkody w związku z tą ekshumacją. Kolejny przykład – przeprowadzamy uroczystości upamiętniające akcję „Ostra Brama”. Nasz pobyt podczas tych uroczystości w poszczególnych miejscach walk partyzanckich jest dokumentowany, nagrywany lub monitorowany przez szpicli. To są takie zachowania mające na celu zastraszenie nas; oni manifestują swoją siłę i obecność. W Surkontach jest największa kwatera żołnierzy AK. Jedyna ścieżka, która do niej prowadzi, jest co roku zaorywana, żeby uniemożliwić dojście i zapalenie zniczy. My, jeszcze jako oficjalny Związek, niejednokrotnie pisaliśmy w tej sprawie. Interweniował także Konsulat Generalny RP z Grodna, ale bez efektu. Jest bardzo wiele przykładów tego, że zarówno władze lokalne, jak i na szczeblu wojewódzkim czy centralnym robią wszystko, aby miejsca pamięci polskiej nie były należycie czczone i pielęgnowane. Na każdym sowieckim grobie jest tabliczka, że to jest pochówek wojskowy, czegoś takiego na grobach polskich nie ma. Nawiązując do nagrody Kustosza Pamięci Narodowej, chciałbym podkreślić, że starania o zachowanie pamięci narodowej i pielęgnacja miejsc z nią związanych to zasługa wielu setek Polaków mieszkających na dzisiejszej Białorusi, naszych działaczy, którzy robili to z potrzeby serca. Oprócz Aldony Diakowskiej, byli to m.in. Jan Szporko; śp. Waleria Borewicz – strażniczka grobów żołnierskich z 1920 r. w Grodnie, gdy nie wolno było tego robić; śp. Eugeniusz Małkiewicz – były prezes Związku Żołnierzy AK; Anna Sadowska z Wołkowyska; Eugeniusz Mickiewicz z Próżany; śp. pani Małanicz z Brzostowicy; Antoni Filipczuk z Brześcia i wielu, wielu innych. My dziś kontynuujemy ich dzieło, czerpiąc z ich wielkiego patriotyzmu.

**B.P. – Czy utrudnienia dotyczą także życia religijnego, np. organizowania procesji na Boże Ciało?**

**A.B.** – To długi i skomplikowany temat. Nie chcielibyśmy wypowiadać się na ten temat. Kościół ma swoją politykę.

**J.P.** – Bierzymy udział w procesjach, ale boli nas, że w wielu przypadkach, szczególnie na wschodzie, np. w obwodzie witebskim, ale także na Grodzieńszczyźnie, wprowadza się do kościołów inny język. Bywają kościoły, w których Mszy św. w języku polskim nie ma albo jest przekładana na bardzo niewygodną godzinę wczesnym ranem lub późnym wieczorem. Na przykład w 2007 r. trwały obchody trzechsetnej rocznicy Matki Boskiej w Gudogajach, w powiecie ostrowieckim, na dawnej Wileńszczyźnie. Msza św. była celebrowana w języku białoruskim. Nie zabrzmiała w tym miejscu i w tym dniu żadna polska piosenka. Niektórzy ludzie opuszczali to miejsce ze łzami w oczach. To bardzo bolesne.

**A.B.** – Niektórzy z księży atakują nas za to, że zajmujemy się polityką. Bywało, że w bardzo trudnych czasach zamykano przed nami drzwi kościoła. Są oczywiście księża, których władze szarpiają za to, że są patriotami polskimi, w których mamy oparcie. Oni też się narażają. Były presje na biskupa, żeby wyrzucił naszego kapelana Aleksandra Szemieta. Grożono kapelanowi w anonimach, szkalowano go wobec ludzi.

**J.P.** – Jest wielu księży, którzy zachowują godną, patriotyczną postawę, wspierającą naszą wspólną działalność, rozumiejąc, że Kościół, wiara katolicka i polska tożsamość narodu stanowią jedną całość w trudnych okresach dziejowych. Należy tu wspomnieć o ks. Witalisie Myszonie z Lejczyc, który postawił krzyż wbrew różnym utrudnieniom ze strony władz na południowo-wschodnich krańcach II Rzeczypospolitej, o ks. Leonie Ładyszku w Wojstomiu, który postawił pomnik ofiarom faszyzmu i komunizmu, za co również był przez władze prześladowany. Kazano mu tę tablicę zdjąć, on się nie zgodził. Powiedział: „Będę głodował – umrę tu, przy kościele, ale tablicy nie zdejmę”. To było dwa lata temu. Warto wspomnieć też ks. Józefa Chańczyca i ks. Radziejwiczę z Grodna, którzy mówią, że dokąd będą żyć, w kościołach będzie język polski i duch polskości nie przestanie być pielęgnowany.

### **B.P. – Proszę jeszcze o informacje o działalności polskich szkół.**

**A.B.** – Nie wolno ich nazywać polskimi szkołami, tylko „szkołami z polskim językiem nauczania”, bo podlegają one ministerstwu edukacji. Następują już pewne ograniczenia w nauczaniu po polsku wszystkich przedmiotów. Podręczniki z Polski są wykorzystywane jako materiały pomocnicze. W 2008 r. wyposażyliśmy np. dwie pierwsze klasy w polskie elementarze. Pomagamy nauczycielom w uczestnictwie w warsztatach, szkoleniach, w zdobywaniu pomocy naukowych. Pomagamy w zaopatrywaniu bibliotek w polskie książki. Pomagamy absolwentom w dostaniu się na studia. W tych szkołach oczywiście nie ma historii Polski. Ale istnieją społeczne szkoły sobotnio-niedzielne – w Grodnie, Brześciu, Baranowiczach, Mińsku, przy kościołach. Tam jest i historia Polski, i geografia, i język polski. Dzieci biorą udział w olimpiadzie literatury języka polskiego, w różnych konkursach, wyjeżdżają na szkolenia. Staramy się, by szkoły te były atrakcyjne, żeby dzieci i młodzież chciały do nich przychodzić. Organizujemy konkursy, warsztaty teatralne, zajęcia dziennikarskie, młodzież pisze do naszej prasy. Kadre nauczycielską stanowią młode osoby po studiach wyzszych w Polsce, ale mające już doświadczenie w pracy. W szkołach państwowych istnieje

zupełnie inny system prowadzenia nauki. Mamy bardzo dobrą współpracę z nauczycielami i rodzicami w polskich szkołach w Grodnie i w Wołkowysku, i dzięki temu możemy prowadzić naprawdę głębokie wychowanie patriotyczne. Od postawy i pracy nauczyciela zależy bardzo dużo.

**B.P – Dobrymi ambasadorami „polskich Kresów” są polskie zespoły śpiewacze z Białorusi i Litwy, które przyjeżdżają do Polski. Są zresztą bardzo ciepło przyjmowane...**

**A.B.** – Małżonka pana Józefa założyła zespół, który nazywa się „Wesoła Gromadka”. Tam są małe dzieciaczki, w takim wieku, że Józef nazywa ich „szczerbata łobuzeria”. W 2007 r. występowali w Mrągowie, w następnym roku w Łodzi na festiwalu piosenki religijnej. Staramy się, żeby nauczanie języka polskiego zaczynało się na poziomie przedszkolnym.

**B.P. – Jak wyglądają sprawy związane z Kartą Polaka? Czy są chętni?**

**A.B.** – Chętnych jest wielu. Otrzymanie Karty niekoniecznie oznacza wyjazd na stałe, ale daje możliwość wyjazdu w poszukiwaniu pracy. Trzeba to rozpatrywać w kontekście całej sytuacji politycznej i ekonomicznej na Białorusi. Ludzie mają ogromne kłopoty z utrzymaniem rodziny. Na Białorusi jest ok. 3 mln bezrobotnych na niespełna 10 mln mieszkańców. To jest walka o przeżycie. Dla wielu starszych Polaków ta Karta to pewnego rodzaju moralne zadośćuczynienie. Władze białoruskie bardzo źle przyjęły Kartę Polaka. Teraz to się trochę zmieniło, bo parlament białoruski wprowadza Kartę Białorusina. A poza tym przez Polskę wiedzie droga do Unii Europejskiej; to jest swego rodzaju interes, więc napięcia opadły. Nam natomiast bardzo zależy na tym, żeby osoby zasłużone dla polskości, które się do niej zawsze przyznawały, otrzymały Kartę w pierwszej kolejności; żeby była dla nich potwierdzeniem przynależności do narodu polskiego.





# ZAMORDOWANI ZA TO, ŻE BYLI POLAKAMI

**Przedstawiamy wspomnienia Ireny Piliszewskiej. Jako dziecko mieszkała na Wołyniu. Podczas pamiętnej nocy z 11 na 12 lipca 1943 r. Ukraińcy zamordowali jej ojca. Usiłowali zabić także ją, jej siostry oraz matkę. Zginęli również inni bliscy krewni Ireny Piliszewskiej.**

Urodziłam się 3 marca 1937 r. Mieszkałam w Pustomytach. To taka kolonia na trasie między Horochowem a Łuckiem, w powiecie horochowskim, w dawnym województwie wołyńskim. Jeśli dokładnie pamiętam, były tam 22 domy. Mam dwie siostry: starszą o półtora roku Wandę i młodszą o cztery lata Krystynę; obie żyją do dziś.

Moi rodzice mieszkali w Pustomytach od wielu lat, wybudowali tam dom. Zajmowali się rolnictwem, mieli własne gospodarstwo. I jeszcze – w domu – taki typowy wiejski sklep: szwarc, mydło i powidło; tak się mówiło na asortyment, jaki tam był.

Pamiętam nasz dom doskonale. W ogóle pamięć mi służy. Między innymi wciąż pamiętam, jak mama przyjechała ze szpitala z moją młodszą siostrą. Mogę odtworzyć całe wnętrze domu, gdzie były okna, obrazki, meble. Pamiętam też, że był otoczony kwiatami i słonecznikami.

Naprzeciwko nas, po prawej stronie drogi, która biegła z zachodu na wschód, mieszkała Żelczykowa. Była Ukrainką, moi rodzice się z nią przyjaźnili. Dalej mieszkali Karawańscy, też Ukraińcy. Mieli córkę Julkę, dziewczynkę w moim wieku, zawsze się razem bawiłyśmy.

Po naszej stronie drogi, obok nas, mieszkał Grabarczuk; dalej z prawej – Anna Kowalczyk, której mąż był leśniczym. Jeszcze dalej stał wiatrak. W kolejnych domach mieszkały między innymi dwie czy trzy rodziny Czechów. Zwykła wieś, jakich na Kresach wiele.

U mojej mamy najczęściej bywała Kowalczykowa, która miała córeczkę Basię w wieku mojej młodszej siostry oraz dwoje dorosłych dzieci: Tadeusza (17 lat) i Stasia (19 lat). Mieszkali w niewielkim, dwupokojowym domu. Od wiosny do jesieni w jednym z pokoi zawsze stał ubrany ołtarz. Wszyscy schodziliśmy się do Kowalczyków, głównie na nabożeństwa majowe, bo do kościoła było daleko, jakieś dziesięć kilometrów. Poza tym w czasie wojny, zwłaszcza gdy zbliżał się 1943 r., chodzenie po okolicy było coraz bardziej niebezpieczne. Bo naszą wieś ominęło zarówno wejście Sowietów, jak i Niemców. Żadnych samolotów, czołgów, dział, nawet żołnierzy. Słowem, gdyby nie docierały do nas wiadomości ze świata, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle jest jakaś wojna.

To był cichy zakątek; spokojny świat, gdzie ludzie żyli w zgodzie, przychodzili do siebie na święta, pomagali sobie, przeżywali te same smutki i radości.

Mimo to wiedziałam, że coś jest nie tak. Chociaż byłam małym dzieckiem, czułam, że w tym naszym świecie dzieje się coś niedobrego. Mama z tatą zaczęli rozmawiać po cichu, tak żebyśmy nie słyszały. Często szeptały coś do siebie. Widziałam, że się niepokoją, takie rzeczy dziecko czuje.

Potem po raz pierwszy zobaczyłam żołnierzy – Niemców. Pędzili Żydów drogą koło naszego domu, do Horochowa, gdzie był obóz żydowski. Aż nadszedł dzień, gdy sama

przekonałam się, jak niebezpieczny może być świat. Naprzeciwko mieszkali Ukraińcy. Nazywali się Sunycie. Któregoś dnia wpadli do nich jacyś osobnicy i zabili wszystkich – sześć czy siedem osób – oprócz pary staruszków. Dowiedziałam się o tym, bo podsłuchałam dorosłych. Pobiegłam do domu Sunyciów. Wszyscy leżeli na ułożonej na podłodze słomie, przykrytej kotarami, kilimami, pościelą. Byli martwi.

Nie wiem dokładnie, jak się to stało. Nie słyszałam żadnych strzałów. Później podsłuchałam, jak mama opowiadała, że „tamci” bywali już u Sunyciów wcześniej, a zabili ich za to, że za bardzo sprzyjali Polakom. Do mordu doszło jesienią 1942 r. Nie rozumiałam wtedy pojęcia „tamci”. Przekonałam się, kim są, gdy przyszli również do nas.

Lecz najpierw po wsi zaczęły krążyć słuchy, że po lasach chodzą różne podejrzane typy, że w innych wioskach także mordują. W tej sytuacji mężczyźni z naszej wsi zaczęli wystawiać warty na noc, pilnować. Obok naszego domu stała wieża przeciwpożarowa, bo wokół były lasy. Mężczyźni wchodzili na wieżę i obserwowali okolicę.

Zbliżał się koniec roku. Zrobiło się tak niespokojne, że baliśmy się, iż mogą nas dopaść w każdej chwili. Mężczyźni nakazali dzieciom, kobietom, ludziom starym i chorym – Polakom i Ukraińcom – ukryć się w stodołach. Zabraliśmy z domów kołdry i tam spaliśmy. W tym czasie mężczyźni pilnowali, chodzili po okolicznych lasach, wchodzili na wieżę.

Podsłuchiwałam ich, gdy się naradzali. Mówili, że pod wieżę podejżdżają jakieś furmanki, że coś tu się będzie działo, że jest niebezpiecznie.

Niektórzy gospodarze mieli broń. Niewiele, ale mieli. Na przykład mój ojciec nosił przy sobie pistolet. Najprawdopodobniej dostał go od swojego brata Ryszarda, który mieszkał w wiosce Białystok koło Torczyna. W Torczynie (większej wsi) ojciec miał kilku braci. Ryszard był z nich najmłodszy, pracował u myśliwego, Niemca, który mieszkał pod Białymstokiem. Niemiec nie miał jednej ręki, dlatego do obowiązków stryja należało między innymi zapinanie mu pasa z kaburą. Któregoś dnia stryj wyjął pistolet z kabury, założył Niemcowi pas z pustą kaburą, a sam wsiadł na konia i uciekł do lasu. Później dał ten pistolet mojemu ojcu.

W stodole siedzieliśmy do końca maja lub początku czerwca. Pewnego dnia coś potężnie huknęło. Przybiegłam do mamy, wołając: „Mamo, co tu się stało, nasz dom się zawalił?”. „Nie, to wieżę w nocy podpłiwali i zwalili” – odpowiedziała. Mężczyźni nie upilnowali.

Potem zrobiło się spokojnie. Ustał ruch w okolicznych lasach, nie widzieliśmy nikogo obcego. Pilnujący wsi chłopci na nikogo się nie natykali. Przyszło lato, więc trzeba było pracować w polu. Wróciliśmy do swoich domów.

Aż nadszedł tamten dzień: niedziela, 11 lipca 1943 r. Pamiętam ją doskonale. Była piękna pogoda. Wieczorem siedzieliśmy na progu, słońeczko grzało, choć już powoli zachodziło. Córeczka Kowalczykowej, Basia, bawiła się z moją siostrą. Taty nie było, poszedł gdzieś na pole czy ogród. Zbliżała się noc, Basia pomachała nam „pa, pa” i poszłyśmy do swoich domów.

Kowalczykowa była już wtedy sama. Jakieś pół roku wcześniej jej mąż, który – jak wspomniałam – był leśniczym, wyszedł do lasu i już nie wrócił; wszelki ślad po nim zaginął.

Poszłyśmy spać. Mama położyła młodszą siostrę na kozetce pod oknem i sama się przy niej położyła. Ja ze starszą siostrą spałyśmy na łóżku. Po kolacji ojciec narzucił na siebie kurtkę i wyszedł. Mama długo nie spała, modliła się. Siostry spały, taty nie było, pilnował nas na dworze.

Minęła godzina druga, był już zmęczony. Wrócił do domu, zaczął rozmawiać z mamą. Powiedział, że widział jakichś ludzi na koniach i wozach, i że mieli dużo broni. Zatrzymali się między chatą Kowalczykowej a rozwaloną wieżą, popatrzyli i pojechali dalej. Jak pojechali, to znaczy, że naszą wioskę ominęli.

Jak się okazało, był w błędzie. Oni objechali wieś dookoła. Tymczasem tato, który poczuł się już uspokojony, położył się koło mnie i siostry w ubraniu i usnął. Pamiętam, że zerwałam się równocześnie z mamą, bo zaczęło coś stukać. Okna były zasłonięte kocami i kapami, w środku było ciemno. Zaczęli siekierą podnosić drzwi z haków. Ale były ciężkie, nie dawali rady. Ojciec spał, siostry też, a ja patrzyłam, co robi mama. Chodziła po mieszkaniu i słuchała. Za oknem było słycać



Irena Piliszewska przy rodzinnym grobie w Górze

kroki. I nagle ktoś walnął kolbą karabinu w okno. Lecz wisiały na nim firanki i ciężka zasłona, kolba się w to zaplątała. Wtedy tamten zaczął się wydzierać: „Odkrywaj dziury”. Szło posypało się na Krysię, naleciało jej do buzi. Ojciec zerwał się na równe nogi, stanął przy drzwiach, starsza siostra przy nim. Ukraińiec odsunął kolbą zasłony i dalej się wydierał. Mama złapała młodszą siostrę i pociągnęła ją w głąb izby.

Czuliśmy, że nadchodzi śmierć. Stałyśmy tak w swoich koszulkach, mama w ciemnej sukience, bo starała się na noc ubierać na czarno, gdyby przyszło jej uciekać. Pamiętam wzrok ojca, popatrzył po mieszkaniu i cichutko otworzył drzwi. Przy przeciwnej ścianie była drabina, skoczył w jej stronę i wbiegł po niej na poddasze. Miało zamykaną klapę. Tatuś nie zamknął tej klapy całkowicie. Myślę, że zrobił to celowo, by widzieć, co się dzieje. Mama otworzyła drzwi.

Wanda stała przy lewym boku mamy, ja przy prawym, małą mama wzięła na rękę. Wszystkie byłyśmy boso, dochodziła trzecia.

Stanęli w drzwiach. We trzech. Dwaj z karabinami, trzeci z siekierą. Taką wielką rzeźniczą, zagiętą na końcu. Wszyscy zarośnięci. Dwóch ubranych w kożuszki, trzeci w stary zniszczony niemiecki mundur, z wypłowiałą czapką. Znałam te mundury, widziałam je, jak pędzili Żydów.

Modliłyśmy się głośno, a jeden z Ukraińców, zapytał: „Gdzie mąż?”. Mama odpowiedziała: „Nie znaju, gdzieś na dwory”. On się przesłyszał, zrozumiał „na gory”, i spojrzął do góry, zobaczył uchylone drzwiczki na strych.

W tym momencie ten z siekierą zdjął ją z ręki i zaczął zachodzić nas z tyłu. Zamachnął się. Wiedziałam, że nadchodzi śmierć. A mama nas tylko przytuliła i powiedziała: „Boże, przyjmij nasze dusze” i myśmy za nią to powtórzyły. Uderzył mamę tą siekierą. Ale tak się zamachnął, że zagięte ostrze wbiło się jej nad prawym okiem. Wyrwał jej kawałek skóry z czoła, choć krew się nie polała. Jak zobaczył, że mama nie upadła, obrócił siekierę i obuchem przywalił jej po plecach; też nie upadła.

Więc ten, co stał naprzeciw nas, zarepetował karabin i strzelił. Trzymałam ręce jak do modlitwy, miałam je centymetry od lufy. Nie wiem, czym strzelał, w każdym razie całe obie dłonie miałam porażone.

W tym momencie ten z drugim karabinem, który szedł przed nami w stronę drabiny, został trafiony. Nie wiem, i nigdy się nie dowiem, czy ten, co strzelił, trafił go przez przypadek, czy to ojciec strzelił, widząc, co się dzieje. Mamie kula przecięła sukienkę i zadrasnęła skórę. Ten, który dostał, rozciągnął się na podłodze jak długi. Tamci dwaj rzucili się zobaczyć, co z nim. Nam dali na chwilę spokój. Wykorzystałyśmy to, rzuciłyśmy się do drzwi. W tym momencie mamie zaczęła kapać krew, wsadziła do dziury w czole palce i tak biegła.

Jeden z bandytów złapał moją starszą siostrę, ale ona – po krótkiej szamotaninie – zdołała mu się wyrwać. Wskoczyła z chałupy za nami, lecz pobiegła w bok, koło studni przy jednej z chałup. A tam stał banderowiec i rozdzierał małe dziecko. Dziewczynka leżała na ziemi. Banderowiec nadepnął na jedną nogę i z całej siły szarpał za drugą, właśnie po to, by ją rozdrzeć, a potem wrzucił do studni. Na ten widok Wanda dostała takiego pędu, że nas dogoniła, wyprzedziła i przed nami wpadła do chaty ukraińskich sąsiadów, Karawańskich. Bo do nich biegłyśmy.

W tym czasie tata, gdy zorientował się, że nie ma nas w domu, wyskoczył przez okienko na strychu na dwór i uciekł w pole. Jednak tam prawdopodobnie natknął się na grupę banderowców. Jego ciało znalazł później znajomy chłop z pobliskiej wsi. Powiedział, że tata miał w ciele osiem lub dziewięć kul. Miał też przestrzelone oba kolana. Musieli więc najpierw zatrzymać tatę i przestrzelić mu nogi, a dopiero potem powoli go dobijali. Jestem pewna, że mimo tylu kul nie zginął od razu. W zaciśniętych rękach miał ziemię. Musiał konać w męczarniach. Gdy ten chłop znalazł ciało, było już mocno nadjedzone przez dzikie psy. Pochował ojca, jak umiał najlepiej.

My natomiast, gdy dobiegłyśmy do domu Karawańskich, zobaczyłyśmy ich siedzących na zaprzężonym wozie. Później dowiedziałam się, że wszystkim Ukraińcom nakazano załadować wozy i uciekać.

Zaczęłyśmy głośno odmawiać pacierz. Oni zeskoczyli z wozu i podbiegli do nas. Gdy zobaczyli zakrwawioną mamę, zaczęli wołać: „Uciekajcie, gdzie chcecie, i róbcie, co chcecie, nam nie wolno wam pomagać, bo i nas zabiją”.

A mama powiedziała: „Weźcie ode mnie chociaż najmłodsze dziecko, ja ze starszymi pójdę w zboże”.

Nie wzięli, odjechali. Lecz został staruszek, senior rodu, miał już grubo ponad osiemdziesiąt lat. Podszedł do nas i powiedział, że tak nie może być. Wziął jakiś płócienny woreczek, owinał tym mamie głowę. Potem dał jej swoją ciepłą pelerynę, tak zwaną burkę. Bo choć był lipiec, to w nocy było zimno. A potem sam zniknął, gdzieś się schował.

Pchnęliśmy pierwsze z brzegu drzwi i weszłyśmy do obórki. Stało tam kilka krówek i owieczek. Mama usiadła na stołku do dojenia, na rękach miała młodszą siostrzyczkę. A ja z Wandą trochę się do niej tuliłyśmy, trochę biegałyśmy do ścian. Były zbite z desek, pełne szpar. I patrzyłyśmy przez drogę na nasz dom, a stamtąd ciągle coś wywlekali. Brali wszystko, co się dało, przy tym stale wołali: „paskarej, paskarej”. Bali się, że Niemcy przyjadą.

W pewnym momencie poczułyśmy swąd. Popatrzyłyśmy na siebie: „aha, podpalają”. Trzęśmy się ze strachu i modliłyśmy się. A tymczasem oni szli w naszą stronę, w pięciu. Weszli na podwórze, do chaty... Wszystko przewracali, wszędzie zaglądali: do stodoły, chlewika, kurnika, psiej budy. Położyłam się na ziemi. Byli tak blisko, że gdybym wyciągnęła rękę pod wrotami, mogłabym ich chwycić za nogi. Jeszcze chwila, wystarczyło, że któryś je pchnie i już by nas mieli. Nagle usłyszałam: „ne ma, ne ma, toże ne ma”. A ci z dworu: „paskarej, paskarej”. Pojechali, do dziś nie mogę zrozumieć, jaki cud nas uratował.

Rana mamy zasklepiła się. Po jakimś czasie Krysia usnęła w jej ramionach. Cały czas się modliłyśmy. Aż w końcu przyszła gospodyni, synowa tego dziadka, który nam pomógł. Weszła z wiaderkiem, żeby wydoić krowy. Stała jak wryta: „a wy tu?”. Wydoiła krowy i dała nam mleka. Pamiętam do dziś, jak piłam z wiadra i to mleko ciekło mi po twarzy.

Potem zapytała: „Jak wy tu przeżyli?”. „Ano jakoś przeżyli”. „Ale teraz musicie iść”. Mama z tą głową obwiązaną była bardzo słaba. My byłyśmy w koszulach nocnych – gdzie tu iść, gdzie szukać ratunku, przecież nasza chałupa była spalona.

Już było południe. Napiłyśmy się mleka i tak jak stałyśmy, na bosaka, poszłyśmy szukać naszych przyjaciół. Wszystkie polskie zagrody były spalone. Przechodzimy koło Czechów, a oni coś na żarnach młóca, jakby się nic nie stało. Byli nietknięci, gospodarzyli sobie normalnie. Lecz nie chcieli z nami rozmawiać.

Zaszłyśmy do Żelczykowej. Po jakimś czasie przyszła tam Kowalczykowa. Miała ręce owinięte. Powiedziała do mamy: „Ty masz chociaż dzieci, masz dla kogo żyć, ja zostałam sama”.

Cała była w zakrzepłej krwi. Opowiedziała mamie, co się stało. Bandyci przyszli do ich domu, kazali im klęknąć przed ołtarzem. Ona klęknęła pośrodku, syn z jednej strony, córka z drugiej, a najmłodsza Basia, stała w łóżeczku.

Strzelił z karabinu. Syn i córka padli od razu, jej kula przestrzeliła dłoń. Też upadła i udała, że nie żyje. Jak padł strzał, to dziecko w łóżeczku zapłakało. Wtedy Ukrainiec podszedł, wyjął sztylet, nadział dziecko, a ono jeszcze do błyszczącego ręce wyciągało. Potem wyjął siennik, który był napchany słomą, i podpalił chałupę. Uznał, że nic tam nie było do kradzieży, to „paskarej” i z kumplami nawiali.

Gdy Kowalczykowa zobaczyła, że się zaczyna palić, zagasiła ogień wodą, która była w nocniku. Zauważył to jednak jeden z Ukraińców. Wrócił i zaczął walić ją po głowie karabinem. W końcu uznał, że nie żyje. Poszedł, ale już chaty nie podpalił.

Kowalczykowa bała się wyjść z domu, bo nie wiedziała, gdzie oni są. Zsunęła się do piwnicy, usiadła na taborecie i czekała... Ręce owinęła ścierkami. Wyszła z piwnicy po dwóch godzinach, przede wszystkim dlatego, że nie mogła dłużej znieść krwi sączącej się przez podłogę. Krew oblewała ją od głów do stóp. Krew jej własnych dzieci. Zawinęła ciała w prześcieradła, wykopała pod oknem dół i w nim pochowała swoje dzieci. Później przyszła do Żelczykowej.

Inny z sąsiadów przyniósł kolejną straszną wiadomość. Mój ojciec miał przyjaciela z wojska, który też mieszkał w naszej wsi. Nazywał się Tomasz Hołowański. Miał macochę Ukrainkę. Ją bandyci zastrzelili od razu, jego obwiązali pierzyną, podźgali kosą, rzucili na słomiany gnojownik i podpaliłi. Zdołał się z gnojownika sturlać, lecz nie mógł wydostać się z pierzyny. W niej się palił.



Ukrainiec, Karawański, syn dziadka, który nas przygarnął, nałożył na wóz słomy i położył na niej Hołowańskiego. Razem z mamą, która zabrała ze sobą młodszą siostrę, zawieźli Hołowańskiego do szpitala w Horochowie, gdzie zmarł po kilku dniach. Później mama powiedziała nam, że nigdy nie słyszała, by ktoś tak strasznie jęczał.

Ja, Wanda i Kowalczykowa wyruszyliśmy pieszo. Do Horochowa zaszliśmy pod wieczór. Trafiliśmy na plebańnię, do naszego proboszcza, który się nami zaopiekował, dał nam jakieś ubrania. Zamieszkałyśmy na plebanii. W tym czasie mama leżała w szpitalu. Proboszcz przygotował nas do Pierwszej Komunii. Pamiętam, że w czasie uroczystości siostra była ubrana na biało, ja w jakąś niebieską bluzkę, innej nie udało się zdobyć. Na przyjęciu podano chleb, masło, mleko i ser. To była zbiorowa uroczystość wielu sierot, zebranych ze spalonych okolicznych wsi.

W końcu mama wydobrzała. Trzeba było znaleźć inne miejsce do życia. W szpitalu położna, którą mama poznała wcześniej, przy porodzie Krysi, dała jej adres do Puław, do swojej rodziny. Pojechaliśmy. Tak zaczęła się nasza wędrówka na dzisiejsze Ziemię Zachodnie.

Chciałabym jeszcze opowiedzieć to, co przeżył mój stryj Ryszard. Urodził się w 1927 r., mieszkał – jak już mówiłam – we wsi Białystok. Kiedy na Polaków na Wołyniu zaczęli napadać ukraińscy nacjonaliści, został łącznikiem w tworzących się oddziałach polskiej samoobrony. Dużo czasu spędzał w lasach. Gdy nie było go dłużej w domu, jego ojciec, Andrzej, zostawiał mu pod krzakiem jedzenie. W nocy z 10 na 11 lipca chleba nie było. Nagle stryj usłyszał przeraźliwe krzyki po polsku i ukraińsku, dobiegające od strony wsi.

Pobiegł tam, podszedł pod dom. Zobaczył go jego ojciec. Ryszard zaczął machać do niego, by wyskoczył przez okno i przybiegł do niego. Dziadek stanął w oknie, już chciał skoczyć, lecz w tym momencie od tyłu doskoczył do niego Ukrainiec i z całej siły wbił mu kosę w plecy. Na oczach Ryszarda ciało jego ojca wypadło z okna.

To nie wszystko. Stryj miał jeszcze siostrę, Stanisławę. Zaledwie dwudziestopięcioletnią. Też była w domu. Przez ściany słychać było, jak przeraźliwie krzyczy, błagając o życie. Daremnie. Jak się później okazało, Ukraińcy dosłownie pokroili ją na kawałki, ucięli jej głowę. Tę głowę, jak i głowy innych Polaków ponabijali na tyczki przy drodze biegnącej przez wieś. Dwadzieścia dwie głowy miały być postrachem dla Polaków.

Stryj trafił do Ludowego Wojska Polskiego, walczył pod Lenino, przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. Spotkaliśmy się wiele lat po wojnie, był oficerem. Przed śmiercią zdążył mi jeszcze opowiedzieć o tamtych tragicznych wydarzeniach.

Nigdy nie znaleźli się trzej pozostali bracia ojca: Albin (miał wtedy 21 lat), Mieczysław (31 lat) i Antoni (33 lata).

*Po zakończeniu wojny mama Ireny Piliszewskiej wyjechała wraz z córkami na Ziemię Zachodnie. Zamieszkały we wsi pod Górą (miasto na południe od Leszna, na Dolnym Śląsku). Z czasem pani Irena przeprowadziła się do Góry, gdzie mieszka do dziś. Od wielu lat spisuje swoje wspomnienia i wspomnienia innych osób, które przeżyły rzeź na Wołyniu.*

*Na grobie matki na cmentarzu komunalnym w Górze ustawiła tablicę z nazwiskami najbliższych krewnych, którzy zostali na wschodzie. Jest jeszcze jeden grób, wykupiła go dla siebie na cmentarzu parafialnym w Górze. Tam też znajduje się tabliczka. Napis na niej brzmi: „Ofiary zbrodni dokonanych przez bandy tak zwanej Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu w 1943 roku. Zamordowani tylko dlatego, że byli Polakami. Ich pamięci. Góra 2007”.*

Relacji wysłuchał Damian Szymczak

# KSZTAŁTY POLSKOŚCI

**Prezentuję fragmenty materiału, zebranego w latach 2004–2005, w trakcie prowadzenia badań nad tożsamością narodową uczniów, rodziców i nauczycieli polskich szkół na Litwie. Stworzona przez nich społeczność edukacyjna stanowi system, w którym zachodzi proces międzypokoleniowego przekazywania tożsamości narodowej. Przeprowadziłam 49 wywiadów autobiograficznych, w których prosłam o opowiedzenie swojego życia jako Polaka/Polki na Litwie. Narracje na temat poczucia tożsamości narodowej uczniów (U), rodziców (R) i nauczycieli (N) układają się w różne wzory polskości, uwarunkowane w największym stopniu doświadczeniem pokoleniowym.**

## Polskość to dla mnie wszystko

Identyfikacja narodowa jest centralnym aspektem tożsamości.

„To moje całe życie. W polskiej szkole uczyłam się, w polskiej rodzinie jestem, w polskim zespole tańczyłam, w polskiej szkole pracuję. [...] I mówiąc szczerze, tak jakbym w polskiej republice mieszkała, nie w litewskiej, bo tylko w sklepie czy w urzędzie państwowym są jakieś sprawy w języku urzędowym, a reszta – wszystko w języku polskim” (N).

„Dla mnie jest to wszystkim – to jest mój dom, to jest rodzina, to jest moja praca, wszystko, co my robimy. [...] To są i te dwie grządki po ojcowiznie, co zostały, i te ziemie po babci, i te nasze cmentarze, nasze mogiły, to jest nasza polskość. To są moje nauczycielki, które mnie uczyły” (N).

Podkreślana jest zwłaszcza grupotwórcza rola polskości, co pozwoliło przetrwać okres zaborów, okupacji i okres powojenny. Przetrawanie polskości jest historyczną wartością i wyzwaniem dla przyszłych pokoleń.

„Najstraszniejsze – to mnie boli – że nasi dziadowie, pradiadowie jakby się o tym dowiedzieli, to nie wiem... Zobaczcie – powstanie styczniowe, listopadowe – to ci nasi dziadowie, pradiadowie brali udział. O co walczyli? O Polskę. I później ile młodzieży tu zginęło. Musimy tu przetrwać jakoś” (N).

Patriotyzm postrzegany jest jako rdzenna wartość polskiej kultury, oznaczająca lojalność i ofiarność oraz silny związek z religią i Kościołem katolickim.

„Od dzieciństwa byłem Polakiem i tego zmienić nie można. Na Kresach są najwięksi patrioci, bo nigdy się nie poddają i to podkreślają. Tutaj walczą o polskość i nie chcą być kimś innym. My tu jesteśmy dumni, że jesteśmy Polakami” (R).

„Wiara to też element tradycji, bo tak czynili nasi dziadkowie, tak uczyli naszych rodziców. Mój tatuś śp. mówił, że nie do pomyslenia było nie pójść w niedzielę na Mszę” (R).

Ostoją polskości jest rodzina, od niej zależy przekaz poczucia tożsamości narodowej. Zwłaszcza matkom przypisuje się szczególną rolę w przekazie języka i tradycji. Wartością jest utrzymanie polskości rodziny, którą osłabiają małżeństwa mieszane.

„U nas w rodzinie jest coś takiego – jesteśmy Polakami i musimy dbać o swoje tradycje, swoje korzenie – naszych pradiadków, dziadków, babcie. Szanujemy Litwę, która jest ojczyzną naszą, ale język i tradycje są polskie” (U).

## **Polskość to polska kultura**

Głównym wyznacznikiem tożsamości jest identyfikacja z polską kulturą, zwłaszcza w obszarze kultury symbolicznej.

„Polskość to jest kultura polska, Polacy, państwo polskie. [...] To świadoma przynależność do tej kultury, mówienie w języku polskim, kultywowanie tradycji, trwanie w polskości” (N).

„Polskość to tradycja. Musimy ją poznać. Muszę wiedzieć, że ona jest” (N).

Jest to odwołanie zarówno do kultury lokalnej, jak i do narodowego kanonu kultury.

„Dla mnie polskość to jest przede wszystkim myślenie w języku polskim, mówienie w języku polskim. To zachowanie tego dziedzictwa kulturowego. Czytać książki, poznawać historię Polski” (N).

Polska szkoła uznawana jest za centrum polskiej kultury na Litwie. Troska o język, o prawidłową polszczyznę jest jednym z najważniejszych celów pracy nauczycieli.

„Bez języka już nie jest się narodem” (N).

## **Polskość to wolność wyboru**

Tak odczuwają osoby, które przez pochodzenie, mieszane małżeństwo, migracje lub inne życiowe okoliczności doświadczyły nie tylko złożoności tożsamościowej, ale też znalazły się w sytuacji realnego wyboru, który często pociągał określone konsekwencje np. w zakresie statusu: wpis narodowości w paszporcie, wybór szkoły, środowiska pracy. Polskość stanowi wybraną przez osobę kulturę spośród złożonych wielokulturowych identyfikacji.

„Jestem Polakiem z wyboru, nie z urodzenia. [...] Przy pobieraniu paszportu mogłem wybrać – albo narodowość matki, albo narodowość ojca. Ojciec był Rosjaninem, mama Polką, czułem się Polakiem” (N).

„My jesteśmy większymi patriotami Polski, niż ci Polacy, którzy urodzili się w państwie polskim i nie muszą wybierać. A my możemy wybierać” (N).

Deklarowana lojalność wobec państwa zamieszkania połączona jest z potrzebą uznania odrębności narodowej i respektowania praw mniejszości. Patriotyzm odnosi się do zobowiązań wobec wspólnoty. Rozumiany jest jako troska, wyrażająca się w konkretnej działalności, której celem jest dbałość o miejsce polskiej mniejszości w społeczeństwie, w wymiarze kulturowym, ekonomicznym i politycznym.

„Musimy zadbać o społeczność, która mieszka dookoła nas. Jeżeli ona coś robi z tego powodu, że nie ma wiedzy, to trzeba dotrzeć do jej umysłów, do serc. Człowiek przyzna się do polskości, jeżeli będzie miał odpowiednie wykształcenie” (N).

## **Polskość – nie wiem...**

Ta grupa narracji świadczy o kryzysie tożsamości lub spadku znaczenia „polskości” w identyfikacji społecznej ich autorów.

„Do końca życia nie będę na sto procent zdecydowana, że jestem Polką i chyba Ukrainką też nie. Ni jedno, ni drugie” (U).

Przesłanki wyboru pomiędzy różnymi identyfikacjami odnoszą się bardziej do wartości utylitarnych i sytuacyjnych (praca w określonym środowisku, plany wyjazdowe), niż do wartości rdzennych związanych z polską kulturą.

„Przed wszystkim liczy się znajomość innego języka, przecież graniczymy z Polską. Tam są te wszystkie targi handlowe. Uczniowie naszej szkoły bardzo często wyjeżdżają na jakieś warsztaty, kolonie do Gdańska. [...] Wiedza, poznanie, jest się bogatszym intelektualnie i moralnie też” (U).



Przy wysokiej refleksyjności, wyrażającej się świadomością wyboru, ceniona jest wartość złożonej identyfikacji, zapewniającej elastyczność, kompetencje językowe i kulturowe dające przewagę w świecie konkurencji.

„Polskość to część mnie. To część mojego życia, to świat mojej osobowości, mentalności, coś czego nie można sobie zlekceważyć. Gdybym chodziła do szkoły litewskiej i nie znała polskiego, to nie byłabym tak rozwinięta intelektualnie, to jednak jest bardzo ważna część mojego życia” (U).

Polskość kojarzona jest głównie z polską kulturą współczesną. Polska szkoła widziانا jest jako dobre środowisko do rozwoju indywidualnego, dające przygotowanie do życia w kulturze litewskiej i w wielokulturowym świecie.

„Bardzo dobrze, że ukończyłem polską szkołę. Język polski jakoś tam dodatkowy, tak samo był nauczany jak litewski. Są egzaminy szkolne i państwowe, to wszystko na litewskim języku składa się i nikt nie ma z tym problemu żadnego” (U).

Wzór polskości specyficzny wyłącznie dla narracji uczniowskich zdaje się być również znakiem czasu i wpływu współczesnych trendów cywilizacyjnych. „Nie wiem”, „w coś takiego nie wnikałem” może oznaczać: „nie mogę się zdecydować, nie wiem, co wybrać”, co byłoby znakiem kryzysu tożsamości, lecz również: „nie wiem, czy to dla mnie ważne”. Może to świadczyć o tym, że dla części młodych Polaków na Litwie ta kategoria społecznej identyfikacji traci na znaczeniu, przynajmniej w porównaniu z pokoleniem rodziców i nauczycieli. Młode osoby, wyraźnie odczytując kierunki oddziaływań zarówno rodziny, jak i szkoły, oceniają przekazany im etos polskości jako nieprzystający do współczesnych czasów.

Poniżej prezentuję cztery narracje, ułożone w kolejności zgodnej z wyłonionymi przeze mnie modelami polskości, ilustrujące te modele. Stanowią one również odzwierciedlenie zmian pokoleniowych zachodzących w obszarze pojmowania i odczuwania tożsamości narodowej w obrębie badanej przeze mnie grupy.

„Mniej więcej do dwudziestego roku życia praktycznie nie odczuwałem, że jestem na Litwie. My dalej byliśmy w Polsce. W okolicy nie było Litwinów, były polskie wsie, w szkole było po polsku [...]”

W szkole dzieci były z polskich rodzin, nauczyciele też Polacy. [...] Należałem do pokolenia ludzi czytających, koledzy i ja ciągle czytaliśmy. Teraz czasem z Polski słyszę, że na Wileńszczyźnie brakowało polskich książek. Nigdy tego nie odczułem, bo ja polskich książek miałem zawsze pod dostatkiem. Może o Armii Krajowej książek nie było, ale klasykę zawsze miałem – Sienkiewicza, Krasińskiego. Pierwszą moją książką był *Koziołek Matołek*. [...] Lekcja języka polskiego – jak patrzę dzisiaj, z perspektywy dorosłego człowieka – to było bardzo mało – po polsku był tylko Niekrasow, parę wierszy litewskich i kilka wierszy z literatury polskiej. Konopnicką bardzo lubiłem i Mickiewicza lubiłem, ach! Mama w lnianym płótnie trzymała takie prawie zbutwiałe karteczki *Ballad* Mickiewicza. Jak mama przy kolacji coś tam robiła, to ojciec czytał. W dzieciństwie tego czytania bardzo się bałem, bo mama płakała, jak ojciec czytał. Zawsze czytał *Rodziewiczównę* dla niej na głos. [...]

Zdałem na polonistykę, choć koledzy mówili – polonistyka bez perspektywy, przepadnie życie [...]. Po ukończeniu instytutu trafiłem do pracy w polskiej szkole. Rodzinę miałem bardzo patriotyczną i trafiłem na patriotycznego bardzo dyrektora. [...] W szkole rozmawiano po polsku. Raptem przyszło egzaminy zdawać z języka litewskiego, ja jego nigdy nie umiałem i nadal nie umiem. Dali taki plakat z różnorodnymi kwiatami i mówią – nazwij

po litewsku. Ja mówię – ja ich po polsku nie umiem, a wy chcecie, żebym po litewsku wam powiedział. I jakimś dziwnym sposobem napisano, że zdałem ten litewski język. [...]

Teraz trwa wielka walka i wielki wyścig o polskie dziecko. W książkach to jest prosto i oficjalnie napisane, że podczas okupacji polskiej część Litwinów została spolonizowana i teraz oni mają takie zadanie – wrócić znowu do litewkości. Pod tym względem dobrze oni pracują. Już jeżeli dziecko trafiło z polskiej rodziny do litewskiej klasy, niestety z niego będzie Litwin. [...]

W polskiej szkole, do której trafiłem, w Pasyniskach, była nauczycielka – Longina Różanowska. Wcześniej była w klasztorze, ale wiadomo, jaki to ich los spotkał. Miała wykształcenie i została nauczycielką. Była bardzo ascetyczna. Ja obserwowałem ją, jak ona się odżywiała: na śniadanie to była szklanka herbaty i dwa sucharki. Obiad to szklanka mleka i bułka. To gdzie pieniądze? A ona chodziła po wsiach i ciekawiła się, kto chce mieć »Świerszczyk«, kto chce mieć »Płomyczek«, kto chce mieć »Misia« i dzieciom nosiła takie rzeczy. Potem prowadziła swoją walkę potajemną ze Związkiem Radzieckim – księgarnie pełne były polskich książek, ale to była ateistyczna literatura, na ogół tania – po 10 kopiejek. Patrząc, a ona przy piecu klęczy i te książki do pieca wkłada. Ja mówię – ojej! takie piękne książki, co pani robi? – Nie rusz, te książki trzeba obowiązkowo zniszczyć. Ona chodziła po księgarniach, wykupywała te książki i paliła. Jak wydała wszystkie pieniądze, to cieszyła się, że plan został wykonany.

W domu pojawiło się w 1957 r. światło. Kupiliśmy radio, miało drewniane ściany, nie pamiętam, jak się nazywało. No i nastawiliśmy Warszawę. Polska była nastawiona i nigdy nie zmieniało się u nas na inny kanał. [...] U nas w domu zawsze była polska gazeta. To był w tamtym czasie »Czerwony sztandar«, pierwszej strony nie czytało się, drugiej też nie, ale co trzeba, zawsze było przeczytane. Jeszcze w czasach ZSRR pojawia się też polska telewizja, ale tylko jedynek. [...] Z wyjazdów do Polski mam około stu kaset z piosenkami. Szczególnie lubię patriotyczne piosenki – jak wstaję i robię śniadanie, to włączam *Przybyli ulani*. U mnie w domu była Polska i nadal została. Znalazłem w folderze wileńskim, że to nie my wyjechaliliśmy z Polski, to niestety Polska wyjechała od nas. [...]

Ja mogę się poszczycić: u mnie rodzina czysto polska. Wśród dalekich krewnych też. Ale ogromna liczba jest mieszanych małżeństw, a jeśli np. matka jest Polką a ojciec Litwinem, to już dziecko w litewskiej szkole jest, już w rodzinie po litewsku się mówi. Dominacja litewkości istnieje. Polacy za bardzo miękko się poddają. [...] A przecież Polacy, to naród, który o swoje potrafi walczyć. Historia zawsze opowiadała, że Polak o swoje walczy. Jak ma Polskę, to on do niej bardzo obojętnie się odnosi. Jak Polska ma zginąć, to on już kombinuje, jak ją ratować. Taka widocznie mentalność narodu. [...]

Żebym ja był młody w dzisiejszych czasach, zrobiłbym wszystko, żeby być w Polsce. Nie jestem pierwszy raz w Polsce, a i tak uczucia we mnie drgają. Póki się nie żyje gdzieś na obczyźnie, to nie rozumie się, jak to jest dobrze – choćby zobaczyć polski napis w sklepie, na ulicy posłyszeć polską mowę. [...]

Jak przyjeżdżają Polacy z Polski, to niektórzy ziemię całują, kościoły całują. To było na żywo z korzeniami wyrwane, przez krew, przez siłę, wulgarnie [...]”.

**(nauczyciel, 62 lata)**

„Od wieków właściwie jesteśmy tutaj i zawsze czuliśmy się Polakami. Czy to jest łatwe? Różnie się zdarzało, ale polskość była i mamy nadzieję, że może potrwa, choć czasy się zmieniają – stajemy się europejczy, a o narodowości coraz mniej się myśli. [...]

Co się tyczy okresu sowieckiego, który ja pamiętam, to nie było łatwo – była rusyfikacja, ateizm i ta żelazna kurtyna, która nas od Polski oddzieliła. [...] Myślałam – kościół czynny, w rodzinach mówią po polsku i dzieci posyłają do polskich szkół, to polskość będzie żyć. Wilno ma tyle tych zabytków i świętości, że nie można o niej zapomnieć. Dużo mieliśmy polskich zespołów. Zespół »Wilia« obchodzi pięćdziesięciolecie i tyle się w nim par pobrało, tyle rodzin się utworzyło. To wszystko była polskość. [...] Bardzo odczułam ateizm. Trudno było nam przetrwać. Mieliśmy kącki ateistyczne, trzeba było mówić na temat nieistnienia Boga. Ale zawsze na Wielkanoc jajka w szufladce znajdowałam, czy jakieś pierożki na Boże Narodzenie, do kościoła dzieci chodziły. Kiedyś do naszej szkoły przychodzą z komitetu partii, do klasy czwartej. I pytają dzieci: – Wierzycie w Boga? – Nie. – Chodźcie do kościoła? – Nie (bo dzieci tak były nauczone). A wtedy pytają: – a wy, dziewczynki, lubicie ładnie ubierać się? – Tak. – A białe sukieneczki macie? – Tak. – A te sukieneczki, to kiedy wam mamy uszyły? – Na I Komunię. Tak to wyglądało. Ale kto chciał, w nocy szedł do kościoła do naszego księdza i brało się ślub. Trzymało się polskość. Moskwa była daleko, Litwini i Polacy byli tu w jednakowej sytuacji. Polacy trzymali się swojej narodowości, Litwini swojej. [...]

Od piętnastu lat, od kiedy Litwa jest wolna, to jeżeli chodzi o sytuację Polaków, jest gorzej. Już władza na miejscu. To był szok, kiedy od razu po odzyskaniu niepodległości w pokoju nauczycielskim powstały grupy – Rosjanie, Polacy, Litwini. Inteligentni Litwini spokojnie to przyjmowali, ale inni mówili – a dokąd teraz pójdziecie? Czy do Polski, a może do Solecznik? [...] Nie można powiedzieć, że Litwini nas jakoś gnębią, nie. Są oczywiście wśród nich nacjonałiści, tak jak i w naszym narodzie. [...] Jak świat światem, Litwin z Polakiem zawsze troszeczkę na bakier miał ze sobą, ale i żyją obok, i razem się modlą. To nasze miasto i Litwa – to taki wielonarodowy, wielowyznaniowy naród, taki ciekawy. Coś w tym jest, że tyle razy te kultury tolerowały jedna drugą, także wyznania i Kościoły. Tak było, więc tak i powinno być nadal, żebyśmy się nie zagryzali. [...]

Uważam, że polskość to rodzina, w niej trzeba przekazać wszystkie tradycje, wiarę, kulturę. W polskiej szkole nauczyciele mogą o niej uczyć nawet na lekcjach muzyki, tak bogata jest polska kultura. Szczególnie u nas, gdzie jest kolebka romantyzmu. [...] Nasze dzieci muszą bardzo dobrze znać państwowy litewski, historię taką, jakiej oni uczą – żeby dostać się na wyższe uczelnie, ale muszą przynajmniej myśleć i modlić się po polsku, śpiewać nasze piosenki, żeby to przetrwało. [...] Nasze dzieci bardzo dobrze adaptują się wśród nich – na podwórku czy później w pracy. Posłuchasz rozmów na podwórku – każdy mówi w swoim języku – bardzo dobrze się rozumieją. Sąsiadki to samo. Litwinka, Ukrainka, Polka, Rosjanka – jak się zbierzemy, żadna nie fatyguje się tłumaczyć, każda rozumie.

Kiedyś do polskiego przedostawało się dużo rusycyzmów, a teraz litwinizmy zaczęły się. [...] Litewskiego mają więcej godzin, a poziom nauczania litewskiego naprawdę jest wysoki. Teraz coraz więcej pytają – a jak to po polsku? Poziom znajomości polskiego stopniowo będzie spadał, nic nie zrobisz. Z ich rodzicami było za czasów sowieckich tak – szli do rosyjskiej szkoły, bo lepiej później wstąpić na studia. Niektórzy jeszcze tak myślą i teraz. Do polskiej szkoły trzeba przez miasto jechać, a litewska pod nosem. Dziecko małe, to już jedna przyczyna, druga, że może wcześniej zasymiluje się i może mu lepiej będzie. Ale zdarzały się wypadki, że po iluś tam miesiącach w litewskiej szkole dziecko wracało do naszej. [...] Mam uczniów, których rodzice skończyli rosyjskie szkoły. Czasami tak dziwnie jest na zebraniach rodzicielskich, jak niektóre mamy po rosyjsku mówią. [...]

Część uczniów należy do harcerstwa, więc mówiłam im na lekcji o *Mazurku Dąbrowskiego*. I mówię – może zaśpiewamy? Na baczność klasa stanęła i jak huknęła »Jeszcze Polska nie zginęła!« Tyle przyjemności miałam, że znają. [...]”

(nauczycielka języka polskiego, 35 lat)

„Żyłem, jak wielu tutaj rodzonych, na Wileńszczyźnie. Wychowałem się w rodzinie polskiej, w domu mówiło się w języku polskim. Święta religijne były przestrzegane, bo Kościół pełnił podwójną rolę. Pielęgnował część duchową, emocjonalną, wiarę w siły wyższe. I było to miejsce, gdzie można było porozumiewać się i słuchać publicznie słowa w języku polskim. Msze były w języku polskim. [...] We wczesnym dzieciństwie miałem do czynienia z dwoma grupami narodowościowymi: z Polakami i Rosjanami. Dwa języki były równoległe. Rosyjskiego uczyło się na ulicy, większość dzieciaków posługiwała się nim, był też obecny w filmie, w prasie. I wszechobecny był polski – w domu, szkole, kościele. Litewski zaczęło się poznawać w szkole jako język obcy. Po uzyskaniu niepodległości przez Litwę zaczął się duży stres, przede wszystkim dla osób starszych – ludzie musieli przestawić się raptem z rosyjskiego, którym się posługiwali na co dzień, na język litewski, który jest wymagany. Ja posługuję się trzema językami i nie widzę w tym większego problemu. [...]

Ale mieszkać tu i przyznawać się do tego, kim ty jesteś i skąd ty wywodzisz się, to jednak wymaga pewnego wysiłku. Bo w niektórych środowiskach zwraca się uwagę na to, czy ty jesteś z tych, czy z tamtych, czy ty jesteś Litwinem, w jakim kierunku myślisz. [...]

Na pewno czuję dumę z tego, że jestem Polakiem tutaj. Dla mnie jest naturalne, że Polacy tu mieszkają, jest szkolnictwo polskie, działają instytucje polskie, jest promocja kultury polskiej. Tak ma być. Te tereny są wymieszane, tu jest taki koktajl. Wilno jest takim miejscem, gdzie tolerancja narodowościowa i religijna zawsze była. [...]

Starsi ludzie mogli tu przeżyć całe życie i nie mówić po litewsku, bo żyli w zwartych środowiskach, które były samowystarczalne. Był wójt, który potrafił sprawę załatwić, chłop czy robotnik robił swoje i jemu wystarczyło, że mógł ze swoim kumplem mówić w języku polskim, ewentualnie po rosyjsku. Czasami tu sztucznie wywołuje się różne rzeczy, np. rzucano takie głupie hasło – „sąd nad Jagiełłą”. I jakiś werdykt zapadł z powodu jego „zdrady”. Głupota, ale i ciągnęła próba udowadniania, że Polak czymś się różni od Litwina – bo to jest inna kategoria ludzi. Nasza wspólna historia to jest dla nich cios niesamowity. [...]

Polskość to jest swoista forma wolności wyboru. Prawo do mówienia, myślenia, pisania, czytania i innych form komunikacji w języku ojczystym, czyli w języku, który po prostu podoba mi się bardzo. To możliwość wychowania dzieci w tym kierunku. Wolno być dumnym z historii swojego kraju. Wszystko skupia się w tym – ja mam prawo być tym, kim ja chcę być. To nie może być narzucone. To bardzo ważne prawo, z którego trzeba korzystać. [...]

Niektórzy rodzice myśleli w swoim czasie, że jeżeli dziecko trafi do szkoły rosyjskiej, albo teraz – do litewskiej – to ono raptem przejdzie tę barierę od niewiedzy do wiedzy ogromnej, że ta szkoła mu da większą podstawę do bycia kimś w życiu. Takie dziecko wejdzie w ciągły konflikt z przeszłością. Bo niby w domu mówi się po polsku, niby to jest rodzina polska, niby są inne ideały, o tych czy innych wydarzeniach mówi się inaczej, a tu przychodzą do szkoły i słyszą, że założymy dziadek, który służył w Armii Krajowej, walczył – jest bandytą. To jest ból. Znaczący – mój dziadek był nieprawidłowy, on nie jest OK, ja jestem nie w porządku, bo wywodzę się z tych „zbozczeńców”, którzy zabijali potulnych Litwinów w czasie II wojny światowej. Wtedy próbują odzębnić się od tego, co jest polskie – nie wszyscy oczywiście – i próbują udowodnić wszystkim, że są bardziej litewscy niż Litwini. [...]

Gwara wileńska została wśród osób starszych, bardziej na prowincji, wśród ludzi, którzy nie są zmuszeni do używania innych języków. Mówią w języku, którego kiedyś się nauczyli. Mówią ładnie, ciekawie, tak ciepłutko. W zależności od tego, z której strony Wilna mieszkają – jak bardziej w stronę Białorusi, to jest to mieszanina języka polskiego i białoruskiego. Bardzo ciekawa polszczyzna jest w okolicach Dębinki, bardziej w głąb Litwy, stamtąd wywodzili się moi dziadkowie. Tam nawet takie babuleczki mówią taką dobrą, piękną, niesamowitą polszczyzną. [...]

A jednak uważam, że Polacy z Polski mogą się od nas nauczyć patriotyzmu. Czasami jak do Polski przyjeżdżam, to mam takie wrażenie, że ludzie tam żyją już na europejskim poziomie, ale dla nich wartością podstawową jest kibicowanie jakiejś drużynie piłkarskiej. Nie myślą o potrzebie zachowania ducha narodowego, nie ma lokalnego patriotyzmu. Ludzie mieszkający na Litwie to bardziej mają. Człowiek zastanawia się nad tym, kim jest”.

**(nauczyciel historii, dyrektor szkoły, 40 lat)**

„Czasami było takie niezdecydowanie – kim jestem, jeżeli chodzi o tożsamość narodową? To było przy wstąpieniu na wyższą uczelnię. Jak byłem w polskiej szkole, to przebywałem w środowisku polskim. Miałem ok. 70 proc. towarzystwa polskiego, a 30 proc. litewskiego. A teraz jest odwrotnie, bo chodzę na uczelnię litewską. I teraz właściwie sam nie wiem. Dużego wpływu na pracę, na profesję to nie ma – tożsamość narodowa. Na przykład jeżeli ktoś ubiega się o pracę w firmie, to często oni wymagają, żeby pracownik znał język polski, to jest dodatni punkt. A jak uczniowie z polskich szkół wychodzą, to często z akcentem mówią po litewsku i gramatykę słabo znają, tego nie powinno być. Trzeba znać litewski, jeżeli na Litwie robisz karierę. Polski jest przydatny w pracy, gdy firma ma jakieś kontakty z Polską.

Mówią, że Wilno jest wielokulturowe, ale tu tylko parę kultur jest – Polacy, Litwini, Rosjanie, Żydów trochę jest. To nie jest taka multikulturowość jak w Londynie, czy w Nowym Jorku. Na co dzień używam trzech języków. Czasami jak rozmawiam z kimś, to lubię ułożyć zdanie z kilku języków i robię to świadomie.

Polskość, to jest dla mnie jakaś abstrakcja. Tutaj była Polska na tej ziemi, na której teraz jestem. Po wojnie trochę się zmieniło, część ludzi wyjechała do Polski, część została. Tradycje jeszcze tutaj trwają, rodzina jest polska, sąsiedzi są polscy, rozmawiamy po polsku. Teraz o polskości trudno mówić, bo nie ma okupacji ani zaborów żadnych, możesz swobodnie pojechać do Polski. Polskość kojarzy mi się z katolicyzmem. I Kieślowski, Wajda, Miłosz, Mickiewicz, Masłowska.

Może to jest negatywne, że polskość zanika... Teraz planuję pojechać do Poznania na pół roku i będę mógł porozmawiać sobie po polsku. Tutaj tylko z rodzicami czasami króciutko porozmawiam. W pewnym sensie ja nie wiem, kim jestem. Jak mamy Unię Europejską to czuję się Europejczykiem”.

**(absolwent polskiej szkoły w Wilnie, student litewskiej uczelni artystycznej, 23 lata)**

Wilno, Ostra Brama



# CZERWONOGRÓD – PERŁA PODOLA

**Podolskie jary, wąwozy, doliny. Parę kilometrów stąd płynie Dniestr, blisko są Zaleszczyki. Gdzieś tam wystaje czerwony kamień albo gleba odsłania swoją krwawą barwę. Czerwonogród – to od niego niektórzy historycy wywodzą nazwę Grodów Czerwieńskich, a nawet całej Rusi Czerwonej. Dziś tego miejsca nie ma na mapie. W ciągu jednej tragicznej nocy skończyła się historia tysiącletniego grodu. W ruinach kościoła i pałacu pasie się bydło z ukraińskich gospodarstw. I tylko krzyż na grobie przypomina, że na zawsze zostali tu Polacy.**

Dżuryn (dopływ Dniestru) spada z wysokości 16 m., tworząc największy wodospad na Podolu. Stara miejscowa tradycja jego powstanie łączyła z oblężeniem przez Turków w 1672 r. Napastnicy przekopali nasadę czerwonogrodzkiego cypla, a wtedy rzeka runęła w powstały wyłom skalny, co spowodowało wyschnięcie całego zakola osłaniającego miasto i zamek; zakole jest obecnie wąską, bagnistą odnogą Dżurynu.

Okolice zwana jest ze względu na swą malowniczość „Naddniestrzańską Szwajcarią”, nic więc dziwnego, że przyciąga turystów. Gdy kapelan siostr niepokalanek w nieodległym Jazłowcu zaproponował wycieczkę w te strony, i ja, i goście ze Lwowa (znany lekarz oraz

Czerwonogrodzki wodospad



Fot. A. Kaczorowski

korespondent mediów katolickich) wybraliśmy się z ochotą. I właśnie przy wodospadzie spotkałem pana Kazimierza, rodem z pobliskiego Nyrkowa – obecnie Nirkiw – świadka ostatnich dni Czerwonogrodu. Po raz kolejny, tym razem z wnuczką, odwiedzał swoją rodzinną ziemię.

W pobliżu wodospadu widać zrujnowany budynek małej elektrowni. Dalej, pośrodku głębokiej rozległej doliny – dwie baszty z resztką ścian pałacowych i murów kościelnych. Obok w żelaznym ogrodzeniu skromny krzyż wystawiony dla uczczenia pięćdziesięciu pomordowanych w nocy z 2 na 3 lutego 1945 r. i spoczywających tutaj w zbiorowej mogile. Przechodzimy przez teren pustego obozu dla młodzieży, urządzonego na obszarze dawnych zabudowań dworskich jeszcze w czasach komсомolskich. Na wysokiej frontowej ścianie ruin kościoła ktoś niedawno umieścił znak krzyża.

Lekarz podziwia ślady pałacowych świetności, żałując, że jego ukraiński przewodnik zawiera tak mało informacji. Zjechał Europę i Amerykę, ale pasjonuje się poszukiwaniem pamiętek histo-

rii w swoim kraju. Ukraina to dla podróżnych wciąż *terra incognita*, brak prawie wszystkiego – dobrych dróg, toalet, hoteli, troski o zabytki, promocji, całej infrastruktury turystycznej, a przecież nigdzie nie ma tak wspaniałej dzikiej przyrody i takich pomników „blasku potęgi i chwały” dawnej Rzeczypospolitej, jak na Kresach.

Lwowski dziennikarz jest zażenowany dewastacją świątyni i widokiem chroniących się tu krów. Przy grobie ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów odmawiamy wszyscy modlitwę w intencji tych, co tu zginęli. Oby wreszcie mogli odpoczywać w pokoju...

Trudno uwierzyć, że ten nieprawdopodobnie piękny zakątek ziemi „mlekiem i miodem płynącej” dotknął tak okrutny los. Czerwonogród – najstarsza osada na Podolu wymieniana w latopisach w IX w. i wzmiankowana później w kronikach jako *Castrum rubrum* – często zmieniał właścicieli. Był rezydencją ruskich książąt, podobnie jak inne grody zniszczoną przez najazd Mongołów w latach 1240–1241; gdy Podole opanowali Litwini, z rąk wielkiego księcia Olgierda Czerwonogród otrzymali przed 1313 r. książęta Koriatowicze, którzy ufundowali tu klasztor Dominikanów. Za Władysława Jagiełły tutejsze dobra należały kolejno do wojewody krakowskiego Spytka z Melsztyna oraz braci króla: Świdrygiełły i wielkiego księcia Witolda; po włączeniu w 1434 r. Podola do Korony Czerwonogród stał się jednym z głównych ośrodków nowego województwa, siedzibą starostwa niegrodowego oraz powiatu. Pierwszy starosta czerwonogrodzki – kasztelan kamieniecki Teodoryk Buczacki-Jazłowiecki – wystarał się w 1448 r. o magdeburskie prawo miejskie. Dalszy rozwój miasta hamowały jednak ciągłe napady tatarskie i mołdawskie. W XVII w. kolejni jego właściciele z rodu Daniłowiczów wzniesli w Czerwonogrodzie obronny zamek nad rzeką, murowany z miejscowego czerwonego piaskowca, ale nie odegrał on większej roli militarnej; zdobyli go najpierw Kozacy w 1648 r., a potem w 1672 r. Turcy. W okresie przynależności Podola do Turcji mieszkańcy opuścili miasto. Jeszcze do rozbiorów pozostało ono siedzibą starostów, którymi byli Skarbkowie, Raczyńscy, Bielscy i Gadomscy, ale w XVIII w. Czerwonogród określano już jako wieś.

Po I rozbiorze tutejsze dobra nabył od Austriaków Karol Poniński, który w XIX w. przebudował zamek na klasycystyczny pałac; jego syn Kalikst dokonał kolejnej przebudowy w duchu neogotyku. Dwukondygnacyjną rezydencję otaczał park krajobrazowy z fontanną – dziś to tylko opis zaginionej przeszłości. Na jednym z okolicznych wzgórz Ponińscy wzniesli okazałe mauzoleum rodzinne, obecnie w stanie ruiny; w kaplicy grobowej do 1961 r. znajdowała się marmurowa płaskorzeźba z 1842 r. – zamówione w Rzymie dzieło wybitnego rzeźbiarza duńskiego Bertela Thorvaldsena. Artysta przedstawił Geniusza Śmierci prowadzącego zmarłe dzieci Ponińskich oraz ich rozpaczającą matkę, księżnę Helene; obecnie dzieło to można podziwiać w zbiorach Lwowskiej Galerii Sztuki. Pałac uszkodzony podczas

Fot. A. Kaczorowski



Zachowane baszty pałacu

I wojny światowej, został częściowo odbudowany w okresie międzywojennym, by podzielić los Czerwonogrodu w czasie ostatniej wojennej pożogi, podobnie jak kościół parafialny Wniebowzięcia NMP zbudowany w stylu późnego gotyku i renesansu oraz cała wieś. Ostatnią właścicielką majątku była Maria Eleonora z Zamoyskich Lubomirska.

Wieś była położona w pętli rzeki, w niezwykle malowniczym, nawet jak na Podole, naturalnym amfiteatrze utworzonym przez strome zbocza doliny, wciętej na ponad 100 m w płaski podolski płaskowyż. Zdecydowaną większość spośród niespełna czterystu mieszkańców stanowili przed wojną Polacy wywodzący się z drobnej szlachty. W 1944 r. władze sowieckie nie kwapiły się jednak do obrony Polaków. Kasper Kazimierz Karasowski, którego spotkałem przy wodospadzie, był świadkiem zagłady Czerwonogrodu; jako szesnastoletni chłopiec należał do polskiej samoobrony i w święto Matki Boskiej Gromnicznej 1945 r. brał udział w odparciu napadu sotni UPA. Wśród pięćdziesięciu pochowanych potem ofiar znalazł się jego ojciec. „Razem z moją matką owinęliśmy zmarłego ojca prześcieradłem i około 500 metrów ciągnęliśmy go po śniegu do kościoła” – napisał we wspomnieniach. „Na placu kościelnym znajdowała się jama, w której kiedyś gaszono wapno do remontu kościoła. Ofiary napadu włożono do tej jamy”. Nie było trumien, nie było pogrzebu.

Bojówki nacjonalistów ukraińskich otoczyły wieś w nocy z 2 na 3 lutego 1945 r., podpalając zabudowania. Część mieszkańców schroniła się w domu ludowym, w młynie



Fot. A. Kaczorowski

W zdewastowanym kościele

i w kościele, ale i tam próbowali wdrzeć się napastnicy. „Mam zastrzeżenia do swojego ojca i innych mężczyzn, którzy kierowali samoobroną za to, że umieścili ją w takim miejscu. Była to dolina o bardzo łatwym dostępie. Czerwonogród po prostu nie nadawał się do takich celów” – twierdzi po latach Karasowski.

Wieś spalono. Nie ocalał żaden z 79 domów. W latach 1944–1945 z rąk ukraińskich zginęło tu – zamordowanych niekiedy w bestialski sposób – 125 parafian; miejsca pochówku 75 osób są do dziś nieznane. Pozostali przy życiu opuścili podolską ziemię, osiedlając się głównie na Opolszczyźnie. Wcześniej dwunastu obrońców Czerwonogrodu aresztowano na podstawie fałszywych oskarżeń rodzin ukraińskich z Nyrkova o napad i rabunek mienia, a następnie skazano na długoletnie więzienia i zsyłki w głąb ZSRS. Karasowski ponad osiem lat spędził w łagrach Gułagu, m.in. na Uralu i Kołymie, by po przeszło rocznym oczekiwaniu wyjechać do Polski; mieszka w Siewierzu.



Cudowny obraz Matki Bożej Czerwonogrodzkiej znajduje się dziś w kościele parafialnym w Lubszy koło Brzegu.

*Ręką otula Syna, który nas błogosławi,  
Czerwonogrodzka Maryja, za nami w niebie się wstawi.  
Ogarnia lasy, pola i zgliszcza dawnych chat,  
Mogiły zmarłych braci i krwawy ziemi ślad.  
Choć wiele lat minęło i czas ukoił lzy,  
Lecz w sercach pozostanie pamięć tragicznych dni.*

W 1975 r. przy kościele w Lubszy umieszczono tablicę pamięci pomordowanych w Czerwonogrodzie i Nyrkowie – bez podawania, kto dokonał tej zbrodni.

Ale pamięć pozostała. Władysława Kucy z domu Romach miała wtedy trzynaście lat. Jej rodzice i rodzeństwo zostali w okrutny sposób zamordowani w zamku; młynarz Stanisław Szuba, który kierował obroną w domu ludowym, widział ofiary w zamkowych oficynach: rozebrano ich, wycięto im krzyże na brzuchach i napisy „Koniec Lachom”, skórę na szyi podcięto i ściągnięto na oczy, a nogi i ręce połamano. Ona uratowała się, uciekając z ciotką do szkoły, gdzie wraz z nauczycielką przesiedziały do rana; jej babcia ukryła się z księdzem kanonikiem Szczepanem Juraszem w pieczarze i tam była świadkiem jego nagłej śmierci. Jeszcze w dzień ksiądz odprawiał w kościele uroczystą Mszę św., modląc się ze łzami o pomoc i łaski dla parafian na przyszłe dni, jakby przeczuwając niepewność życia. „Było to wspólne przeżywanie rozstania się z rodzinną parafią, w której znajdował się cudowny obraz Matki Boskiej” – zanotowała po latach s. Władysława, szarytka z klasztoru w Nyrkowie, gdzie dzień później zamordowano dwie siostry. Józef Juzwa zapamiętał, że Maria Sutyk zginęła, trzymając na ręce półroczną córeczkę Hanię. Po napadzie znaleziono żywe dziecko przy zmarłej matce.

Napastnicy, mimo znacznej przewagi, nie mogli zdobyć Czerwonogrodu. O świącie odstąpili. Dzięki determinacji obrońców uratowano około tysiąca Polaków z okolicy, którzy tam się schronili. Kilka miesięcy później władze sowieckie zmieniły nazwę opuszczonej wsi na „Uroczysko Czerwone”.



Krzyż ku czci pomordowanych Polaków

Fot. A. Kaczorowski

Materiał uzyskany z rozbiórki pałacu posłużył z czasem do budowy chlewni kolchozowych w Nyrkowie.

Możliwość upamiętnienia rodaków na Podolu powstała dopiero po pięćdziesięciu latach. W 1995 r. staraniem Stanisława Grabowieckiego, urodzonego w Zaleszczykach, obecnie mieszkańca Tarnowa Opolskiego, ufundowano krzyż z tabliczką ku czci pomordowanych. Mszę św. w ruinach kościoła w Czerwonogrodzie odprawił ks. Kazimierz Grabowiecki. Pięć lat później pan Karasowski postanowił zrobić trwały nagrobek, by szczątków zabitych nie tratowało pasące się tu bydło; w tym celu siedmiokrotnie jeździł na Ukrainę.

Zbudowany z czerwonego kamienia pomnik pięćdziesięciu pomordowanych został uroczystie poświęcony 22 października 2000 r. na miejscu zbrodni. „Pamięci tych, co tu zginęli 2 lutego 1945 r. Niech odpoczywają w pokoju” – i tutaj nie ma informacji, że zamordowani zostali przez bojówkarzy UPA tylko dlatego, że byli Polakami. Nad polską mogiłą w dolinie, gdzie kiedyś kwitła wioska, wspólnie modlili się ukraińscy wierni, zarówno grekokatolicy, jak i prawosławni. Niestety, z Polski odważyło się na przyjazd do Czerwonogrodu tylko kilkanaście osób. Autobusem dojechali parafianie z Zaleszczyk z ks. proboszczem Stanisławem Żelą, który odprawił Mszę św. Uczestniczyli w niej kapłani ukraińscy: prawosławny ks. Aleksander Proceszyn z Nyrkowa i grekokatolicki ks. Michał Witowski z Uściczka. Razem odmówiono też po ukraińsku panichidę za zmarłych i odśpiewano pieśń *O, wspomogaj nas, Diwo Maryja*.

– Jak pięknie wyglądało przybycie przedstawicieli tych dwóch Cerkwi! Z gór schodziły rozciągnięte procesje z chorągwiami i podążyły do grobu. A potem siedemset osób płakało ze wzruszenia. Czasy nienawiści odeszły daleko i żadnej zemsty oba narody nie powinny pragnąć. Nie trzeba rozdrapywać starych ran. Ten dzień świadczy, że można znaleźć wspólny język – wspomina pan Karasowski.

Fot. A. Kaczorowski



Ruiny kościoła w Czerwonogrodzie

– W czasie rozchodzenia się wiernych dwie panie wyrecytowały w języku ukraińskim wiersze skierowane do pielgrzymów z Polski – zapamiętał ks. Stanisław Żela. – Mówiły one: przyjeżdżajcie do miejsca swego urodzenia. My was szanujemy. Pokłon składamy. Współczujemy, ale tego, co się stało, odmienić nie możemy. Musimy z tym żyć. A o zmarłych tu spoczywających będziemy pamiętać.

Karasowski założył Fundację „Kasper”, której celem jest upamiętnienie kresowej historii Polaków. W minionym roku odwiedzał Podole kilka razy, samotnie podróżując po Ukrainie samochodem. Podczas swych pobytów za wschodnią granicą zauważył, że młodzież ukraińska nic nie wie o krwawej przeszłości tej ziemi. – Dlaczego? – pyta. – Przecież prawda jest najlepszym lekarstwem na jątrzące się rany.

### Źródła

- Hauser Zbigniew, *Podróże po cmentarzach Ukrainy – dawnej Małopolski Wschodniej*, t. 2: *Województwo Tarnopolskie*, Kraków 2006.
- Kaczorowski Andrzej W., *Krzyż trudnego pojednania*, „Tygodnik Rolników »Obserwator«” nr 44 z 3 XI 2002 r.
- Karasowski Kasper Kazimierz, *Wspomnienia z zesłania*, Kęty 2001.
- Komański Henryk, Szczepan Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Wrocław 2004.
- Rąkowski Grzegorz, *Przewodnik krajoznawczo-historyczny po Ukrainie Zachodniej*, cz. 2: *Podole*, Pruszków 2006.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu przeprasza pana Tadeusza Sznuka za naruszenie jego czci i dobrego imienia poprzez bezprawne pomówienie go w uzasadnieniu postanowienia z dnia 3 sierpnia 2005 r. nr 80/05 o współpracy z organami bezpieczeństwa państwa.

# STO PODRÓŻY

Z GRZEGORZEM RĄKOWSKIM ROZMAWIA  
ANDRZEJ W. KACZOROWSKI

**Jak to się stało, że człowiek z Mazowsza, urodzony w PRL i pozbawiony kresowych korzeni oraz rodzinnych sentymentów, poczuł smak Kresów?**

Kresy zafascynowały mnie, jeszcze zanim poszedłem do szkoły. Miałem ze cztery lata, gdy rodzice kupili mi w prezencie *Ballady i romanse*, a ja nauczyłem się wierszy Adama Mickiewicza na pamięć i potem popisywałem się, że to niby potrafię czytać. Później, gdy już byłem nieco starszy, zacząłem się interesować, gdzie owe *Ballady i romanse* się rozgrywają, i stwierdziłem, że są to tereny znajdujące się w tej chwili już poza granicami Polski i że bardzo bym chciał w te piękne strony kiedyś pojechać. Oczywiście, w tamtych latach było to marzenie trudne do zrealizowania.

Tymczasem pojawiła się pewna zupełnie niespodziewana możliwość. W ostatniej klasie szkoły podstawowej wygrałem konkurs z okazji pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej, a nagrodą była trzytygodniowa wycieczka do Związku Radzieckiego. Zwiedzaliśmy między innymi Moskwę, ale w programie znalazł się też ponadtygodniowy pobyt w okolicach Mińska, w tym wycieczka do Nowogródka. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem jezioro Świtez, które mnie urzekło i zafascynowało, bo wyglądało dokładnie tak, jak je opisał Mickiewicz. Właściwie od tamtego czasu zacząłem się już bardziej systematycznie interesować Kresami, co polegało przede wszystkim na gromadzeniu wszelkiej literatury o tematyce kresowej, poczynając od klasyków, poprzez różnego rodzaju wspomnienia, pamiętnikarstwo, opowieści myśliwskie itd. Rzecz jasna, nie miałem zbyt dużych nadziei, że kiedyś uda się tam naprawdę pojechać.

Będąc na studiach, rozpocząłem działalność w Uniwersyteckim Klubie Turystycznym „Unikat”, który specjalizował się w wyjazdach na tereny Polski północno-wschodniej i wschodniej; to była taka jakby namiastka Kresów w obecnych granicach, tym bardziej że istniały tam rzeczy dla Kresów charakterystyczne, jak piękne krajobrazy przyrodnicze, no i mieszkali tam przedstawiciele mniejszości narodowych: Litwini, Białorusini, Ukraińcy, rosyjscy starowierzy. Były to zresztą tereny, które kiedyś wchodziły w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz ruskich ziem Korony.

Interesując się Kresami, zgromadziłem też ogromną liczbę map, wówczas trudno dostępnych. Jednym z głównych propagatorów dawnych przedwojennych map Wojskowego Instytutu Geograficznego, do dzisiaj wciąż niedoścignionego wzoru w kartografii, był Piotr Kamiński, znany powszechnie w środowisku turystycznym jako Pieter, który robił odbitki kserograficzne z tych map i rozprowadzał je na różnych rajdach. Dzięki niemu zebrałem komplet map WIG-owskich, które pokrywały cały obszar przedwojennej Polski. Czytając więc różne książki, których akcja rozgrywała się na Kresach, opisy krajobrazów, mogłem wszystko śledzić na mapie. I właśnie na mapach wypatrzyłem, że jednym z najpiękniejszych miejsc na Kresach są Jeziora Brasławskie, porównywalne może tylko z regionem Wielkich Jezior Mazurskich. Kiedy więc jeszcze przed rozpadem Związku Radzieckiego, bo w 1990 r., w ramach działalności w „Unikacie” udało nam się zorganizować pierwsze wyprawy na Białoruś, wybraliśmy się najpierw na Pojezierze Brasławskie. W tym przepięknym krajobrazie

spędziliśmy dwa tygodnie, jeszcze trochę z duszą na ramieniu, bo nikt nie wiedział, czy jakieś służby nie zaczną się nami interesować. Na szczęście, obyło się bez incydentów. Współpracowaliśmy w tym czasie z reaktywowanym Klubem Włóczągów z Wilna, z którym wspólnie organizowaliśmy i pierwszą, i drugą naszą wyprawę, w tym samym roku, wzdłuż Niemna. Przeszliśmy wówczas brzegami rzeki 300 km, poczynając prawie od źródeł aż do Grodna. Obie te wyprawy to były po prostu niesamowite przeżycia...

Odtąd na Kresach bywam kilka razy w roku, corocznie, w różnych miejscach – na Ukrainie, na Białorusi, na Litwie, ale także na Łotwie i w Estonii. Za każdym razem staram się zwiedzić takie miejsca, gdzie rzadko kto dociera, gdzie są mniej znane obiekty.

**W myśleniu o Kresach często pojawia się opinia, że jest to „zatopiona atlantyda”. Penetrujesz te ziemie od kilkunastu lat. Czy tam można w ogóle coś odkryć?**

Rzeczywiście, kiedyś dominowało przekonanie, że na tych Kresach to już nic nie ma, bo komuniści wszystko zniszczyli; rozwalone kolchozy, ludzie zsowietyzowani itd. Prawdę powiedziawszy, zaczynając wyjazdy na Kresy, ja również za wiele się nie spodziewałem. To jednak, co tam zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Okazało się bowiem, że mimo pięćdziesięciu lat rządów sowieckich zachowało się zaskakująco dużo rzeczy; przede wszystkim piękna przyroda i krajobrazy. Mówi się na przykład, że Polesie zostało zmeliorowane i zniszczone; owszem, melioracje przeprowadzono tam na wielką skalę, ale osuszono mniej więcej połowę Polesia, a przecież był to olbrzymi obszar, prawie 2 mln km kw. Został zatem jeszcze drugi milion w stanie zbliżonym do naturalnego. Wciąż istnieją na Kresach ogromne tereny, gdzie można jeszcze zobaczyć pierwotny krajobraz: dawne puszcze, bagna czy pojezierza.

Po drugie, zachowało się jednak bardzo dużo zabytków. Te zabytki oczywiście są najczęściej w stanie fatalnym, wpółzrujnowane, opuszczone, ale – mimo wszystko! – jest ich bardzo dużo. W prawie każdej miejscowości można znaleźć czy to kościół, czy to stary cmentarz, dwór bądź jakieś jego pozostałości, choćby stary park podworski. To wszystko znajduje się na ogół poza standardowymi trasami wycieczek, które kierują się zazwyczaj tylko na główne atrakcje turystyczne. Tymczasem jest bardzo wiele miejsc jeszcze nigdzie nieopisanych, o których nikt nie wie. Włócząc się po Kresach – a najlepiej jest zwiedzać, chodząc z plecakiem – można takie rzeczy znaleźć. I to jest właśnie moja pasja: wyszukiwanie miejsc zapomnianych przez Boga i ludzi, robienie dokumentacji fotograficznej, a potem ich opisywanie.

**A jakie miejsca, które w ten sposób odnalazłeś, zrobiły dotychczas na Tobie największe wrażenie?**



Fot. A. Kaczorowski

Grzegorz Rąkowski w stroju huculskim, podczas jednej ze swych podróży

Bardzo trudno jest na to odpowiedzieć, bo takich miejsc jest wiele. Przede wszystkim muszę wymienić moje ulubione Polesie, bo – niezależnie od zainteresowań kresowych – zawsze się interesowałem bagnami jako przyrodnik. Już od najmłodszych lat jeździłem na nasze Bagna Biebrzańskie, zawsze marząc o bagnach poleskich, aż wreszcie udało mi się pojechać parę razy na to prawdziwe Polesie. To, co tam zobaczyłem, to naprawdę są rzeczy niesamowite: ogromne przestrzenie bagien, dolina Prypeci zachowana w stanie naturalnym na przestrzeni kilkuset kilometrów. W tej chwili w Europie Środkowej jest to jeden z najpiękniejszych i najcenniejszych obszarów przyrodniczych, a w dodatku jeszcze bardzo mało znany, bo tam ani turyści z Zachodu, ani nawet z Polski prawie wcale nie docierają. Teren jest trudno dostępny – a i Białoruś zrobiła się mniej dostępna niż w latach dziewięćdziesiątych XX w. – i jest tam naprawdę wiele rzeczy do odkrycia.

Następne miejsce, to północne pojezierza – cały pas jezior, które ciągną się przez Litwę, północną Białoruś, Łotwę i Estonię. Fantastyczne tereny, słabo zaludnione, turystycznie jeszcze nie zagospodarowane, w odróżnieniu od naszych pojezierzy, gdzie już prawie wszystko, co się dało, zostało zniszczone i ucywilizowane. Tam natomiast są ogromne obszary i ogromne jeziora, których brzegi są dzikie.

Urzekające są wyżyny na Podolu i Wołyniu, gdzie zachowały się resztki stepów z niezwykłą roślinnością, egzotyczny krajobraz pocięty jarami rzek – Dniestru i jego dopływów; krajobraz, którego u nas nie ma. Trzeba wreszcie wspomnieć o Karpatach, które w Polsce są tak zdeptane przez turystów, że trudno już znaleźć jakieś odludne miejsce. Ta część Karpat, która obecnie znajduje się na Ukrainie, oferuje turystyce spragnionemu wrażeń mnóstwo wspaniałych dzikich terenów, może poza najwyższym pasmem – Czarnohorą, która, ze względu na natężenie ruchu turystycznego, powoli zaczyna przypominać polskie góry. W wiele innych pasm turyści jednak rzadko trafiają, jak na przykład w Gorgany, Beskid Huculski, na Bukowinę czy choćby w leżące najbliżej dzisiejszej granicy Bieszczady Wschodnie. Ukraińskie góry wyglądają trochę inaczej. Dość intensywna gospodarka leśna występuje tylko tam, gdzie może dotrzeć sprzęt. W pozostałych miejscach zachowały się nawet fragmenty naprawdę dzikiej Puszczy Karpackiej, jakiej nigdzie w Polsce nie ma – to fantastyczne tereny! W naszych Bieszczadach mamy niewielkie połoniny, natomiast w Karpatach Wschodnich połoniny zajmują ogromne przestrzenie, jak w Czarnohorze czy na Świdowcu, a także w Karpatach Bukowińskich, przy granicy z Rumunią, gdzie turystów praktycznie nie ma.

**Zapewne łatwiej było zniszczyć dziedzictwo kulturowe Kresów niż zepsuć ich krajobraz przyrodniczy. Zabytki są mniej trwale...**

Mimo wszystko udało mi się na Kresach odnaleźć wiele cennych obiektów zabytkowych. Szukając na przykład kresowych dworów i pałaców, opierałem się na klasycznym dziele Romana Aftanazego, który opisał kilkaset rezydencji. Część z nich już nie istnieje bądź jest mocno zrujnowana, tylko nieliczne zachowały się w jako tako dobrym stanie. Ale oprócz tego – korzystając właśnie z map WIG-owskich – za każdym razem, w jakimkolwiek rejonie Kresów byłem, starałem się zawsze odwiedzać zaznaczone na nich dwory, które znajdowały się przecież praktycznie w każdej większej miejscowości. I przy tej okazji udało mi się odkryć kilkadziesiąt rezydencji nieopisanych przez Aftanazego i właściwie szerzej dotąd nieznanych; niektóre to skromne dworki, inne – naprawdę okazałe dwory i pałace otoczone parkami, także zachowane w różnym stanie. Mam satysfakcję, że jako pierwszy mogłem je

sfotografować i odnotować w literaturze. Wprowadzam te odkrycia do przewodników i do swojej bazy danych.

**Kresy to nie tylko przyroda i zabytki, ale również ludzie, Rzeczpospolita wielu narodów. Jak wyglądają Twoje kontakty z miejscową ludnością, jaki jest stan świadomości obecnych mieszkańców tych ziem? Czy możliwa jest wspólna pamięć o przeszłości Kresów?**

Jedną z atrakcji wyjazdów są oczywiście kontakty z miejscową ludnością. Muszę powiedzieć, że te kontakty zawsze były bardzo serdeczne, i to niezależnie od narodowości gospodarzy. Czy to byli Polacy kresowi, czy Litwini, Białorusini, Ukraińcy, czy też przedstawiciele innych nacji, zawsze niezwykle serdecznie nas przyjmowali, a widząc turystę z plecakiem, częstowali, czym mogli, chociaż w ich obejściach zazwyczaj się nie przelewało. Serce i chęć rozmowy są u tych ludzi po prostu ujmujące. Bardzo często byliśmy goszczeni w domach, a przy okazji można było się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o okolicach. Kiedyś Polacy byli znani z takiej serdeczności, ale dziś ta cecha w Polsce pomалу ginie. Turystyka już się na tyle skomercjalizowała, że o taką szczerą serdeczność jest u nas trudno, natomiast na Kresach wciąż się ją na każdym kroku spotyka. I to jest naprawdę bardzo sympatyczne.

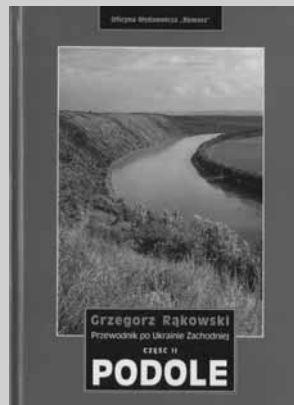
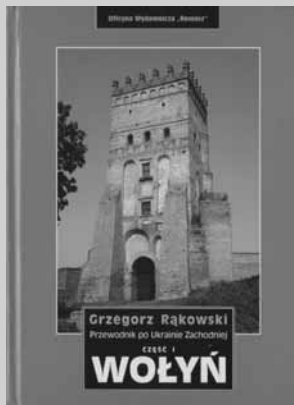
Jeśli chodzi o stan świadomości historycznej, to wygląda ona bardzo różnie. Spotykałem również osoby, które świetnie się orientowały w dawniejszej historii i były świadome wszystkich zbrodni popełnianych na Kresach w czasie wojny i w okresie komunizmu; spotykałem też ludzi mniej tego świadomych, ale zawsze bardzo serdecznych i otwartych, z którymi można było porozmawiać na różne tematy. Wprawdzie dawna mozaika etnograficzna na Kresach w wyniku ostatniej wojny została zburzona, niemniej są rejony, gdzie obok siebie mieszkają różne narodowości. Dobrym tego przykładem jest chociażby Braślowszczyzna, od której zacząłem przygodę kresową. Wciąż są tam Polacy, Białorusini, duża grupa rosyjskich starowierów, pojedynczy Litwini, Żydzi; ta mieszanka etniczna, choć zubożona, ciągle tam występuje. Widać to również w architekturze – mamy przecież świątynie różnych wyznań, stare cmentarze. Cmentarze są w ogóle bardzo ważnym miejscem, bo można tam odkryć nie tylko ciekawe pod względem artystycznym pomniki, ale i znaleźć świadectwo dawnej wielokulturowości Kresów.

**Czy zachodzące przemiany cywilizacyjne i polityczne nie zniszczą jednak kresowego charakteru tych ziem? Jak długo jeszcze warto będzie tam podróżować?**

Takiego zagrożenia w najbliższym czasie zupełnie nie ma. Tempo przemian jest tam ciągle jeszcze dość słabe. Warto zwrócić uwagę, że na terenach Ukrainy i Białorusi zachowały się bardzo liczne wsie o tradycyjnej zabudowie drewnianej, które wyglądają bardzo pięknie; w Polsce – może poza wschodnią Białostoczczyzną – już takich wsi się nie spotka. Krajobraz kulturowy polskiej wsi został całkowicie zniszczony przez chaotyczną zabudowę i brak poszanowania dla ładu przestrzennego. Na Kresach tradycyjne układy osadnicze i budownictwo jeszcze w wielu miejscach istnieją.

Gdy zaczynałem jeździć za wschodnią granicę, powszechne były głosy – do tej pory ta opinia jeszcze pokutuje – że panuje tam straszliwa bieda, złodziejstwo, bandytyzm i w ogóle nie wiadomo co. Chociaż odbyłem na Kresy ponad sto podróży, to ani razu nie zdarzyło mi

**Grzegorz Rąkowski** – ur. w 1954 r. w Warszawie, absolwent Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego (1977), dr nauk przyrodniczych (1985), od 1989 r. pracownik Instytutu Ochrony Środowiska. Podróżnik, krajoznawca; zwiedził wszystkie kontynenty, ale jego pasją są dawne kresy Rzeczypospolitej. Autor bestsellera *Polska egzotyczna* (2 tomy), *Ilustrowanego przewodnika po zabytkach kultury na Białorusi*, *Ilustrowanego przewodnika po zabytkach kultury na Litwie*; książek z serii *Smak Kresów*, *Wśród jezior i mszarów Wileńszczyzny* i *Czar Polesia* oraz kolejnych tomów *Przewodnika krajoznawczo-historycznego po Ukrainie Zachodniej* (cz. I – Wołyń, II – Podole, III – Ziemia Lwowska, IV – Lwów; w przygotowaniu cz. V – Karpaty).



się, żeby cokolwiek zginęło ani żebym gdziekolwiek czuł się w jakikolwiek sposób zagrożony – a w Polsce to mi się zdarzyło parę razy...

**Powracając do kwestii politycznych: dochodzi do zafalszowania historii tych ziem, do zmiany krajobrazu kulturowego – na przykład poprzez masowe ustawianie kurhanów i innych upamiętnień czynu UPA na zachodniej Ukrainie. Czy nie ma niebezpieczeństwa, że zaczniemy czuć się na Kresach obco?**

Wydaje mi się, że to niebezpieczeństwo dotyczy bardziej czynników oficjalnych. Na tak zwanych ludzi prostych, zamieszkałych na wsi, ma to zdecydowanie niewielki wpływ. Być może następne pokolenia będą na to patrzyły już inaczej. W tej chwili jednak ludzie ci nie są zbyt wrażliwi na oficjalną propagandę państwową. Taka sytuacja występuje zarówno na Ukrainie, jak i na Białorusi, gdzie miejscowi wcale nie są tacy stłamszeni przez Łukaszenkę. W wielu wsiach przechowywana jest pamięć o tym, co było przed wojną; w bardzo wielu rejonach – i to niezależnie od obecnego składu etnicznego ludności – pamięć polskich rządów przedwojennych jest bardzo dobra. Ludzie często wspominają, że za polskich czasów może nie wszystko było najlepsze, ale był porządek, gospodarowano, a jak przyszli Sowieci, to wszystko zostało rozwalone.

**A jak wygląda dokumentacja Twoich podróży?**

Za każdym razem w czasie wyjazdu robię zdjęcia (mam w tej chwili ok. 20 tys. fotografii z Kresów). Po drugie, na bieżąco po powrocie robię notatki, wszystkie podróże są więc skrótoowo opisane. To wszystko trzymam w swojej bazie danych. Gromadzę też różnego rodzaju wydawnictwa, zarówno te, które ukazują się w kraju, jak i te, które mogę kupić podczas



wyjazdów – po ukraińsku, białorusku, litewsku – dotyczące zabytków, historii, przyrody. Kupuję oczywiście współczesne mapy turystyczne, gromadzę interesujące wycinki prasowe. Z tego archiwum korzystam potem przy pisaniu książek.

### **Czytelnicy przewodników również wzbogacają Twoją wiedzę?**

W swoich książkach zawsze zamieszczam prośbę o nadsyłanie wszelkich uwag, sprostowań czy nowych informacji. W ten sposób uzyskałem wiele często unikatowych materiałów, bo ludzie przysyłają mi kopie dokumentów rodzinnych i fotografii, opisy, fragmenty pamiętników, publikacji. Wyróżniają się tu dwie grupy: osób starszych, pochodzących z Kresów, które uzupełniają moje przewodniki wiedzą z autopsji oraz przekazują np. kopie rodzinnych dokumentów lub niewydane pamiętniki, oraz osób młodych, które współcześnie jeżdżą po Kresach, zachęczone m.in. moimi książkami, a potem przekazują mi różne uzupełnienia, bo wiadomo, że czas przecież nie stoi w miejscu, różne rzeczy się zmieniają; dzięki temu mam informacje na bieżąco, co się dzieje na Kresach.

### **Co planujesz w tym roku?**

Mój plan zajęć roczny jest na tyle napięty, że trudno znaleźć więcej czasu na wyjazdy, ale ciągle mi się to udaje. Na wiosnę chciałbym tradycyjnie pojechać gdzieś na bagna na Polesiu białoruskim, w wakacje planuję wyjazd na stepy wschodniej Ukrainy, a we wrześniu prawdopodobnie w Karpaty ukraińskie. Zapewne będzie też parę krótszych wypadów.

### **Życzę Ci zatem pomyślnej realizacji tych zamierzeń.**

Twierdza w Chocimiu



# W SPRAWIE UWAG DO TEKI EDUKACYJNEJ



W grudniu 2007 r. Instytut Pamięci Narodowej rozesłał do szkół ponadpodstawowych w Polsce 7 *Tek edukacyjnych*, które dzięki aktywności pracowników Biura Edukacji Publicznej zostały przygotowane w pierwszych latach istnienia Instytutu. Intencją kierownictwa Biura było dotarcie z naszą ofertą edukacyjną do wszystkich nauczycieli, szczególnie historii, języka polskiego i religii. Do tej pory wspomniane *Teki* były wykorzystywane jedynie w ramach warsztatów z nauczycielami. Zachętą do podjęcia tego kroku były m.in. pozytywne reakcje tych pedagogów, którzy stale z nami współpracują. Otrzymujemy liczne dowody, w formie podziękowań, że nasza decyzja z grudnia 2007 r. była ze wszech miar słuszna i pożyteczna. *Teki* spotkały się z przychylnym odbiorem. Obok listów pochwalnych (których nie wypada nam cytować), nadeszły także słowa krytyki. Szczególnie jedna teka *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–1947* (wyd. 2002 r.) spotkała się z ostrymi polemikami, w tym prasowymi. Obok drukujemy recenzję pani Ewy Siemaszko, której treść – w znacznej mierze – sumuje zarzuty wysuwane ze strony niektórych badaczy, a przede wszystkim świadków historii. Jako dyrektor BEP IPN nadal uważam, że *Teka* ta – podobnie jak pozostałe – może służyć nauczycielom (w sposób przez nich kontrolowany) jako znakomita pomoc dydaktyczna. W *Tece* znajdują się, obok artykułów i scenariuszy lekcji, dokumenty, zdjęcia oraz mapy, których wartość jest bezdyskusyjna. Jednakże, ze względu na wagę zarzutów wynikających z postępu badań naukowych, a także wynikających z odmiennej od prezentowanej przez autorów *Teki* wizji dramatu Polaków na południowo-wschodnich Kresach, zdecydowaliśmy się na wydanie niniejszej recenzji. Nie ma wątpliwości, że w latach II wojny światowej – szczególnie na Wołyniu – doszło do aktów ludobójczych ze strony członków partyzantki ukraińskiej i całych jej oddziałów. Planowa czystka etniczna, do której doszło na terenie województw kresowych, nie może być pomijana w badaniach naukowych, a akty odwetu ze strony polskiego podziemia niepodległościowego oraz przebieg akcji „Wisła” nie mogą być prezentowane w oderwaniu od wcześniejszego doświadczenia polskich rodzin. Nie znaczy to, bym zgadzał się ze wszystkimi uwagami Recenzentki. Intencją autorów *Teki* było na pewno zaprezentowanie faktycznych stosunków polsko-ukraińskich w tym okresie. Recenzja jest zatem przeznaczona dla nauczycieli, studentów i uczniów, a także miłośników dziejów najnowszych, których zapraszamy z jednej strony do krytycznego korzystania z naszej oferty edukacyjnej, z drugiej zaś do coraz wnikliwszego analizowania postępu badań nad najnowszą historią Polski.

Jan Żaryn  
Dyrektor BEP IPN

## UWAGI DO TEKI EDUKACYJNEJ „STOSUNKI POLSKO-UKRAIŃSKIE W LATACH 1939–1947”

**Kilkudziesięcioletnie zaniedbania w przekazywaniu społeczeństwu pełnej wiedzy historycznej dotyczą także ludobójstwa Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, popełnionego przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińską Powstańczą Armię w latach 1943–1947. Kierując się potrzebą wsparcia nauczycieli odpowiednimi materiałami, Instytut Pamięci Narodowej wydał w 2002 r. *Tekę edukacyjną „Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–1947”* autorstwa Agnieszki Jaczyńskiej, Grzegorza Motyki i Mariusza Zajączkowskiego. Niestety, materiały te nie przedstawiają pełnej prawdy o gehennie Polaków, spowodowanej przez nacjonalistów ukraińskich, co szczegółowo zostało objaśnione poniżej.**

### **Scenariusz lekcji *Konflikt polsko-ukraiński w latach 1943–1945***

Scenariusz lekcji, która z założenia ma podjąć zagadnienie ludobójstwa Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, ani nie uwzględnia tej problematyki w temacie lekcji, ani nie zamierza ukazać rzeczywistego charakteru zbrodni popełnionej przez OUN-UPA na narodzie polskim.

Autorka nie używa w stosunku do zbrodni OUN-UPA właściwej kwalifikacji, nazywając je „konfliktem polsko-ukraińskim”, „antypolską akcją”, „wydarzeniami” (identyczne nazewnictwo występuje w pozostałych dwu tekstach, zawierających materiały dla ucznia i pomoce dydaktyczne). Nie posługuje się nawet terminem „zbrodnie”. Sporadycznie sięga po termin „czystka etniczna”, często stosowany przez publicystów zajmujących się tym zagadnieniem, a przecież dla zbrodni OUN-UPA na Wołyniu i w Galicji Wschodniej zupełnie nieodpowiedni. Autorzy w kilku miejscach wyjaśniają, że „antypolska akcja” to termin zaczerpnięty z dokumentów OUN-UPA, co oznacza wprowadzanie do słownictwa historycznego języka zbrodniarzy, zaciemniających swe czyny. Konsekwentne unikanie terminu „ludobójstwo”, bo obciążającego wizerunek OUN-UPA, świadczy o dążeniach autorów do ukrycia prawdy o rzeczywistym charakterze zbrodni wołyńsko-małopolskiej. Potwierdza je także brak wśród sformułowanych celów lekcji – celu poznania, na czym polegała ta zbrodnia.

Zaprojektowany zakres wiadomości do przyswojenia przez uczniów w ramach wzorcowej pierwszej lekcji jest zbyt obszerny w stosunku do czasu (2 godziny lekcyjne) przewidzianego na ich samodzielną pracę poznawczą i analityczną. Biorąc to pod uwagę, a także główny cel lekcji, jakim powinno być zapoznanie uczniów z ludobójstwem Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, można mieć obawy, że wzorowanie się na omawianym scenariuszu doprowadzi ich do wypaczonego obrazu wydarzeń: do zatrzymania się na zagadnieniach nieistotnych, a zarazem pominięcia informacji podstawowych.

Przykładem niewłaściwych akcentów w doborze treści lekcji jest skupienie szczególnej uwagi na polityce okupantów wobec ludności ukraińskiej oraz „Dywizji SS-Galizien”.

Odnosi się wrażenie, że autorzy uznali postępowanie władz sowieckich w latach 1939–1941 za tło późniejszego ludobójstwa, a skoncentrowanie się na polityce okupacyjnej Sowietów i Niemców wobec nacjonalistów ukraińskich może błędnie sugerować, że negatywny stosunek okupantów do OUN-UPA wywołał agresję nacjonalistów wobec Polaków. Być może autorzy byli zdania, że skonfliktowanie grup narodowościowych było dla okupantów korzystne, lecz nie wyrazili tego w sposób czytelny.

Szczególnie rażące jest eksponowanie „Dywizji SS-Galizien”, która wprawdzie była elementem stosunków polsko-ukraińskich, ale nie dominującym w porównaniu z działalnością OUN-UPA. To zaś wskazuje na zamiar kształtowania szczególnego wizerunku tej formacji – wizerunku pozbawionego jednoznacznie negatywnej oceny, przy jednoczesnym podkreślanii antysowieckości i niepodległościowych aspiracji jej członków.

Nie ulega wątpliwości, że realizowanie lekcji na podstawie omawianego scenariusza i materiałów pomocniczych upowszechnia wypaczoną wizję zbrodni wołyńsko-małopolskiej, bo ograniczoną do „walk” oraz bliżej nieokreślonych „napadów”, „ataków” i „uderzeń” UPA na polskie miejscowości, a jednocześnie minimalizującą jej rozmiary. Również zasadnicze przyczyny ludobójstwa – koncepcja państwa ukraińskiego bez innych narodowości, Polacy dla OUN-UPA jako najważniejsza przeszkoda w drodze do niepodległości, ideologia nienawiści OUN długotrwale propagowana wśród działaczy i ludności ukraińskiej – są nieobecne w proponowanych opracowaniach.

Charakterystyczne dla zamierzonego zaciemniania obrazu zbrodni OUN-UPA jest zakończenie lekcji, w którym zamiast rekapitulacji treści i przypomnienia, jakie minimum wiedzy na ten temat powinien posiadać uczeń, przewidziano ogólnikowe oceny tematu lekcji oraz rozważania o dyskusjach historycznych i politycznych deklaracjach.

### **Scenariusz lekcji *Ludność ukraińska a „wielka wędrówka narodów”* – przesiedlenia po zakończeniu II wojny światowej**

Scenariusz tej lekcji został skonstruowany jako przeciwwaga do poprzedniego scenariusza, podejmującego zagadnienie ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA, którego autorzy nie nazwali nawet zbrodniami i które „utonoło” pośród innych zagadnień. Wbrew zapowiedzi zawartej w temacie lekcji, nie jest ona poświęcona „wędrówkom narodów”, lecz tylko akcji „Wisła”, jako wyjątkowej i nieuzasadnionej represji wobec Ukraińców. W powojennej Polsce OUN i UPA były silnie związane z ludnością ukraińską (m.in. w wyniku teroru prowadzonego przez te formacje). Przez autorów natomiast są postrzegane wyłącznie jako siła antykomunistyczna. Pominięty został antypolski charakter tych organizacji i ich zamiary naruszenia integralności terytorialnej państwa polskiego. Przesiedlenia ludności ukraińskiej przedstawiono jako działania komunistycznych władz polskich (dodatkowo akceptowane przez ZSRS), zmierzających do „zlikwidowania problemu ukraińskiego” poprzez pozbycie się tej grupy narodowościowej, a nie likwidację organizacji popełniających zbrodnie oraz zmierzających do rewolt i zmian terytorialnych. W związku z tym kwestionowana jest konieczność pozbawienia OUN i UPA oparcia w ludności ukraińskiej poprzez wysiedlenie, pomimo że w krótkim czasie po przeprowadzeniu akcji „Wisła” działalność UPA zanikła.

Zauważalne jest, że jednocześnie autorzy scenariuszy uważają wzmiankowane przez nich powojenne przesiedlenia Polaków z Kresów Wschodnich za naturalne i słuszne, o czym świadczy m.in. stosowanie terminu „repatriacja” zamiast terminu „ekspatriacja”.

## **Scenariusz lekcji Stereotypy i uprzedzenia a przekaz historyczny**

Pierwszym nasuwającym się do tego scenariusza zastrzeżeniem jest wątpliwość co do wystarczającego przygotowania nauczycieli do prawidłowej realizacji tego trudnego tematu socjologicznego oraz niemożność jego zrealizowania w projektowanym czasie i proponowanymi metodami.

Pomysł tematu wynika z ukrytej intencji autorów, którzy są przekonani o istnieniu jakiegoś stereotypu Ukraińca, będącego fałszywym i zarazem negatywnym obrazem tej nacji. Zamierzają więc ten stereotyp podważyć, podając w wątpliwość negatywny wizerunek nacjonalisty ukraińskiego i tym samym niesłusznie stawiając znak równości między Ukraińcem a nacjonalistą. Mają temu służyć teksty różnych autorów (zaangażowanych w wydarzenia, uczestników wydarzeń, z jednej i drugiej narodowości) oraz tekst Grzegorza Motyki o trudnościach badawczych, których analiza – przy powszechnej niewiedzy o stosunkach polsko-ukraińskich w latach 1939–1947 – ma przywieść do wniosku, że obie strony konfliktu polsko-ukraińskiego przedstawiają wydarzenia w sposób nieobiektywny. Istnieją więc „różne prawdy” na ten temat i w związku z tym można postawić znak równości między nimi. Takie zabiegi prowadzą do fałszywych interpretacji, tworzenia kolejnej nieprawdziwej wizji przeszłości, a nie do porządkowania pojęć i właściwych działań wychowawczych. Tworzy się nowe stereotypy, chociaż podejmuje się cichą walkę ze starymi. Wpisuje się to w częste zjawisko relatywizowania prawdy, prowadzące do równania kata z ofiarą; zbyt częste, jeśli chodzi o polskie ofiary z rąk UPA.

Szczególnie chybiony jest pomysł zaplanowania przez uczniów – w ramach pracy domowej – działań zwalczających stereotypy. Zadanie to przekracza ich możliwości, ponieważ przezwyciężanie stereotypów jest procesem długotrwałym i skomplikowanym, a ponadto uczniowie nie mają do tego żadnego przygotowania.

## **Dokumenty, zdjęcia, mapy, diagramy**

Jest to zbiór pomocy dydaktycznych, które mają być wykorzystywane przy realizacji tematu: *Stosunki polsko-ukraińskie...* Pomoce te zostały dopasowane do dwu pozostałych tek, a zarazem są nośnikiem informacji wypaczonych i fałszywych lub całkowicie zbędnych na poziomie wykształcenia średniego.

Kolejność zamieszczonych w tece pomocy powinna w zasadzie odpowiadać strukturze proponowanych scenariuszy lekcji i chronologii omawianych wydarzeń. Nauczyciel może wprawdzie prowadzić lekcję według własnego planu, jednak uzasadniony jest jakiś postulowany model, który mógłby pomóc w przyswojeniu wiedzy w uporządkowany sposób. Z tego względu szczególnie rażące jest umieszczenie jako dwu pierwszych pomocy (karty 1 i 2) rysunków schronów wykrytych przez NKWD w 1947 r., a zbudowanych przez UPA tuż przed opanowaniem przez komunistyczne władze (i także później) terenów, na których ona działała, tj. przede wszystkim w 1944 r. Wysuwanie na pierwszy plan tych rysunków ma na celu wywołanie pozytywnego nastawienia wobec UPA, tym bardziej że podpis pod tymi ilustracjami sugeruje należy szacunek zbrodniczej UPA za dzielność i przemyślane sposoby przeciwstawiania się mającej przewagę militarną władzy komunistycznej.

Starania o dowartościowanie UPA są zawarte także w prezentacji innych dokumentów i ich komentarzach. I tak: przy „Sprawozdaniu polskim [Delegatury Rządu] z akcji UPA” (karty 3–6) znajduje się objaśnienie, które pod terminem „działania UPA” ukrywa masowe zbrodnie tej formacji w Małopolsce Wschodniej. Nie zamieszczono natomiast dokumentu dotyczącego ludobójstwa OUN-UPA na Wołyniu, od którego zaczęło się planowe unice-

stwianie ludności polskiej. Sprawozdanie sytuacyjne powojennej administracji niewiadomego szczebla (karta 10), informujące o napadach UPA na polskie siedziby (palenie), jest opatrzone usprawiedliwiającym objaśnieniem, że była to reakcja na przesiedlenia ludności ukraińskiej, a nadto że „dla władz komunistycznych polskie podziemie było takim samym przeciwnikiem jak UPA”. Jest to wyraźna sugestia, że zbrodnie UPA wobec Polaków były konsekwencją postępowania komunistów, a nie antypolskiego charakteru tej formacji. Niedopuszczalne jest również stawianie na jednej płaszczyźnie niepodległościowego podziemia polskiego z obciążoną zbrodniami ludobójstwa UPA. Formację tę dowartościowują również dwa rysunki satyryczne komunistycznej propagandy (zob. karta 12), które miały na celu skompromitowanie polskiego podziemia. Przedstawiają one bowiem lokalne porozumienia polskich oddziałów z UPA w 1945 r., a więc wówczas gdy prowadziły one beznadziejną walkę z siłami bezpieczeństwa.

W ten sposób podsuwa się odbiorcom wątpliwość co do zbrodniczego charakteru UPA, zwłaszcza w świetle negatywnego obrazu władz komunistycznych. Zjawisko porozumień polsko-upowskich, marginalne na tle całości antypolskiej i zbrodniczej działalności OUN-UPA, zostało wyolbrzymione w celu „uszlachetnienia” UPA. Służy temu fotografia ze spotkania przedstawicieli WiN i UPA (fot. 21, karta 24). Przekonaniu o „równorzędności” polskiego i ukraińskiego podziemia w walce z komunistycznym reżimem sprzyja również propagandowa odezwa Wojska Polskiego do Ukraińców, mająca zachęcić ich do przesiedlenia do USRS (karta 11), której retoryka w całości wzbudza sprzeciw, a przy tym jednym tchem nazywa polskie i upowskie podziemie reakcjonistami i bandami. Drugim celem zamieszczenia tego dokumentu jest pokazanie tragedii wysiedlenia ludności ukraińskiej, która przy braku dokumentu przedstawiającego tragedię ekspatriowanej ludności polskiej, narażonej nie tylko na naciski władz sowieckich, ale i mordercze napady ukraińskie, może być uznana za wyjątkową.

Trzy dokumenty, tj. afisz werbujący ochotników ukraińskich do „Dywizji SS-Galizien” (niedatowany, ale treść wskazuje na 1944 r., karta 7) oraz dwa afisze z 1944 r., dotyczące egzekucji zakładników (głównie Ukraińców) za porwanie dwu Niemców przez UPA (karty 8 i 9), stanowią kolejny przykład ulgowego traktowania nacjonalistów ukraińskich. W podpisie na karcie 8 jest wyrażona dezaprobata dla Niemców, którzy z jednej strony stosowali brutalne represje wobec ludności za „ograniczoną walkę [UPA] z Niemcami”, a z drugiej – prowadzili rozmowy z UPA na temat współpracy przeciw Sowiетom i werbowali do „Dywizji SS-Galizien”. Takiej dezaprobaty autorzy nie wyrażają ani w stosunku do OUN-UPA, które – mimo represji niemieckich i niespełnionych nadziei na jakąś formę państwa u boku Niemiec – współpracowały z Rzeszą przeciw Polsce i Polakom, ani wobec wstępowania Ukraińców – mimo tylu negatywnych doświadczeń – do „Dywizji SS-Galizien”. Jak widać, antysowiecki i antykomunistyczny charakter ugrupowań nacjonalistów ukraińskich jest dla autorów wystarczającym argumentem do usprawiedliwienia związania się tych ugrupowań z totalitaryzmem nazistowskim.

Dobór pomocy w postaci fotografii i komentarz do nich również świadczą o zamiarze uzyskania u odbiorcy fałszywego wrażenia, że Polacy i Ukraińcy cierpieli w takim samym stopniu i że prowadzili równą walkę w tzw. konflikcie polsko-ukraińskim. Zamieszczono cztery fotografie ofiar polskich (fot. 5 i 6 – karta 15; fot. 15 i 16 – karty 20 i 21), z których trzy pokazują Polaków, którzy zginęli z rąk UPA (fot. 5, 6, 16). Jednak sprawcy zabójstw są znani tylko specjalistom zajmującym się odnośną tematyką, ponieważ autorzy „zapomnieli” wymienić ich w podpisie pod fotografiami. Natomiast cierpienia ukraińskie ilu-

struje sześć fotografii (fot. 13 i 14 – karta 19; fot. 22 i 23 – karta 25; fot. 28 i 29 – karta 28) i w tym przypadku nie zapomniano podać jako sprawców formacji polskich (AK, NSZ), a nawet pokazano oddział AK w akcji, czego oszczędzono bojówkom OUN-UPA. Upowcy są pokazani w bardziej szlachetnych niż akowcy sytuacjach na dwu fotografiach (fot. 18 i 19 – karta 23) – podczas zbiórki i radosnego odpoczynku. Uderza ich „bardziej wojskowy” ubiór, zwłaszcza na fotografii 18 (prawie jednolite umundurowanie jak w regularnej armii), w porównaniu ze znacznie gorzej prezentującym się kombinowanym ubiorem oddziału AK na fot. 17 (karta 22). Przy braku rzetelnej informacji korzystający z tek mogą sądzić, że jest to oryginalne umundurowanie UPA, a nie niemieckie (fot. 18) i sowieckie (fot. 19).

Inne fotografie również są komentowane w sposób niepełny, pomijający niekorzystne dla nacjonalistów ukraińskich informacje. Na przykład brakuje objaśnienia do fot. 1 (karta 13), że ze wspólnie sfotografowanej w 1938 r. wielonarodowościowej grupy mieszkańców Kisielina Żydzi zostali wymordowani w 1942 r. przez policję ukraińską, a Polacy przez UPA w 1943 r. i to większość w kościele.

Nie wiadomo, czemu służy fotografia posterunku policji ukraińskiej w Tarnogradzie, tym bardziej że nie podano informacji, iż policja ta była obciążona zbrodniami na ludności polskiej, a posterunek w Tarnogradzie zasłynął z prześladowania Polaków (w scenariuszach lekcji i innych materiałach pomocniczych został pominięty szeroki udział Ukraińców w policji na służbie niemieckiej, ich przestępstwa oraz współpraca policji ukraińskiej z OUN i UPA). Razi „oszczędność” objaśnienia przy fot. 24 (karta 26), przedstawiającej zniszczoną miejscowość w Bieszczadach, bez informacji, kto był zaatakowany: Polacy czy Ukraińcy, i kto był sprawcą.

Zestaw map nie zapewnia orientacji, na jakim terenie toczył się tzw. konflikt polsko-ukraiński: nie ma mapy obszaru, na którym OUN i UPA planowały niezależne państwo ukraińskie, ani mapy ukazującej tereny, na których nacjonałiści ukraińscy przeprowadzali akcje ludobójcze przeciw Polakom. Uwaga korzystających z map będzie skierowana na obfitującą w nadmiar szczegółów mapę „wyznaniową” (mapa 1 – karta 29), która przecież nie jest niezbędna dla zobrazowania tzw. konfliktu polsko-ukraińskiego, oraz na mapę przesiedlenia Ukraińców w ramach akcji „Wisła”.

I chociaż drugi scenariusz lekcji uwzględnia także przesiedlenia ludności polskiej, a pierwszy – zbrodnie OUN i UPA na Polakach, nie ma mapy ekspatriacji Polaków i uchodźstwa, spowodowanego zbrodniami OUN-UPA. Takie „ustawienie” treści map świadczy o eksponowaniu krzywd ukraińskich i ograniczaniu informacji, obciążających nacjonalistów ukraińskich. Świadczy też o traktowaniu zbrodni OUN-UPA jako sprawy drugorzędnej.

Kolejna grupa pomocy dydaktycznych to dziewięć diagramów, z czego siedem jest całkowicie zbędnych (sześć z nich przedstawia bowiem schematy struktur organizacyjnych OUN i UPA na różnych obszarach, szczeblach i w różnym czasie [karty 32–35], a jeden poświęcony jest strukturze organizacyjnej Grupy Operacyjnej „Wisła” [karta 36], przesiedlającej Ukraińców i likwidującej UPA). O hierarchii wydarzeń, zjawisk i pojęć, którą posługują się autorzy tek, świadczy kolejność diagramów: najpierw są diagramy dotyczące OUN i UPA, a na końcu AK. A to oznacza, że intencją autorów było zasugerowanie uczniom wizerunku UPA jako dobrze zorganizowanej armii powstańczej, która dorównywała polskim formacjom wojskowym – podziemnym i powojennym komunistycznym, a więc zasługującej na poważne traktowanie jako siły narodowowyzwoleńczej.

## Teka Materiały dla ucznia

Ta część tek, obliczona głównie na samodzielną pracę uczniów, w całości przedstawia skrzywiony obraz wydarzeń składających się na stosunki polsko-ukraińskie.

Na s. 5 autor oskarża Polskę, że podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920–1921 nie doprowadziła do uwolnienia Ukrainy Naddnieprzańskiej i złamała sojusznicze zobowiązania wobec Symona Petlury, mimo że jego oddziały do końca walczyły u boku polskich sprzymierzeńców. Akcentuje lojalność żołnierzy ukraińskich we wrześniu 1939 r., a minimalizuje antypolskie wystąpienia i mordy ukraińskie (s. 5–6), które przecież objawiły się w dużej skali na Kresach Wschodnich. Jako obiekt represji okupanta niemieckiego są wymieniani wyłącznie Ukraińcy i działacze OUN i UPA (s. 7), o Polakach w tym kontekście nie wspomina się, a uprzywilejowanie Ukraińców w stosunku do Polaków, zwłaszcza w GG, zostało przemilczane. Silnie podkreślany jest antykomunistyczny charakter OUN i UPA, z którego ma wynikać współpraca niemiecko-ukraińska w 1944 r. i późniejsza walka UPA z komunistycznymi siłami bezpieczeństwa (s. 7). Takiej aktywności OUN i UPA jest nawet przeciwstawiona AK, której żołnierze – według autora – w ramach akcji „Burza” (s. 6) „atakowali oddziały niemieckie, pomagając Armii Czerwonej w marszu na zachód”, a także „pomogli Sowiecom opanować Lwów”, gdy w tym czasie UPA nie atakowała Wehrmachtu, „by nie pomagać ZSRR” (s. 7). W ten sposób akcję „Burza” przedstawia się wyłącznie jako współpracę z Sowiecami.

Wyjątkowo pokretnie i szkodliwe jest usiłowanie polepszenia obrazu „Dywizji SS-Galicien” i jej ukraińskich żołnierzy: autor kłamliwie przekonuje, że dywizja ta nie była ukraińska, bo w nazwie użyte jest określenie „galicyjska” (s. 7), że ochotnicy tłumaczyli skrót SS jako Siczowi Strzelcy, a kolaboracja Ukraińców, którego to terminu autor nie używa, jest wytłumaczona ich nadzieją na własne siły zbrojne (s. 11). Wybitnie razi poświęcenie niemal dwóch stron na omówienie „Dywizji SS-Galicien” (s. 11–12), a 9 wierszy dla „antypolskiej akcji OUN-UPA”, czyli ludobójstwa Polaków (s. 11).

We *Wprowadzeniu* ludobójstwo jest przedstawione zawile i mętnie (s. 8). Zaniżonej liczbie ofiar polskich przeciwstawia się zawyżoną liczbę ofiar ukraińskich z rąk polskich. Nie podano ani jednej nazwy miejscowości, w której wymordowano Polaków, ale za to wymienione są z nazwy ukraińskie wsie Sahryń i Pawłokoma – obiekty polskich „krwawych akcji odwetowych”, po czym następuje napiętnowanie polskich odwetów i przestroga przed lekceważeniem ukraińskiego bólu. Podobne „oskalpowanie” trwającego kilka lat ludobójstwa zostało dokonane w tablicy synchronistycznej (s. 20–23). Pomniejszaniu zbrodni OUN-UPA służy też twierdzenie, że 1 września 1944 r. UPA wydała rozkaz wstrzymujący „masowe antypolskie akcje” (s. 8), który – wobec trwających dalej rzezi Polaków – był *de facto* aktem pozornym, bo jedynie zabezpieczającym najwyższe szczeble UPA przed odpowiedzialnością w przyszłości.

Także w materiałach dla ucznia – podobnie jak w scenariuszach lekcji czy pomocach do nauczania – nie spotka się właściwej kwalifikacji zbrodni OUN-UPA. Nie ma więc terminu „ludobójstwo”, natomiast stosuje się określenia zaciemniające istotę zbrodni: „walki”, „antypolska akcja”, „swoista wojna polsko-ukraińska”.

Przesiedlenia powojenne zostały omówione na dwóch stronach (s. 9–10), co w zestawieniu z jedną stroną tekstu dotyczącego ludobójstwa Polaków (s. 8) – nieukazującej zresztą prawdy o gehennie ludności polskiej – świadczy o zamiarze przytłoczenia tego zagadnienia nadzwyczaj szczegółowym omówieniem przesiedlenia Ukraińców.

Do przedstawionych manipulacji należy też uszlachetniony wizerunek OUN (s. 13–14), zaprezentowany w Słowniku pojęć. Przemilczana została w tym omówieniu zbrodnicza



ideologia nacjonalizmu ukraińskiego, koncepcja państwa ukraińskiego wykluczająca inne narodowości niż ukraińska, antypolska i antypaństwowa działalność tej organizacji oraz jej odpowiedzialność za zbrodnie ludobójstwa na narodzie polskim. Dyskwalifikuje autora kłamliwe przetłumaczenie tzw. dekalogu nacjonalisty ukraińskiego (s. 14), mające na celu ukrycie zbrodniczego charakteru propagowanych przez OUN zasad postępowania. „Przykazanie” 7 „dekalogu”, które prawidłowo przetłumaczone z tekstu, z którego autor korzystał, brzmi: „Nie zawahasz się wykonać największej zbrodni, gdy wymagać tego będzie dobro sprawy”, zostało przetłumaczone: „Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszego czynu, gdy wymagać tego będzie dobro Sprawy”. Tłumaczenie „przykazania” 8 „dekalogu” też zostało wypaczone w kierunku mniej negatywnej wymowy: „Nienawiścią i bezwzględną walką będziesz przyjmował wroga Twego narodu” zamiast „Nienawiścią i podstępem będziesz przyjmował wroga Twego narodu”.

Materiały dla ucznia zawierają ponadto osiemnaście biogramów, z których aż dziewięć to biogramy działaczy nacjonalistycznych najwyższych szczebli (s. 16–19), którzy są odpowiedzialni za zbrodnie przeciw Polsce i Polakom, o czym autorzy – z wyjątkiem dowodzącego UPA na Wołyniu – nie wspominają. Eksponują natomiast ich walkę z Sowietami i każdorazowo opisują okoliczności śmierci, jak gdyby mieli to być bohaterowie dla polskich uczniów.

Zbędny jest ponadto dyskusyjny artykuł naukowy Grzegorza Motyki poświęcony „antypolskiej akcji OUN-UPA” (s. 48–56), w którym gmatwaną interpretacją i przypuszczeń, tłumaczących różne posunięcia OUN i UPA, usiłuje zdjąć z tych formacji choć część odium zbrodniarzy.

Analiza scenariuszy lekcji prowadzi do wniosku, że zawierają one merytoryczne i metodyczne nieprawidłowości. Pod względem merytorycznym są one jaskrawo tendencyjne: autorom bardzo zależało na takim przedstawieniu tematów, by zminimalizować złą sławę ukraińskich formacji nacjonalistycznych, udowodnić ich niepodległościowy i antykomunistyczny charakter, nie pokazywać zbrodni OUN-UPA z właściwą kwalifikacją i w pełnym wymiarze, stworzyć wrażenie równowagi między ludobójstwem dokonany na Polakach a cierpieniami doznany przez Ukraińców.

Od strony metodycznej rzuca się w oczy przeładunek lekcji treściami, które w kształceniu ogólnym na poziomie średnim są zbędne. W zaplanowanym czasie proponowany materiał nie może być zrealizowany w sposób przynoszący zgodną z prawdą wiedzę o przeszłości. Chcąc realizować tematy proponowane przez IPN, nauczyciele będą musieli dokonywać samodzielnie selekcji i doboru treści, a nie mając wystarczającej wiedzy na skutek kilkudziesięciu lat przemilczania kłopotliwych tematów i dysponując tendencyjnie przygotowanymi materiałami, nie przekażą uczniom prawdziwego obrazu stosunków polsko-ukraińskich w latach 1939–1947.

# GEN. BRYG. PROF. ELŻBIETA ZAWACKA

„ZO”, „ZELMA” „SULICA” (1909–2009)

*Można odejść na zawsze,  
by stale być blisko*  
Ks. Jan Twardowski

**Wielki, Wspaniały Człowiek. Druga generał brygady w historii Wojska Polskiego, jedyna kobieta wśród cichociemnych, legendarna kurierka AK, nauczycielka, matematyk, profesor nauk społecznych, prekursorka andragogiki, twórczyni „Archiwum i Muzeum Pomorskiego AK i Wojskowej Służby Kobiet”, a przede wszystkim Ukochana „Zo”.**

Ktokolwiek spotkał na swej drodze życia „Zo”, nie potrafił pozostać obojętny na Jej inspiracje. Była osobą ciepłą, otwartą, ale działającą z żelazną konsekwencją i bardzo wymagającą. Przede wszystkim od siebie. Od współpracowników oczekiwała intensywnej pracy, wojskowej solidności i odpowiedzialności w służbie. Jedną z Jej najbliższych warszawskich współpracownic, pani Izabela Kuczyńska, wspomina, że kiedyś zdarzyło się jej realizować jakieś z zadań „niedostatecznie” szybko – Pani Generał pół żartem, pół serio zagroziła „karnym aresztem”. Miała poczucie szybko uciekającego czasu. I niezmiennie uważała, że ma go mało, o wiele za mało. Jej życiowym mottem było przesłanie „Bądź godną Polki imienia...” i „Całe Życie w Służbie”.

Dziełem Jej Życia była służba Rzeczypospolitej. Realizowała ją jako nauczycielka matematyki na Śląsku (a po wojnie w Łodzi, Toruniu i Olsztynie), instruktorka i komendantka śląskiego Przysposobienia Wojskowego Kobiet, żołnierz Kobiecego Batalionu Pomocniczej Służby Kobiet walczącej w obronie Lwowa, w SZP i ZWZ-AK kurierka (ponad sto razy przekraczała granicę) i szkoląca kurierów, zastępca szefa „Zagrody” – Działu Łączności Zagranicznej Oddziału V Sztabu Komendy Głównej AK. W lutym 1943 r. jako emisariuszka Komendanta Głównego AK wyruszyła przez Niemcy, Francję, Andorę, Hiszpanię i Gibraltar do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Na własną prośbę powróciła do kraju,



skacząc na spadochronie na teren okupowanej Polski 10 września 1943 r. W Powstaniu Warszawskim pracowała w szefostwie Wojskowej Służby Kobiet KG AK. Konspiracyjną działalność prowadziła również po upadku Powstania – z Krakowa kierowała szlakami zachodnimi, prowadzącymi do bazy w Szwajcarii. Po zakończeniu wojny włączyła się w struktury konspiracji antykomunistycznej w ramach organizacji Wolność i Niezawisłość. W 1951 r. została aresztowana przez UB. Była więziona (z dziesięcioletnim wyrokiem) do 1955 r. W 1956 r. powróciła do pracy naukowej i pedagogicznej. Na Uniwersytetach Gdańskim i Mikołaja Kopernika w Toruniu zajmowała się andragogiką (w 1965 r. uzyskała doktorat nauk humanistycznych, a w 1973 r. – habilitację). Stale zbierała materiały związane z dziejami AK. W 1978 r. zmuszona do zaprzestania pracy jako wykładowca akademicki (zlikwidowano „Jej” katedrę andragogiki) – odeszła wówczas na emeryturę. Założyła koło kombatanów AK przy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, działała w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, współtworzyła Światowy Związek Żołnierzy AK. W 1990 r. doprowadziła do powołania Fundacji „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej i Wojskowej Służby Kobiet” w Toruniu, która gromadzi dokumenty i relacje, organizuje konferencje, zjazdy naukowe, wydaje publikacje dokumentujące udział Pomorza w walce o niepodległość oraz dzieje wojennej służby kobiet. Ostatnio dzięki inspiracji i determinacji „Zo” powstał *Słownik biograficzny kobiet odznaczonych orderem wojennym Virtuti Militari*.

Za swą służbę dwukrotnie odznaczona Orderem Wojennym Virtuti Militari kl. V i pięciokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski oraz Orderem Orła Białego. Kustosż Pamięci Narodowej i honorowy obywatel Torunia.

Swoją służbę „Zo” podsumowała bardzo lakonicznie: „Miałam szczęśliwe życie”.

Leszek Rysak

ELŻBIETA ZAWACKA „ZO”

## PRZEJŚCIE

**(FRAGMENT WSPOMNIENI ZAREJESTROWANYCH W TORUNIU W CZERWCU 2007 R.)**

Do Londynu przyjechałam w 1943 r. Zanim tam dotarłam, musiałam zrobić jako kurier kawał drogi. W Berlinie i w Paryżu bywałam bardzo często, a teraz miałam dotrzeć do Anglii bardzo okrężną drogą.

Francja okupowana i nieokupowana, to były dwie zupełnie różne Francje. Jednej stolicą był Paryż (to była jakby Francja francuska), a drugiej Vichy (to była Francja niemiecka). Granica Paryż–Vichy była bardzo trudna, bardzo obstawiona przez Niemców, bo oni wiedzieli, że np. Anglia przez Hiszpanię przeprowadza swoich lotników. A ja ją przekroczyłam.

Nazywałam się wtedy Elsie Liviere, byłam Francuzką i miałam francuskie papiery. Najpierw jednak musiałam wydostać się z Paryża. Istniała tajna organizacja francuska o nazwie Liberation, która miała nam zorganizować przejście przez tę granicę. Personalnie był za to odpowiedzialny francuski oficer Mederic.

Premierem rządu Vichy był Philippe Pétain. Codziennie na trasie Vichy–Paryż, Paryż–Vichy jechał pociąg parowy z salonką Pétaina. Maszynista, który go prowadził, był

z tej organizacji Mederica. Parowóz musiał być dobrze zaopatrzony w wodę, więc zaraz za lokomotywą jechał cały wagon napełniony wodą. To się nazywało tender. W tym tenderze Mederic wybudował żelazny stelaż, który stał w wodzie, na nim były położone deski. Wody nie nalewano do pełna. Trzeba było wleźć przez taki komin, przez który do tendra nalewano wodę, i położyć się na deskach. Woda pod człowiekiem chlupała. Oczywiście było takie niebezpieczeństwo, że gdzieś po drodze zabraknie wody i na jakiejś stacji trzeba ją będzie uzupełnić, napuszczając silnym strumieniem wodę przez komin. Na szczęście mnie taka przygoda ominęła.

Pierwsza wyprawa się nie udała. Już wlażłam do tego tendra i położyłam się na deskach. Pojawia się maszynista i mówi, żebym wychodziła, że była wpadka – nasz punkt kontaktowy u stóp Pirenejów został zaaresztowany przez Francuzów. (Punkt był spalony i spalony był człowiek, który przeprowadzał kurierów; poszedł do obozu niemieckiego). To było o drugiej w nocy, więc nie było tak niebezpiecznie jak w dzień, bo o tej porze na Dworcu Orleańskim w Paryżu było niewiele Niemców. Miałam na sobie wełniany kostium w paski, z kieszeniami, bo kieszenie były bardzo potrzebne. I w tym kostiumie wchodziłam do tendra, co nie było szczególnie wygodne. A przy sobie miałam świeżo uszyty w Paryżu płaszcz (dałam sobie uszyć płaszcz u madame Lisienne, bo w Polsce, w Warszawie przecież już wszystko było w łapach niemieckich). Piękny płaszcz. Pobrudził się w tym kominie.

Wylazłam, umieścili mnie w jakimś hotelu. W Paryżu często mieszkalam w hotelu dla gestapowców, tak świetnie miałam zrobione papiery. Jak się dowiedziałam, że tam pod Pirenejami była wpadka i nie mogę jechać dalej, musiałam wracać do Warszawy, zameldować o wszystkim. Wcześniej Grot-Rowecki wydał rozkaz, że mnie wolno iść tylko bezpiecznymi drogami, bo jestem z łączności, znam tyle adresów zagranicznych. Nie mogę być aresztowana, bo nie wytrzymam tortur. Co to za rozkaz?! (Co prawda to był rozkaz dla tych, którzy mnie prowadzili). Zażądałam wtedy, by mi zabrano ten rozkaz, żeby mi wolno było wybrać drogę, ocenić, czy jest bezpieczna, i podjąć decyzję, czy nią iść. Zgodzili się, żebym szła wedle własnego nosa.

Pojechałam drugi raz do Paryża i w tym tenderze przejechałam na południe Francji, do Vichy, gdzie byłam parę dni. Tam już się zebrała gromadka oficerów francuskich. Pojechalismy do Tuluzy, a stamtąd do pewnej wioski na północnych stokach Pirenejów. Po drodze jest miasteczko, które zachowało całkowicie średniowieczny charakter – Carcassonne. Ja tak byłam ciekawa tego Carcassonne, że wysiadłam (czego nie wolno było robić) i zapoznałam się z tym miasteczkiem. Nie miało ulic, tylko dróżki, dookoła otaczały je mury. Pojechałam następnym pociągiem. W punkcie kontaktowym w tej wsi był już zapowiedziany przez Mederica przewodnik, który miał mnie przeprowadzić przez Pireneje. Hiszpania była pronieemiecka i aresztowała wszystkich, którzy szli przez jej terytorium, a tamtędy szli francuscy oficerowie i polscy lotnicy, którzy chcieli dostać się do Anglii; szło wielu ludzi. Ta droga nazywała się Ewa, od „ewakuacja”.

Głupi, zupełnie nieznający się na konspiracji przewodnik zrobił spotkanie tych, których miał przeprowadzić przez Pireneje, w schronisku. To tak, jakby w pełni sezonu zrobić spotkanie w schronisku na Ornak. Była godzina ósma wieczorem, mieliśmy wyjść nocą. Wieczór, jest pewnie z dwunastu mężczyzn, których miał przeprowadzić, i ja, dołączona do tej grupy, jedyna kobieta. Francuzi w ogóle nie mieli pojęcia, co to jest konspiracja i jak się trzeba zachowywać. Tu występowali otwarcie, jako turyści.

Była tam duża sień, a dalej sala restauracyjna. W sieni zgromadzili się francuscy oficerowie, którzy szli do Afryki Północnej, do Algieru, gdzie tworzyło się wojsko alianckie.

Czekamy na przewodnika, a tu pojawia się niemiecki Grenzschutz (ta jednostka miała swój znaczek w formie szarotki górskiej). I pytają tych Francuzów: „Co wy tu robicie?” A oni się tłumaczą, że sprzedają ranne pantofle. Niemcy zaglądną do ich plecaków, a tam są rzeczy, których używają turyści – jakieś dodatkowe ubrania – ale żadnych pantofli nie widać.

Ustawili nas w szeregu w tej dużej sieni. Wiedziałam, że jeśli wpadnę, to nie wydobędę się z ich łap. Stałam mniej więcej w środku tego szeregu. Jeden Niemiec ze straży bierze telefon, dzwoni. Za chwilę pojawia się drugi. Dwóch Niemców, każdemu z nas sprawdzają papiery. To była strefa przygraniczna, w której przebywanie było dozwolone tylko dla posiadaczy specjalnych przepustek. My ich oczywiście nie mieliśmy. Już jednego odstawili na bok, już następnego... Wiedziałam, co to znaczy – zabiorą ich. Co robić?!

Byłam jedyną kobietą w tym gronie. Byłam w ciemnym ubraniu, a to jednak był wieczór, nie wszystko było dobrze widoczne. Krok po kroku, na gumowych nogach (nogi sztywnieją w takich sytuacjach jak guma), przesuвам się do tyłu tego szeregu – najpierw za jednego, potem za następnego. Wolniuteńko, delikatnie, aż dotarłam do końca. W sieni stała szafa, a za nią były drzwi do sali restauracyjnej. Cały czas miałam świadomość, że jeśli mnie złapią, to grozi mi śmierć w torturach.

Zdejmuję torebkę (kobieta zawsze ma torebkę), wyciągam z niej tylko pocztę i przekładam do kieszeni kostiumu. Wtedy miałam dwie poczty – jedna była w działającej zapalniczce, tam było z pięćset stron mikrofilmów, a druga była w trzonku klucza. Jestem już przy szafie, uchylam drzwi do sali restauracyjnej i wkradam się do niej. Tam jest kelnerka i grające radio. Działalam jak pod natchnieniem – potrzebnie, niepotrzebnie – podkręcam radio, żeby głośno grało, wrywam kelnerce ręcznik, zakładam go sobie na rękę i wolniutko wracam do tej sieni. Niemcy kontrolują już kolejnego Francuza. Koniec szeregu wypadał przy schodach, które przez półpiętro prowadziły na górę. Znow przesunęłam się wolniutko za szeregiem. Krok po kroku, z tym ręcznikiem przełożonym przez rękę, wciąż na gumowych nogach, wolniutko wchodzę schodami do góry.

Na zakręcie na półpiętrze ktoś mnie chwytą za rękę. To był przewodnik, który nie znalazł się w grupie sprawdzanych mężczyzn. Był na górze i wszystko obserwował. Czuł się za nas odpowiedzialny, bo przecież wziął dużo pieniędzy za przeprowadzenie przez granicę. A to schronisko było zbudowane na stoku, tak że okno na półpiętrze było właściwie drzwiami na zewnątrz. On otwiera okno i ja przez nie wchodzę do ogródka na zboczu góry. Jest już noc, bo to wszystko od ósmej trwało ze dwie godziny. Skryłam się za jakimiś krzakami. To był luty, było zimno. Siedzę tam skulona, przewodnik zamknął okno. Ale jestem bezpieczna, tylko że strasznie zimno. I za chwilę słyszę, podjeżdża ciężarówka. Pakują do niej tych wszystkich oficerów, właściwie podchorążaków – to byli młodzi ludzie – i odjeżdżają. Potem się dowiedziałam, że znaleźli się w obozie koncentracyjnym, jakoś ta wieść dotarła do Londynu, stąd wiedziałam, że oni wtedy przynajmniej życie uratowali. Co z nimi było dalej, nie wiem.

Jestem uratowana, tylko strasznie marznę. W grupie „turystów” był też jeden francuski robotnik, który kilka miesięcy pracował na to, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie przewodnika. Oni strasznie drogo brali za takie przeprowadzenie. Robotnik nazywał się Gilbert, był miłym chłopcem, trochę ode mnie młodszym, ja miałam wtedy już ponad trzydzieści lat. Niemcy go wypuścili, bo miał francuskie papiery, był robotnikiem. Gilbert otworzył okno, zdjął swoją kurtkę i przez okno rzucił mi ją na plecy, więc jakoś wytrzymałam to zimno. Wcześniej rano przychodzą po mnie Gilbert i przewodnik i prowadzą mnie do jakiejś wiejskiej chaty. Tam czekam na kolejną grupę, która ma być przeprowadzana przez Pireneje,

ale już nie mam pieniędzy, mam iść na własny nos. To jest okropne, być bez pieniędzy. Przewodnik mnie nie weźmie, bo on robi to tylko za opłatą. Mnie się udało go namówić tak – Panie, jak pan mnie przeprowadzi do Barcelony, ja należę do Secret Intelligence Servis, to Anglik z Barcelony da panu zaświadczenie, że pan mnie dobrze przeprowadził i będzie miał pan wielu klientów.

On na to poszedł, ale – już się albo bał, albo mu to było jakoś niewygodne – w zastępstwie zrobił naszym przewodnikiem swojego stryja. Po dwóch, trzech dniach wyrusza więc kolejna wyprawa przez Pireneje – tylko dwóch Francuzów, ja i Gilbert. Gilberta zabrali zdaje się w związku z tym obiecany przeze mnie zaświadczeniem.

Wyruszyliśmy koło jedenastej, było strasznie zimno, księżycowa noc. Maszerujemy. Góry wprawdzie niezbyt jeszcze wysokie, ale jednak wędrowka męcząca. Koło godziny drugiej już całkowicie opadłam z sił i nie mogłam zrobić ani kroku. Rzuciłam się na ziemię i powiedziałam – róbcie, co chcecie, ja zostaję.

Są takie sytuacje, że człowiek nie może już więcej z siebie wydobyć sił. Jak ten przewodnik zaczął mnie kopać! Hiszpania to jest kraj wina. Oni noszą ze sobą wino w takich skórzanych bukłakach, które mają dwa otwory. Jednym napełnia się bukłak winem, drugim – w formie spiczastego dziobka – wino sika wprost do ust. Przewodnik więc najpierw mnie skopał, a potem napił winem. I to wino mi pomogło. Wstałam i poszliśmy dalej. Zimna, księżycowa noc, góry w śniegu, bo jest luty, zresztą tam śnieg utrzymuje się przez cały czas. Wędrujemy przez te góry.

W pewnym momencie przewodnik mówi, że on dalej nie pójdzie. Nie dostał pieniędzy, więc nie pójdzie. Zostawia nas – dwóch Francuzów, mnie i Gilberta. Pokazuje ręką w oddali taki dosyć wysoki wierzchołek, całkowicie ośnieżony i mówi, że za nim jest już granica hiszpańska. Idźcie tam sami. On wraca do Francji. Francuzi mówią: „Co, mamy iść z babą? Ona nie wytrzyma”. I dumnie poszli sami.

Zostałam z tym Gilbertikiem. Wędrujemy w kierunku szczytu, który wskazał nam przewodnik. Wchodzimy na górę. Ciężko było, trzeba było iść po śniegu, mijać przepaście. Tamten górski krajobraz jest inny niż tatrzański, poza tym Pireneje są wyższe. Wędrujemy tak raz pod górę, potem na czterech literach zjeżdżamy w dół, potem znów wyżej... Znaleźliśmy się na takiej łączce, przez którą płynął strumyczek. Gilbert widzi, że jestem bez sił. Mówi: „Połóż się tu, ja pójdę do najbliższej wioski (już je gdzieś niżej było widać) i postaram się o pomoc”. Był bardzo dzielny, dawał sobie ze wszystkim radę. Położyłam się i natychmiast usnęłam. Po jakimś czasie Gilbert obudził mnie i mówi: „Chodź, możemy iść do tej wsi”.

Zatrzymaliśmy się w oberży. Gilbert poszedł zorientować się w sytuacji. Ja zostałam, bo moja francuszczyzna była dosyć kiepska, a hiszpańszczyzna jeszcze gorsza, chociaż gdy czekałam w Paryżu na tę wyprawę, uczyłam się hiszpańskiego w tamtejszej Berlinerschule. Nie był dla mnie zupełną nowością, bo on jest podobny do łaciny, a ja łacinę pamiętałam ze szkoły. Po jakimś czasie Gilbert wraca i mówi: „Słuchaj, znalazłem Anglika”. Okazało się, że w tej granicznej wsi SIS miał swojego agenta. Gilbert go wyniuchał, Anglik dobrze znał francuski. Nazywał się mister Roberts. I od razu do mnie przyszedł. Powiedziałam, że jestem emisariuszką i że musi mnie doprowadzić do ambasady angielskiej w Barcelonie. Uwierzył mi.

Dał mi hasło do ambasadora, wyjaśnił, co trzeba, pewnie też dał trochę pieniędzy, już nie pamiętam, jak to było. Roberts był w kontakcie z rządem Andory, samodzielnego państwa leżącego w górach między Francją a Hiszpanią. Dał mi kontakt do Santa Julia, stolicy Andory.

Idziemy z Gilbertem wskazaną drogą. Okazało się, że z Santa Julia przysłali po nas samochód. Zupełny luksus! Podjeżdża samochód, my z Gilbertem wsiadamy i jedziemy szosą! W pewnej chwili zobaczyliśmy tych dwóch Francuzów, którzy wzgardzili kobietą, pomachaliśmy im, ale zabrać nie mogliśmy. W Santa Julia dali nam wspaniały hotel. Byłam prawie bosa, bo na tych górskich drogach całkowicie zdarłam sobie buty. Kupili mi espadryle. Dali nam przewodnika, który miał nas przeprowadzić do Hiszpanii przez granicę Andora–Hiszpania. Znow idziemy przez góry. Docieramy do następnej wsi i pamiętam, że znow byłam strasznie zmęczona. Przenocowaliśmy u górali na sianie, w stodole. Jeszcze z Paryża miałam taką wielką zieloną chustę, więc się nią owinęłam i zasnęłam.

Czekała nas niebezpieczna droga przez granicę. Niebezpieczna dlatego, że hiszpańska Guardia Nationale oddawała zatrzymanych Polaków Niemcom, byli z nimi w sojuszu. Szła z nami gromadka Francuzów. Trochę zbagatelizowaliśmy niebezpieczeństwo ze strony Hiszpanów i podczas marszu głośno rozmawialiśmy z tymi Francuzami. Wydawało się nam, że już jesteśmy wolni. W górach jednak głos niesie się daleko. No i ściągnęliśmy na siebie tę hiszpańską straż. Najgorsze, co mogło nam się przydarzyć.

Jak ich zobaczyliśmy, to w nogi! Przed nami jest górski garb, pędzimy pod górę, ale Gilbert i przewodnik biegną szybciej, ja zostaję w tyle. Tuż za sobą mam tę Guardia Nationale. I tu przydało mi się terenoznawstwo z PWK. Wiedziałam, że w górach u człowieka najbardziej widoczne są twarz i ręce, one wręcz świecą. Jeśli człowiek chce się ukryć, musi je zasłonić. Dopadłam jakiegoś skalnego występu, na nim rosły krzaki. Wspięłam się tam, przykucnęłam, zasłoniłam twarz. Tuż pod moją skałą zatrzymało się dwóch gwardzistów. Ostrożnie zaczęłam się rozglądać. Bardzo daleko widzę wciąż biegnącego przewodnika i Gilberta, oni mnie bardzo wyprzedzili. Siedzę na wierzchu skały w krzakach, a gwardziści stoją pode mną. Zobaczyli tych biegnących i strzelają do nich, ale byli już tak daleko, że ich nie trafili. Uciekli. Mnie nie zobaczyli. Odeszli. Już niby byłam w Hiszpanii, ale wciąż w pasie granicznym, dlatego tam była ta straż. Siedzę w krzakach, jest zimno i kicham.

A Gilbert się zawstydził, że mnie opuścił, bo miał dłuższe nogi. Przewodnik poszedł sobie dalej, ale Gilbert wrócił, żeby mnie odszukać. I znow przykład, że w górach dźwięki daleko się rozchodzą. Gilbert usłyszał moje kichanie.

Byliśmy przynajmniej we dwójkę, choć oboje bez pieniędzy. To było przed południem, koniec zimy, śliczny okres w górach! Idziemy na nosa, nie mamy mapy, przewodnika. Mnie się zdawało, że jak będziemy iść na południe, to dojdziemy do jakiejś szosy. A tymczasem ciągle napotykaliliśmy górskie łańcuchy, bo jednak właściwym kierunkiem był zachód. W końcu dotarliśmy do zupełnie wyludnionej wioski, bo ludzie z niej wyszli do pierwszych po zimie prac na swoich polach, położonych w górach. W ogrodach migdałowych na biało kwitły drzewa. Cudny to był widok! Przed jednym domem siedział starszy człowiek. Wyniósł nam z domu w garnku troszkę kaszy.

Co dalej robić? On mówi, że miejscowy nauczyciel zna język francuski. Poprosiliśmy go, żeby go odszukał. Pamiętam, że oni tam poruszali się na osiołkach. Pojawił się nauczyciel, rzeczywiście znał francuski. Wioska nazywała się La Seu d'Urgell. Nauczyciel był zachwycony spotkaniem, bo domyślał się, że znam angielski i pomogę mu zrozumieć audycje z radia angielskiego, które odbierał. Był to bardzo miły człowiek, zaprowadził nas do swojej wiejskiej szkółki. Cóż to za bieda była w tej Hiszpanii! Cała szkoła to była jedna mała izdebka. Pytam go, jak uczy matematyki, jakie ma pomoce. Jedyna pomoc to był prostopadłościan, taka kostka, na której można było pokazać przekątne i kąty. Idziemy do niego, słuchamy

radia, próbuję zrozumieć, co oni tam mówią. Dla niego to było cudowne, że ktoś przyszedł, bo czuł się zesłany na koniec świata.

Nauczyciel naprawdę szczerze chciał nam pomóc. Poprosił nawet jednego ze swych zaufanych, górala, który właśnie wybierał się autobusem do Barcelony, żeby uprzedził w ambasadzie, że idzie do nich kurier. Tamtejsi górale są bardzo dumni. On tam poszedł, ale go jakoś zlekceważono. Anglicy mieli wstępną stosunek do innych narodowości, wszyscy byli niżsi od nich. Ten góral był wściekły, że go tak potraktowano, ale nauczyciel jakoś go udo-bruchał.

Raz dziennie z tej wsi jeździł autobus do Leridy, która była najbliższym miastem wojewódzkim. Nauczyciel przenocował nas, najedliśmy się, dał nam pieniądze na bilety, chociaż wiedział, że mu nie oddamy, bo jak? Przyjechał autobus, ale dla bezpieczeństwa on postanowił sam kupić bilety. Wraca i mówi: „Nie możecie jechać, bo akurat jest tam żandarm niemiecki (czy też ktoś z tej hiszpańskiej straży, w każdym razie ktoś groźny)”. Trudno, puszczamy się piechotą. Od La Seu d’Urgell do Leridy jest przynajmniej sto kilometrów.

To był już początek marca, słońce mocno grzało. Znow jesteśmy głodni, znow zmęczeni. Wtedy zrobiłam najdłuższy marsz w moim życiu. Sześćdziesiąt kilka kilometrów górami jednego dnia, to była bardzo ciężka droga. Wiedzieliśmy, że do Leridy mamy kierować się na wschód. Mijaliśmy różne małe górskie gospodarstwa. A Franco też szkolił kobiety. Na jednym z takich podwórek widzę szkolenie kobiet, takie frankistowskie szkolenie PWK. Instruktorka była w mundurze. A my wyglądamy jak para żebraków. Dała nam po rybce i kawałku chleba. Ale mimo to zrobiła na mnie złe wrażenie, wyglądała zupełnie jak hitle-rówka. Gilbert był bardziej głodny niż ja, więc mu oddałam swoją rybkę, zjadłam sam chleb. Słońce pali, rybka była strasznie słona, nie ma po drodze żadnego strumienia. Gilbert lizał każdą skałę, na której zostały jeszcze resztki porannej rosy.

Potem już omijaliśmy wioski, bo w nich mogła siedzieć Guardia Nazionale, nadrabialiśmy sporo drogi, żeby nawet psy nas nie wyczuwały i nie szczekały. Koło jedenastej w nocy musieliśmy się zatrzymać, żeby odpocząć. Gilbert znalazł trochę siana, przespaliśmy się, a rano okazało się, że nocowaliśmy na skraju przepaści, gdybyśmy zrobili jeszcze parę kroków dalej, spadlibyśmy. Bóg nas strzegł.

Doszliśmy do Leridy. Jeszcze się baliśmy gwardzistów. Miałam pieniądze od nauczyciela i poprosiłam jakiegoś chłopca, żeby nam kupić bilety do Barcelony (Lerida ma z nią połączenie kolejowe). To jest ponad sto kilometrów. Chłopiec był uczciwy, nie uciekł z pieniędzmi. Jedziemy do Barcelony! Naturalnie nie jechaliśmy razem, tylko w sąsiednich wagonach. Dojechaliliśmy wcześniej rano. To było bodaj 23 kwietnia.

Odnaleźliśmy ambasadę angielską, siadłam na schodach, a Gilbert poszedł do ambasady francuskiej, chciał się dostać do Algieru. Ustaliliśmy, że po wojnie na poste restante w Tuluzie umówimy się na spotkanie. Ale już nigdy się nie spotkaliśmy. Szukałam go, ale to już było dłużej po wojnie, bo tu przecież była komuna.

Przychodzi ambasador, podaję mu hasło. Dostałam „anioła stróża”. Po pierwsze kupiono mi buty, ubranie i inne rzeczy potrzebne do podróży. Ambasador urządził mnie i dał depeszę do Londynu, że zgłosiła się „Zo” i jest w drodze. Byłam w Barcelonie kilka dni, czekałam na samolot.

Któregoś dnia spaceruję po molo i spotykam polskiego kuriera z Zagrody – Arusia (nie pamiętam jego nazwiska, ale było takie arystokratyczne). On mi powiedział, że ten kontakt w Pirenejach został odbudowany i ludzie są prowadzeni łatwiejszą drogą przez wschodnie, niższe Pireneje (nasza droga wiodła przez partie bardziej zachodnie, równoległe



do Atlantyku). Jesteśmy w Barcelonie we dwoje. Przylatujemy samolot angielski z Egiptu do Londynu, ma jedno miejsce i oczywiście zabiera mężczyznę. Ja byłam emisariuszką, a Aruś był kurierem, to zupełnie inna ranga. Byłam wściekła, zażądałam, żeby kupili mi bilet przez Madryt do Gibraltaru, nie chciałam czekać na drugi samolot, który Bóg wie kiedy może przylecieć.

W Madrycie konsul polski musiał mi umożliwić dotarcie do Gibraltaru, przecież była granica hiszpańsko-gibraltarska. Czekałam na odpowiednie papiery, siedziałam w Madrycie kilka dni. Chodziłam do muzeów, oglądałam miasto. Użyłam sobie jako turystka.

W Gibraltarze czekałam kilka kolejnych dni. Miałam zabrać się z polskim transportem wojska Andersa, które z Egiptu płynęło do Wielkiej Brytanii. Jedenaście okrętów z wojskiem i kilka okrętów z jeńcami włoskimi (to był okres bitwy pod Monte Cassino). Dali mi I klasę, bardzo przyzwoicie. Któregoś dnia była potężna burza, zupa stanęła mi całkowicie w poprzek żołądka. Były niemieckie naloty, ale najgorsze były łodzie podwodne, U-Booty. Co noc ćwiczyliśmy alarmy i to, jak się ewakuować. Każdy wiedział, gdzie będzie miał miejsce w szalupie, żeby się ratować, jak będzie atak łodzi podwodnych. Żeby je ominąć, cały transport podpłynął prawie pod Amerykę, a potem wokół Islandii i, od zachodu, do Anglii.

Przyplływamy. Wszyscy opuszczają okręt (a płynęło z nami także kilkanaście kobiet ewakuowanych z bombardowanej Malty), mnie zatrzymują. Nie wypuszczają – jestem więzieniem. Wreszcie przyjechała policjantka i zawiozła mnie do Londynu, a tam – do więzienia. Bardzo wygodne więzienie, miałam gazety, był ogród. Po dniu czy po dwóch dniach przychodzi po mnie oficer angielski, doskonale mówiący po polsku z Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza [oddział specjalny, któremu podlegała cała „polska” podziemna Europa]. To był pułkownik Michał Protasewicz.

Następnego dnia melduje mnie u Sikorskiego, jako emisariuszkę z kraju. Ja mu melduję to, co mi Rowecki kazał – stan spraw w Polsce itd. Myślałam, że Sikorski zacznie mnie wypytywać choćby o to, co jest z AK. Żadnego zainteresowania tym, co się dzieje w Polsce! Był zajęty tylko tym, co się dzieje na emigracji, to znaczy walką o władzę. Opowiadał

mi przez godzinę, jakie mu kłody rzucają pod nogi – mnie, skromnej żołnierce z okupowanego kraju, która przybyła do wolnego kraju! I ja mu chcę meldować, że przyjeżdżam jako kurier, że przywiozłam pocztę itd., a on mówi: „Potem pani przyjdzie do mnie i się zamelduje, bo ja teraz muszę wyjechać”. To była ta podróż na Bliski Wschód – na inspekcję do Andersa – i katastrofa w Gibraltarze. Tak to wyglądało.

Ja jeszcze przed wojną uznałam, że istotą bycia żołnierzem jest wykonanie rozkazu, wszystko jedno jak. Więc musiałam dojść z pocztą do Londynu. I doszłam.



Fot. L. Rysak



Fot. L. Rysak

Wysłuchała Barbara Polak

# STANISŁAW KAROLKIEWICZ

## „SZCZĘSNY” (1918–2009)

**Żołnierz Września, więzień NKWD, konspirator w szeregach ZWZ-AK, dowódca oddziału leśnego, członek WiN, dwukrotnie aresztowany przez UB, więzień Wronek i Sieradza. W wolnej Polsce inicjator powołania do życia Fundacji Ochrony Zabytków, współzałożyciel Światowego Związku Żołnierzy AK w Kraju, jego Prezes w latach 1995–2005, w roku 2006 mianowany na stopień generała brygady.**

Urodził się tuż przed odzyskaniem przez Polskę niepodległego bytu, 21 sierpnia 1918 r. w Tworkowicach koło Ciechanowca. Wyrastał w wolnej Polsce, której we wrześniu 1939 r. ochotniczo bronił najpierw na Śląsku, a po agresji sowieckiej – w partyzanckich szeregach na biebrzańskich bagnach. W końcu kwietnia 1940 r. aresztowany przez NKWD i oskarżony o działalność kontrrewolucyjną trafił do więziennych kazamatów w Białymstoku, a następnie Brześciu nad Bugiem. Z sowieckiego więzienia wydostał się po 22 czerwca 1941 r., po raz kolejny stając do walki, tym razem w szeregach ZWZ-AK. Do września 1943 r. działał na terenie obwodu Bielsk Podlaski w Okręgu Białostockim, współorganizując placówkę w rodzinnym Ciechanowcu, dowodząc niebawem drużyną dywersyjną obwodu, a następnie plutonem, który sam uzbroił i wyszkolił. Pośród wielu akcji zbrojnych, w których w tym okresie brał udział, do legendy przeszła ta przeprowadzona w okolicach Pisz na terenie Prus Wschodnich, w odwecie za pacyfikację wsi Krasowo Cząstki. Oddział, dowodzony przez „Szczęsnego”, opanował i rozbroił posterunek policji i żandarmerii, rozrzucił ulotkę informującą miejscową ludność o powodach akcji, wreszcie wycofał się bez strat własnych. W uznaniu za ten wyczyn na mocy rozkazu Komendanta Głównego AK otrzymał awans do stopnia podporucznika i Krzyż Walecznych.

We wrześniu 1943 r. oddział „Szczęsnego” został przeniesiony na teren Nowogródzkiego Okręgu AK i przekształcił się po reorganizacji w kompanię uderzeniową III Batalionu Kadrowego 77. pp. Za udział w szeregu poważnych akcji – m.in. pod Burnosami, Lidą, Trabami, wreszcie w operacji „Ostra Brama” – Karolkiewicz otrzymał latem 1944 r. awans na porucznika, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, a przede wszystkim Order Virtuti Militari V klasy.

W drugiej połowie 1944 r. podjął działalność w szeregach Delegatury Polskich Sił Zbrojnych na Kraj, ale 2 stycznia 1945 r. został uwięziony przez UB i osadzony w Zamku w Lublinie. Zwolniony z więzienia w czerwcu, zaangażował się w konspirację Zrzeszenia WiN, stając na czele komórki kontrwywiadowczej. W lutym 1946 r. po raz drugi wpadł w ręce UB – brutalne śledztwo skończyło się trzynastoletnim wyrokiem. I w śledztwie, i w więzieniu zachowywał się godnie, zdobywając szacunek współwięźniów.

Na wolność wyszedł w kwietniu 1955 r., podejmując pracę w INCO – na najwyższe uznanie zasługuje wszakże jego działalność społeczna, związana z ratowaniem zabytków drewnianych. W roku 1985 z Jego inicjatywy powstała Fundacja Ochrony Zabytków (kierował nią osobiście do 1994 r.), której działalność po roku 1990 objęła również wschodnie kresy II Rzeczypospolitej.

Trudny do przecenienia jest osobisty wkład Stanisława Karolkiewicza w działalność na rzecz środowiska kombatanckiego. Obok kluczowych funkcji – prezesa Światowego Zwią-

ku Żołnierzy Armii Krajowej, prezesa Rady Kombatanckiej przy Kierowniku Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych czy prezesa Federacji Stowarzyszeń Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej – nie sposób nie przypomnieć, że to z Jego inicjatywy proces przywracania historycznej pamięci przyobekł się w kształt monumentu wzniesionego dla upamiętnienia Polskiego Państwa Podziemnego.

Jerzy Woźniak  
Włodzimierz Suleja

STANISŁAW KAROLKIEWICZ

## OKRUCHY WSPOMNIĘĆ

### (FRAGMENTY OSTATNIEJ WYPOWIEDZI B. PRZEWODNICZĄCEGO ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY AK)

#### **Partyzantka antysowiecka w Białostockiem**

W czasie II wojny światowej jako młody podchorąży działałem na terenach wschodnich, które w pierwszej fazie wojny zostały włączone do Związku Sowieckiego na podstawie porozumienia między Hitlerem a Stalinem.

Zima 1939/1940 r. była bardzo ostra, temperatura dochodziła do minus 40°C. Sowieci postanowili wtedy zlikwidować resztki oddziałów z 1939 r., które znajdowały się na terenie Augustowszczyzny i Czerwonego Bagna. Zaatakowali nas – z jednej strony oni, a od północy – Niemcy. Moim zadaniem było bronić pierwszej służby Kanału Augustowskiego, w miejscowości Dębowo, gdzie łączy się on z Biebrzą, gdyż było to jedyne przejście.

Do niewoli sowieckiej dostałem się w marcu 1940 r. Był to dla mnie trudny okres. Pamiętam moment, kiedy podjechały „kibitki”, a przy drzwiach stał żołnierz radziecki z długim nożem. Byłem przerażony, gdyż trzymający ten nóż mówił *spuskaj brjuki* (spuszczaj spodnie). Okazało się, że chodziło o obcięcie guzików od spodni, żebyśmy nie podejmowali ucieczki. Przewieziono nas do Augustowa, stamtąd do Białegostoku. Siedziałem tam do września 1940 r., kiedy przetransportowano nas do twierdzy w Brześciu, następnie do nowego więzienia nad Muchawcem. W niewoli byłem do ofensywy niemieckiej w czerwcu 1941 r. Pamiętam, że przez okno widziałem idącą od Bugu drużynę niemiecką; a do Bugu od Brześcia było 2,5–3 km. Wszystkich więźniów, którzy byli w karcerach lub w pojedynkach, m.in. mojego brata, Rosjanie zdążyli jeszcze rozstrzelać. Natomiast cel ogólnych, w których siedziało 50–60 osób, nie ruszyli. Niemcy znaleźli się w mieście o dziewiątej rano. Wywiesiliśmy przez okna prześcieradła, tak żeby były widziane na zewnątrz. Wypuścili nas polscy kolejarze z Brześcia. Z więzienia wyszedłem z kurzą ślepotą. Po dwóch tygodniach postanowiłem wrócić do domu, na Podlasie.

#### **Początek działalności konspiracyjnej w Okręgu Białystok ZWZ**

Tak zakończyła się moja batalia 1939 r. i zaczęło życie pod okupacją niemiecką. Na terenie Białostockczyzny zaangażowałem się w działalność konspiracyjną. Do pracy w okręgu włączył mnie Władysław Liniarski „Mścisław”, komendant Okręgu Białostockiego ZWZ-AK. Dzień, w którym się to stało, to był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Zadanie nasze polegało na tym, aby zgromadzić jak najwięcej broni, którą Rosjanie uciekając porzucili. Niemcy do zbiorowych mógił sowieckich wrzucali na wierzch karabiny maszynowe

i zakopywali – nie mieli czasu ani ekip, które by się tym zajmowały, szli do przodu. Stąd pod Moskwą znaleźli się w prawie pół roku. Musieliśmy całą broń zebrać i ukryć dla przyszłych działań. Większość naszego uzbrojenia stanowiła broń sowiecka.

Działanie na tych terenach było dla nas trudne ze względu na to, że Niemcy włączyli je do Prus Wschodnich. Rozciągnęli tam swoje prawo oraz rozlokowali wojsko.

### **Rozbrojenie posterunku żandarmerii w Sztabinie – 1 maja 1943 r.**

Akcja w Sztabinie była dla nas bardzo znacząca. W 1943 r. postanowiliśmy dać znać o sobie. Chcieliśmy, żeby nie tylko wrogowie, ale przede wszystkim Polacy wiedzieli, że na Białostocczyźnie istnieje Armia Krajowa. Ponadto żołnierz, jeśli ma się tylko ukrywać i nie ma od czasu do czasu bojowych zadań – zapomina, po co jest. Dlatego przyjąłem zasadę, że przynajmniej raz na tydzień należy przeprowadzić mniejszą czy większą akcję. Na początek wybraliśmy sobie Sztabin, leżący na skraju Puszczy Augustowskiej, bagien biebrzańskich i na przejściu przez Biebrzę. Szosa, która prowadzi z Białegostoku do Augustowa, idzie właśnie przez Sztabin.

Był to bardzo dobry teren dla działań partyzanckich, ponieważ można było oderwać się od wroga i znaleźć miejsce na ukrycie, co dawało szansę przeżycia. Wspominam o tym dlatego, że mankamentem działań partyzanckich był brak zaplecza medycznego, stąd cały wysiłek szedł w kierunku wykonywania akcji bez strat własnych. Było to możliwe jedynie w przypadku działania z całkowitego zaskoczenia. Dlatego niewiele korzystaliśmy z miejscowej konspiracji, bo kiedy ludność dowiadywała się, że w terenie znajduje się żołnierz polski, to prędzej czy później informacja ta docierała również do Niemców. I już nie można było mówić o zaskoczeniu. Gdy w Krasnem podjęliśmy decyzję uderzenia na Sztabin, nie mieliśmy pełnego rozeznania. Dopiero sołtys tej wsi opowiedział, jaka jest tam sytuacja – ilu jest Niemców, jaka jest ich siła, czy jest tylko Schutzpolizei, czy żandarmeria, czy są drużyny niemieckie.

Postanowiliśmy zaatakować 1 maja – tego dnia świętowano z tej racji, że NSDAP była partią socjalistyczną. Byliśmy przekonani, że zaskoczymy ich swoim przybyciem. Dowódcą oddziału był Stefan Pawłowski, ja byłem jego zastępcą i dowódcą pierwszej drużyny. Cały oddział liczył trzydziestu partyzantów – trzy drużyny, każda po dziesięć osób. Wziąłem na siebie dojazd do posterunku i jego zajęcie, natomiast Pawłowski posuwał się na odległość wzrokową za nami z resztą oddziału. Stefan miał zająć Amstkomisariat. Wjeżdżaliśmy w mundurach niemieckich. Jako jedyny miałem na sobie mundur feldfebla Wehrmachtu.

Była trzecia po południu. Kiedy podjechalśmy pod posterunek żandarmerii, okazało się, że nawet nie musieliśmy zdobywać budynku z zewnątrz, gdyż straż znajdowała się w środku – świętowała przy obiedzie. Wszedłem do posterunku i powiedziałem, że mam rozkaz ich aresztować. Niemcy zaczęli się śmiać, bo byli przekonani, że to zwykła mistyfikacja. Siedzieli przy stole w samych koszulach, nie mając w ogóle przy sobie broni. Kiedy więc któryś z kolegów puścił serię z karabinu maszynowego, wtedy zorientowali się, że jest to prawdziwa akcja. Andrzej z grupy Pawłowskiego poszedł zająć pocztę – jej szefem był Niemiec, ale pracowali tam Polacy. Chciał aresztować Niemca, który jednak zorientował się w sytuacji, wyskoczył przez okno i uciekł ranny.

Janek Niedziela, dowódca drużyny, która była wysunięta na szosie w kierunku Białegostoku (należało się ubezpieczyć z dwóch stron, od Augustowa i Białegostoku), zameldował, że jedzie samochód osobowy. Gdy samochód podjechał blisko budynku, wyszedłem i zatrzymałem go. Okazało się, że był to patrol żywnościowy, w którym jechało dwóch

Niemców oraz młoda dziewczyna. Chętnie wyszli z samochodu. W tym czasie przybiegł ten biedny pocztowiec niemiecki, cały zakrwawiony. Upadł mi do nóg, błagając o pomoc.

Broń zebraliśmy, ale co zrobić z Niemcami? Obawiając się odwetu na ludności polskiej, postanowiłem, że ich nie rozstrzelamy. Wygłosiłem do nich mowę, wyjaśniając powody akcji. Wskazano mi rudego Niemca, który źle odnosił się do Polaków. Koledzy wzięli go do drugiego pokoju i tam się z nim rozprawili. Pozostałych wpędziłem do piwnicy, a jej drzwi zabiłem gwoździami. Wcześniej komendant ściągnął flagę niemiecką i kazał ją podeptać. Koledzy, którzy zajęli Amstkomisariat, przyprowadzili konie, żebyśmy mogli się wycofać. Miejscową ludność poprosiłem, aby za dwie godziny wypuściła Niemców. Pozrywaliśmy telefony z Augustowa, Grodna i Białegostoku. Wycofaliśmy się o dwudziestą. Na wozach – z żywnością, bronią, karabinami maszynowymi, w mundurach niemieckich – udaliśmy się w kierunku Puszczy Knyszyńskiej.

Doszliliśmy do lasów mazurskich w powiecie wysokomazowieckim. Tam postanowiliśmy zrobić następną akcję. Niestety, zakończyła się ona niepowodzeniem, ponieważ wszystkie okoliczne posterunki zostały już powiadomione z Królewca o działaniach naszego oddziału. To był przykry dla mnie moment. Gdy zdobywałem z kolegami posterunek żandarmerii, natknąłem się na Niemca – ja byłem na dole na zewnątrz, on był na górze wewnątrz budynku. Mierzyliśmy do siebie z pistoletów. Szczęśliwie, że mój strzał padł wcześniej. Wycofując się, zostaliśmy zaatakowani przez Niemców w Rudzkim Lesie. Obława rozpoczęła się o szóstej wieczorem i trwała trzy godziny. Dopiero pod osłoną nocy mogliśmy się wycofać w kierunku Bugu i przejść przez rzekę.

Akcja na Sztabin miała duże znaczenie – rozbudziła w Polakach wiarę we własne siły. Zawsze ją miłe wspominam, ponieważ była to pierwsza nasza akcja, która nie pociągnęła za sobą żadnych groźnych represji niemieckich, za co lokalna społeczność była nam życzliwa, a to szalenie ważne. Niemcy nałożyli na gminę sztabińską i augustowską karę, chyba po marce z hektara, za dokonane zniszczenia.

## Akcja odwetowa

Było nas niewielu. Postanowiliśmy przyjąć do oddziału kilku chłopców, uczniów gimnazjum w Drohiczynie. Pamiętam, że przybrali oni sobie pseudonimy, nawiązujące do postaci w *Panu Tadeuszu*. Teraz nasz oddział liczył około trzydziestu ludzi. Postanowiliśmy wrócić do Puszczy Augustowskiej. Po drodze natknęliśmy się na oddział Uderzeniowych Batalionów Kadrowych z Warszawy. Poradziliśmy im, jak mają dostać się do Puszczy Augustowskiej, ale oni postanowili iść trasą na wschód od Białegostoku i przejść przez Puszcze Białowieską. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że trafili na obławę niemiecką. Pod Kopnem znajduje się ich zbiorowa mogiła, którą opiekuje się Okręg AK z Białegostoku.

My postanowiliśmy iść przez lasy mazurskie. Po drodze dowiedzieliśmy się, że na przełomie czerwca i lipca 1943 r. rozstrzelano około ośmiuset Polaków i że później – w odpowiedzi na akcję miejscowej konspiracji – Niemcy dokonali kolejnej masakry we wsi Krasowo Cząstki. Otoczyli tę miejscowość, rozstrzelali ok. 240 osób, a ciała spalili w dwóch stodółach. Po porozumieniu się z miejscowym inspektorem, w pierwszych dniach sierpnia zapadła decyzja, żeby dokonać odwetu na terenie Prus Wschodnich.

Front był jeszcze daleki – pod Stalingradem i Moskwą – więc Białostoczczyzna była silnie obsadzona przez Wehrmacht i żandarmerię. Niemcy nadzorowali majątki, z których wysyłano żywność do Rzeszy. Akcję zaplanowaliśmy na 15 sierpnia ze względu na święto Wojska Polskiego oraz święto Wniebowzięcia Matki Boskiej. Musieliśmy dojść znad Biebrzy do Pisy,

przejąć ją i od strony Puszczy Myszynieckiej uderzyć na Prusy Wschodnie. Jedyna mapa tego terenu, jaką miałem, pochodziła z I wojny światowej, była więc już dawno zdezaktualizowana.

Przed akcją zatrzymaliśmy się w Turośli, gdzie miejscowa konspiracja miała dwa duże bunkry. Tam mogliśmy zrobić próbę broni, która od kilku tygodni nie była używana. Naszymi przewodnikami byli partyzanci, którzy mieli kontakt z ludźmi pracującymi w Prusach.

Do granicy Prus Wschodnich mieliśmy ok. 4 km, po stronie niemieckiej jeszcze 10–15 km. Nie wiedzieliśmy wówczas, że teren ten jest dobrze uzbrojony i świetnie utrzymany, np. lasy były w tzw. wysokiej kulturze, nie miały żadnego poszycia. Ponadto, co warto podkreślić, problemem dla mnie była nie do końca jasna kwestia oderwania się od wroga. Podzieliłem oddział na pięcioosobowe patrole, z których każdy miał inne zadanie.

Akcję rozpoczęliśmy około dziesiątej wieczorem. Byłem w grupie, której zadaniem było zlikwidowanie pułkownika Hermana Upitza. Natknęliśmy się na niemiecką żandarmerię i rozpoczęła się strzelanina. Udało nam się podpalić kilka zabudowań. Rozrzuciliśmy ulotki z informacją, że akcja nasza jest odwetem za mordy w Białostockiem. Nikt nie przypuszczał, że największą przysługę oddadzą chłopcy pracujący przymusowo w Prusach Wschodnich. Mieli na tamtym terenie własną organizację. I to właśnie oni wskazywali, który z Niemców powinien ponieść karę i jaką. Wskazali również kobietę, Niemkę, której mąż był pod Stalingradem, a która przychodziła im w każdej potrzebie, była ludzka. Rozmawiałem z nią, podziękowałem jej za godne zachowanie się wobec Polaków. Akcja trwała do drugiej nad ranem. Kiedy ściągałem ckm osłaniający nas od strony Pizsa, nastawał już brzask.

Zanim ściągnąłem wszystkie grupy wykonujące swoje zadania, wysłałem zamiast jednej, chyba z pięć rakiet. Dołączyło do nas czterech chłopców, wśród nich Litwin, który nie mówił po polsku, ale był u mnie do końca konspiracji. Wszyscy, którzy znaleźli się na robotach, uciekali w kierunku Polski, dokąd mieli ok. 12 km. Poszła za nimi niemiecka obława. My wycofywaliśmy się na wschód, do rana idąc w stronę granicy na wysokości Grajewa. W okolicach Grajewa i Kolna zmuszony byłem przeczekać. W zagajniku leżeliśmy całą noc – w bezruchu, bez picia, bez jedzenia.

Planowaliśmy kilkudniowy odpoczynek w okolicach Rajgrodu, co okazało się niemożliwe, ze względu na obławę niemiecką. Zajęliśmy dwie osady rybackie na okolicznych bagnach. Kiedy spostrzegliśmy, że Niemcy tyralierą posuwają się w naszą stronę, wszystkich mieszkańców zamknęliśmy w piwnicach, a w stronę obławy wysłaliśmy kobiety. Miały powiedzieć Niemcom, żeby nie zbliżali się, bo tu znajdują się partyzanci. W tym czasie my przeprowadziliśmy się już na drugą stronę Czerwonego Bagna. Niemcy dalej nie poszli. Nie pociągnęli także do odpowiedzialności nikogo z miejscowej ludności. Byliśmy z tego bardzo zadowoleni. Idąc w kierunku Dębowa, spotkałem miejscową konspirację. Zatrzymaliśmy się u nich kilka dni.

## **Przejście na teren Nowogródzyny**

Wkrótce pojawił się problem, jak przetrzymać nadchodzącą zimą. Nie mogła nam w tym pomóc miejscowa konspiracja. Postanowiliśmy zorganizować wyprawę na Litwę, na północ od Druskiennik. Któregoś dnia przyszedł do nas miejscowy komendant obwodu „Tygrys” i zameldował, że dołączy do nas oddział „Sablewskiego”. Tak też się stało. Dopiero później dowiedziałem się, że „Sablewski” to Bolesław Piasecki z UBK. Przybył do nas na kwatery pod Gruszkami (wieś w Puszczy Augustowskiej). Tam przebywaliśmy do połowy września. Kiedy zaczęło być już zimno i przyszły deszcze, zapadła decyzja o wyprawie na Druskienniki, gdzie Niemcy mieli swoje kwatery (oficerowie niemieccy, którzy byli na froncie wschodnim, przybywali na odpoczynek do miejscowości wypoczynkowych).

Dotarliśmy do Niemna. Miejscowi zorganizowali nam łodzie. Po drodze natrafiliśmy na grodzieński oddział „Mena”. W ten sposób było nas już ponad siedemdziesięciu. „Sablewski” miał zgodę Bora-Komorowskiego na przeprawienie się ze swoim oddziałem na Nowogródzczyznę. Jej lasy łączą się z lasami Smoleńska i Mińska. Nie wiedzieliśmy, że jest tam partyzantka radziecka. Stosunek Niemców do Białorusinów był inny niż do Polaków. Wobec Białorusinów nie stosowali żadnych represji (ze względu na istnienie kolaborującego z nimi Białoruskiego Komitetu Samopomocy). W tym rejonie działaliśmy prawie rok – od września 1943 r. do lipca 1944 r. Dla miejscowej konspiracji najważniejszym wrogiem byli Sowieci, a nie Niemcy. Nie potrafili tego zrozumieć Polacy z centrum kraju, którzy mieli tylko jednego wroga. U nas było odwrotnie. Nasze zadanie polegało na obronie ludności polskiej przed partyzantką sowiecką oraz na walce z Niemcami. W ten sposób Niemen stał się rzeką niezgody – lewą stroną zajmowała partyzantka sowiecka, a prawą partyzantka polska. Sowieci rozpoczęli akcję likwidacji partyzantki polskiej 30 listopada 1943 r. Tę skomplikowaną sytuację zastała Armia Czerwona, wkraczając w granice Polski w 1944 r.

Jedną z akcji wykonanych na terenie Białorusi były walki w Trabach, gdzie wycofujący się Niemcy zatrzymali się na nocleg. Miasteczko to zaatakowaliśmy 30 czerwca 1944 r. o pierwszej w nocy. Niemcy byli całkowicie zaskoczeni. To był czerwiec, żyta wysokie, przed żniwami, więc można było łatwo się ukryć i podejść blisko pod miejscowość. Walka trwała do około siódmej rano. Wzięliśmy do niewoli około dwustu żołnierzy, od nas zginęło trzech ludzi, dwóch było rannych. Przyszedł już wówczas rozkaz marszu na Wilno.

### **8 lipca 1944 r. – udział w walkach o Wilno**

Miałem do Wilna co najmniej dwa dni marszu, ponad 100 km. Pod Wilnem walkę rozpoczęliśmy około pierwszej w nocy. Doszliśmy do wsi Góry, w której były już pierwsze bunkry niemieckie. O czwartej nad ranem wstrzeliwała się w nas artyleria niemiecka. Następnie zaczęło nas bombardować lotnictwo, co trwało do około drugiej po południu. Dwie godziny później na przedmieściach Wilna znalazła się już Armia Czerwona. Na podstawie zdobytego w kontaktach z partyzantką sowiecką doświadczenia, postanowiliśmy wycofać się na północ, w kierunku Puszczy Nackiej. Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, komendant Okręgu Wileńskiego AK, prowadząc rozmowy z dowództwem sowieckim, powiedział, że Polacy walczyć z nimi nie chcą, a chcą włączyć się do walki frontowej. Sowieci zgodzili się na to. Po dwóch tygodniach negocjacji przyszedł czas na rozbijanie partyzantki polskiej. Oddziały nowogródzkie postanowiły wycofać się w kierunku południowym. Był to ostatni moment, kiedy byliśmy wszyscy razem. Doszedłem aż po Porzecze, gdzie zostałem otoczony przez oddziały sowieckie. Broń, którą miałem przy sobie, wrzuciłem do bagna. Stąd w cywilnym ubraniu wycofałem się do Warszawy.

### **Przybycie do Warszawy**

W dwa tygodnie dostałem się na Pragę. Kiedy byłem na Dworcu Wileńskim, trwało jeszcze Powstanie Warszawskie. W styczniu zostałem aresztowany przez NKWD i przewieziony na zamek w Lublinie. Trzymano mnie do czerwca 1945 r., do czasu przyjazdu Mikołajczyka do Polski. Wówczas na podstawie amnestii, jako nierozpoznany, zostałem zwolniony. Z Lublina udałem się do Warszawy, na terenie której rozpocząłem działalność w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, a później od listopada 1945 r. do lutego 1946 r. w grupie wywiadowczej „Liceum”.

Wysłuchała Agnieszka Chrzanowska, studentka UKSW w Warszawie

# W SŁUŻBIE PARTII, PRZECIW KOŚCIOŁOWI

W sierpniu 2006 r. dyrektor Oddziału IPN w Lublinie został powiadomiony o braku w zasobie archiwalnym jednostki zawierającej akta osobowe funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa Tadeusza Hawrota. Dyrektor Oddziału 4 września 2006 r. polecił sprawdzenie stanu magazynów archiwalnych oraz kontrolę wszystkich stanowisk pracy w celu ustalenia okoliczności utraty tych materiałów. Czynności te nie doprowadziły do ich odzyskania. W tej sytuacji, 23 lutego 2007 r., dyrektor Oddziału złożył do Prokuratury Okręgowej w Lublinie zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa z art. 231 Kodeksu karnego (niedopełnienie obowiązków na szkodę interesu publicznego) w zbiegu z art. 54 ust. 1 ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej (zniszczenie, ukrycie, uszkodzenie lub usunięcie dokumentów znajdujących się w archiwum Instytutu). Śledztwo w sprawie utraconych materiałów archiwalnych prowadzone było przez Prokuraturę Rejonową Lublin – Północ w okresie od 17 marca 2007 do 27 września 2007 r. i zakończone zostało umorzeniem. Akta osobowe Tadeusza Hawrota nie zostały odnalezione, nie ustalono również winnych ich ukrycia.

## **Akta osobowe funkcjonariuszy**

Akta osobowe każdego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, od momentu jego wstąpienia do służby aż do zwolnienia, przechowywane były w Wydziale Kadr właściwej Komendy Wojewódzkiej MO. Akta te składały się z trzech części: Rozdział I. Personalnia pracownika, Rozdział II. Kontrola specjalna (wg innych wzorów teczek – Materiały opiniodawcze), Rozdział III. Przebieg służby. Charakterystyki. W rozdziale I umieszczano: podanie o przyjęcie do służby, życiorys, ankietę specjalną, zobowiązanie do ścisłego dochowania tajemnicy służbowej, protokół ślubowania, dyplomy ukończenia szkół i studiów cywilnych, odpisy z akt stanu cywilnego, opinie z poprzednich miejsc pracy itp. W rozdziale II gromadzono materiały będące wynikiem sprawdzenia funkcjonariusza, jak również jego najbliższej rodziny w Biurze „C” MSW, przeprowadzonych w jego miejscu zamieszkania wywiadów środowiskowych oraz wyników sprawdzeń w Centralnym Rejestrze Skazanych Ministerstwa Sprawiedliwości.

Rozdział III akt osobowych funkcjonariusza zawierał dokumenty związane z jego służbą: karty przebiegu służby, karty przebiegu przeszkolenia, wnioski o przyjęcie do służby, wnioski awansowe na kolejne stopnie oficerskie, wnioski o przeszerogowania, wnioski o odznaczenia, wyciągi z rozkazów personalnych, opinie służbowe położonych, raporty o zezwolenie na wyjazdy zagraniczne funkcjonariusza i członków jego rodziny. W części tej znajdowały się również świadectwa i zaświadczenia o ukończeniu uczelni, kursów i przeszkoleń resortowych czy wreszcie dokumenty związane z odejściem funkcjonariuszy ze służby: raporty o zwolnienie, karty obiegowe, zobowiązanie o zachowaniu w tajemnicy informacji związanych ze służbą, kopie decyzji dotyczących uposażenia emerytalnego.

Należy z całą stanowczością stwierdzić, że w aktach osobowych nie przechowywano materiałów o charakterze operacyjnym wytworzonych w związku z pracą danego funkcjonariusza, a w szczególności planów operacyjnych, omówień prowadzonych spraw czy



informacji uzyskanych za pomocą osobowych źródeł informacji oraz rzeczowych środków operacyjnych (w tym np. doniesień tajnych współpracowników, wyników podsłuchów i podglądów). W aktach osobowych nie występowały również wykazy tajnych współpracowników będących „na kontakcie” funkcjonariusza. Tego typu informacje odnotowywane były przede wszystkim w Wydziale „C” KW MO, m.in. na tzw. kartach kontowych.



Tadeusz Hawrot

Opisując zawartość akt osobowych zwolnionego funkcjonariusza, zaznaczyć należy, że zgodnie z § 39 ust. 3 Instrukcji w sprawie zasad i sposobu postępowania z aktami archiwalnymi w resorcie spraw wewnętrznych, stanowiącej załącznik do Zarządzenia nr 034/74 Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 10 maja 1974 r. w sprawie postępowania z aktami archiwalnymi w resorcie spraw wewnętrznych, z teczki takiej podlegały wyłączeniu dokumenty własne, które były zwracane funkcjonariuszowi w związku z zakończeniem służby. Obejmowały one: świadectwo urodzenia, świadectwo szkolne, wyciągi z urzędów stanu cywilnego, dyplomy, zaświadczenia wydane przez różnego rodzaju instytucje, złożone przez funkcjonariusza. Szereg innych dokumentów podlegało zniszczeniu: powiadomienia o zawarciu związku małżeńskiego, raporty o zezwolenie na wyjazd za granicę, raporty o zezwolenie na wykonywanie pracy zarobkowej poza służbą, wnioski awansowe, wnioski o przegrupowanie, akta postępowania dyscyplinarnego niezakończonych przed wydaleniem ze służby oraz opinie wystawiane okresowo przez przełożonych.

Zgodnie z treścią § 27 pkt 2 wskazanego wyżej Zarządzenia nr 034/74 Ministra Spraw Wewnętrznych, wydziały kadr komend wojewódzkich MO przekazywały teczki osobowe zwolnionych funkcjonariuszy wraz z kartami ewidencyjnymi do wydziałów „C” komend wojewódzkich MO. W procesie przejmowania materiałów archiwalnych z Urzędu Ochrony Państwa i jednostek organizacyjnych Policji do zasobu IPN, jednostki aktowe, w tym akta osobowe funkcjonariuszy SB (o grupie sygnaturowej „V”), złożone zostały w magazynach, natomiast kartoteka kart ewidencyjnych funkcjonariuszy umieszczona została w innej, wydzielonej komórce organizacyjnej, w Referacie Ewidencji.

### **Karty ewidencyjne funkcjonariuszy**

Przechowywane w zasobie archiwalnym IPN karty ewidencyjne funkcjonariuszy, w tym Tadeusza Hawrota, zawierają na pierwszej stronie sygnaturę akt osobowych. Poniżej wykazywane były dane dotyczące funkcjonariusza: jego nazwisko i imię prawdziwe, nazwisko panieńskie mężatki, stopień, nazwisko i imię przybrane, pseudonim, funkcje, imiona i nazwiska rodziców, wyznanie, imiona i wiek dzieci, nazwisko panieńskie matki, narodowość, data urodzenia, obywatelstwo, adres rodziny, miejsce urodzenia, stan cywilny, adres własny do 1939 r., w czasie okupacji i obecny, pochodzenie społeczne, nazwisko panieńskie i imię żony (męża), stan społeczny, wykształcenie ogólne, znajomość języków obcych, wykształcenie zawodowe, zawód, przebieg i okres służby wojskowej z podaniem formacji i stopnia w wojsku, udział w działaniach zbrojnych partyzanckich z podaniem kiedy, na jakim terenie i w jakim oddziale, czy był ranny, jakie otrzymał odznaczenia, czym trudnił się w czasie okupacji, czy służył w policji (kiedy, gdzie i w jakim charakterze), przynależność partyjna do 1939 r., w czasie okupacji i obecnie, czy był karany do 1939 r., w czasie okupacji i po wyzwoleniu oraz za co. Na odwrocie karty, w układzie tabelarycznym (data, nr rozkazu, treść)

umieszczano informacje związane z przebiegiem służby, czyli jej rozpoczęcie i zakończenie, awanse, przeszerogowania w grupach uposażenia, przyznane dodatki operacyjne, wysokości nagród, udzielone urlopy wypoczynkowe, mianowania na kolejne stopnie, zmiany na stanowiskach, odbyte kursy i szkolenia, ukończone szkoły, przyznane odznaczenia państwowe, medale i odznaki resortowe.

## Służba Hawrota w bezpieczeństwie i w partii

Pomimo utraty z zasobu archiwalnego teczki personalnej Tadeusza Hawrota możliwość odtworzenia przebiegu służby i działalności tego funkcjonariusza SB wynika z analizy innych zachowanych dokumentów, do których zaliczyć należy: kartę ewidencyjną funkcjonariusza, akta paszportowe, rozkazy personalne oraz akta administracyjne jednostek organizacyjnych, w których pełnił służbę lub też którymi kierował Hawrot.

Na podstawie tych źródeł stwierdzić należy, że kiedy 1 lutego 1972 r. Tadeusz Hawrot, wówczas kapitan, objął stanowisko naczelnika Wydziału IV Służby Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej MO w Lublinie, miał już za sobą wiele lat wiernej i wytrwałej służby w organach partii i bezpieczeństwa komunistycznego państwa.

Urodził się 11 kwietnia 1925 r. w miejscowości Żabie (przed II wojną w powiecie Kosów, w województwie stanisławowskim). W karcie ewidencyjnej funkcjonariusza odnotowano jego robotnicze pochodzenie, polską narodowość i przynależność do PZPR. W latach 1944–1946 miał służyć w wojsku polskim w stopniu chorążego. Odznaczony medalami „Za Odrę, Nysę i Bałtyk”, „Zwycięstwa i Wolności” i „Odznaką Grunwaldzką”.

Pracę w aparacie bezpieczeństwa rozpoczął 2 września 1957 r. na stanowisku oficera operacyjnego Referatu Bezpieczeństwa Komendy Powiatowej MO w Puławach. Z adnotacji o zaliczeniu do okresu wysługi wynika, że wcześniej przepracował ponad 7 lat w aparacie partyjnym. 18 lutego 1959 r. został awansowany do stopnia podporucznika MO. 1 września

①

"Z A T W I E R D Z A M"  
Z-ca KOMENDANTA WOJEWÓDZKIEGO MO  
ds. Służby Bezpieczeństwa  
w Lublinie  
*[Podpis]* 20/11/76  
ppik mgr Henryk Kamiński

t. 1

Lublin, dnia 15.12.1976 r.

~~TAJNE SPRAWY WRAZCZENIA~~

Egz. nr JAWNE  
Podstawa prawna: art. 86 ust. 3 ustawy  
z dnia 22 stycznia 1999 roku o ochronie  
informacji niejawnych  
(Dz. U. Nr 11 poz. 95 z późn. zm.)  
50. 10. 02 *[Podpis]*

K I E R U N K O W O - P R O B L E M O W Y  
=====

plan pracy na rok 1977 Wydziału IV SB KWMO w Lublinie.

Województwo lubelskie zasięgiem swym obejmuje 120 parafii rzymskokatolickich z diecezji lubelskiej i siedleckiej /w tym dwie parafie diecezji sandomierskiej/. W granicach województwa mamy 12 dekanatów, w tym z diecezji siedleckiej 17 parafii i 1 dekanat. Pracę duszpasterską w parafiach prowadzi 346 księży, z tego 282 księży świeckich /pozostali to zakonnicy/.

W samym Lublinie, zarówno w Kurii, parafiach, kościołach rektoralnych jak i placówkach zakonnych pracuje ogółem 110 księży, w tym 3 biskupów. W mieście działa również Wyższe Seminarium Duchowne, w którym aktualnie uczy się 155 alumnów, z tego 42 zostało przyjętych w 1976 r.

1959 r. odwołano go z zajmowanego stanowiska i skierowano do Dwuletniej Szkoły Funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w Centrum Wyszkozenia MSW w Legionowie. Odwołany ze szkoły 1 września 1960 r. i w ramach urlopu bezpłatnego, z zachowaniem wszystkich świadczeń i ciągłości pracy, został zatrudniony w Komitecie Powiatowym PZPR w Bychawie. Przejście funkcjonariusza SB do pracy w strukturach partyjnych nie było w tym czasie odosobnionym przypadkiem. W podobny sposób w 1961 r. ppłk Marian Mozgawa, ówczesny zastępca naczelnika Wydziału III KW MO w Lublinie podjął pracę jako kierownik Wydziału Administracyjnego Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie.

Z aparatu partyjnego Hawrot powrócił do SB 31 maja 1965 r., by 1 czerwca tego roku objąć stanowisko kierownika grupy Wydziału IV SB KW MO w Lublinie. Powrót do czynnej służby przyniósł kolejny awans do stopnia porucznika MO (22 lipca 1965 r.).

W 1967 r. ukończył Wyższą Szkołę Nauk Społecznych, uzyskując tytuł magistra ekonomii, a rok później otrzymał odznakę „10 lat w Służbie Narodu”. 1 lipca 1969 r. objął stanowisko zastępcy naczelnika Wydziału IV SB, a 22 lipca został awansowany do stopnia kapitana MO. W okresie od 17 września do 6 grudnia 1969 r. ukończył Kurs Doskonalenia Kadr Kierowniczych Służby Bezpieczeństwa MSW z wynikiem bardzo dobrym. Również w 1969 r. otrzymał medal za udział w walkach o Berlin oraz Złoty Krzyż Zasługi. Ukoronowaniem służby Hawrota było objęcie stanowiska naczelnika Wydziału IV SB KW MO w Lublinie 1 lutego 1972 r. W tym samym roku został awansowany do stopnia majora MO oraz otrzymał brązową odznakę „Za zasługi w ochronie porządku publicznego”. Szereg kolejnych odznaczeń odebrał w związku z trzydziestą rocznicą PRL w 1974 r.: „Oznakę Specjalną ORMÓ”, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski oraz srebrną odznakę „Za zasługi w ochronie porządku publicznego”. W 1975 r. otrzymał brązowy medal „Za zasługi dla obronności kraju”, a w roku następnym został awansowany do stopnia podpułkownika MO. W 1977 r. uhonorowano go odznaką „Za zasługi dla Lubelszczyzny”, srebrną odznaką „W Służbie Narodu” i złotą odznaką „Za zasługi w ochronie porządku publicznego”.

### **Hawrot naczelnikiem Wydziału IV**

Główne kierunki pracy podległego mu wydziału naczelnik Hawrot przedstawił podczas narady z pracownikami 3 lipca 1972 r. Zaliczył do nich: działania na rzecz politycznej neutralizacji kleru, osłabianie pozycji księży „o poglądach negatywnych”, ograniczanie demonstracyjnego charakteru uroczystości religijnych (w szczególności peregrynacji), zwalczanie prób wywierania wpływu na władze w związku z budownictwem sakralnym, kształtowanie postaw wśród kleru i w kurii, pozbawionych cech prowokacyjnych i konfliktowych, a nacechowanych szacunkiem do prawa i władz państwowych<sup>1</sup>. Zamierzenia nakreślone na naradzie z lipca 1972 r. pozostały nadal aktualne w działaniach Wydziału IV SB, kierowanego przez ppłk. Hawrota, również w latach 1977–1978, co ilustrują – problemowe plany pracy Wydziału IV SB KW MO w Lublinie sporządzone na te lata<sup>2</sup>. Sformułowane w ich treści analizy i zadania koncentrują się wokół działalności duszpasterskiej i społecznej Kościoła – na rozpoznaniu postaw politycznych kleru, planach inwigilacji środowiska Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Kurii Biskupiej w Lublinie, wybranych parafii i zakonów, a także poszczególnych księży, w tym poprzez wykorzystanie istniejących i pozyskanie nowych osobowych źródeł informacji, wreszcie na projektowaniu operacji zmierzających do

<sup>1</sup> AIPN Lu 096/3, k. 63.

<sup>2</sup> AIPN Lu 0199/7, k. 1–40.

dezintegracji duchowieństwa oraz neutralizacji wpływu księży i katolickiej uczelni na społeczeństwo.

Dokumentem obrazującym aktywność Wydziału IV SB w Lublinie w realizacji postawionych zadań jest również „Protokół zdawczo-odbiorczy dokumentacji operacyjnej pozostającej aktualnie na stanie jednostki Służby Bezpieczeństwa województwa lubelskiego – sporządzony zgodnie z wymogami wykazu nadesłanego przez Dyrektora Biura „C” M.S.W.”<sup>3</sup>. Materiał ten powstał w czerwcu 1975 r. i obejmuje wykazy spraw prowadzonych przez wszystkie jednostki SB KW MO w Lublinie. W przypadku Wydziału IV wymienione zostały łącznie 732 pozycje (z podaniem pełnych imion i nazwisk), obejmujące 79 teczek tajnych współpracowników, 5 teczek lokali kontaktowych, 30 teczek kandydatów na tajnych współpracowników, 2 teczek kandydatów do lokali kontaktowych, 10 teczek kontaktów (operacyjnych), 597 teczek na księdza (właściwie: Teczek Ewidencji Operacyjnej na Księdza) oraz 9 teczek na parafie (właściwie: Teczek Ewidencji Operacyjnej na Parafie)<sup>4</sup>.

Jednym z istotnych obszarów zainteresowania Wydziału IV SB było rozpracowanie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W tym zakresie podjęte zostały działania wspólnie z Wydziałem II KW MO w Lublinie (kontrwywiadowczym). Ich efekty omawia informacja z dnia 4 kwietnia 1974 r. podpisana przez naczelników obu wydziałów<sup>5</sup>. W dokumencie tym autorzy dokonali analizy kontaktów utrzymywanych przez uczelnię oraz poszczególnych jej pracowników z ośrodkami i osobami w krajach zachodnich, a także ich charakteru i przebiegu. Podkreślili, że informacje w tym zakresie pozyskane zostały od tajnych współpracowników (czternastu TW na stanie Wydziału IV i trzech TW na stanie Wydziału II). Ze względu na stwierdzone liczne kontakty pracowników KUL z działaczami wrogich organizacji politycznych za granicą, przemyt do kraju literatury o treści antysocjalistycznej oraz próby jej rozpowszechniania, naczelnicy obu wydziałów SB uznali za konieczne zacieśnienie współpracy i skoordynowanie przedsięwzięć zmierzających do „kontrwywiadowczego zabezpieczenia obiektu” (tj. uczelni).

### Depozytariusz tajemnic

Służbę w organach bezpieczeństwa Tadeusz Hawrot zakończył z dniem 31 października 1978 r., przechodząc na emeryturę<sup>6</sup>. KW MO w Lublinie postanowiło ograniczyć możliwości opuszczania przez niego Polski. Zastrzeżenie wyjazdu za granicę, wydane 20 listopada 1978 r., wykluczało otrzymanie przez Hawrot paszportu pozwalającego na wyjazd do krajów kapitalistycznych, Albanii oraz na Kubę. W uzasadnieniu stwierdzono, że jako naczelnik Wydziału IV SB zapoznawał się z dokumentami stanowiącymi tajemnicę państwową lub służbową. Dodatkowym argumentem był fakt utrzymywania bliskich kontaktów z bratem mieszkającym od zakończenia II wojny w Wielkiej Brytanii.

<sup>3</sup> AIPN Lu 0177/4.

<sup>4</sup> *Ibidem*, k. 39–50.

<sup>5</sup> Informacja. Rozwój pracy operacyjnej na obiekcie KUL pod względem kontrwywiadowczego rozpoznania powiązań kadry i studentów z osobami i ośrodkami z krajów kapitalistycznych wrogo działających przeciwko PRL, [w:] *Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa wobec kościołów i związków wyznaniowych 1945–1989*, Wstęp, wybór dokumentów, redakcja Adam Dziurok, Warszawa 2004, s. 499–507.

<sup>6</sup> AIPN Lu 028/214, Karta ewidencyjna Tadeusza Hawrota.

## TRZYDZIESTA ROCZNICA POWSTANIA KSCH ZR – ŁOWISKO, 16 LISTOPADA 2008

Pieśni patriotyczne w wykonaniu młodzieży w strojach regionalnych, a następnie uroczysta Msza św. koncelebrowana przez abp. seniora Ignacego Tokarczuka i biskupa rzeszowskiego Kazimierza Górnego w kościele w Łowisku – zgromadziły setki osób obchodzących rocznicę powstania Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Rzeszowskiej. Po Mszy nastąpiło odsłonięcie i poświęcenie obelisku upamiętniającego rocznicę pontyfikatu Jana Pawła II i KSCh ZR.

W imieniu prezydenta RP spośród ludzi związanych z Komitetem uhonorowani zostali: Franciszek Perlak, wieloletni żołnierz AK i WiN, więzień stalinowski i współzałożyciel NSZZ R „Solidarność Wiejska” (odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski), Stanisław Krasoń, Stanisław Miazga, Katarzyna Zdeb, Katarzyna Skiba i Maria Wojdyła.

KSCh ZR powstał 12 listopada 1978 r. we wsi Łowisko, gmina Kamień, w dawnym województwie rzeszowskim (obecnie woj. podkarpackie). Chłopi zawiązali Komitet, by bronić się przed zabieraniem ziemi do Spółdzielni Kółek Rolniczych. Był to trzeci w Polsce przedsierniowej Komitet Samoobrony Chłopskiej i czwarty obok Tymczasowego Komitetu Niezależnego Związku Zawodowego Rolników ośrodek opozycji na wsi.

Józef Baran



## ZNACZENIE DUSZPASTERSTW AKADEMICKICH GORZÓW WIELKOPOLSKI, 19 LISTOPADA 2008

„Oaza wolności. Duszpasterstwo Akademickie w latach siedemdziesiątych” – to temat konferencji naukowej zorganizowanej przez szczeciński Oddział IPN, gorzowskie Archiwum Państwowe, PWSZ i zarząd Regionu Gorzowskiego NSZZ „Solidarność” w siedzibie Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wielkopolskim. Konferencja ukazała wciąż mało znaną historię działań duszpasterstw akademickich, które – jak podkreślano w czasie obrad – były miejscem, gdzie młodych ludzi uczono odkrywania przestrzeni wolności.



## **„OBSERWACJA, MANIPULACJA, WSPÓŁPRACA...” – WROCŁAW, 19–21 LISTOPADA 2008**

Konferencja naukowa poświęcona inwigilacji środowisk naukowych i dziennikarskich w PRL odbyła się w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego i Dolnośląskiej Szkole Wyższej. Spotkanie podsumowało prace badawcze prowadzone w ramach projektu „Aparat bezpieczeństwa wobec środowisk twórczych, dziennikarskich i naukowych” realizowanego przez Biuro Edukacji Publicznej IPN. Obrady toczyły się w dwóch sekcjach: naukowej i dziennikarskiej. Kilkudziesięciu uczestników – historyków, prasoznawców i dziennikarzy – w swych wystąpieniach omówiło różne aspekty wzajemnych relacji obu środowisk i aparatu bezpieczeństwa PRL. W dyskusjach towarzyszących obradom wielokrotnie poruszano temat lustracji środowisk naukowych i dziennikarskich.

## **HISTORIA OSTATNICH PRZYWÓDCÓW NSZ – POZNAŃ, 5 GRUDNIA 2008**

Podczas konferencji naukowej przedstawiono prezentację multimedialną „S. Kasznica i L. Neyman – obrazy pamięci”, ukazującą nieznane dokumenty i fotografie związane z działalnością obu dowódców NSZ. W referatach przedstawiono oblicze ideowe ruchu korporacyjnego w II Rzeczypospolitej, działalność i wydawnictwa NSZ, sylwetki wybitnych żołnierzy NSZ. Pionierski charakter miał referat dotyczący działalności służb wywiadowczych NSZ w strukturach aparatu represji w latach 1945–1947 na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Ukazano też powojenne losy rodu Kaszniców. Na konferencję przybyli: siostra Stanisława Kasznicy Eleonora, krewni Lecha Neymana, rodzina Zbigniewa Wojciechowskiego, rodzina Kiryła Sosnowskiego, byli członkowie Okręgu Poznań NSZ, członkowie Związku Żołnierzy NSZ Okręg Wielkopolska, kombatancki ze Światowego Związku Żołnierzy AK Okręg Wielkopolska.

## **O POLAKACH RATUJĄCYCH ŻYDÓW – WARSZAWA, 4 GRUDNIA 2008**

Podczas promocji nowo wydanego pakietu edukacyjnego IPN *Polacy ratujący Żydów w latach II wojny światowej* dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN – Jan Żaryn zachęcił młodzież do poszukiwania w swoich środowiskach, wśród swoich bliskich zapomnianych bohaterów, którzy pomagali potrzebującym.

Pakiet zaprezentowano w 66. rocznicę zamordowania – ratującej Żydów – rodziny Kowalskich z Ciepeliowa. Konferencję prasową w stołecznym II Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Batorego zorganizowano w ramach kampanii społeczno-edukacyjnej „Życie za życie” – o Polakach ratujących Żydów. Prowadzą ją wspólnie IPN i Narodowe Centrum Kultury. Na prezentację przybył Piotr Kadłcik – przewodniczący Warszawskiej Gminy Żydowskiej. Wśród publiczności znaleźli się przedstawiciele świata mediów, osoby uhonorowane tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata – Jerzy Koźmiński, prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, przedstawiciele kuratoriów i ośrodków doskonalenia nauczycieli oraz młodzież. Uczestnicy konferencji mieli okazję zobaczyć fragmenty filmu poświęconego rodzinie Kowalskich, którego premiera zapowiadana jest na początek 2009 r. Zamiarem jego twórców – Arkadiusza Gołębiewskiego i Macieja Pawlickiego – jest pokazanie heroicznej postawy

Bronisławy i Adama Kowalskich spalonych wraz z dziećmi za to, że pomogli prześladowanym. W najbliższym czasie planowana jest dalsza rozbudowa strony internetowej programu „Życie za życie” ([www.zyciezazycie.pl](http://www.zyciezazycie.pl)), wzbogacenie jej o możliwość zadawania pytań ekspertom oraz sukcesywne jej uzupełnianie pod względem merytorycznym.

## WYSTAWA „KOBIETY INTERNOWANE. GOŁDAP 1982” – BIAŁYSTOK, 10 GRUDNIA 2008

W Oddziale IPN w Białymstoku odbyło się otwarcie wystawy oraz prezentacja albumu pod tym samym tytułem. Prowadzoną przez dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku dr. hab. Cezarego Kukłę uroczystość rozpoczęło wystąpienie prezesa IPN prof. Janusza Kurtyki oraz przewodniczącego KK NSZZ „Solidarność” Janusza Śniadka. W imieniu kobiet internowanych zabrała głos Sławomira Masłowska-Jabłońska. Wernisażowi towarzyszyła projekcja filmu pt. *Opowieści gołdapskiego lasu* w reżyserii Tomasza Orlicza. W spotkaniu uczestniczyło ponad dwieście osób, w tym około pięćdziesięciu kobiet internowanych.



## WSPÓŁPRACA IPN Z KRAJOWĄ RADĄ BADAŃ ARCHIWÓW SECURITATE – BUKARESZT, 20 STYCZNIA

Umowa o współpracy pomiędzy Instytutem Pamięci Narodowej i Krajową Radą Badań Archiwów Securitate (CNSAS), została podpisana w Bukareszcie. Dokument regulujący zasady współpracy pomiędzy instytucjami w dziedzinie działalności archiwalnej, edukacyjnej, wydawniczej i badań naukowych podpisał prezes IPN prof. Janusz Kurtyka oraz przewodniczący Kolegium CNSAS, dr Ladislau-Antoniou Csendes.

Współpraca archiwalna będzie koncentrować się w szczególności na wymianie doświadczeń dotyczących identyfikacji, przetwarzania i udostępniania dokumentów znajdujących się w archiwach obu instytucji oraz w zakresie ich konserwacji i zabezpieczenia, a także wymianie informacji dotyczących rodzajów dokumentów będących w posiadaniu IPN i CNSAS. Podpisaniu umowy towarzyszyła prezentacja wystawy i publikacji IPN „Solidarni z Rumunią”, „Solidari cu Romania”.



## ODZNACZENIA CZŁONKÓW WiN – 22 STYCZNIA

W wyniku starań Zarządu Obszaru Centralnego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” prezydent RP Lech Kaczyński, na wniosek wojewody łódzkiego Jolanty Chełmińskiej zostali odznaczeni pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski dwaj zasłużeni członkowie WiN Zbigniew Zakrzewski ps. „Bryła” i prof. Stanisław Gorzuchowski. Odzna-

czenie w imieniu Zbigniewa Zakrzewskiego odebrali prezes ZOC Zrzeszenia WiN Edmund Kowalczyk i Sławomir Cieślukowski, a w imieniu Stanisława Gorzuchowskiego jego wnuk.

Zbigniew Zakrzewski od sierpnia 1945 r. do listopada 1946 r. pełnił funkcję szefa wywiadu Okręgu WiN Łódź. W tym czasie osobiście zwerbował na informatora Halinę Piotrowską – funkcjonariusza KW MO w Łodzi oraz Czesława Stachurę – funkcjonariusza WUBP w Łodzi, którzy dostarczali ważne informacje m.in. z kartotek UB o agenturze urzędu oraz o działaniach operacyjnych. Został aresztowany 17 listopada 1946 r., a 15 stycznia 1947 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 26 marca 1947 r.

Prof. Stanisław Gorzuchowski, profesor topografii UŁ oraz członek Mieszanej Komisji Delimitacyjnej Polsko-Radzieckiej, do WiN należał od listopada 1945 r. do listopada 1946 r. W tym czasie przekazywał za pośrednictwem Zbigniewa Zakrzewskiego wywiadowi WiN dokumenty dotyczące prac oraz składu Mieszanej Komisji Delimitacyjnej Polsko-Radzieckiej i rozlokowania jednostek wojskowych na granicy polsko-radzieckiej. Aresztowany 18 listopada 1946 r., wyrokiem WSR w Łodzi z 15 stycznia 1947 r. został skazany na 5 lat więzienia. Zmarł w więzieniu we Wronkach 22 marca 1948 r. na zapalenie płuc.

RP

## NAJLEPSZY DEBIUT HISTORYCZNY ROKU – WARSZAWA, 27 STYCZNIA

Wręczono nagrody I edycji konkursu na Najlepsy Debiut Historyczny Roku im. Władysława Pobóg-Malinowskiego, organizowanego przez IPN we współpracy z Instytutem Historii PAN.

Komisja Konkursowa, powołana przez prezesa IPN oraz dyrektora Instytutu Historii PAN zapoznała się z jedenastoma pracami magisterskimi oraz sześcioma pracami doktorskimi, stwierdzając, że spełniają one warunki wymienione w ogłoszeniu o konkursie. Po analizie prac, Komisja postanowiła przyznać:

– w kategorii prac magisterskich dwie II nagrody dla Kamila Drzymały za pracę *Oddział partyzancki o kryptonimie Żbik z obwodu Gorlice Armii Krajowej* oraz dla Andrzeja Malika za pracę *Komitet (Komisja) Robotniczy(a) Hutników NSZZ Solidarność Kombinatu Huta im. Lenina (sierpień 1980 – grudzień 1981)*. Ponadto wyróżniono pracę Krzysztofa Michalskiego *Działalność Komisji Wspólnej przedstawicieli Rządu PRL i Episkopatu Polski w latach 1980–1989*;

– w kategorii prac doktorskich jedną II nagrodę dla Marcina Kruszyńskiego za pracę pod tytułem *Ambasada RP w Moskwie w latach 1921–1939*. Ponadto wyróżniono dwie prace: Cecylii Kuty *Organizacje katolików świeckich w Małopolsce w latach 1957–1989* oraz Tomasza Gajownika *Działalność polskiego wywiadu wojskowego na Litwie w latach 1921–1939*.

Nagrody i wyróżnienia zostały wręczone w siedzibie IPN w Warszawie.

MZ





# KSIĄŻKI DLA OSÓB, KTÓRE ODPOWIEDZIAŁY NA NASZĄ ANKIETĘ

## SZANOWNI PAŃSTWO,

w ubiegłym roku w 4 numerze „Biuletynu IPN” – chcąc zorientować się, w jakiej mierze zawartość naszego pisma i dołączane do niego filmy zaspokajają zainteresowania Czytelników – opublikowaliśmy ankietę. Otrzymaliśmy kilkadziesiąt odpowiedzi od osób prywatnych, szkół i instytucji. Jesteśmy Państwu wdzięczni. Odpowiedzi pomogą nam modyfikować miesięcznik IPN i planować jego tematykę w taki sposób, by coraz lepiej służył on pogłębianiu wiedzy o najnowszej historii Polski.

Zgodnie ze złożoną obietnicą, pierwsze pięćdziesiąt osób (lub instytucji), które nadesłały nam odpowiedzi, otrzymało najnowszą publikację z serii „Biblioteka Biuletynu IPN”: „Stół bez kantów i inne rozmowy Biuletynu z lat 2003–2005”.

### Książki wysłaliśmy następującym osobom:

Maciej Ciesielski – Brzeziny, Kamila Kamińska – Olsztyn, Andrzej Migdał – Zawiercie, Mariusz Komada – Tarnobrzeg, Małgorzata Krupecka – Warszawa, Michał Poklekowski – Warszawa, Marek Kozłowski – Kalisz, Marek Jekel – Pobiedziska, Piotr Grabarz – Nowe Skalmierzyce, Marian Bańkowski – Białystok, Waclaw Sowula – Wrocław, Krzysztof Kołodziejczyk – Warszawa, Wojciech Czepczyński – Kraśnik, Wojciech Wawruch – Osielsko, Katarzyna Prądyńska – Koło, Krzysztof Osiński – Bydgoszcz, Bartosz Trawicki – Żukowo, Łukasz Polak – Warszawa, Kamil Rutkowski – Radomsko, Stanisław Jantos – Kraków, Grzegorz Banaś – Wąbrzeźno, Michał Lutrzykowski – Ostrołęka, Andrzej Majewski – Zduńska Wola, Daniel Chęć – Wojciechów, Marcin Kuberka – Poznań, Jan Seweryn – Starachowice, Elżbieta Borkowska – Gliwice, Łucja Pachniewska – Gliwice, Bogdan Bernat – Zwoleń, Aleksandra Słoninko – Żogoń, Marek Białokur – Opole, Renata Bulewicz-Garstka – Chodów, Alina Brewczyńska – Ruda-Huta, Agnieszka Winiarska – Lublin, Hanna Śliwińska – Lubowidz, Jan Tadeusz Banaśkiewicz – Kielce, Krystian Kazimierzuk – Chorzów, Iwona Pichitko – Jarosław, Wojciech Handermänder – Kolbudy, Sergiusz Żuchowski – Połczyn-Zdrój, Andrzej Brzeziak – Węgrów, Tadeusz Żmuda – Ilkowice, Jacek Rugieł – Wrocław, Maciej Gach – Gdańsk, Lech Tomaszewski – Strzelno, Sławomir Mirecki – Szczecin, Mieczysław Barnat – Nisko, Piotr Bruder – Rawicz, Szkoła Podstawowa i Gimnazjum w Przyborowie, Tomasz Wajda – Niemodlin.

Na okładce: polski cmentarz katolicki w Strusowie, fot. P. Życieński

**Agnieszka Biedrzycka** – dr nauk hum., historyk. Zajmuje się dziejami Rzeczypospolitej Obojga Narodów XVI–XVII w. i edytorstwem źródeł; autorka m.in. *Bibliografii pomników kultury dawnych kresów południowo-wschodnich Rzeczypospolitej*.

**Roman Dzwonkowski SAC** – emerytowany prof. KUL, socjolog i historyk; autor m.in.: *Kościół katolicki w ZSSR 1917–1939. Zarys historii; Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917–1939. Martyrologium; Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939–1988*.

**Adam Hlebowicz** – historyk, publicysta, dziennikarz; autor książek o Kościele katolickim i Polakach na Wschodzie, m.in. *Wielkie Księstwo Pana Boga i okolice*.

**Mikołaj Iwanow** – prof. Uniwersytetu Opolskiego, autor m.in.: *Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim, 1921–1939*.

**Dorota Jaworska-Matys** – pracownik naukowy Instytutu Pedagogiki UG. Specjalizuje się w problematyce związanej m.in. z edukacją w społeczeństwie zróżnicowanym kulturowo.

**Andrzej W. Kaczorowski** – dziennikarz, autor książki *Miejsc święte w Polsce*.

**Kazimierz Krajewski** – historyk, kierownik referatu badań naukowych OBEP w Warszawie; autor kilkunastu publikacji książkowych i licznych artykułów naukowych z zakresu dziejów podziemia niepodległościowego w latach II wojny światowej i w okresie powojennym.

**Marcin Krzysztofik** – historyk, naczelnik oddziałowego BUiAD IPN w Lublinie.

**Tadeusz Kukiz** – lekarz, popularyzator historii i kultury Kresów; autor m.in. 6 książek z serii *Madonny Kresowe*.

**Janusz Kurtyka** – dr hab., Prezes IPN, pracownik naukowy w Instytucie Historii PAN, członek Rady Naukowej IH PAN kadencji 1999–2002 i 2003–2006, autor m.in.: *Tęczyńscy. Studium z dziejów polskiej elity możnowładczej w średniowieczu, Latyfundium tęczyńskie. Dobra i właściciele XIV–XVII w., Odrodzone Królestwo. Monarchia Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego w świetle nowych badań*.

**Tomasz Łabuszewski** – dr, historyk, naczelnik OBEP w Warszawie, współautor (razem z K. Krajewskim) monografii *Białostocki Okręg AK-AKO VII 1944–VIII 1945; „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK 1944–1952*.

**Romuald Niedzielko** – pracownik BEP IPN. Autor książki *Kresowa księga sprawiedliwych 1939–1945. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*.

**Włodzimierz Osadczy** – dr hab., pracownik naukowy IH UMCS, kanclerz Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów, członek Komisji Europy Wschodniej PAU.

**Ewa Siemaszko** – autorka m.in.: *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945* (z Władysławem Siemaszko) oraz albumu: *Wołyń naszych przodków. Śladami życia – czas zagłady*.

**Janusz Smaza** – dr, przewodniczący Ogólnopolskiej Rady Konserwatorów Dzieł Sztuki przy ZG ZPAP; autor ponad 300 opracowań dotyczących polskich zabytków w ponad 20 krajach.

**Damian Szymczak** – historyk, dziennikarz, publikował w „Karcie” i „Gazecie Polskiej”.

**Jacek Welter** – prawnik, dyrektor Oddziału IPN w Lublinie.

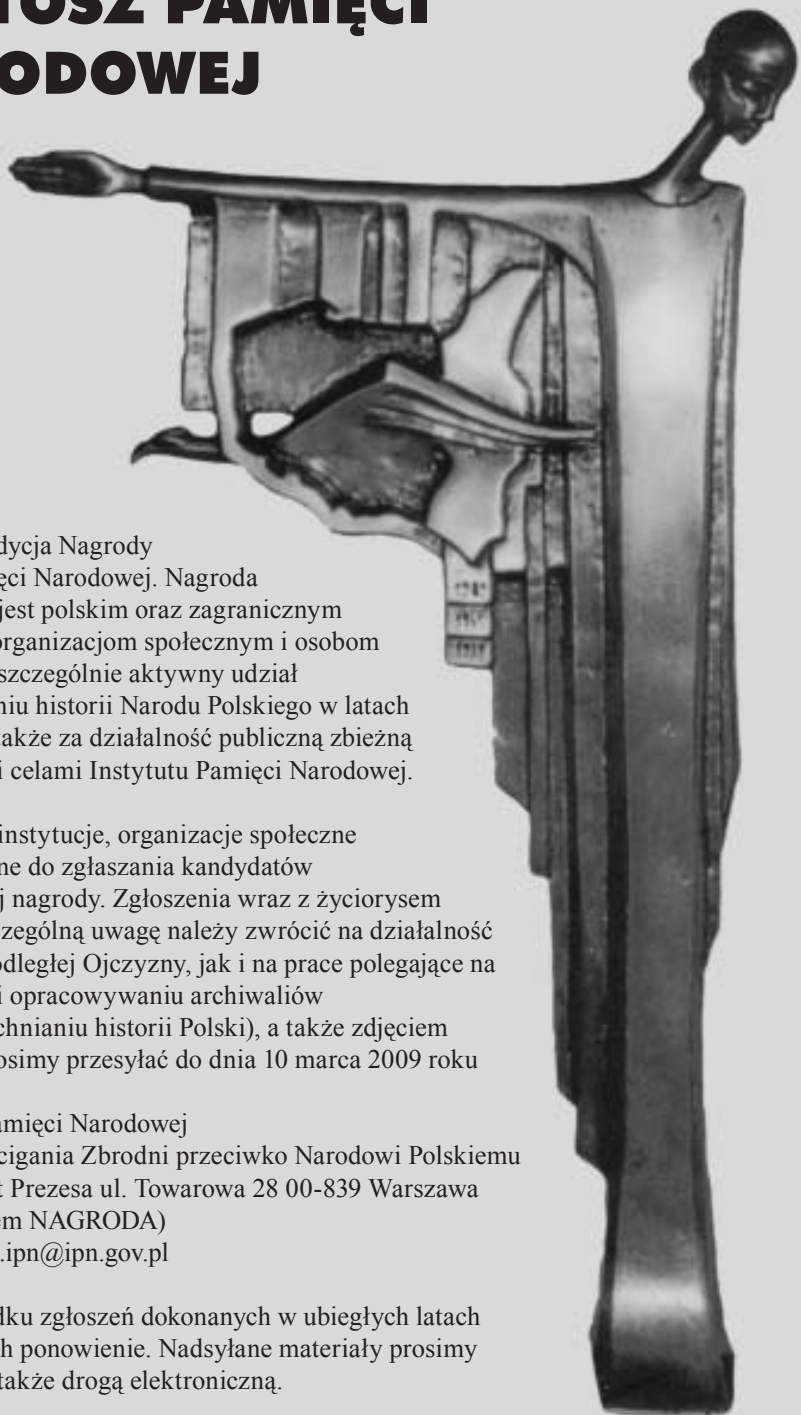
**Waldemar F. Wilczewski** – dr, naczelnik OBEP w Białymstoku, specjalizuje się w badaniach dziejów archidiecezji wileńskiej.

**Norbert Wójtowicz** – dr n. hum., pracownik BEP IPN.

**Ewa Ziółkowska** – historyk, autorka licznych publikacji nt. martyrologii Polaków i polskich śladów w krajach b. ZSRS.

# NAGRODA IPN

## KUSTOSZ PAMIĘCI NARODOWEJ



Rusza ósma edycja Nagrody Kustosz Pamięci Narodowej. Nagroda przyznawana jest polskim oraz zagranicznym instytucjom, organizacjom społecznym i osobom fizycznym za szczególnie aktywny udział w upamiętnianiu historii Narodu Polskiego w latach 1939–1989, a także za działalność publiczną zbieżną z ustawowymi celami Instytutu Pamięci Narodowej.

IPN zaprasza instytucje, organizacje społeczne i osoby fizyczne do zgłaszania kandydatów do tegorocznej nagrody. Zgłoszenia wraz z życiorysem (w którym szczególną uwagę należy zwrócić na działalność na rzecz niepodległej Ojczyzny, jak i na prace polegające na gromadzeniu i opracowywaniu archiwaliów oraz upowszechnianiu historii Polski), a także zdjęciem kandydata, prosimy przesyłać do dnia 10 marca 2009 roku pod adres:

Instytut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
Sekretariat Prezesa ul. Towarowa 28 00-839 Warszawa  
(z dopiskiem NAGRODA)  
sekretariat.ipn@ipn.gov.pl

W przypadku zgłoszeń dokonanych w ubiegłych latach – prosimy o ich ponowienie. Nadsyłane materiały prosimy przekazywać także drogą elektroniczną.

